

„Porywający thriller. Parlato ma bardzo mocny start!”
— *Publishers Weekly*



WSZYSTKIE
MROCZNE
MIEJSCA

TERRI PARLATO

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

TERRI PARLATO

**WSZYSTKIE
MROCNIE
MIEJSCA**

PRZEKŁAD: MAGDA WITKOWSKA



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1. Molly

Rozdział 2. Rita

Rozdział 3. Molly

Rozdział 4. Rita

Rozdział 5. Molly

Rozdział 6. Rita

Rozdział 7. Molly

Rozdział 8. Rita

Rozdział 9. Molly

Rozdział 10. Rita

Rozdział 11. Molly

Rozdział 12. Rita

Rozdział 13. Molly

Rozdział 14. Rita

Rozdział 15. Molly

Rozdział 16. Rita

Rozdział 17. Molly

Rozdział 18. Rita
Rozdział 19. Molly
Rozdział 20. Molly
Rozdział 21. Rita
Rozdział 22. Molly
Rozdział 23. Rita
Rozdział 24. Rita
Rozdział 25. Molly
Rozdział 26. Molly
Rozdział 27. Rita
Rozdział 28. Molly
Rozdział 29. Rita
Rozdział 30. Molly
Rozdział 31. Molly
Rozdział 32. Rita
Rozdział 33. Molly
Rozdział 34. Rita
Rozdział 35. Molly
Rozdział 36. Rita
Rozdział 37. Molly
Rozdział 38. Molly
Rozdział 39. Rita
Rozdział 40. Molly
Rozdział 41. Molly
Rozdział 42. Rita
Rozdział 43. Molly
Rozdział 44. Rita

Rozdział 45. Molly

Rozdział 46. Rita

Rozdział 47. Molly

Rozdział 48. Rita

Rozdział 49. Molly

Rozdział 50. Rita

Rozdział 51. Molly

Rozdział 52. Rita

Rozdział 53. Molly

Rozdział 54. Rita

Rozdział 55. Molly

Rozdział 56. Rita

Rozdział 57. Molly

Rozdział 58. Rita

Rozdział 59. Molly

Rozdział 60. Rita

Rozdział 61. Molly

Rozdział 62. Rita

Rozdział 63. Rita

Rozdział 64. Molly

Rozdział 65. Rita

Rozdział 66. Molly

Rozdział 67. Rita

Rozdział 68. Molly

Rozdział 69. Rita

Rozdział 70. Molly

Rozdział 71. Rita

Rozdział 72. Molly

Rozdział 73. Rita

Rozdział 74. Molly

Rozdział 75. Rita

Rozdział 76. Molly

Rozdział 77. Rita

Rozdział 78. Molly

Tytuł oryginału
ALL THE DARK PLACES

Redakcja
Monika Orłowska

Tłumaczenie
Magda Witkowska

Korekta
Bożena Sigismund, Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Copyright © 2023 by Terri Parlato
First published by Kensington Publishing Corp. All Rights Reserved
Polish edition copyright © 2023 Agencja Wydawniczo-Reklamowa Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
Polish translation copyright © 2023 Magda Witkowska

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-65-9



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla mojego męża i dzieci – z miłością.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo jestem wdzięczna wszystkim osobom, które wspierały mnie w pracach nad tą książką. Tacey Derenzy, R.H. Buffington and Sandra Erni z mojej grupy pisarskiej zasługują na serdeczne podziękowania za ciężką pracę, cenne spostrzeżenia i słowa zachęty. Tak wiele wnieśliście do tej mojej opowieści. Mam nadzieję, że udało mi się spełnić pragnienia, które wyrażaliście hasłem: „Więcej Rity”. Sandrze pragnę podziękować za ponad dwadzieścia pięć lat pisania, czytania i śmiechu.

Charlotte Smallwood jestem wdzięczna za to, że zawsze była gotowa coś jeszcze przeczytać. To właśnie tacy ludzie mobilizują pisarza, aby każdego dnia dawał z siebie wszystko. Mam nadzieję, że spełniłam wasze oczekiwania.

Mojemu cudownemu wydawcy, Johnowi Scognamiglio, serdecznie dziękuję, że zaakceptował ten rękopis i z entuzjazmem odniósł się do tej opowieści. Za sprawą jego sugestii ta książka stała się nawet lepsza niż to, co sobie pierwotnie wyobrażałam. Dziękuję również całemu zespołowi z Kensington Books, który tyle pracy włożył w ten tekst.

Bardzo dziękuję mojej agentce, Marlene Stringer, dziękuję, że dała mi szansę. Zajęła się milionem różnych spraw, ale między innymi bardzo wprawnie zarządzała moimi lękami, gdy odzywały się z całą mocą. Nie ma takich słów, które by w pełni wyraziły moją wdzięczność.

Z całego serca dziękuję moim dzieciom, Brittany, Becce i Nickowi. To niesamowicie ludzie, z których jestem bardzo dumna. Zainspirowaliście mnie, żebym podążała za marzeniami. Wasze wsparcie jest dla mnie czymś absolutnie bezcennym. Na koniec zaś pragnę podziękować mojemu mężowi Fredowi za to, że nawet mu powieka nie drgnęła, gdy postanowiłam rzucić pracę w szkole i skupić się na pisaniu. Gdyby nie jego nieustające wsparcie, nigdy bym nie dotarła do tego miejsca. Gdyby nie jego ciężka praca, nasza rodzina mogłaby tego nie udźwignąć. Do końca świata będę za to wdzięczna jemu i naszym cudownym najbliższym.

ROZDZIAŁ 1

MOLLY

Czasami chciałabym móc uchwycić jakąś szczęśliwą chwilę, żeby została ze mną na zawsze. Nie w postaci fotografii czy filmiku, tylko jako uczucie. Takie uczucie, które mogłabym przeżywać na nowo do końca moich dni. (Z jakiegoś powodu do tej roli garną się tylko koszmary senne...) Wzdrygam się lekko i przechodzę z mroku korytarza w jasną przestrzeń salonu, w którym mój mąż stoi na tle płomieni buzujących w kominku i opowiada naszym znajomym jakąś zabawną historyjkę. Goście zaproszeni na jego urodziny śmieją się zupełnie szczerze. Wszyscy uwielbiają Jaya. Ale nikt nie kocha go bardziej niż ja.

Pierwszy tydzień stycznia to nie najlepsza pora na urodziny, ponieważ jednak w tej akurat kwestii nic specjalnie od nas nie zależy, zrobiłam, co mogłam, żeby zapewnić temu wydarzeniu swobodną, ale uroczystą oprawę. Zamierzam zadbać o to, aby czterdziestka Jaya na długo zapadła wszystkim w pamięć. W rogu ciągle jeszcze rozbłyska świecielkami choinka, a na półce nad kominkiem zdjęcia mieniają się w blasku płomieni białych świec. Nasze uśmiechy, które zostały na nich uwiecznione, ilustrują trzy lata szczęśliwego małżeństwa.

W środku jest zupełnie inaczej niż na zewnątrz. Zimą w Nowej Anglii mrok zapada bardzo szybko. Już ponad godzinę temu niebo za oknem przybrało kolor węglowego pyłu. Śnieg otulający okolicę widać tylko w tym jednym miejscu, w którym drogę oświetla latarnia. Mieszkamy tu od niespełna roku i jeszcze nie do końca czujemy się jak w domu. To stary budynek, niemal zabytkowy. Jego zakamarki i połyskująca boazeria od razu mnie zauroczyły. Wnętrza są jasne i tętnią życiem – za sprawą mojego idealnego męża i naszych przyjaciół. Czuję się tu bezpieczna.

Tort, małe dzieło sztuki, stoi w kartonie w lodówce. Czeka tam na swoją wielką chwilę. Jay nie chciał hucznej fety, wołał zaprosić niewielkie grono najbliższych

przyjaciół na posiłek przy dobrym winie. To powinien być cudowny wieczór. Naprawdę powinien. Mam nadzieję, że go nie popsuję.

Stoję przy granitowym blacie i układam przekąski, które zamówiłam w naszej ulubionej lokalnej kawiarni. Wyglądają przepysznie, ale ja zupełnie nie mam apetytu. Sięgam tylko po kieliszek wina. To malbec, które przywieźliśmy ubiegłego lata z wyprawy do Kalifornii. Upijam łyk. Jay staje za mną i bierze mnie w objęcia, a podbródek opiera na czubku mojej głowy. Uwielbiam jego dotyk, w jego silnych ramionach czuję się na miejscu, czuję się bezpiecznie. Nuta drewna wyczuwalna w jego zapachu nie przestaje mnie zachwycać. Wzdycham, a po policzku spływa mi łza.

– Hej! – On mnie odwraca i ociera ją kciukiem. – Tylko bez takich, dobrze? Wszystko mamy pod kontrolą.

Kiwam głową i pociągam nosem.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Ścisza mnie mocno i muska wargami kącik moich ust i fragment policzka. To taki pocałunek dla dodania otuchy. – Wszystko będzie dobrze, Molly.

Goście zaczęli się schodzić o wpół do siódmej, wnosząc przez próg zimowe powietrze i pojedyncze płatki śniegu. Witali się serdecznie i wręczali prezenty, choć wszystkich uprzedzałam, że Jay wolałby ich nie otrzymywać.

Kim, z którą znam się od drugiej klasy podstawówki, i jej mąż Josh, stary przyjaciel Jaya, siedzą na sofie. Przedstawiliśmy ich sobie krótko po tym, jak sami zaczęliśmy się spotykać. Kim to drobna, ciemnowłosa kobieta o dużych brązowych oczach. Kiedyś była cheerleaderką. Tyle w niej ekstrawertyzmu, ile we mnie ciszy, przez co się pewnie dobrze dopełniamy.

Cal, z którym Jay gra w hokeja, i jego żona Laken, piękna, wysoka blondynka, zajmują krzesła, które przynieśliśmy z jadalni, żeby wszyscy mieli na czym siedzieć. Laken prowadzi w mieście własne spa i jeszcze w progu wręczyła Jayowi grubą kremową kopertę. Zapewne talon na masaż. Polubiłyśmy się z Laken.

Są też Elise i Scott. Doktor Elise Westmore prowadzi wraz z Jayem gabinet terapii rodzinnej i z czasem dołączyła do kręgu naszych najbliższych znajomych. Westmore'owie są od nas trochę starsi, obchodzili już pięćdziesiąte urodziny. Jay

poznał Elise na studiach i od razu się dogadali. Mówi o niej, że zastąpiła mu starszą siostrę, której nigdy nie miał.

– Kto na co ma ochotę? – pyta Jay, unosząc malbeca. Kieliszki idą w górę, więc on je napełnia, a potem sięga do barku po kolejną butelkę. – Cał, czy dla ciebie piwo? Byłem niedawno po zapasy w Trillium.

Cał uśmiecha się i wstaje.

– Jak ty mnie dobrze znasz, przyjacielu. Przyniosę sobie. – Zwraca się do Scotta, który siedzi obok Elise w pozie statecznego męża stanu. – Dla ciebie też piwo?

– Chętnie – pada odpowiedź.

Dobrze się dogadujemy w gronie tej ósemki. Z uśmiechem stawiam na stoliku tacę, na której wyłożone zostały crostini z grzybami i serem gruyère. Dolewam sobie wina i staram się rozkoszować jego smakiem, a przy tym całą uwagę skupić na Jayu. Podziwiam go za to, jak swobodnie się czuje przy innych ludziach. Pewnie to właśnie czyni z niego dobrego psychologa. Ludzie darzą go zaufaniem. Wiedzą, że mogą sobie na to pozwolić. Uśmiech wiecznie goszczący na jego ustach i życzliwość w jego zielonych oczach też na pewno nie szkodzą.

Wypiliśmy po kilka drinków, zjedliśmy połowę przekąsek. Mamy już za sobą rozmowę o tym, co u kogo słyhać nowego. Laken rozpira się na krześle, a jej długie nogi sięgają teraz krawędzi stolika.

– A jak tam twoja nowa książka, Jay?

On robi głęboki wdech i odpowiada:

– Powoli.

Przenosi wzrok w stronę kominka, w którym z trzaskiem migoczą płomienie.

Jay pisze książkę nawiązującą do jednego z artykułów, które opublikował jeszcze na studiach. Nie za wiele opowiada mi o swojej pracy. Twierdzi, że to nudna i przytłaczająca strona jego osobowości.

– O czymś potwornie mrocznym miałeś pisać, dobrze kojarzę? – dopytuje Laken. – O jakichś paskudnych zbrodniach i zaburzonej psychice?

Jay się krzywi.

– Momentami rzeczywiście bywa mocna.

Elise prostuje się na krześle, wbija wzrok w Laken.

– Zaburzenia psychiczne to bardzo szerokie pojęcie, obejmujące rozległy wachlarz zachowań, z których nie wszystkie mają charakter gwałtowny czy choćby nawet szczególnie niepokojący.

Nagle pojawia się między nami napięcie. Niby niewielkie, ale jednak widoczne na poszczególnych twarzach. Ciszę przerywa Kim.

– Miałam taką ciotkę – zaczyna, nachylając się lekko do przodu, zanurza usta w kieliszku i kontynuuje: – która zbierała sierść swoich psów, gdy je czesała. Trzymała ją w worku w szafie w przedpokoju. Znaleźliśmy to kiedyś z moim bratem, jak byliśmy jeszcze dziećmi. Ale się najedliśmy strachu. To musiało tam leżeć ze trzydzieści lat. To była sierść z sześciu różnych psów.

Jay zaczyna się śmiać. Kim potrafi go rozśmieszyć.

– Umysł to coś niezwykle fascynującego – stwierdza, po czym wstaje i podnosi ze stolika niemal pustą tacę. – Jedzenia nam zabrakło.

W jego głosie wychwytyuję ton niepokoju. Od tygodnia coś mu chodzi po głowie, ale wszystkie moje pytania zbywa uśmiechem i zapewnieniem, że wszystko jest w najlepszym porządku. Idę za nim do kuchni, podchodzę do drzwi i wyglądam na podwórko.

– W twojej pracowni świeci się światło – mówię, spoglądając w kierunku starego budynku.

To niezależny garaż, który stoi pośród śniegu na końcu podjazdu. W środku zamiast samochodów znajdują się: biurko Jaya, przenośny grzejnik i parę innych sprzętów, które zwykle wstawia się do domowego gabinetu.

– Widocznie nie zgasilem. – Otwiera kolejną butelkę wina. – Zajmę się tym później. Może zresztą jeszcze trochę popracuję, jak goście wyjdą – rzuca i skupia wzrok na czerwonym trunku, który właśnie przelewa się do jego kieliszka.

– Dzisiaj?

– Potrzebowałbym tylko chwili. Przed przyjęciem nie zdążyłem czegoś dokończyć i zostawiłem rozgrzebane. To nie potrwa długo.

Podchodzę do blatu i opieram się dłonią o jego krawędź. Dopijam wino i wymownie wystawiam kieliszek w stronę Jaya. Przez moment spoglądamy sobie w oczy, a ja uśmiecham się, żeby go uspokoić.

– Jasne, nie ma sprawy.

On napełnia mój kieliszek, stawia go na blacie i bierze mnie w ramiona.

– Nie potrzeba mi niczego poza tym, co mam tutaj – zapewnia.

Do kuchni wchodzi Cal i Josh. Drugi z nich wymachuje pustym kieliszkiem.

– Co to za opóźnienia? – Śmieje się. – Oni się nie potrafią od siebie oderwać – zwraca się do Cala.

– Dziwisz mi się? – odpowiada Jay, odgarniając moje długie włosy z ramienia na plecy.

Uwalniam się z jego objęć i podchodzę do lodówki.

– Czas już na tort, mój drogi jubilacie.

Wystawiam karton na blat i wydaję tort. Połąc błękitnego lukru zdobią połyskujące pomarańczowe i żółte kwiaty.

– Wow! Niesamowicie wygląda. Aż żal będzie go rozcinać – zachwyca się Jay.

– Świetnie sobie poradzili u André – stwierdzam, wydaję z szuflady nóż.

– Czekoladowy czy waniliowy? – pyta Cal.

Do kuchni wkracza Laken.

– Rany boskie, Cal. Przecież to tort Jaya. Oczywiście, że czekoladowy.

Cal wzrusza ramionami.

– A może zew przygody się w nim odezwał?

Nagle wszyscy tu są, więc sięgam po świeceki urodzinowe.

Jay chwyta mnie za rękę.

– Szkoda będzie zepsuć takie чудо. – Zaraz potem się jednak uśmiecha. – Ale co tam! W końcu tylko raz w życiu kończy się czterdzieści lat.

Otwieram oczy i nie czuję zapachu kawy. Od razu wiem, że coś jest nie tak. Leżę sama w dużym łóżku, Jaya nie ma obok mnie. Zwykle budzi się przede mną, ale zwykle też cały dom wypełnia zaraz potem woń jego ulubionego napoju. Jay to jedna z tych osób, które sypiają zaledwie po cztery czy pięć godzin na dobę. To również zagorzały miłośnik kawy. Wypija jej z pięć, a czasem nawet sześć filiżanek dziennie. Po takiej dawce większość ludzi miałaby kłopot, żeby zapanować nad drżeniem rąk, ale jemu to służy. Zdażyłam się już przyzwycząić, że rano budzi mnie ten charakterystyczny zapach. Gdy się pojawia, powieki mi się unoszą. Działa to jak w zegarku.

Teraz zaś w kuchni jest zimno, a kawiarka stoi na blacie, pusta, nietknięta.

– Jay?! – wołam go, a mój głos niesie się echem po domu.

Serce od razu mi przyspiesza. Udaję się do drzwi frontowych, wyglądam na zewnątrz. Drzwi do pracowni Jaya są otwarte na oścież. Zbiegam po schodkach i pędzę przez podwórko. Bosymi stopami przez śnieg...

Potykam się o próg. Nie zastaję go w wejściu.

– Jay?

Nikt nie odpowiada. Wchodzę do środka, mijam biurko i przenośny grzejnik. I wtedy go dostrzegam. Leży na podłodze z głową w kałuży krwi, której ślady zauważam również na ścianach. Opadam na kolana, chwytam go za rękę.

– Jay!

Nic to nie daje. On mnie nie słyszy. Leży zimny i bez życia. Pod linią wczorajszego zarostu dostrzegam ranę na jego szyi. Ma na sobie to samo ubranie, co wczoraj podczas przyjęcia. Powieki na wpół mu opadły, a włosy nasiąkły mazią rozlewającą się wokół jego głowy. Cofam się i opieram plecami o szafę kartotekową, a gdzieś z głębi mojej duszy wydobywa się wrzask.

Siedzę w kuchni na krześle, a po całym domu kręcą się gliniarze. Moja siostra Corrine już do mnie jedzie. Ktoś mi przyniósł z góry szlafrok i pomógł go założyć. Chyba ta młoda policjantka. Ta, która przyjechała jako pierwsza i odprowadziła mnie do domu. Bardzo to było miłe z jej strony, ale nadal nie czuję swojego ciała. Wszystko mam odrętwiałe, od stóp do głów.

W domu panuje chaos. Podnoszę wzrok i zerkam w kierunku salonu. Butelki po piwie i kieliszki do wina stoją na wszystkich stolikach, a nawet na półce nad kominkiem. Na blacie rozplývają się resztki dipów i pojedyncze przekąski. Wygląda to obrzydliwie, ale przecież zakładałam, że to uprzątniemy, zanim ktokolwiek do nas zawita. Nie spodziewałam się, że rankiem w dzień po przyjęciu znajdę martwe ciało mojego męża w jego pracowni. Chowam twarz w miękkie rękaw i płaczę. Kto mógł Jayowi zrobić coś takiego? Moje życie nagle się rozpadło jak domek z kart, a ja czuję się tak, jakbym leciała w ciemną otchłań.

Od strony frontowych drzwi dobiega mnie niski głos Corrine. Ona mówi jak Lauren Bacall. Rozmawia z jednym z policjantów, a zaraz potem jest przy mnie i się nade mną nachyla. Czuję wyraźnie zapach jej perfum. Przede wszystkim jednak czuję zapach krwi.

– Co się tu, do licha, stało, Molly?

Podciąga mnie do pozycji pionowej i bierze w objęcia, a ja chowam twarz w jej wełnianym płaszczu.

– Proszę pani, mielibyśmy kilka pytań – odzywa się zza jej pleców męski głos.

Corrine odwraca się do policjanta i pyta:

– Co tu się wydarzyło?

– Właśnie próbujemy to ustalić. Usiądźmy, dobrze?

Chwilę później siedzimy z Corrine obok siebie, a barczysty policjant w mundurze opada na krzesło naprzeciwko nas.

– Jestem sierżant Simmons – mówi i kładzie na stole notatnik. – Pani Bradley?

Odchrząkuję i ocieram nos chusteczką.

– Tak?

– Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała, co się wydarzyło.

Próbuję zapanować nad łkaniem i nabrać w płuca choć trochę powietrza.

– Dobrze – wykrztuszam z siebie, po czym wracam myślami do momentu, w którym otworzyłam oczy. Próbuję poskładać wszystkie porzrzucone obrazki w jedną całość. – Wstałam rano, a mojego męża nie było, to znaczy w łóżku. On wcześniej wstaje... Nie było kawy. – Znow zaczynam płakać, a policjant rozpiera się na krześle.

Corrine stuka palcami w blat.

– Czy to się naprawdę musi odbyć teraz? Ona nad sobą nie panuje.

– Przykro mi, ale ktoś zginął, pani...

– Corrine Alworth. Jestem jej siostrą.

Policjant przyjmuje to do wiadomości.

– No dobrze, pani Bradley. Czyli obudziła się pani rano. O której?

Czuję się zupełnie zagubiona. Dudni mi w głowie. Nie mam pojęcia, o której to było, spoglądam więc na wyświetlacz zegara w mikrofalówce i próbuję to wydedukować.

– Hm. – Teraz jest kwadrans po dziesiątej. – O dziewiątej, może trochę później.

– Nie jest pani pewna?

– Nie.

On rozgląda się wokół siebie, na pewno dostrzega bałagan.

– Wczoraj wieczorem odbyło się jakieś przyjęcie?

– Urodziny mojego męża.

Głowa mi opada, wspieram się na Corrine. Najchętniej przestałabym istnieć.

– A pani tu była, pani Alworth?

– Nie, nie było mnie – brzmi odpowiedź.

Czyżby miała do mnie żal? Z moją starszą siostrą nigdy nic nie wiadomo. Ona często mówi takie rzeczy, jakby była na mnie zła. Ale przecież miała inne plany. Kładę prawą dłoń na lewym przedramieniu i palcami szukam krawędzi rękawa.

– No dobrze, pani Bradley. Więc pani wstała, a męża nie było w łóżku. A co pani zrobiła potem?

– Zeszłam na dół i zobaczyłam, że drzwi do jego pracowni są otwarte. Wczoraj wieczorem wspomniał, że po przyjęciu jeszcze tam pójdzie, bo ma coś do zrobienia.

– Czyli udał się do pracowni zeszłej nocy?

– Tak. Twierdził, że taki ma zamiar.

– A o której to było godzinie?

Twarz sierżanta Simmons'a przypomina księżyc w pełni. Policjant jest spokojny i cierpliwy. Chciałabym odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Chciałabym mu pomóc, ale myśli wirują mi w głowie jak ptaki, których nie potrafię uchwycić.

– Nie wiem. Późno.

– A on zawsze pracuje o takich późnych porach?

– Tak, właściwie to tak.

– Dobrze. A czy zamknęła pani drzwi przed udaniem się do łóżka?

Właściwie to nie wiem. Moje wspomnienia rozplywają się jak we mgle. Naprawdę sporo wypiliśmy, a w każdym razie ja naprawdę sporo wypiałam. Ledwo przypominam sobie, jak się wspinałam po schodach. Nagle dociera do mnie, że rzęsy kleją mi się od pokruszonego tuszu i że czuję w ustach nieprzyjemny, kleisty smak. Położyłam się spać bez wieczornej toalety.

Przełykam płacz i znów odchrząkuję.

– Chyba Jay to zrobił.

– Ale nie wie pani na pewno?

Sierżant Simmons chciałby chyba, żebym spojrzała mu w oczy, ale nie potrafię się na to zdobyć. Wolałabym, żeby go tu nie było. Nie podoba mi się, że policjanci kręcą się po domu i dotykają różnych naszych rzeczy, że spisują te wszystkie raporty. Chciałabym, żeby Jay stał przy kuchence i smażył naleśniki. Ja bym zajęła miejsce obok niego, żeby dopilnować skwierczącego bekonu. Chciałabym cofnąć się do wczorajszego dnia. Potrząsam głową i ocieram twarz przemoczoną od łez chusteczką.

– Czyli obudziła się pani dziś rano. Zobaczyła pani, że męża nie ma w łóżku. Zeszła pani na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyła otwarte drzwi. A co potem?

– Pobiegłam przez podwórze, żeby go poszukać.

Corrine stawia przede mną pudełko, z którego wyciągam sobie kilka świeżych chusteczek. Cała jestem zasmarkana i zapłakana, jakbym się miała zaraz rozpuścić.

– Proszę się nie spieszyć, pani Bradley.

Robię głęboki wdech, potem wydech.

– Poszłam do pracowni i tam zobaczyłam Jaya na podłodze. Na jego szyi... On nie żył.

Opuszczam głowę i zaczynam płakać. Corrine mocno mnie przytula.

Słyszę jakieś głosy. Inni policjanci mówią coś do Simmons'a, a potem się oddalają.

– Już prawie skończyliśmy, pani Bradley. Będziemy potrzebowali listy wszystkich osób, które brały udział we wczorajszym przyjęciu, dobrze?

Próbuję na niego spojrzeć, potakuję. *Chryste Panie! Czy oni myślą, że zrobił to ktoś z naszych przyjaciół? To niemożliwe.*

Corrine masuje mi ramię.

– Zajmiemy się tym, panie sierżancie. A na razie chciałabym zrobić mojej siostrze coś do picia. Trzeba ją też cieplej ubrać.

– Proszę się nie spieszyć. – Wstaje od stołu. – Za chwilę będą tu technicy kryminalistyczni. – Przywoławszy policjantkę, dodaje: – Connors będzie wam asystować, bo nie wolno dotykać niczego, co mogłoby się okazać istotne.

Kiwam głową i zbieram się do odejścia.

– A właśnie – woła za mną – będziemy musieli zabrać ubranie, która miała pani na sobie wczorajszego wieczoru.

Zerka przy tym wymownie na funkcjonariuszkę nazwiskiem Connors.

Łkam, zamiast oddychać.

– Dobrze.

Czyżby on sądził, że ja miałam coś wspólnego ze śmiercią Jaya? Ta myśli niemal zwała mnie z kolan.

ROZDZIAŁ 2

RITA

Pierwszy tydzień stycznia, a my już mamy zabójstwo. Najwyraźniej nawet dla przedmieść Bostonu nastaly inne czasy. To się nazywa dobry początek nowego roku. Zabójstwa to zawsze żmudna praca, bo tyle jest wokół cierpienia, tyle przejmującego bólu. Wzdycham ciężko i mocniej zaciskam ręce na kierownicy mojego starego vana.

Simmons odebrał już zeznanie od wdowy, którą zajęła się potem siostra. Technicy ciągle jeszcze pracują, a ja i mój partner, detektyw Chase Fuller, właśnie zmierzamy na miejsce.

Chase ciągle jeszcze żyje trochę świętami. Nadal rozpamiętuje Boże Narodzenie z żoną i synkiem. Cały czas opowiada o tych najróżniejszych zabawkach, które jego maluch dostał od Świętego Mikołaja. Przypomina mi się moje dzieciństwo. Tyle się nas wtedy pchało do choinki. Mama krzyczała na nas i groziła, że jeśli się nie uspokoimy, odeśle nas do naszych pokoi albo w ogóle odwoła święta. Każdy z nas dostawał tylko po dwa prezenty, jeden od rodziców, a drugi od Świętego Mikołaja. W domu się nie przelewało, a ponieważ dzieci było aż dziewięcioro, nikt sobie nie pozwalał na żadne zbytki. Boże Narodzenie upływało nam jednak zawsze w radosnej atmosferze... w każdym razie do czasu, gdy Ricky pojechał do Wietnamu, a Jimmy zachorował. Tamtego roku w rodzinie McMahanów wszystko się pokomplikowało.

– A naszyjnik się Sarah podobał? – pytam.

Dojeżdżamy już na miejsce, więc zwalniam. Parkuję furgonetkę za jednym z radiowozów.

– Była zachwycona. – Chase uśmiecha się szeroko. – Wcześniej nie mogłem sobie pozwolić na takie prezenty.

– Takie niekoniecznie praktyczne?

– Właśnie.

Chase dostał awans niespełna rok temu. Na tym stanowisku też nie zarabia się kokosów, ale na pewno więcej niż w mundurze. Lubię współpracę z młodymi detektywami. Jestem wtedy w trybie nauczycielskim i na tym się skupiam, więc łatwiej mi zachować dystans, gdy sprawa jest trudna. Tyle lat już się tym zajmuję, ale ten ból i całe to zło, z którym się stykamy, nadal potrafią mnie dotknąć do żywego.

Zerkam w lusterko wsteczne. Przyjechali dziennikarze. *Świetnie.*

– Chodźmy do środka – mówię, bo pora zabierać się do pracy.

Na dworze panuje ziąb, a buty grzęzną w roztapiającym się śniegu, więc czym prędzej zmierzam w kierunku imponującego dwukondygnacyjnego domu. Ta okolica ma długą historię, więc działki są tu większe niż na nowych osiedlach, na których ustawia się jeden obok drugiego małe domki z niewielkim trawnikiem naokoło. Od Simmonsa wiem, że ofiara zginęła w wolno stojącym garażu, najpierw jednak kierujemy się do głównego budynku.

Lekarka sądowa stoi oparta o blat wyspy kuchennej i coś sobie notuje. Po chwili odkłada długopis i podnosi wzrok.

– Cześć, Rita.

Rozglądam się wokół.

– Niezły bałagan – stwierdzam.

Chase drepcze za mną i też stara się coś zaobserwować.

– Tak... Żona twierdzi, że odbyło się tu wczoraj przyjęcie. Z okazji urodzin męża.

Marszczę nos. Zginąć zaraz po przyjęciu urodzinowym... Niezbyt fajnie.

– No to słabo. A on jest w garażu?

– Chodźcie za mną.

Tak samo jak ja, Susan Gaines ma ponad trzydzieści lat doświadczenia w zawodzie. Obie musiałyśmy sobie jakoś poradzić w okresie, gdy zakłety męski klub niezbyt chętnie witał w swoim gronie kobiety. Ona potem poszła na studia medyczne, ale ostatecznie i tak wróciła do wymiaru sprawiedliwości. Spotykamy się niekiedy przy piwie i razem śmiejemy się ze starych czasów albo próbujemy zapomnieć, jak nam wtedy było ciężko.

Na miejscu pracuje ekipa, więc staramy się nie wchodzić im w drogę i omijać cały rozstawiony sprzęt. Raz po raz się z kimś witam. Technicy odgradzili taśmą wydeptaną w śniegu ścieżkę przez podwórko. Słońce mocno grzeje, przez co ślady dosłownie rozpływają im się w oczach. Nie ma ani chwili do stracenia. Stajemy przed bocznymi drzwiami prowadzącymi do budynku, który wszyscy nazywają garażem, choć nie ma w nim samochodów. Zakładamy z Chase'em rękawiczki i obuwie ochronne. Pomieszczenie wygląda jak klasyczny domowy gabinet. Na dużym biurku zalegają sterty teczek. Na ścianie wisi kalendarz ze zdjęciem ukazującym górski krajobraz zasypany białym puchem. Otwarty na styczniu. Przez brudną szybę wpadają do środka nieśmiałe promienie słońca. Na szafie kartotekowej stoi ekspres, a przy nim kubek do kawy. Krew przysycha w postaci ciemnej kałuży wokół ciała, które należało do doktora Jaya Bradleya.

– Znalezione narzędzie zbrodni? – pytam Susan.

– Chyba nie. Tutaj nic nie było, ale zabezpieczyliśmy wszystkie noże z domu.

Podchodzę do ofiary i kucam przy niej. Głowa została niemal odcięta. Rana jest ogromna i paskudna. Zerkam na lekarkę.

– Zginął tutaj, prawda? – Na pobliskiej ścianie dostrzegam charakterystyczne pozostałości po krwi tryskającej z tętnicy. Za moimi plecami Chase pokasłuje i odchrząkuje. – Sprawdź biurko – polecam mu, a on chętnie oddał się od ciała.

– Na to wygląda. – Susan kuca obok mnie. – Śmierć nastąpiła szybko. – Wskazuje coś długopisem. – Nie widać żadnych śladów walki. Więcej będę mogła powiedzieć, jak go zabierzemy do laboratorium.

Wstaje i rusza w kierunku wyjścia.

Obchodzę pomieszczenie dookoła i w końcu znów staję przy szafie kartotekowej. Jedna z szuflad jest na wpół otwarta, a w pobliżu uchwyty widać ślady krwi. Wygląda na to, że sprawca nosił rękawiczki. Są też zadrapania wokół zamka. Wyjmuję telefon i robię zdjęcia.

– Ktoś kombinował przy zamku.

– Co takiego? – pyta Chase.

– Mówię, że zamek w szafie jest uszkodzony.

W pierwszej szufladzie znajduję notatki, takie bardzo klasyczne. Wyglądają na dokumentację badawczą. Nachyliłam się i zaglądam do dolnej przegrody. Tam też ukrywa się masa różności, wycinków z gazet i dłuższych artykułów z czasopism.

Bałagan panuje również w na wpół otwartych szufladach biurka. Wygląda to tak, jakby ktoś przetrząsał ich zawartość. Za to na blacie leży laptop, którego najwyraźniej nikt nie tknął.

– Sprawca czegoś szukał – mówię, aby zwrócić uwagę Chase’a, który stoi tyłem do mnie w drugim końcu pomieszczenia przy równo ustawionych pudłach do przechowywania. – Ale komputer zostawił.

– Więc to nie był napad rabunkowy – stwierdza mój partner.

Kręcę głową.

– Szukał czegoś konkretnego. – Robię głęboki wdech i zwracam się do Chase’a. – Powiedz ekipie, żeby zabrali szafę kartotekową do laboratorium. – Tam łatwiej będzie przejrzeć jej zawartość.

– Robi się.

Szukam na podłodze odcisków butów, ale niczego nie znajduję. Widocznie sprawca uważał, żeby nie wdepnąć w krew. Wychodzę na zewnątrz, osłaniam oczy od słońca i baczniej przyglądam się zaśnieżonej ścieżce. Jest na niej mnóstwo śladów butów i stóp. Wiem od Susan, że żona przybiegła tu dziś rano na bosaka, poza tym w śniegu odcisnęło się jednak wiele innych śladów. Tyle że nakładają się na siebie i razem się topią. Również na trasie od podjazdu do pracowni dużo się działo. Chase opiera się o ścianę budynku, nie wygląda najlepiej. W garażu pachniało zdecydowanie nieciekawie.

Po chwili podchodzi do mnie i razem idziemy przez podwórko.

– Przepraszam – mówi.

– Za co?

– Nie mogę się do tego przyzwycząić. Do zapachu krwi. Gdy pracowałem w mundurze, zawsze robiłem, co do mnie należało, a potem czym prędzej wychodziłem.

– Nie ma sprawy. Niektórzy nigdy się nie przyzwyczajają.

Wchodzimy przez otwarte drzwi prowadzące do kuchni. Simmons stoi przy zlewie i przywołuje mnie gestem. Rozmawiamy przez chwilę, a potem on podaje mi notatkę. To raport ze wstępnego przesłuchania pani Bradley. Chase i ja pójdziemy z nią porozmawiać, jak tylko skończymy tutaj. Najpierw jednak chcę się jeszcze raz przejść po salonie. To zapewne tutaj zebrali się Bradleyowie i ich goście. Śmiali się, rozmawiali, ale może atmosfera wcale nie była nadto przyjazna.

Na półce nad kominkiem stoją zdjęcia i dwa kieliszki do wina. Największa z fotografii przedstawia, jak sądzę, państwa Bradleyów w strojach ślubnych. Bardzo ładna z nich para. On ma ciemne włosy i przyjemny uśmiech człowieka pewnego siebie. Ona, kobieta drobnej budowy, upięła długie rude włosy wysoko i zwieńczyła je tiarą.

Wyjmuję z torby notatnik i otwieram go na czystej kartce. Szybko spisuję moje wrażenia z tego miejsca. Puste kieliszki po winie i szklanki po piwie. Trochę ich dużo. Muszę zerknąć na listę gości i porozmawiać z panią domu. Czy aby biesiadnicy nie przesadzili nieco z alkoholem? Czy aby pod powłoką przyjacielskiej zabawy nie kiełkowało coś mrocznego? A może w domu panowała atmosfera powszechnej szczęśliwości, a morderca cierpliwie czekał w garażu jak drapieżnik na swoją ofiarę?

– Rita? – przywołuje mnie Chase.

– Tak, już idę.

Zamykam oczy i wciągam powietrze do płuc. Moja mama była żarliwą katoliczką, ale wierzyła w „przecucie”. Większość ludzi nazywa to intuicją. Ja sama nie wiem, czy w to wierzę, ale na pewno tego nie neguję. Od początku swojej policyjnej kariery wsłuchuję się w ten wewnętrzny głos i on mnie zwykle nie zawodzi. Teraz jednak nie czuję zupełnie nic, tylko smutek całej tej sytuacji. Życie jednego człowieka przedwcześnie się skończyło, a życie jego bliskich na zawsze się zmieni. Wypuszczam teraz to powietrze i wyglądam przez okno. Susan stoi na podwórku i dyryguje ekipą, która układa doktora Bradleya na noszach i wywozi go z budynku.

Raz jeszcze rozglądam się wokół siebie. *Kto mógłby chcieć śmierci takiego młodego i przystojnego terapeuty?*

ROZDZIAŁ 3

MOLLY

Policjanci pozwolili mi się przebrać i spakować, a potem pojechać z Corrine. Mój dom to teraz miejsce zbrodni, więc przez najbliższy czas nie mam tam wstępu. Trudno mi stąd wyjeżdżać. Czuję się tak, jakbym porzucała Jaya i nasze wspólne życie. Gdy tu wrócę, to jego ciała już nie będzie, a ja znów będę sama. Ta myśl wstrząsa mną do głębi.

Moja siostra i jej mąż Rich mieszkają w ekskluzywnym apartamentowcu w Bostonie. Wprowadzili się tam w zeszłym roku, gdy ich syn wyjechał na studia. Corrine nigdy nie była domatorką. Im mniej ma metrów kwadratowych do utrzymania, tym lepiej. Poza tym oboje z Richem pracują w centrum w tych wysokich biurowcach. Odpowiada im miejski styl życia.

Po przyjeździe zrzuciłam dresy, wzięłam prysznic w elegancko urządzonej łazience dla gości, a potem włożyłam legginsy i długi niebieski sweter. Sierżant Simmons uprzedził, że powinnam się spodziewać rychłej wizyty detektywów.

Siadam na drogiej kanapie w kolorze złamanej bieli. Siostra zaparzyła dla mnie herbatę i wcisnęła mi kubek w lodowate dłonie. Nie zrobiło mi się od tego ani odrobinę cieplej, ale nie chcę już drugi raz prosić o podkręcenie ogrzewania. Widok jest piękny. W oddali maluje się bostoński port. W mrocznym i nieruchomym krajobrazie staram się dostrzec kontury łodzi. Chcę zająć czymś umysł, żeby nie myśleć o Jayu. Jestem w takim szoku, że chwilowo nie ma we mnie nawet łez. Zupełnie odrętwiałam. Działam jak na autopilocie. Znam ten tryb: funkcjonować, nie myśleć, a już absolutnie nic nie czuć.

Rich wyjechał na konferencję, więc będziemy z moją siostrą same, dopóki z Maynard nie dotrą nasi rodzice. Bardzo bym się chciała zobaczyć z Kim i Laken. Zdążyłam zadzwonić do nich i jeszcze do Elise, gdy policja przeszukiwała dom, potem jednak zabrano mi telefon. Podobno mam go odzyskać tak szybko, jak to

tylko będzie możliwe. Pewnie mogłam go nie oddawać, ale nie chciałam utrudniać śledztwa. Nie wiem, co oni spodziewają się w nim znaleźć. Twierdzili, że to rutynowe działanie.

Rozbrzmiewa dzwonek i Corrine wprowadza do salonu starszą kobietę w towarzystwie mężczyzny. Ona jest szczupłą, ma ciemne włosy lekko przyprószone siwizną i zwinięte w kok. Jej jasnoniebieskie oczy zdają się rejestrować wszystko, co się dzieje wokół niej. Ma na sobie ciemne spodnie i białą koszulę z kołnierzykiem. Marynarkę niesie przewieszoną przez ramię. Młodszy detektyw jest otulony płaszczem, a szyję ma dodatkowo owiniętą szalikiem. W ręku trzyma teczkę. Ona tymczasem ma na ramieniu znoszoną skórzaną torbę, którą kładzie na podłodze przy fotelu. Przedstawiają się jako detektywi Myers i Fuller z policji w Graybridge.

– Wyrazy ubolewania, pani Bradley – mówi kobieta, detektyw Myers, sadowiąc się w fotelu.

Przyjmuję te słowa skinieniem głowy, choć wydają mi się skrajnie nieadekwatne. Brzmia tak, jakby chodziło o zagubioną torebkę. Wiem jednak, że to stosowna formułka dla tego typu okoliczności.

Z kuchni wychodzi do nas Corrine.

– Czy komuś może herbaty albo kawy?

Policjanci uprzejmie odmawiają, więc moja siostra wychodzi do innego pokoju. Ja tymczasem odstawiam kubek na stolik z boku.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, będę nagrywać naszą rozmowę – mówi detektyw Myers.

Gestem daję jej znać, że się zgadzam, a wtedy ona kładzie telefon na lśniącej okładce książki o sztuce leżącej na blacie między nami. Prosi, żebym się przedstawiła i podała dzisiejszą datę, a potem przechodzi do konkretnych pytań. Odpowiedzi notuje sobie w małym zeszyciku, zupełnie jak gdyby nagranie miało jej nie wystarczyć.

– Czytałam treść oświadczenia, które odebrał od pani sierżant Simmons. Kilka rzeczy wymaga jednak wyjaśnienia. – Zerka do dokumentów, które znajdują się w teczce. – Ile ma pani lat, pani Bradley?

– Trzydzieści pięć. – *Dlaczego to miałyby być ważne?*

– A czym się pani zajmuje?

– Jestem sprzedawcą w Graybridge Books. – Unoszę wzrok i nasze spojrzenia się spotykają. – Mam skończone studia, anglistykę. – Brzmi to defensywnie, jak zawsze zresztą.

– No dobrze. A pani mąż miał czterdzieści lat? Był psychologiem i prowadził prywatny gabinet.

– Tak.

Przełykam łzy. Wystarczyła jedna wzmianka na temat Jaya, a całe odrętwienie znika. Czuję ścisk w klatce piersiowej, jakby mój ból był żywym stworzeniem i pragnął wydostać się ze środka.

– Nie mieliście dzieci?

To mi zdecydowanie nie pomaga. Opuszczam wzrok.

– Nie.

– Od jak dawna byliście małżeństwem?

– Trzy lata.

– Szczęśliwe lata?

Detektyw Myers świdruje mnie spojrzeniem, a ja ocieram nos chusteczką.

– Tak.

– Nie mieliście problemów małżeńskich?

– Nie! – oburzam się.

– A stan państwa finansów?

Robię głęboki wdech i kręcę głową.

– W porządku. Jay przyzwoicie zarabiał. Nie mieliśmy kłopotów finansowych, jeśli o to pani pyta. – W mojej klatce piersiowej wzbiera teraz fala gniewu. – A co pani robi, żeby znaleźć mordercę mojego męża, pani detektyw? Kto mógł go zabić? Jaya wszyscy uwielbiali.

Wybucham płaczem, który płynie z głębi mojej duszy.

Detektyw Fuller nachyla się do mnie i spogląda na mnie ciemnymi oczami.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby znaleźć sprawcę tej zbrodni, pani Bradley.

Detektyw Myers stuka ołówkiem w kartkę notatnika.

– Najpierw musimy zebrać wszystkie szczegóły, choćby nawet najbardziej banalne. Czy może nam pani krok po kroku opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj?

Wczoraj? Ile razy jeszcze będę musiała wracać myślami do tamtego dnia? To jest jak niesamowite wakacje, które zapisują się w pamięci na zawsze, tyle że w tym wspomnieniu zamiast rodziny i dobrej zabawy czekają na mnie ból i bezbrzeżny smutek. Nie mam ochoty po raz kolejny opowiadać wszystkiego tym dwóm obcym osobom. To moje wspomnienia. Nie chcę się z nikim dzielić moimi ostatnimi chwilami z Jayem. Ich oczekiwanie, że prześlę te wydarzenia „krok po kroku”, z jakiegoś powodu mnie oburza.

– Pani Bradley?

– Dobrze. – Jeśli chcę pomścić Jaya, pewnie nie mam wyboru. A przecież chcę. – To była całkiem zwyczajna sobota, poza tym że obchodziliśmy urodziny Jaya. Ranek upłynął nam na załatwianiu różnych spraw, robieniu zakupów, wizycie na poczcie i takich tam.

– Robiliście to razem?

Kiwam głową i pociągam nosem. Nie ma już żadnego „razem”.

– A później zatrzymaliśmy się na rogu przed André’s. Weszłam do środka sama, żeby odebrać przekąski na przyjęcie i tort. – Detektyw Myers na chwilę przestała pisać i uniosła wzrok. – Nie chciałam, żeby Jay widział tort przed przyjęciem. Jeden z pracowników kawiarni pomógł mi zanieść wszystko do samochodu.

– A potem?

– Pojechaliśmy do domu. Zjedliśmy lunch. Jay poszedł do pracowni, bo miał coś do zrobienia, a ja w tym czasie posprzątałam dom i zaczęłam się przygotowywać do przyjęcia.

Detektyw Myers opada na oparcie fotela i wbija we mnie wzrok.

– Pani mąż ma gabinet w mieście, prawda?

– Tak, wraz z koleżanką po fachu wynajmują lokal w Tackler Building.

– Po co mu w takim razie jeszcze domowe biuro w garażu?

– Wiele osób ma gabinet w domu.

– A czy on tam przyjmuje pacjentów?

– Oczywiście, że nie. On tylko... – Wzdycham ciężko. Właściwie nie bywam w jego pracowni. To taki jego męski azyl, tyle że w wymiarze intelektualnym. – On tam prowadzi badania. Pisze. Ale na pewno nie przyjmuje pacjentów.

– A co pisze?

– Książkę o psychologii. Naukową. Naprawdę niewiele mi opowiada o swojej pracy.

– A czy on przechowywał w tej pracowni, w biurku albo w szafce z dokumentami, coś, co ktokolwiek mógłby chcieć zabrać?

– Nie mam pojęcia, ale wątpię. – W tym momencie przypomina mi się, jaki tam panował bałagan. Jedna z szuflad szafy kartotekowej była wysunięta. Jay na pewno by jej tak nie zostawił. – Przypuszczacie, że to mógł być napad rabunkowy?

– Nie wiemy tego – odpowiada detektyw Myers i zaczyna przekładać kartki w swojej teczce. – Sporządziła pani listę gości obecnych na wczorajszym przyjęciu?

– Tak. To nasi przyjaciele. Trzy pary.

– A o której wyszli?

Znów ciężko wzdycham. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– Trudno powiedzieć. Poszłam się położyć, a Jay został na dole.

– Poszła pani spać, gdy goście jeszcze byli?

Przeciągam dłońmi po mokrych włosach.

– Nie. To znaczy... Wszyscy się już zbierali. Jay ich odprowadzał do drzwi.

– A mniej więcej o której to mogło być?

– Nie wiem. Może jakoś około wpół do dwunastej?

Policjantka znów spogląda na dokumenty, które ma w teczce.

– A pani mąż miał jakichś pacjentów, którzy mogliby mu przysparzać kłopotów?

– Nie. Nie wydaje mi się. Chociaż on ze mną o nich nie rozmawiał, czasem tylko coś wspominał przelotnie.

– A ostatnio nic go nie martwiło? Nikt ani nic?

Patrzę ponad jej ramieniem w kierunku portu. Odprowadzam wzrokiem elegancką motorówkę, która powoli wypływa w morze.

– Nic mi takiego nie mówił, ale rzeczywiście był w tym tygodniu jakby milczący. Powiedziałabym, że coś go zajmowało.

– Hm. Ale nic konkretnego nie potrafiłaby pani wskazać?

– Nie.

Przenoszę wzrok na własne kolana i całą uwagę poświęcam chusteczce, którą postanowiłam zamienić w wilgotną celulozową kulkę. Chciałabym pomóc, ale naprawdę nie wiem, co trapiło Jaya. Wzdycham smutno, lekko przy tym drżąc. Dlaczego nie nalegałam, żeby mi to wyjaśnił? Powinnałam być bardziej na niego naciskać. Przecieram oczy dłońmi. To moja wina, bo ciągle czegoś potrzebowałam od innych, bo cały czas skupiałam się na własnych problemach. W ogóle nie myślałam o tym, że inni też mogą mieć problemy. A teraz Jay nie żyje.

– Pani Bradley, czy na pewno nie potrafi pani odgadnąć, co mogło go martwić?

Próbuję przypomnieć sobie wydarzenia z ostatnich kilku dni, a w szczególności treść naszych rozmów, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby wyjaśniać jego ciągle zafrasowanie. Zaprzeczam bezgłośnie.

– Nie wiem, co go trapiło, pani detektyw – mówię z przeświadczeniem, że jestem zupełnie do niczego.

– No dobrze. A czy słyszała pani cokolwiek już po tym, jak położyła się pani do łóżka? Jakies podniesione głosy? Jakies odgłosy szamotaniny?

Odcięło mi prąd. Nie pamiętam nawet, żebym zakładała piżamę.

– Nie, niczego nie słyszałam.

Detektyw Myers sięga po kartkę z notatnika i spogląda na nią przez oprawione na czarno okulary do czytania.

– Czyli podczas przyjęcia gościli państwo w swoim domu trzy pary? A co mi pani może o nich powiedzieć?

Opisuję naszych przyjaciół, zastanawiając się, co teraz myślą sobie detektywi. Czy starają się wyluskać z mojej opowieści coś, co mogłoby świadczyć o złych zamiarach kogokolwiek z nich? W moim odczuciu to byłaby tylko strata czasu. Ktokolwiek skrzywdził Jaya, musiał być potworem. Nie znam nikogo, kto chciałby go skrzywdzić. Może to był pacjent, ktoś tak zaburzony, że nakierował swoje skłonności przeciwko Jayowi i przypisał mu jakies złe intencje. W psychologii to się na pewno jakoś nazywa.

Detektyw Myers słucha mnie i kiwa głową. Drapie ołówkiem po kartce, więc pewnie coś tam postanowiła sobie zapisać. Po chwili jednak spostrzegam, że ona szkicuje. Rysuje mnie.

Unoszę wzrok i nasze oczy się spotykają, a policjantka wtedy zamyka notes.

Policzki mam mokre od łez. Opadam na poduszki sofy i wycieram twarz rękawem.

– Dziękuję, pani Bradley – mówi detektyw Myers. – To na razie wszystko.

Policjanci wstają, a Corrine wyłania się z drugiego pokoju, żeby ich odprowadzić. Ja podchodzę do okna i spoglądam na ruchliwą ulicę w dole. Widzę samochody i normalny ruch uliczny, ale na szczęście żadnych dziennikarzy. Na razie. Zaciskam powieki i modlę się w duchu, żeby mnie nie znaleźli.

ROZDZIAŁ 4

RITA

Doktor Westmore odbiera telefon już po pierwszym dzwonku. Są wraz z mężem u siebie, wyruszamy więc z powrotem do Graybridge. Mieszkają w ogromnym trzykondygnacyjnym domu położonym zaledwie kilka przecznic od rezydencji Bradleyów. Budynek stoi z dala od głównej drogi i liczy sobie co najmniej sto lat. Przy ziemi okala go rozległy ganek, a pod dachem *gingerbread*, charakterystyczne dla amerykańskiego neogotyku obramienie przypominające kształtem brzeg pierniczków. Parkujemy na długim podjeździe i ostatni odcinek drogi prowadzącej do domu pokonujemy już na piechotę.

Drzwi otwierają się raptownie, a na powitanie wychodzi nam szczupła kobieta z kasztanowymi włosami do ramion i z długą grzywką. Sądząc po stroju, można by przypuszczać, że wybiera się do pracy, mimo że dziś niedziela. Ma na sobie eleganckie beżowe spodnie i zieloną bluzkę, a całość dopełnia zielony szalik w drobny wzorek. Jest starsza od pani Bradley co najmniej o dziesięć lat.

– Zapraszam państwa do środka – odpowiada, gdy się jej przedstawiamy.

Prowadzi nas ciemnym korytarzem wyłożonym lakierowaną boazerią. Z jednego z pokoi wylania się dorodny pręgowany kot. Przemyka cicho jak typ spod ciemnej gwiazdy, ale dotrzymuje kroku swojej właścicielce i wchodzi razem z nami do saloniku przyozdobionego licznymi antykami.

Doktor Westmore zajmuje miejsce na rzeźbionym krześle z tapicerowanym siedziskiem, nam zaś wskazuje niezbyt miękką kanapę naprzeciwko.

– Czy zastaliśmy pani męża? – pytam.

– Jest w ogrodzie. Czy mam po niego iść?

Wyjmuję z torby notatnik.

– Może najpierw porozmawiamy z panią.

Kobieta kiwa głową, a niebieskie tęczęwki jej lekko zaczerwienionych oczu dyskretnie kierują się w stronę stoliczka, na którym obok popielniczki spoczywa paczka papierosów.

– Przykro nam z powodu pani przyjaciela – mówię.

Kobieta unosi wzrok ku wyścielanemu kasetonami sufitowi i powoli wydycha powietrze ustami.

– To aż nie do wiary. Jay był... – Kręci gwałtownie głową. – To był świetny człowiek. Błyskotliwy, pełen współczucia. Znakomity psycholog. – Głos jej się łamie. – Jak to się mogło stać?

Po policzku spływa jej łza, którą ona strząsa starannie wypielegnowanym paznokciem w krwistym odcieniu czerwieni.

– Na razie nic jeszcze nie wiadomo, doktor Westmore. Czy zechciałaby nam pani zrelacjonować przebieg zeszłego wieczoru?

Nasza gospodyni wydobywa chusteczkę z pudełka ustawionego obok popielniczki.

– Oczywiście. Przybyliśmy do Bradleyów około wpół do siódmej. Kim i Josh dotarli przed nami. Jay zachowywał się jak to Jay. Był szczęśliwy, serwował drinki.

– A co pani piła?

– Wino. – Uśmiecha się. – Malbeca. Jay ma niesamowitą piwniczkę.

Potakuję z uznaniem. Dogadalibyśmy się.

– A dużo piliście?

Doktor Westmore przechyla głowę.

– Trochę wypiliśmy w ciągu tego wieczoru. Molly przygotowała też rewelacyjny poczęstunek. Od André. Jedzenie było wyborne.

To mnie akurat nie dziwi. André i ja mieszkamy po sąsiedzku. On i jego partner Collin po kilka razy w tygodniu przynoszą mi na kolację coś ze swojej kawiarni i firmy cateringowej. Wprowadzili się do mieszkania nade mną trzy lata temu, na powitanie przynieśli wówczas kosztowną butelkę merlota. Wtedy nie znałam się na winach, ale wytłumaczyli mi, że czerwone służy sercu, i odtąd nikt już mnie na ten trunek nie musi namawiać, choć w ciągu tygodnia staram się ograniczać do dwóch kieliszków dziennie. Mam już swoje lata i nie funkcjonuję dobrze na kacu.

– A czy ktoś wypił za dużo? – pytam.

Odpowiedź pada dopiero po chwili. Najpierw doktor Westmore wyciąga rękę, żeby pogłaskać kota, który rozłożył się na jej zamszowych trzewiczkach i liże sobie łapy.

– Być może...

– A kto?

– Trudno mi powiedzieć, pani detektyw. Wszyscy się po prostu dobrze bawiliśmy.

– A od jak dawna zna pani doktora Bradleya? – pytam, trzymając ołówek w gotowości.

Ona wzdycha.

– O rany... Poznaliśmy się na studiach, więc trochę lat już minęło. Jestem starsza niż Jay. Wróciłam na uczelnię dopiero po jakimś czasie. Więc znaliśmy się jakieś piętnaście lat.

– A czy potrafiłaby pani wskazać kogoś, kto mógłby chcieć go skrzywdzić?

Robi gest zdecydowanego zaprzeczenia.

– Absolutnie nie.

– Nie kojarzy pani żadnego niezadowolonego pacjenta?

– O nikim takim Jay mi nie wspominał. A wspomniałby, gdyby coś go martwiło.

– Zwierzał się pani, doktor Westmore?

Kobieta odpowiada dopiero po chwili, otarłszy kolejną łzę.

– Tak. Byliśmy sobie bardzo bliscy. On właściwie nie ma rodziny.

– Ale nie mówił ostatnio o nikim ani o niczym niepokojącym?

– Nie. Żałuję tylko, że...

Jej wzrok ucieka w kierunku okna.

– O co chodzi?

– W ostatnim tygodniu wydawał się jakby czymś pochłonięty.

– Nie zapytała pani, co mu chodzi po głowie?

– Założyłam, że mi powie, gdy będzie gotów. – Doktor Westmore wzrusza ramionami.

– Aha. Czyli nie ma pani pojęcia, co go trapiło?

– Nie.

– A o której państwo wyszli z przyjęcia?

Doktor Westmore podnosi kota z ziemi i kładzie go sobie na kolanach.

– Trudno mi to sprecyzować, ale na pewno jakoś przed północą. Bo gdy dotarliśmy do siebie, zegar akurat wybijał północ.

– A czy ktoś jeszcze został u Bradleyów, gdy państwo opuszczali ich dom?

– Nie. Wszyscy wychodziliśmy równocześnie. – Mruczenie kota wypełnia pokój łagodnym i kojącym dźwiękiem. – Pani detektyw, nie chce pani chyba powiedzieć, że ktoś z nas miałby... skrzywdzić Jaya?

– Niczego takiego nie mówię. Po prostu staram się nakreślić oś czasu.

W wejściu zwieńczonym łukiem pojawia się mężczyzna.

– Scott, to są państwo z policji, którzy się z nami kontaktowali.

Gospodarz jest wysoki i szczupły, ale wysportowany. Ma na sobie dzinsy i wyblakłą koszulę roboczą. Krótkie włosy wyraźnie mu już siwieją. Na jego dużych dłoniach dostrzegam ślady ziemi.

– Państwo pozwolą, że się doprowadzę do porządku. Pracowałem w ogrodzie. – Spogląda najpierw na swoje ręce, a potem mnie prosto w oczy. – Jay, aż się wierzyć nie chce.

Obraca się na pięcie i znika w głębi korytarza.

Doktor Westmore mówi teraz ciszej:

– To jego metoda na kłopoty. Scott, jak sobie z czymś nie radzi, to pracuje. Niektórzy płaczą, inni się wściekają. Każdy przeżywa żalobę na swój własny sposób.

– Aha. Choć trochę chłodno na kopanie w ziemi, nie sądzi pani?

– On się zajmuje projektowaniem krajobrazów. Ma własną firmę, ale czasem lubi też zrobić coś własnymi rękami. Niskie temperatury go nie odstrasżają. Przypuszczam, że czyścił donice ustawione z tyłu na ganku.

– Hm. Czyli wczoraj wieczorem żadnych śpięć nie było? – Zerkam na Chase'a, który pochyla się nad telefonem, bo robi notatki.

– Nie. To był uroczy wieczór. – Doktor Westmore wzdycha ciężko i ociera oczy chusteczką. – Trzeba będzie powiadomić jego pacjentów – mówi sama do siebie.

Wraca jej mąż, przebrany i umyty.

Ona wtedy wstaje.

– Będę przed domem, gdyby mnie państwo jeszcze potrzebowali – mówi, po czym odkłada kota na podłogę i sięga po papierosy.

Wychodzi, a wtedy zwierzak podąża za nią. Jej mąż siada na opuszczonym przez nią krześle. W tym elegancko urządzonym salonie wygląda trochę nie na miejscu.

– Panie Westmore – zaczynam – może zechciałby nam pan opowiedzieć o ubiegłym wieczorze?

Jego opowieść jest krótka i rzeczowa. Żadnych zbędnych szczegółów. To chyba ten typ człowieka. Nie mówi jednak nic, co by się nie zgadzało z relacją, którą nam zdała jego żona.

– A jak długo znał pan doktora Bradleya? – pytam.

– Tak długo jak Elise. Ona go poznała na studiach. Byliśmy już od paru lat małżeństwem, gdy żona postanowiła wrócić na studia i zdobyć tytuł. On wtedy czasem do nas przychodził. – Uśmiecha się na to wspomnienie. – Mieliśmy takie małe mieszkanie w centrum. – Składa dłonie z dźwięcznym kłaśnięciem, a potem opiera łokcie na kolanach i opuszcza głowę. – Jay to był miły facet.

– A potrafiłby pan wskazać kogoś, kto mógłby chcieć go skrzywdzić?

W rurach ogrzewania bulgocze, jak to się czasem zdarza w takich starych domach.

Pan Westmore czeka, aż dźwięk ustanie.

– Nie, to zupełnie bez sensu.

– Dlaczego?

– To był porządny gość i tyle.

– A dużo czasu spędzali panowie w swoim towarzystwie?

Przez okno wykuszowe dostrzegam doktor Westmore, która chodzi w tę i z powrotem po ganku z papierosem w ustach. Za nią podążają małe kłębuszki dymu.

– Od czasu do czasu wyprawialiśmy się razem na ryby.

– A ostatnio kiedy?

Pan Westmore opada na oparcie krzesła i robi głęboki wdech.

– Zeszłej jesieni. W październiku. Zanim się zrobiło naprawdę zimno.

– A czy w ostatnich dniach on wspominał o czymkolwiek nietypowym czy niepokojącym?

– Mnie nie. – Pan Westmore wzdycha głęboko i wygląda przez okno na ganek, na którym jego żona stoi, oparta o balustradę, tyłem do nas. – Ale mam nadzieję, że dorwiecie tego drania, który go zabił.

ROZDZIAŁ 5

MOLLY

Duszę się w mieszkaniu Corrine. Nie jestem tu w stanie odetchnąć pełną piersią. Czuję się jak w potrzasku. Chcę wracać do domu. To właśnie tam chciałabym być: w domu, z Jayem.

Rozbrzmiewa dzwonek, a zaraz potem nerwowe stukanie do drzwi. To na pewno moi rodzice. Moja matka jest osobą z natury niecierpliwą. Wzdycham i zwlekam się z kanapy.

Matka i ojciec wchodzą do mieszkania i przechodzą obok Corrine, jakby jej w ogóle nie zauważali. Mama bierze mnie w objęcia.

– Kochanie, jak to możliwe? Nie mieści nam się w głowach, że Jay nie żyje. – Odsuwa się odrobinę, zaciskając przy tym dłonie na moich ramionach. Taksuje mnie wzrokiem. – Ale tobie nic się nie stało?

Zaprzeczam tylko gestem, po czym wbijam wzrok w podłogę.

– Dzięki Bogu!

Moja matka ma starannie uczesane kasztanowe włosy i lśniące blaskiem okulary. Wygląda dokładnie tak, jak na profesora matematyki przystało. To uporządkowana i na wskroś logiczna kobieta.

Tata delikatnie ją odsuwa i teraz on mnie ściska.

– A co mówi policja, Molly? – Lekko drży mu podbródek.

– Nastawię kawę! – woła Corrine z kuchni.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Nic jeszcze nie wiedzą.

– Ale ktoś go zabił? Kto przy zdrowych zmysłach mógłby zrobić coś takiego?

Mama przesłania usta dłonią, ale w jej oczach dostrzegam w tym momencie coś jak oskarżenie, jakby to z jakiegoś powodu była moja wina. Gdy byłam dzieckiem,

zawsze powtarzała, że mam wybitny dar do ściągania na siebie kłopotów.

Kręcę głową. Nie potrafię im nic powiedzieć.

– To musiał być jakiś naćpany menel, nie sądzisz? – rzuca mama. – Mieszkacie w dość eleganckiej okolicy, Molly. To wręcz niepojęte, że nie zainstalowaliście żadnego systemu alarmowego. Nawet my z ojcem mamy alarm. No a ty już w ogóle powinnaś, zwłaszcza po...

Nie kończy tej myśli. Nie musi.

Odwracam się, bo czuję, że zaczynam się czerwienić.

– Mieliśmy zamiar to zrobić.

To była jedna z rzeczy, którymi jeszcze nie zdążyliśmy się zająć. Dom, do którego wprowadziliśmy się ubiegłej wiosny, był w dość opłakanym stanie i wymagał sporo pracy. Teraz oczywiście bardzo tego żałuję, a cyklinowanie drewnianych podłóg i remont głównej łazienki wydają mi się potwornie błahe. Tylko że przy Jayu zawsze czułam się bezpieczna, jakby mi zupełnie nic nie zagrażało. Czas pokazał, że zupełnie niesłusznie.

W ogromnej torbie mojej mamy rozdzwania się telefon.

– Cały czas coś – mówi mama, wyławia aparat i znika z nim w łazience.

– Dajesz radę, malutka? – pyta tata.

Wygląda na zupełnie zbitego z tropu. Znowu mnie przytula.

– Tak – odpowiadam, ale się rozklejam. Przemieszczam się w kierunku okna, a potem czmycham do kuchni. Corrine stoi przy blacie i układa przekąski na talerzu. – Czy mogę pożyczyć twój telefon? Mój zabrała policja.

– Co takiego? A, tak, jasne. – Zerka w kierunku stołu. – Jest u mnie w torebce.

Z telefonem w dłoni udaję się do pokoju gościnnego. W drodze przez korytarz słyszę, jak moja mama rozmawia z kimś w łazience. Jej donośny nosowy głos bez problemu wdziera się w moje myśli. Zamykam za sobą drzwi do pokoju gościnnego i siadam na łóżku.

Kim odbiera od razu.

– Corrine?

– Nie, Kimmie. To ja.

– Molly! Nagrałam ci się już z kilkanaście razy.

– Policja ma mój telefon. Jestem u siostry.

– O Boże. A wszystko w porządku? – Głos jej się łamie, słyszę tłumiony szloch. – Dzisiaj rano nie zdążyłam cię o to zapytać.

– Miałam tylko chwilę, policja czekała, żeby ze mną porozmawiać.

Zaczynam płakać. Znowu. Z trudem przypominam sobie ten poranny telefon do Kim. Wiem, że przez łzy powiedziałam: „Jay nie żyje. Ktoś go zabił ubiegłej nocy. Policja tu jest”.

– To aż nie do wiary. Jesteśmy z Joshem zdruzgotani. A ktoś się do was włamał? Tobie też mogło się coś stać.

– Mnie nic nie jest. Zupełnie nic nie słyszałam. Nikt nie wie, co się dokładnie wydarzyło. – Zwracam informacje jak robot. – To ja go znalazłam, Kim, w pracowni. Ktoś mu poderżnął gardło.

– O Boże. – Po drugiej stronie zapada cisza. Potem Kim odchrząkuje i wyciera nos. – Przeniosłaś się na razie do Corrine?

– Tak. Policja zbiera dowody w domu, więc na razie nie mogę tam wrócić.

– A w ogóle chcesz tam wracać? – pyta, jakby z wahaniem, Kim.

W pierwszej chwili na usta ciśnie mi się, że moja noga już tam nigdy nie postanie. Ale to przecież mój dom. Byliśmy tam z Jayem tacy szczęśliwi. To było pierwsze miejsce, w którym poczułam się naprawdę dobrze, naprawdę u siebie. Wreszcie jak dorosły człowiek.

– Szczerze, to nie wiem, ale nie zamierzam mieszkać z rodzicami, a u Corrine jest za mało miejsca.

– Możesz się przenieść do nas.

– Ach, dziękuję, ale nie chciałabym wam zawadzać. Willow was przecież potrzebuje.

Córka Kim i Josha ma zaledwie cztery lata. Urodziła się siedem tygodni przed terminem i ma pewne trudności rozwojowe, więc rodzice dwa razy w tygodniu jeżdżą z nią na terapię. Kim naprawdę ma sporo na głowie.

– Willow nic nie będzie. Wiesz doskonale, że cię uwielbia.

– Nie chciałabym, żeby mnie zobaczyła w takim stanie. Na razie jest mi tu dobrze.

– A chciałabyś, żebyśmy przyszli?

Przełykam łzy i kiwam głową, chociaż ona mnie nie widzi.

– A moglibyście?

– Oczywiście. Podrzucimy Willow do mojej mamy.

– Dziękuję, Kim. – Rozłączam się i dzwonię teraz do Laken.

– Tak, słucham?

– Laken, tu Molly.

– O, Boże, Moll! – moja przyjaciółka pociąga nosem. – Jak się trzymasz?

– W porządku. Rano nie wiedziałam, co się dzieje. Nie pamiętam nawet, co ci powiedziałam.

– Ktoś zabił Jaya? Jak to się mogło stać? Nie mieści mi się to w głowie. – Laken ciężko wzdycha i mówi coś szeptem, pewnie do swojego męża. – Obojgu nam się to w głowach nie mieści. Cał zupełnie się rozsypał po twoim porannym telefonie.

– Mnie też trudno w to uwierzyć – mówię. – Dopiero co byliśmy wszyscy razem.

– Chciałabyś, żebyśmy przyjechali?

– Gdybyście mogli... Kim i Josh też będą.

– Jasne. Dotrzemy najszybciej, jak tylko damy radę. Tylko że dzwonił do nas jakiś detektyw. Mają tu przyjechać, żeby z nami porozmawiać. Potem wyruszamy, dobrze? – Słyszę, jak wydmuchuje nos. – Biedny Jay – mówi do siebie. – Boże, to nie do wiary.

– A właśnie, jestem u Corrine. Mój dom jest chwilowo niedostępny, bo to miejsce zbrodni.

Chowam twarz w dłoniach.

– A to ktoś się włamał po naszym wyjściu?

– Nie wiem. Gdy zeszłam rano na dół, drzwi do pracowni były otwarte.

Laken cała się spina. Słyszę, jak robi głęboki wdech.

– A czy myślisz, że to się stało dziś rano?

– Zupełnie nie wiem.

Przeciągając dłonią po włosach, wodzę wzrokiem po pastelowych ścianach, na których wiszą drogie obrazy. Wydaje mi się to dziwne, że w mieszkaniu Corrine nic się nie zmieniło. Tylko w moim domu i w moim życiu coś się zmieniło, a ja nie rozumiem dlaczego.

Gdzieś w tle w słuchawce rozbrzmiewa charakterystyczny dźwięk. Dzwonek do drzwi.

– Chwileczkę – mówi Laken. Wraca po dobrej minucie. – Przyszli detektywi – szepcze. – Przyjedziemy, jak tylko wyjdą.

ROZDZIAŁ 6

RITA

Ferrisowie siedzą obok siebie na sofie modułowej. Pani Ferris jest wysoka, ma długie jasne włosy i nienaganny makijaż. Olśniewa nawet w niedzielę, dzień po zabójstwie przyjaciela jej męża. Calvin Ferris to również człowiek wysokiego wzrostu, tyle że ciemnowłosy. Ma na nosie inteligenckie okulary. Jest przystojny, ale w jakiś taki wystudiowany, poważny sposób. Ona i on wydają się za bardzo do siebie nie pasować. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w aplikacji randkowej coś nie zadziało.

Ona ociera łzy wilgotnymi już chusteczkami zwiniętymi w kulkę, on klepie ją po plecach. Wygląda przy tym na całkowicie zdezorientowanego, jakby się właśnie dowiedział, że na stadionie Fenway wylądowali kosmici.

Zajmujemy z Chase'em miejsca naprzeciwko. Wyjmuję notatnik. Mój partner, jak zwykle, zapiski robi w telefonie. Pracujemy razem od ładnych kilku miesięcy, ale ciągle nie przestaje mnie to dziwić. Niby wiem, że większość młodszych policjantów robi dziś notatki w telefonie, mnie jednak odpowiada to, że mogę ująć w dłonie coś konkretnego. Lubię względną trwałość papierowych notatek. No i na kartce mogę zawsze coś narysować.

– Panie Ferris, przyjaźnił się pan z doktorem Bradleyem, prawda? – pytam.

– Tak.

– A czy coś go ostatnio trapiło?

Mój rozmówca kręci głową.

– Nie, nie wydaje mi się.

Pani Ferris nachyla się w naszą stronę.

– A czy sądzicie, że zrobił to ktoś z jego pacjentów? Gdy wczoraj wychodziliśmy, wszystko było w najlepszym porządku. – Prawie na nas krzyczy.

– Nie wykluczamy tego – odpowiadam. – A czy ma pani jakiegokolwiek podstawy, aby sądzić, że to był jeden z jego pacjentów?

Kobieta znów opada na oparcie sofy.

– Nie, Jay nie rozmawia z nami o pracy.

Pan Ferris potwierdza jej słowa skinieniem głowy.

– Ale mogło tak być, tak?

Do pokoju wbiega dwóch chłopców w samych skarpetkach. Nie znam się na dzieciach, ale to muszą być bliźnięta, bo są do siebie podobni jak dwie krople wody. Pani Ferris podrywa się z siedziska.

– Skończyliście jeść? – Zagania ich z powrotem do kuchni. – To weźcie sobie po kawałku ciasta. No, chodźcie.

Po jej wyjściu pan Ferris zatapia twarz w dłoniach.

– Jay był moim przyjacielem – mówi z żalem, po czym przeciąga palcami po włosach i unosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć. – A co u Molly? Wszystko w porządku?

– Na tyle, na ile to możliwe w takich okolicznościach – odpowiadam.

W tym momencie odzywa się jego telefon, ale on sięga do kieszeni i go wyłącza. Po powrocie pani Ferris dopytujemy ich o przebieg zeszłego wieczoru. Wszystko się zgadza z tym, co usłyszeliśmy od doktor Westmore i jej męża. Najwyraźniej całe towarzystwo dobrze się bawiło, spotkanie przebiegało jak zawsze. Goście wyszli przed północą, a do pracowni nikt nie zaglądał.

Wracamy z Chase'em do komendy. Chcę porozmawiać z doktor Gaines i technikami. Ciekawa jestem, co udało im się ustalić.

W moim gabinecie jest potwornie zimno. Z jakiegoś powodu w niedziele temperatura w komendzie istotnie się obniża, zupełnie jakby w policji nie pracowało się w weekendy. Chase siada przy swoim biurku we wspólnej przestrzeni roboczej, a ja rozkładam notatki na biurku.

Zostali nam jeszcze Pearsonowie. Żadne z nich nie odebrało telefonu, więc nagrałam im wiadomości. Zakładam, że powiedzą nam to samo: że wszyscy się świetnie bawili i nic nie zwiastowało nadchodzących kłopotów.

Telefon, który leży przede mną na podkładce, zaczyna wibrować i grać. To lekarka sądowa do mnie oddzwania. Na razie nie ustaliła nic, co mogłoby być

istotne dla śledztwa. Sekcja zwłok została zaplanowana na jutrzejszy poranek, na dziesiątą. Doktor Gaines mówi mi o tym, na wypadek gdybym chciała przyjść. Wyglądam przez otwarte drzwi. Zapytam Chase'a, może on się wybierze. Ja widziałam już przez te wszystkie lata dość rozcinanych trupów, lepiej więc zajmę się czym innym. Zobaczymy zresztą.

O piątej stwierdzam, że pora kończyć na dziś. Jutro dużo się będzie działo.

Wracam do domu i podkręcam termostat. Wsuwam stopy w kaptcie i szukam w lodówce czegoś do jedzenia. Rozsiadam się na kanapie z sałatką ziemniaczaną z garmażerki i kieliszkiem caberneta. I wtedy ktoś puka.

Cholera! Jestem zmęczona i nie mam za bardzo ochoty z kimkolwiek rozmawiać.

– Rita? – Słyszę wołanie z za drzwi. – To ja, Collin. Jesteś w domu?

On przecież wie, że jestem w domu. Mój samochód stoi przed budynkiem w tym samym miejscu, co zawsze. Na szczęście chłopak mi nie przeszkadza. Odkąd wprowadzili się trzy lata temu do mieszkania na górze, zdążyliśmy się blisko zaprzyjaźnić. Collin zawsze powtarza, że jest dla mnie jak syn, którego nigdy nie miałam. Ma trochę racji.

– Wchodź. – Wpuszczam go do środka. Wskazuję głową butelkę wina stojącą na blacie. – Napijesz się ze mną?

– Nie, dziękuję.

Ma na sobie granatowy sweter i obcisłe dżinsy.

– Co słyhać? – pytam, gdy razem siadamy na kanapie.

– Oglądałem wiadomości. Mówili o jakimś facecie, co został zamordowany.

– Aha.

– Pokazywali zdjęcia jego żony, rozpoznałem ją.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Za sprawą jasnych piegów wygląda na mniej niż swoje dwadzieścia dziewięć lat.

– Tak?

Nachyla się do mnie i przeczesuje palcami grzywkę, a potem wsuwa ją pomiędzy gąszcz ciemnych włosów.

– Wydaje mi się, że to ta kobieta, która w sobotę przyszła do kawiarni. André piekł tort urodzinowy dla doktora Bradleya, a ja przygotowałem przekąski. Czyli to

o nich chodzi, tak?

Nazwisko ofiary podano do wiadomości publicznej, więc mogę śmiało potwierdzić jego domysły.

– Tak. A czy ty albo André rozmawialiście z nią, jak to wszystko odbierała?

– Ja rozmawiałem. André akurat nie było. Pomogłem jej zapakować to wszystko do bagażnika mercedesa. – Collin przesłania usta dłonią. – To aż nie do wiary, Rita. Pomyśl tylko, André upiekł dla faceta jego ostatni tort urodzinowy. Wyobrażasz to sobie? Jak by to było, obchodzić urodziny ze świadomością, że to twoje ostatnie, że to koniec?

– Nie wydaje mi się, żeby on miał tę świadomość, Collin.

Upijam łyk wina i wyglądam za okno. Mrok zapada już na dobre. Mówi się czasem, że życie bywa okrutne. Niektórzy ludzie rzeczywiście wiedzą, co ich spotka. Moi bracia Jimmy i Danny byli w dzieciństwie moimi najlepszymi kompanami. Jimmy zmarł na białaczkę. Choć miał zaledwie jedenaście lat, od początku wiedział, że taka diagnoza to wyrok śmierci. W swoje ostatnie Boże Narodzenie każdemu z nas podarował coś swojego, co by nam mogło o nim przypominać. Nadal mam komiks o Dicku Tracym, który wtedy od niego dostałam. Próbuję stłumić w sobie westchnienie.

Collin unosi dłonie.

– Upiorne to jakieś.

On często pyta mnie o pracę, ale nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby on albo André mieli cokolwiek wspólnego z ludźmi, których dotyczyło moje śledztwo. Teraz ciężko wzdycha.

– Taka to była miła kobieta. Poprosiła, żebym zapakował wszystko do bagażnika, bo nie chciała, żeby jej mąż zobaczył tort. To miała być niespodzianka.

– A z nim w ogóle rozmawiałeś?

– Nie. Nie wysiadł z samochodu.

– A czy ona powiedziała cokolwiek więcej ponad standardowe: „O, rany! Jaka świetna robota z tym tortem! Ile płacę?”?

– Nie. – Collin kręci głową, a potem spogląda mi w oczy. – A czy powinienem przyjechać na komendę i złożyć zeznanie?

Uśmiecham się i dalej sączę wino.

– Nie wydaje mi się, mój drogi. Ale dam ci znać.

ROZDZIAŁ 7

MOLLY

Słońce już zaszło i nastał ponury, zimowy wieczór. W mieszkaniu Corrine huczy od najróżniejszych odgłosów. Moi rodzice rozkręcili telewizor w salonie na cały regulator, bo mama powoli traci słuch. Corrine stale rozmawia przez telefon, bo musi przecież zaspokoić ciekawość wszystkich naszych przejętych znajomych i krewnych. Właściwie powinnam się cieszyć, że policja zabrała mi telefon. Nie miałabym chwilowo siły rozmawiać z ciotką Ellen, kuzynką Shirley i wszystkimi innymi.

Corrine zamaszystym gestem otwiera drzwi wejściowe do mieszkania, spodziewając się kuriera. Zamówiła chińszczyznę, bo zbliża się pora kolacji, a moi rodzice koniecznie muszą coś zjeść między wpół do szóstej a szóstą, żeby przyjąć lekarstwa. Musi być jak w domu, nic nie może zakłócić ich rutyny. W drzwiach stoją jednak Kim i Laken z mężami. Znikam szybko w ich objęciach i razem przez chwilę płaczemy. Potem odchrząkuję i prowadzę ich do salonu.

Cal i Josh siadają obok siebie na sofie i przyjmują od Corrine po kubku z kawą. Zwieszają głowy, zupełnie zdezorientowani. Nie wiedzą, co robić i co powiedzieć. Moja matka tymczasem nawija jak katarynka, uznaje bowiem za niezbędne rozpatrzeć w szczegółach każdy możliwy scenariusz, jakby chodziło o jakiś problem matematyczny. Jeśli morderca przybył o północy, a ofiara... Z telewizji ryczą wiadomości, więc najchętniej bym się ulotniła. Nie mam ochoty oglądać Jaya na ekranie. Wzdrygam się i gestem daję znać Kim i Laken, że chciałabym przenieść się wraz z nimi do pokoju gościnnego w głębi korytarza.

Zamykam drzwi i z ulgą witam ciszę. Kim nie świergocze jak zwykle, w jej ciemnych oczach stoją łzy. Opada na łóżko i podciąga nogi pod brodę. Laken siada na samotnym krześle, a ja chodzę nerwowym krokiem między nimi.

– No to co się, do diaska, stało? – pyta Laken.

Potrząsam głową.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, kto mógłby chcieć skrzywdzić Jaya. – Odwracam się do nich przodem. – Ale to wszystko moja wina – oznajmiam i wybucham płaczem.

Kim się prostuje.

– Co ty mówisz? To nieprawda, Molly! Jak by to niby miała być twoja wina?

Ocieram łzy z policzków.

– Za dużo wypiałam, a potem położyłam się do łóżka i urwał mi się film. – Spoglądam najpierw na Kim, a potem na Laken. – Nie pamiętam nawet, jak wyszliście. Nie wiem, co mam powiedzieć, gdy policjanci mnie o to pytają.

– Rzeczywiście trochę byłaś porobiona...

– Lake! – Kim przywołuje moją przyjaciółkę do porządku.

– Przecież to nie znaczy, że cokolwiek tu jest jej winą. Nie to miałam na myśli.

Kręcę głową.

– Nie przejmuj się. Tylko że gdybym tyle nie wypiała, to może bym coś usłyszała. Może bym mogła jakoś Jayowi pomóc albo chociaż zadzwoniła na numer alarmowy. – Opuszczam ręce bezwładnie wzdłuż ciała. – A tak, przespałam morderstwo mojego męża. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Podchodzę do okna, wspieram się na parapecie i wpatruję się w samochody powoli przedzierające się przez zatłoczone ulice i latarnie rozświetlające szary wieczór. Tak to już w moim życiu jest, że ciągle kogoś zawodzę.

Czuję, jak Kim obejmuje mnie w pasie.

– Dostałaś okres? – pyta cicho.

– Tuż przed waszym przyjściem. Jay zastał mnie zapłakaną w łazience.

Wzdycham ciężko.

– Tak się właśnie domyślałyśmy – przyznaje Laken, która stoi teraz po mojej drugiej stronie i kładzie mi rękę na ramieniu. – Nie piłabyś tyle, gdyby istniał choć cień szansy...

– Kolejne dwanaście tysięcy dolarów na nic – mówię.

A potem nagle świta mi w głowie, że Jay i ja nie wychowamy już razem dziecka. Następnej szansy już nie dostaniemy. To było nasze trzecie podejście do in vitro, wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje.

– Jay dał mi wszystko, a ja nie zdołałam zrobić dla niego tej jednej rzeczy, na której mu naprawdę zależało.

Przyjaciółki podprowadzają mnie do łóżka i razem siadamy na jego skraju.

– Ależ, Molly, to nie była twoja wina. Jay nigdy cię za nic nie winił. Przecież o tym wiesz – stwierdza Kim.

Kiwam głową, a potem wycieram oczy rękawem. To prawda, że mnie nie winił. On wszystko rozumiał. Wszystko o mnie wiedział, a i tak mnie kochał. A teraz go nie ma.

ROZDZIAŁ 8

RITA

W poniedziałkowy poranek komendant Bob Murphy zwołuje cały zespół do salki konferencyjnej. Ciśniemy się jak sardynki w puszcze, ale to skomplikowana sprawa, sporo materiału dowodowego. Przynajmniej będzie nam ciepło. Ktoś na szczęście wpadł na genialny pomysł, żeby zamówić kawę i coś na ząb. Dzięki temu nie musieli polegać na policyjnym ekspresie i automacie z przekąskami. Chase i ja stoimy pod ścianą z tyłu, tulimy w dłoniach papierowe kubki z wonnym napojem. Nadkomisarz i kilku mundurowych intensywnie o czymś debatuje po drugiej stronie pokoju.

– Chcesz iść na sekcję? – zwracam się szeptem do Chase’a. – Susan mówiła, że odbędzie się o dziesiątej. To tutaj powinno się do tego czasu skończyć.

Chase głośno przełyka ślinę i wbija wzrok w powierzchnię kawy.

– Jeśli uważasz, że powinienem.

Wzruszam ramionami.

– Dobrze by było, gdyby jedno z nas się tam pokazało. Ja się już w życiu napatrzyłam, pomyślałam więc, że może miałbyś ochotę.

– Miałbym mieć ochotę?

– No wiesz, o co mi chodzi. Zresztą to nie jest aż takie straszne. Nic ci nie będzie.

Cholera jasna, Rita! – strofuję sama siebie w myślach. Czy on ci wczoraj nie powiedział, że mdli go na widok krwi? Wzdycham ciężko. On chyba wybrał sobie zły zawód. Będzie się musiał z tym oswoić. No, ale niech będzie. Poprawiam kołnierzyk i mówię:

– Ja mogę iść.

– Nie – odchrząkuje Chase. – Ja pójdę.

– Świetnie. Jak tu skończymy, wpadnę do gabinetu doktor Westmore. A potem moglibyśmy razem pojechać sprawdzić, czy aby nie zastaniemy w domu sąsiadki Bradleyów.

Chase poprawia krawat.

– No dobra. Niech będzie.

Komendant jakoś tak nieciekawie dziś wygląda. Znamy się od lat, razem służyliśmy w mundurze w bostońskiej policji. Ciężko wtedy było. Kobiety w policji zajmowały raczej stanowiska sekretarskie. Ale Bob zaliczał się akurat do tych spoko gości. Traktował mnie tak samo jak innych swoich kolegów, czyli dokładnie tak, jak tego oczekiwałam. Sporo razem przeżyliśmy i przyjaźniliśmy się w szerszym gronie, które obejmowało także jego żonę Deb i mojego byłego męża Eda. Bob i Ed nadal się od czasu do czasu widują. Zdarza im się wyjść razem na piwo albo na mecz Red Soxów. Bob zawsze po takim wyjściu nawija i nawija, aż mu w końcu mówię, żeby już sobie odpuścił. Ed i ja rozwiedliśmy się dawno temu, zaledwie po trzech latach małżeństwa, w którym żadne z nas się nie odnalazło. Deb zmarła na raka piersi krótko po tym, jak Bob objął stanowisko tutaj, w Graybridge. Pół roku później zapytał mnie, czy nie chciałabym czegoś zmienić w swoim życiu, a ja wtedy chętnie zgodziłam się pracować jako detektyw w mniejszej jednostce. Liczyłam na to, że ucieknę od zabójczej walki o stolki, a poza tym duże miasto już mnie męczyło. Uznałam, że nowe wyzwanie dobrze mi zrobi.

Bob odchrząkuje i spogląda do otwartej teczki. Ostatnio sprawia wrażenie zmęczonego. Przez święta przybyło mu też parę kilogramów, całkiem zbędnych. Wygląda starzej, niż ja się czuję. Mówię poważnie. Dobrze wiem, że wyglądam na znacznie młodszą od niego. Ludzie zawsze się dziwią, gdy się dowiadują, że jesteśmy prawie w tym samym wieku. Trochę się o niego martwię.

– No dobrze, ludzie – zaczyna, po czym przeciera usta dłonią. – Mamy sporo roboty. – Omawia kolejne punkty dotyczące funkcjonowania komendy, ale sprawę Bradleyów pozostawia mnie. – Rita?

Odstawiam kawę na stolik i przechodzę do przodu.

ROZDZIAŁ 9

MOLLY

Nastał ranek, a Jaya nie ma i już nigdy go nie będzie. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Leżałam tylko w łóżku, wsłuchując się w dźwięk miasta i wypłakując oczy w poduszkę, aż w końcu całkiem przemokła. Nadal mam na sobie te same legginsy i sweter, które włożyłam wczoraj przed rozmową z detektywami.

Postanawiam iść pod prysznic. Nie za bardzo mnie obchodzi, jak wyglądam, ale chętnie się rozgrzeję. Corrine podkręciła termostat, ale ja i tak zamarzam. Wyjmuję z walizki świeże ubrania i wychodzę na korytarz. Wita mnie tam zapach kawy, od którego ściska mnie w gardle. Czy to już zawsze będzie mi się kojarzyć z Jayem?

Wodę puszczam tak długo, aż cała łazienka wypełnia się parą. Wtedy wchodzę pod prysznic. Nie spieszę się. Wsmarowuję w ciało luksusowe mydło i szampon Corrine, aż zapach lawendy i szalwii całkowicie przyćmiewa woń czarnego naparu. W końcu niechętnie zakręcam wodę i się ubieram.

Corrine zdołała nakłonić rodziców, żeby na noc wrócili do siebie. Miała ich już dość, wiedziała też, że potrzebuję spokoju. Zastaję ją w kuchni z mężem, jedzą razem kantalupę z jogurtem. Nie słyszałam Richa dziś rano, jak wrócił. On i Corrine są jak bliźnięta. Oboje mają takie same jasne włosy, choć u niego widać już pierwsze siwe pasemka. Oboje dbają o kondycję fizyczną, odżywiają się zdrowo, dobrze się ubierają i prowadzą światowe życie. Rich wstaje i ściska mnie na powitanie.

- Jak się trzymasz? – pyta szeptem, jakbyśmy byli w kościele.
- Jakoś – odpowiadam chrypliwym głosem.
- Zjedz coś – zaprasza mnie Corrine.
- Coś przekąszę – mówię.

Mijam obojętnie ekspres do kawy i wyciągam rękę po czajnik.

– Popracuję dziś z domu – informuje mnie Corrine.

– Nie musiałaś. Poradzę sobie.

Corrine przepłukuje miseczkę i wstawia ją do zmywarki.

– Nonsens. Nie zostawię cię tu samej. Zresztą ostatnio i tak co najmniej raz w tygodniu pracuję z domu.

– To prawda – potwierdza Rich, jakby przypuszczał, że jej nie uwierzę.

Herbatę piję w salonie, patrząc przez okno, przez które widać motorówki w marinie. Słońce świeci tak mocno, że ze śniegu została już tylko nędzna breja przy krawężnikach.

Muszę zadzwonić do szefa, do Hayesa Brancha. Być może oglądał już wiadomości i wie o Jayu. Na pewno będzie próbował się ze mną skontaktować, ale nie mam telefonu, więc mu się to nie uda.

Po studiach dostałam pracę jako redaktorka w niewielkim magazynie podróżniczym. Przez cztery lata ledwo wiązałam koniec z końcem. Mieszkałam ze studentką farmacji, która rzadko bywała w domu. W końcu gazeta splajtowała, a ja wtedy znalazłam sobie posadę w wydawnictwie akademickim. Tam jednak zarabiałam tak mało, że po opłaceniu rachunków nie zostawało mi prawie nic. Znalazłam więc dorywczą pracę w księgarni Graybridge Books, która mieściła się w historycznym budynku z czerwonej cegły. Panowała tam niesamowicie przytulna atmosfera, zaglądałam tam chętnie już jako dziecko. Uwielbiałam to miejsce i ta praca działała na mnie niezwykle kojąco, więc gdy wydawnictwo przeprowadziło cięcia, a Hayes zatrudnił mnie w pełnym wymiarze godzin, nie posiadałam się ze szczęścia, mimo że nadal zarabiałam grosze.

Księgarnia należała do dziedziczki Phyllis Branch i pełnymi garściami czerpała z jej głębokich kieszeni i wielkiej miłości do słowa pisanego. Phyllis ma liczne zainteresowania, ale między innymi pisze romanse, z dumą więc eksponowaliśmy sześć jej wydanych dzieł na naszych półkach. Sklepem zarządza jej syn, Hayes. Przez te wszystkie lata zdążyliśmy się blisko zaprzyjaźnić.

Znów pożyczam telefon od Corrine i wychodzę do kuchni. Siostra jest już w gabinecie. Słyszę, jak klika coś w komputerze.

Wpisuję numer Hayesa.

– Molly? Bogu dzięki! Próbowałem się z tobą skontaktować. Słyszałem o Jayu. – Wzdycha ciężko, a ja widzę oczyma wyobraźni, jak nasuwa sobie hipsterskie okulary wyżej na nos. – Byłem w szoku. Tak mi przykro. – Głos mu się łamie. Lubili się z Jayem, a na przyjęcie urodzinowe Hayes nie przyszedł tylko dlatego, że miał już inne plany. – A jak ty sobie radzisz?

– O tyle o ile...

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Chyba nie, Hayes. Ale dobrze cię było usłyszeć.

– W głowie mi się to nie mieści. A policja znalazła już sprawcę?

– Jeszcze nie. Nie mają pojęcia, kto to zrobił. Kto mógłby chcieć skrzywdzić Jaya? Zupełnie nie potrafię sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Zaczynam płakać.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Jestem u Corrine, ale mam nadzieję niedługo wrócić do domu. Zadzwońię do ciebie.

On ciężko wzdycha.

– Wszystko będzie dobrze, Molly. Pamiętaj, że możesz na nas liczyć.

– Dzięki – odpowiadam niewyraźnie i wycieram nos.

Hayes odchrząkuje.

– A kiedy pogrzeb? Alice i ja oczywiście chcielibyśmy przyjść.

Pogrzeb? No tak. Będę coś musiała zrobić w związku z pogrzebem. *Chryste Panie! Czy to się naprawdę dzieje?*

– Jeszcze nie ma żadnych planów, ale dam ci znać.

– Alice była bardzo poruszona, gdy jej powiedziałem – dodaje szeptem Hayes.

Wyobrażam sobie jego jedenastoletnią córkę, jak siedzi w witrynie księgarni z opatrzonym notatkami egzemplarzem *Małych kobietek* i płacze nad śmiercią Beth March. To bardzo wrażliwa istota. Informacja o zabójstwie przyjaciela jej ojca na pewno nią wstrząsnęła.

– Kochana jest... Koniecznie jej przekaz, że u mnie wszystko w porządku i że wkrótce się zobaczymy.

– Oczywiście, Molly. Daj nam, proszę znać, gdybyśmy mogli coś dla ciebie zrobić.

Rozłączamy się, a ja odkładam telefon na granitowy blat. Pewnie powinnam coś zjeść, zaglądam więc do lodówki, ale nie znajduję tam nic, na co bym miała ochotę. Zamiast jeść, zaczynam chodzić tam i z powrotem po mieszkaniu. Musiałabym na chwilę wyjść. Tylko dokąd miałabym pójść, żeby nie myśleć o Jayu? Nie ma takiego miejsca.

ROZDZIAŁ 10

RITA

Tackler Building mieści się w centrum Graybridge, dwie przecznice od rynku. W budynku działa gabinet pediatryczny, kancelaria prawna i jeszcze kilka innych firm, które nie wiadomo, czym się zajmują. Również tutaj swoją siedzibę ma Terapia Rodzinna Graybridge. W niewielkiej, ale wygodnej poczekalni chwilowo nikogo nie ma. W recepcji siedzi młoda kobieta o przygładzonych brązowych włosach. Rozmawia przez telefon łagodnym głosem, w którym pobrzmiewa wystudiowane współczucie. Gdy podchodzę do lady, unosi wzrok. Wita mnie spojrzeniem ciemnych oczu.

– Do zobaczenia w czwartek – mówi do słuchawki, po czym rozłącza się i wita mnie uśmiechem. – W czym mogę pomóc?

– Przyszłam porozmawiać z doktor Westmore.

– Czy jest pani umówiona?

– Tak. Detektyw Myers.

Wyraz jej twarzy w jednej chwili się zmienia. Zerka ukradkiem w stronę zamkniętych drzwi gabinetu doktora Bradleya i chwyta za słuchawkę, ale dokładnie w tym momencie w poczekalni zjawia się Elise Westmore.

– Witam i zapraszam.

Wchodzę do nieskazitelnie czystego, choć dość zagraconego gabinetu. Na ścianach w kolorze wiśni wiszą zdjęcia jakichś egzotycznych miejsc. Na regałach ciągnących się od podłogi do sufitu stoją książki, a nieco z boku znajduje się kącik do siedzenia. Tworzą go przytulnie wyglądające kanapa i fotel, rozdzielone stolikiem, na którym obok pudełka chusteczek stoi miseczka z miętówkami w papierkach. Gdzieś w tle rozbrzmiewają kojące odgłosy bulgotania.

– Proszę, niech pani usiądzie.

Doktor Westmore mości się w fotelu, więc mnie zostaje kanapa. Czuję się przez to odrobinę niekomfortowo, zupełnie jakbym zakładała, że ona w takich okolicznościach będzie w stanie odczytać moje myśli i odkryć moje najgłębiej skrywane i najmroczniejsze sekrety. A ja przecież zupełnie nie mam ochoty zwierzać się psychoterapeucie.

Raz mi się to zdarzyło, wiele lat temu. Miałam wtedy trzydzieści dwa lata, pracowałam jeszcze w Bostonie. Mój partner i ja dostaliśmy wezwanie w sprawie trwającego napadu rabunkowego. Zanim dotarliśmy na miejsce, sprawca zdążył zabić pracownika sklepu z alkoholem. Zakrwawioną ofiarę znaleźliśmy za ladą. Napastnik, zlany potem, obrócił się i postrzelił mojego partnera w ramię, powalając go w ten sposób na podłogę. Potem wycelował we mnie. Gdy zobaczyłam wymierzoną w siebie broń, czas jakby się zatrzymał. Nie pamiętam momentu, w którym do niego strzeliłam. Pamiętam tylko jego twarz. Młodą i przerażoną. Zgodnie z wewnętrzną polityką komendy do czasu wyjaśnienia sprawy posadzono mnie za biurkiem. Procedura przewidywała też konsultację z terapeutą. Nie spodobało mi się to. Nie mam problemu z tym, że ludzie zwracają się do kogoś po pomoc, gdy jej potrzebują. Uważam, że słusznie robią. Mnie to jednak zupełnie nie odpowiadało. Być może tak zostałam wychowana, sama nie wiem. W każdym razie nie potrzebuję cudzych rad. To nie tak, że nie zdarza mi się czasem zobaczyć twarzy tego chłopaka we śnie. Ona już pewnie zawsze będzie mi się ukazywać, tak samo jak twarze moich braci Ricky'ego i Jimmy'ego, a także wszystkich innych bliskich, których straciłam. Nie potrzebuję jednak psychiatry ani psychologa, żeby zrozumieć te moje koszmary. Wiem, o co w nich chodzi.

Doktor Westmore rozsiada się wygodnie i układa dłonie w piramidę.

– Co mogę dla pani zrobić, pani detektyw?

– Mam jeszcze kilka pytań dotyczących doktora Bradleya. Odnoszę wrażenie, że bardzo dobrze go pani znała.

Odpowiada mi westchnienie.

– Owszem. Jak już pani wspominałam, byliśmy sobie bliscy.

– A co pani wie o jego rodzinie?

Wodzę wzrokiem za jasnoniebieską rybką, która pływa w akwarium ustawionym na szafce za plecami doktor Westmore. To stamtąd dobiega bulgotanie.

– Jego matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy Jay był małym chłopcem. Miał dziewięć, może dziesięć lat.

– To nie mogło być łatwe.

– Zgadza się. Jay opowiadał, że właściwie został z tym sam. Nie miał rodzeństwa, a ojciec cały czas pracował. – Doktor Westmore wygląda za okno. – Właściwie to Jay był introwertykiem.

– A wiadomo pani, żeby pakował się w dzieciństwie w jakieś tarapaty? Nie byłoby to dziwne w przypadku chłopca, który został z czymś takim sam.

Ona kręci głową.

– Był na wskroś porządny. Większość czasu spędzał w bibliotece.

– To był bystry chłopak?

– Niesamowicie. – Uśmiecha się.

– A dlaczego ktokolwiek miałby chcieć zabić kogoś takiego?

Doktor Westmore sięga po chusteczkę. Nie spieszy się z odpowiedzią.

– Nie mam pojęcia.

Rybka nagle się zatrzymuje i spogląda prosto na mnie, lekko tylko łopocząc płetwami i poruszając skrzelami.

– A to możliwe, żeby któryś z pacjentów miał do niego o coś żal?

Terapeutka odchrząkuje i wyjmuję z miseczki miętówkę.

– Nie wydaje mi się, ale to pewnie nie jest niemożliwe.

– Ale doktor Bradley o nikim takim pani nie wspominał?

Zaczynam rysować na marginesie notatnika i po chwili na kartce pojawia się rybka z akwarium.

– Nie, nie mam pojęcia, jak to się mogło wydarzyć.

– Nie domyśla się też pani, co go mogło trapić? A może po naszej wczorajszej rozmowie na coś pani wpadła?

– Nie... – Doktor Westmore rozkłada ręce.

– No dobrze. – Zamykam notatnik. – Zechciałaby pani pokazać mi jego gabinet?

Wstajemy. Idę za nią do poczekalni. Gabinet doktora Bradleya urządzone w chłodnej kolorystyce zieleni i błękitów. Ozdób jest tu niewiele, ale kanapa i fotel

zostały ustawione mniej więcej tak samo jak w pokoju, w którym siedziałam przed chwilą.

– Molly do mnie dzwoniła – oznajmia doktor Westmore. – Powiedziała, żebym udostępniła pani wszystko, co należało do Jaya.

– Tak. Rozmawiałam z nią o tym wczoraj.

Wyjmuję z kieszeni lateksowe rękawiczki i je zakładam.

– A czy czemuś konkretnemu powinnam się baczniej przyjrzeć?

Chodzę po gabinecie, chwytając po kolei za szuflady biurka i szafek. Wszystkie są jednak zamknięte. Doktor Westmore wyjmuję z kieszeni breloczek, na którym wisi mały klucz. Potrząsa nim i mi go podaje.

– Nic mi takiego nie przychodzi do głowy – mówi.

Otwieram biurko i zaczynam przeglądać szuflady. Wyjmuję notes oprawiony w czerwoną skórę. Na pierwszy rzut oka wygląda jak terminarz, bo na okładce widnieją złote cyfry, które sugerują, że to planer z ubiegłego roku. Przeglądam jego zawartość.

– To wygląda na jakieś osobiste zapiski.

– Może tak być. Pacjentów umawia Candice.

– Prosiłabym o zestawienie tych wizyt z ostatniego półrocza. Będziemy musieli porozmawiać z pacjentami doktora Bradleya.

– Do tego potrzebowałibyśmy nakazu sądu, pani detektyw. Bez nakazu nie mogę pani udostępnić danych pacjentów.

– Dostanie pani nakaz.

Wyjmuję z torby woreczek na materiał dowodowy i chowam do niego terminarz. Taki sam dostrzegam w rogu biurka, pod teczką z dokumentami. Wygląda na zupełnie nowy. Nowy rok dopiero się zaczął i raczej niewiele zostało tam na razie wpisane, ale ten notes również pakuję.

– A czy doktor Bradley był tu od grudnia?

– Mieliśmy przerwę świąteczną aż do dziś, ale on zajrzał tu w zeszłym tygodniu, żeby zrobić porządek w dokumentach. I przyniósł tamtą paprotkę. – Podchodzi do okna i spogląda na roślinę, jakby nie za bardzo wiedziała, co ma z nią zrobić. – Molly mu poradziła, żeby wstawił sobie do gabinetu kilka roślin.

– Rozumiem.

Rozglądam się dalej pod czujnym okiem doktor Westmore, ale niczego ciekawego już tu nie widzę. Raz jeszcze obchodzę pomieszczenie dookoła. Zatrzymuję się na moment przy zdjęciu państwa Bradleyów przed Luvrem.

– Czy byli z żoną szczęśliwi?

– Niesamowicie. Jay uwielbiał Molly.

– A co takiego doktor Bradley robił w swojej domowej pracowni?

– Nie mam pojęcia. A dlatego pani pyta?

– Jego żona powiedziała, że pisał książkę. Wie pani coś na ten temat?

– Opowiadał mi o tym.

– O czym miała być?

– Tak się składa, że o zaburzeniach psychiki i umyśle przestępcy.

– Ciekawe. Wie pani, dlaczego akurat o tym?

Doktor Westmore robi głęboki wdech, zakłada ręce na piersiach i podchodzi do okna. Stoi teraz do mnie plecami.

– Jay to był skomplikowany człowiek.

– A czy w związku z pisaniem tej książki miał do czynienia z ludźmi skłonny do gwałtownych zachowań?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A jak pani sądzi, co go mogło skłonić do zainteresowania się tym tematem?

Doktor Westmore odwraca się do mnie.

– Pewnie studia. Na zajęciach nauczyliśmy się o nietypowych aspektach ludzkiej psychiki, a jego zawsze fascynowały zachowania antyspołeczne.

– Dlaczego zatem nie zajmował się tym zawodowo? W więziennictwie nie brakuje etatów dla psychologów.

– Chyba dlatego, że fascynowało go to i przerażało jednocześnie. Poza tym lubił terapię rodzinną.

Cały czas wpatruję się w nią, czekając, co jeszcze mi powie.

– Pani detektyw, wspomniałam już pani o jego samotnym dzieciństwie. Miał tylko ojca i dziadka, ale obu pochłaniała praca. Nie interesowali się nim za bardzo. Jay przysłuchiwał się ich wieczornym rozmowom przy stole. Opowiadał, że dużo tam przesiadywali. Palili papierosy, pili i rozmawiali o pracy.

– A czym się zajmowali zawodowo?

Uśmiecha się ponuro.

– Byli detektywami w Bostonie.

– No proszę. – Automatycznie zaczęłam szukać w pamięci kogoś nazwiskiem Bradley, ale nikogo takiego nie pamiętam. Może Bob będzie wiedział. – Czyli jako dziecko zapewne nasłuchiwał się opowieści o pracy policji.

– Tak, pewnie szczególnie z ust dziadka miał okazję usłyszeć różne straszne rzeczy.

– Dlaczego?

– Bo on pracował przy sprawie Dusiciela z Bostonu.

ROZDZIAŁ 11

MOLLY

Kim i Josh mieszkają na nowym osiedlu mniej więcej dziesięć minut od nas. Kim pracuje w szkole podstawowej w Graybridge, uczy czwartą klasę. Tak się szczęśliwie składa, że ma jeszcze ferie. Parkuję bmw Corrine przed ich domem i podchodzę do drzwi.

Kim ściska mnie serdecznie.

– Wchodź – szepcze mi do ucha.

Dom jest względnie nowy i ciągle jeszcze pachnie farbą, ale właściwie od początku wyglądał, jakby już swoje przeżył. Wszędzie widać ślady bytności Willow. W dość niebezpiecznym miejscu, u podnóża schodów, stoją malutkie łyżwy. Na stoliku w przedpokoju leżą zabawki i książeczki z obrazkami. Idziemy korytarzem do kuchni, gdzie w zlewie piętrzą się naczynia, a cały blat zajmują najróżniejsze materiały plastyczne. To gościnne miejsce, dobrze się tu czuję. Siadamy z kubkami herbaty w dłoniach nad puszką z pierniczkami.

– Jak tu cicho – stwierdzam.

– Josh zabrał Willow do galerii handlowej – mówi Kim, a jej ciemne oczy spoglądają w kierunku drzwi balkonowych, za którymi znajduje się taras. – Ona się zorientowała, że coś jest nie tak, ale jeszcze nie znaleźliśmy sposobu, żeby jej wyjaśnić, co się stało.

– Rozumiem. – Pewnie też bym nie wiedziała, co powiedzieć dzieciom w takiej sytuacji, gdybyśmy je faktycznie z Jayem mieli... Wstrząsa mną lekki dreszcz. Zmieniam temat. – Josh nie poszedł do pracy?

Kim kręci głową.

– Stwierdził, że i tak nie potrafiłby się skupić. Cał pozwolił mu zostać w domu.

Parę lat temu Cal załatwił Joshowi pracę w laboratorium medycznym, które prowadzi w centrum. Josh pracował wcześniej w szpitalu. Jest jedną z tych osób, które nigdzie nie potrafią zagrzać miejsca na dłużej i ciągle szukają czegoś nowego, czegoś innego. Tak w każdym razie twierdził Jay.

– A Cal poszedł do pracy? – zapytałam.

– Ponoć powiedział Laken, że to mu pomoże nie myśleć o tym wszystkim.

– A co robi dzisiaj Laken?

– Jest w spa. Musiała tam załatwić parę spraw. Zresztą w domu i tak dostawała na głowę. Wiesz, jaka ona jest.

Wiem. Laken musi cały czas mieć jakieś zajęcie. Nawet podczas wakacji. Można jej mówić: „Słuchaj, może się przez chwilę odprężymy?“, ale do niej to nie dotrze. Dość to zabawne, że zawodowo zajmuje się zapewnianiem ludziom relaksu.

– A ty kiedy wracasz do szkoły?

– W środę. – Kim wzdycha i dotyka moich rąk. – A policja się dziś odzywała?

– Nie. Pewnie powinnam do nich zadzwonić.

Właściwie to nie za bardzo mam na to ochotę. Oni mi tylko przypominają, że Jaya już nie ma. Kusi mnie, żeby udawać, że jest inaczej. Mogłabym zaszyć się u Corrine i wmawiać sobie, że Jay wyjechał na jakąś konferencję albo coś w tym stylu. Mogłabym, ale to nie działa w ten sposób. Rzeczywistość zaraz by się o mnie upomniała. Trzeba się więc z nią pogodzić albo całkiem się od niej oderwać.

Rozbrzmiewa dzwonek do drzwi i Kim podrywa się na równe nogi.

– Elise miała wpaść. Chciała się z tobą zobaczyć. Powiedziałam jej, że będziesz. Nie masz mi tego za złe, prawda? Miała akurat przerwę w pracy.

– Nie, skąd.

Jej obecność mi nie przeszkadza. Mam tylko nadzieję, że nie będzie próbowała poddawać mnie psychoanalizie. Na to chwilowo nie znajdę siły.

Kim spieszonym krokiem zmierza do drzwi, a ja wzdycham ciężko i wstaję. Czekam, co się wydarzy.

Elise jest jak zwykle nienagannie ubrana, włosy też ma przygładzone. Do uporządkowanej całości nie pasują tylko zaczerwienione oczy i paczka chusteczek wyzierająca z kieszeni marynarki. Ściskamy się, a ona przyjaźnie klepie mnie po plecach.

– Co u ciebie, kochana? – pyta.

Kiwam głową i pociągam nosem.

– W porządku.

Siadamy przy stole, a Kim podchodzi do kuchenki.

– Napijesz się herbaty, Elise?

– Chętnie – odpowiada i zwraca się do mnie. – Mów, czego potrzebujesz, Molly. Cokolwiek by to było. Scott i ja ze wszystkim ci pomożemy.

– Dziękuję. Jay tak często o was myślał.

Głos więźnie mi w gardle, a Elise wyciąga rękę, żeby mnie pogłaskać po ramieniu.

Rozmawiają z Kim o innych rzeczach, to znaczy nie o mnie i Jayu. Przyjemnie się słucha tej ich swobodnej pogawędki. Czuję się prawie normalnie. Mogę się oderwać od rzeczywistości, a chwilowo na nic bardziej nie mam ochoty.

Odkąd jednak pojawiła się Elise, nie mogę przestać myśleć o gabinecie Jaya, o jego firmie. Co powinnam z nią zrobić?

– A co z jego pacjentami? – pytam Elise.

Ona potrzebuje chyba chwili, żeby się przestawić w inny tryb, bo jeszcze przed sekundą rozmawiały o tym, jakie prace ogrodowe Kim zamierza zlecić na wiosnę firmie Scotta. Teraz musi skupić się na mnie i swoich problemach.

– Powiadomię ich, Molly. Kilku mogłabym przejąć, gdyby wyrazili taką chęć, ale większość zapewne odeślę do innych terapeutów.

Dobrze to słyszeć. Jay na pewno by chciał, żeby ktoś się nimi zaopiekował.

– A co z gabinetem? Będą go musiała uprzętać, tak?

Prędzej czy później jego miejsce zajmie ktoś inny. W tej przestrzeni, jak i we wszystkich innych, życie będzie się przecież toczyć dalej.

– Kiedyś na pewno, Molly. Ale nie ma pośpiechu.

Wzdycham i na moment chowam twarz w dłoniach, a potem ściągam rękawy. Na razie nie potrafię sobie wyobrazić, że miałabym cokolwiek uprzętać.

Tym bardziej że to właśnie w tym gabinecie się z Jayem poznaliśmy. To było pięć lat temu. Przechodziłam akurat trudny okres. A wszystko przez list, który wywrócił moje życie do góry nogami. Przysłał go człowiek, który zrujnował mi to życie. Choć teoretycznie mi nie zagrażał, bo siedział w zamknięciu, zdołał ustalić

mój adres, a następnie oszukać więziennych cenzorów i nadać do mnie przesyłkę. Naczelnik mnie potem oficjalnie przeproszał, a więzień został ukarany za złamanie zasad, ale mój świat zatrzęsł się w posadach, a ja znów trafiłam na terapię. Musiałam z kimś porozmawiać, a tym kimś był akurat Jay. Okazał mi dużo życzliwości i zrozumienia, a przy tym powstrzymywał się od ocen. Po trzech sesjach wręczył mi jednak wizytówkę innego psychologa. Z początku nie wiedziałam, co się dzieje, potem mi jednak powiedział, że chciałby spotykać się ze mną na gruncie towarzyskim, a zasady etyki nakazują mu w takim przypadku wycofać się z roli terapeuty. Niesamowicie mnie to ucieszyło. Do tego drugiego psychologa w ogóle nie zadzwoniłam. Te trzy sesje z Jayem w zupełności mi wystarczyły, a w każdym razie tak mi się wtedy wydawało. Teraz jego już nie było, a ja nie wiedziałam, jak mam dalej żyć ani jak poskromić demony przeszłości.

ROZDZIAŁ 12

RITA

Komendant siedzi w biurze, rozmawia przez telefon. Zaglądam do środka przez drzwi. Uznaję, że mój szef by je zamknął, gdyby chciał, żeby mu nie przeszkadzać. Unosi wzrok i spogląda na mnie spod krzaczastych siwych brwi.

– Oddzwonię. – Bob odkłada słuchawkę na widełki. – Co tam, Rita?

– Pamiętasz może z Bostonu jakichś detektywów, którzy by się nazywali Bradley?

Komendant opada na oparcie i splata palce na swoim obszernym brzuchu.

– Był w wydziale zabójstw Walt Bradley. Pracował przy sprawie Dusiciela.

– Właśnie. Tak mi się wydawało, że o nim słyszałam.

– Tak. To w sumie człowiek legenda. Przeszedł na emeryturę, zanim zaczęliśmy pracę. A dlaczego pytasz?

– Bo okazuje się, że ojciec i dziadek Jaya Bradleya byli detektywami bostońskiej policji.

Bob wzdycha przeciągle.

– Nie gadaj! A to ci dopiero. – Drapie się po głowie. – Walt to był pewnie jego dziadek. A syna nie pamiętam.

– Ja też nie. Wspólniczka doktora Bradleya powiedziała, że Jay nasłuchiwał się w dzieciństwie upiornych opowieści.

– Wcale się nie dziwię.

– Myślisz, że się wplątał w kontakty z jakimiś typami spod ciemnej gwiazdy? Może w ramach badań nad tą swoją książką?

– Może tak być... – Komendant nachyla się do mnie i mocno opiera stopy o podłogę. – Rozmawiałaś już z Chase'em?

– Nie, dopiero przyszedłam.

– Ma notatki z sekcji zwłok.

Spoglądam w kierunku pokoju, w którym pracują policjanci.

– Odszukam go.

Na biurku Boba dzwoni telefon.

– Daj mi znać – mówi szef, po czym chwyta za słuchawkę.

Chase siedzi przy komputerze i popija czarną kawę, która wygląda jak błoto. Na dźwięk swojego imienia podrywa się na równe nogi.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Wprowadzałem tylko dane do systemu.

Chase chowa telefon do kieszeni, zapisuje plik i obraca się na krześle w moją stronę. Idziemy korytarzem do mojego gabinetu.

Chase siada przy biurku naprzeciwko mnie i głęboko wzdycha.

– Doktor Gaines określiła czas zgonu jako między pierwszą a czwartą rano.

Odwieszam kurtkę na krzesło, wydaję notatnik i siadam.

– No dobrze – mówię. – Goście wyszli około wpół do dwunastej, a żona twierdzi, że on potem miał zamiar jeszcze popracować.

– Zgadza się. Ubrany był w to samo co podczas przyjęcia, więc ktoś musiał się zjawić parę godzin po jego zakończeniu i go zabić.

– Włamał się też do szafy kartotekowej i przetrząsnął biurko – dodaję.

– Tak.

– I co jeszcze?

Chase przegląda zawartość telefonu.

– Ostatecznie znaleziono na ciele obrażenia obronne, drobne rozcięcia na prawej dłoni. Doktor Gaines powiedziała, że mógł próbować chwycić nóż, ale że rana na szyi w krótkim czasie doprowadziła do zgonu. Facet nie miał szans.

– Czyli sprawca zaszedł go od tyłu?

– Tak twierdzi lekarka.

– Ktokolwiek to zrobił, zaszedł doktora Bradleya od tyłu i podciął mu gardło, a potem zaczął przeglądać jego rzeczy, ponieważ czegoś szukał. – Opadam na

oparcie i zaczynam bębnić palcami o blat. – A czy dopuszczasz w ogóle możliwość, że zrobiła to żona?

Chase kręci głową.

– Doktor Gaines uważa, że sprawcą był mężczyzna, ewentualnie wysoka i silna kobieta. Pani Bradley nie jest zbyt masywnej postury. Sądząc po kęcie, pod którym wykonane zostało cięcie, doktor Gaines przypuszcza, że sprawca był co najmniej wzrostu doktora Bradleya, jeśli nie wyższy.

Mierzę metr sześćdziesiąt dwa. Pani Bradley jest podobnego wzrostu.

– Ile mierzył doktor Bradley?

Chase szuka tej informacji w telefonie.

– Miał metr osiemdziesiąt osiem i ważył siedemdziesiąt siedem kilogramów.

– Dobrze, czyli możemy przyjąć, że ona jest raczej nisko na liście podejrzanych. Chyba że komuś to zleciła.

– Poza tym wygląda na autentycznie wstrząśniętą. – Chase patrzy łagodnie, jakby był po stronie pani Bradley i bronił jej honoru.

– Tak – wzdycham. Ciągle jeszcze wiele rzeczy pozostaje do wyjaśnienia. Same tylko rozmowy z pacjentami Bradleya zajmują długie godziny. Zerkam na telefon. – Jedźmy porozmawiać z tą sąsiadką, zanim pojawią się tu Pearsonowie.

Wiedzieliśmy od żony doktora Bradleya, że pani Murray to starsza wdowa, która mieszka w domu obok od ponad pięćdziesięciu lat. Budynek rzeczywiście może mieć tak długą historię. Dawno nie konserwowany ganek zdaje się uginać pod własnym ciężarem, okien też dawno nikt nie mył. Na miano ruiny to miejsce nie zasługuje, ale remont by mu z pewnością nie zaszkodził. Budynek zdecydowanie wyróżnia się na tle idealnie wypielęgnowanej okolicy. Dzwonimy dwa, a może nawet trzy razy, aż w końcu otwiera nam kobieta z ogromnym owczarkiem niemieckim u boku.

Okazując odznakę, przedstawiam Chase'a i siebie. Ona spogląda na nas przez grube okulary i kiwa siwą głową, a potem zaprasza do środka. Siadamy w mrocznym salonie, w którym pachnie naftaliną, pleśnią i psem. Ciemne meble pamiętają lepsze czasy, a nagromadzenie rzeczy w pokoju świadczy o tym, że od lat tylko ich tu przybywa. Nasza gospodyni to drobnej budowy kobieta, która waży

pewnie tyle samo co ten ogromny pies siedzący w wyczekującej pozycji przy jej fotelu.

– Napiją się państwo może kawy? – pyta.

– Nie, dziękuję, pani Murray – odpowiadam. – Ładny pies.

– Percy? To dobry chłopiec.

Zastanawiam się, jak ktoś tak drobny radzi sobie z tak wielkim zwierzęciem. Rozwiązania tej zagadki dostarczają jednak bibeloty porozstawiane po pokoju. Do każdej z ramek ze zdjęciem zamocowana jest poźółkła i postrzępiona odznaka z wystawy psów. Zdjęcia stoją dosłownie na każdym stoliku i przedstawiają zapewne młodą panią Murray w rozłożystych spódnicach z lat pięćdziesiątych. Na każdym trzyma smycz, a na niej jakiegoś pięknego psa.

– Przez wiele lat hodowaliśmy z mężem championy. – Wzdycha. – To były piękne czasy.

Stukam ołówkiem w notatnik, aż w końcu ulegam pokusie i zaczynam szkicować piękne uszy Percy'ego.

– Słyszała pani o śmierci doktora Bradleya, pani Murray?

– Ach, tak. Jaka szkoda. Wczoraj rano po kościele pojechałam do córki, więc nie było mnie tu, gdy obok wybuchła ta cała wrzawa. – Kręci głową, a potem ociera nos chusteczką. – Aż mi się w to nie chce wierzyć.

– A czy dobrze znała pani państwa Bradleyów?

– Nie, niezbyt. Sprowadzili się dopiero niedawno. Machałam do nich, gdy akurat wychodzili albo skądś wracali. On był naprawdę miły. Raz czy dwa wyręczył mnie przy wynoszeniu śmieci na ulicę. Mówił, żebym dała znać, gdybym czegoś potrzebowała. Przystojny był z niego człowiek.

– A pani Bradley?

– Ją to widywałam rzadko. Odmachiwała mi, ale zdawała się zawsze gdzieś spieszyć. Nie miała czasu na pogawędki. Wydawała mi się taka jakby nadęta, ale moja córka mówi, że może być po prostu nieśmiała. – Pani Murray wzrusza ramionami. – Żal mi jej. Z panem Murrayem przeżyliśmy w małżeństwie pięćdziesiąt dwa lata. Miałam szczęście.

– Chcielibyśmy wiedzieć, czy w sobotę w nocy coś pani może widziała albo słyszała. Czy była pani w domu?

– Ależ tak. Ja tak dużo nie wychodzę. Jeżdżę tylko do córki. Byłam w domu. Widziałam samochody, przyjechały po kolacji. Domyśliłam się, że znów mają gości.

– Czy często kogoś podejmowali?

– Dość często. Samochody pojawiały się dość często.

– A o której położyła się pani spać w sobotni wieczór?

– O wpół do jedenastej. Po pierwszej połowie wiadomości.

– A czy wstawiała pani w nocy?

– Zwykle nie wstaję aż do rana, tak mniej więcej do piątej trzydzieści. Jak na staruszkę, śpię zupełnie dobrze.

Uśmiecha się, najwyraźniej dumna z tego osiągnięcia. Świta mi w głowie, że pewnie słusznie się cieszy. Ja już nie sypiam tak dobrze jak kiedyś. Nie chciałabym tego kojarzyć z upływem czasu, ale może...

– A czy w sobotę wieczorem pani wstawiała?

– Ta się składa, że owszem. – Drapie się po brodzie chudą dłonią, na której wyraźnie widać niebieskie żyłki. – Percy sypia na podłodze przy moim łóżku i zwykle ani piśnie. Tymczasem w sobotę w nocy obudziłam się, bo był w kuchni, na dole, i szczekał jak oszalały.

– A o której to było? – pytam i odrywam ołówek od kartki.

– Tuż przed drugą.

Chase i ja spoglądamy na siebie.

– A co pani wtedy zrobiła?

– No cóż... Zeszłam na dół, żeby sprawdzić, co się takiego stało. Percy stał przy tylnych drzwiach i szczekał, więc zapaliłam światło na ganku, ale niczego nie zobaczyłam. Powiedziałam: „Percy, ty wariacie, nic tam się nie dzieje”. Uznałam, że to pewnie jakiś kocur. – Pociąga nosem i znów wyciera go chusteczką. – A państwo sądzą, że to był morderca? – pyta głosem tak cichym, że niemal szeptem.

– Nie wiemy tego. A czy zaprowadziłaby nas pani do kuchni, żeby nam dokładnie pokazać, jak to się wszystko rozegrało?

– Oczywiście.

Kobieta od niechcienia macha ręką i wstaje.

Idziemy powoli za nią krótkim i mrocznym korytarzem po skrzypiących deskach. Wdychamy woń eukaliptusa, którą ona wokół siebie roztacza. Pies trzyma się jej boku, jakby był przyklejony, jakby odgrywał w tym przedstawieniu bardzo ważną rolę. Bo też poniekąd odgrywa.

Wchodzimy do kuchni tak samo zagraconej jak wszystkie inne pomieszczenia. W powietrzu unosi się zapach tysiąca różnych posiłków. Porcelanowy zlew zszarzał ze starości, a wiszące nad nim żółte zasłonki są sztywne i wyglądają tak, jakby od kilkudziesięciu lat nikt nich nie wymienił. Sprzęty są czyste, choć wiekowe, a na stole leży równy stosik gazet. Odsuwam lekko zasłony i widzę przez okno wysoki, biały płot porośnięty bluszczem. Oddziela on teren pani Murray od posiadłości Bradleyów. Przez płot widać tylko dach garażu, nic więcej.

Pani Murray podchodzi do tylnych drzwi, a my idziemy za nią. Percy wciska nos w szczelinę między drzwiami a framugą.

– Tutaj go zastałam – mówi staruszka. – Ujadał jak opętany. Chciał wyjść na dwór.

– A czy on głośno szczeka?

– Zmarłego by obudził. – Pani Murray uśmiecha się krzywo. – Ludzie, którzy mieszkali po sąsiedzku, parę razy się na to poskarżyli, ale policjant, który tu wtedy przyjechał, był bardzo miły. Powiedział, że mam się nie przejmować i że ci ludzie powinni się cieszyć, że Percy strzeże okolicy.

– A czy otworzyła pani drzwi, gdy pani zeszła? – pytam.

– Te wewnętrzne tak, ale tych zewnętrznych, ochronnych, już nie, więc nie wypuściłam go. Nie zauważyłam, żeby cokolwiek było nie tak, a pies się uspokoił, więc położyłam się z powrotem spać.

– Czyli krótko przed drugą włączyła pani światło na ganku i wyjrzała na tyły domu?

– Tak.

– A czy widziała pani, żeby się cokolwiek działo w okolicach garażu Bradleyów?

– Zupełnie nic. – Kładzie rękę na sercu. – A to tam się to stało?

Potakuję.

– A czy mogłaby pani otworzyć te wewnętrzne drzwi i włączyć światło?

– Wie pani, wtedy było ciemno.

– Nie szkodzi, chcielibyśmy zobaczyć, jak to było.

– No dobrze.

Przestrzeń za domem wypełnia plątanina przerośniętych krzewów, pośród których stoją rdzewiejące meble ogrodowe. Wychodzę na stopień przed drzwiami. Twarz owiewa mi chłodny wiatr, który od razu porywa pukiel włosów uwolniony z koka. Stąd też widać tylko dach garażu, mimo że odległość nie jest duża, bo budynek stoi tuż przy płocie i wcale nie tak daleko od tylnych drzwi do domu pani Murray. Odwracam się i spoglądam na lampę oświetlającą ganek. Daje dość dużo światła, więc sprawca przeszukujący gabinet doktora Bradleya musiał zauważyć, że rozbłysło. Domyślam się też, że słyszał szczenie. Wracam do kuchni, gdzie Chase rozmawia z panią Murray o tresurze psów. Percy spogląda na mnie mądrym wzrokiem. Jego ciemne oczy wydają się mówić: „Widzisz, w sobotę w nocy próbowałem dać znać, że ktoś tam jest i robi coś podejrzanego”.

– Dziękujemy, pani Murray. – Podaję jej wizytówkę. – Gdyby się pani przypomniało coś jeszcze, proszę dzwonić.

Kobieta kiwa głową i kładzie pokrzywioną wiekiem dłoń na łbie Percy'ego.

– Jaka to potworna szkoda. Chryste Panie, co to za świat?

Pani i pan Pearsonowie czekają już na nas w małym pokoju przesłuchań. Siadamy z Chase'em na metalowych krzesłach naprzeciwko nich. Pani Pearson jest drobniutka, drobniejsza nawet niż pani Bradley, więc od razu skreślam ją w głowie z listy podejrzanych. Z jakiegoś jednak powodu bardzo się denerwuje, czuje się wyraźnie nieswojo.

Nie to co jej mąż. Pan Pearson rozpięta się na krześle i robi zaciętą minę, jakby chciał powiedzieć: *Oto jestem, chociaż mi się to nie podoba. Czy możemy się streszczać?* Jest niskim mężczyzną o włosach w kolorze piasku i oczach Paula Newmana. To taki klasyczny ładny chłopiec, więc pani Pearson pewnie musi na niego uważać.

Po wstępnych formalnościach przechodzimy do rzeczy.

– Pani Pearson, z moich informacji wynika, że przyjaźni się pani z panią Bradley od wielu lat i że są panie sobie bliskie.

– Owszem, jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. W dzieciństwie mieszkaliśmy dwie ulice od siebie, razem chodziłyśmy do szkoły.

– Czyli są panie z Graybridge?

– Tak. Jej rodzina sprowadziła się tu, gdy ona miała zaledwie kilka lat.

– A pan, panie Pearson? Gdzie pan dorastał?

– W Bostonie. Jay i ja mieszkaliśmy niedaleko siebie. On został na studiach na miejscu, a ja pojechałem do New Hampshire. Mam dyplom z biologii. Moja mama i tata nadal mieszkają tam, gdzie wtedy. Mama zajmuje się domem, ojciec jest sprzedawcą. Miałem starszą siostrę i dwóch starszych braci. Czy to jakoś państwu pomoże?

Pani Pearson otwiera szeroko oczy i zerkna na męża z ukosa.

Czyli mądrała, tak jak myślałam.

– Niewykluczone. Jak rozumiem – zerkam do notatek – Josh, blisko się pan przyjaźnił z doktorem Bradleyem?

– Owszem.

– A czy którekolwiek z państwa zapamiętało może z przyjęcia coś nietypowego? Oboje kręcą głowami.

– To był miły wieczór. – Pani Pearson pociąga nosem. Zaczyna szukać czegoś w torebce i w końcu wydobywa z niej paczkę chusteczek. – Aż nie wierzę, że ktoś mógł zrobić coś takiego Jayowi.

– A czy doktor Bradley któremukolwiek wspominał, żeby go coś trapiło? Coś lub ktoś?

– Nie – odpowiada ona.

Pan Pearson tymczasem spogląda na telefon, w którym mój partner skrzętnie coś notuje.

– Jak dla mnie wszystko było w porządku – dodaje on i chrząka.

– No dobrze, panie Pearson, a może zechciałby nam pan streścić przebieg wieczoru – mówię i rozsiadam się wygodniej.

Bacznie obserwuję, jak zmienia się jego twarz, gdy opowiada właściwie to samo, co już słyszałam od pozostałych gości. W trakcie mówienia trochę się rozluźnia, jakby do niego dotarło, że początkowo zachowywał się jak buc. Na koniec relacji rozkłada nawet swobodnie ręce na stole.

– A czy któremukolwiek z państwa przychodzi do głowy coś, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę zabójstwa doktora Bradleya?

– Nie. – Pani Pearson ociera nos i chowa chusteczkę do torebki. – Czy przypuszczacie, że zrobił to ktoś z jego pacjentów? Ktoś z poważnymi zaburzeniami psychicznymi?

– Możliwe.

Zaglądam do notatek.

– Mieszkają państwo w odległości dziesięciu minut samochodem od Bradleyów, tak?

– Tak, mniej więcej tak – odpowiada pani Pearson.

– I oboje wróciliście po przyjęciu prosto do domu i położyliście się spać?

– Tak – potwierdza pan Pearson. – O tym, że się wydarzyło coś złego, dowiedzieliśmy się dopiero od Molly następnego ranka.

– Aha. – Obok zapisków kreślę w notatniku pobeżny rysunek przedstawiający tych dwoje. – A czy którekolwiek z państwa ma do dodania coś, co mogłoby nam pomóc znaleźć zabójcę państwa przyjaciela?

Żadne z nich nic więcej nie mówi. Gdy wstają, pan Pearson zdecydowanym gestem kładzie dłoń na plecach żony.

Wchodzę do mojego mieszkania i włączam światło. Odkładam torbę z jedzeniem na stoliku do kawy. Idę do sypialni, zrzucam ubrania robocze i przebieram się w spodnie do jogi i starą koszulkę z koncertu Rolling Stonesów. W drodze do kuchni nalewam sobie kieliszek wina, który stawiam przy burgerze z frytkami. Przeglądam kolekcję winyli i umieszczam na tarczy adaptera tę, za sprawą której pokój wypełnia muzyka zespołu Crosby, Stills & Nash. Rozsiadam się na kanapie, pijam wino i wzdycham. Po chwili jednak sięgam po torbę. Wkładam rękawiczki i wydaję z niej terminarze doktora Bradleya. Już mam otworzyć ten nowszy, opatrzony tegoroczną datą, gdy z korytarza dobiegają mnie wrzaski.

To pani Antonelli, moja nowa sąsiadka, wścieka się o coś na syna lub córkę. Jeszcze nie wiem na które z nich. Pomogli jej się tu sprowadzić w zeszłym miesiącu. Jak to ona ujmuje, wysiadali ją z jej domu, żeby go sprzedać, ale ona za nic nie chciała się zgodzić na przeprowadzkę do domu opieki. W ramach kompromisu padło na mieszkanie naprzeciwko mojego. Córka mieszka w budynku za rogiem. Pani Antonelli tak ma, że nie potrafi dokończyć rozmowy w czterech ścianach swojego lokum, więc gdy ktoś do niej przychodzi, co ma

miejsce dość często, raczy mnie dywagacjami prowadzonymi właściwie na mojej wycieraczce. Jak na drobną osiemdziesięciodwulatkę ma kobieta niesamowicie donośny głos. Odpowiedzi syna i córki wybrzmiewają jak ciche pomruki pomiędzy jej wywodami czy, jak w tym przypadku, wrzaskami.

Chciałabym się rozkoszować spokojem wieczoru, czekam więc z otwarciem terminarza do momentu, w którym ciężkie drzwi do jej mieszkania wreszcie się zamkną. Nie słyszę, co mówi cichy głos, należący prawdopodobnie do jej syna, ale odpowiedzi matki odbieram bez zakłóceń.

– Przydziesz znowu w piątek? Leo!

Tak, czyli przyszedł syn. Z korytarza dobiega niski pomruk. Słyszę też, jak otwierają się drzwi prowadzące na ulicę.

– Leo? Co? No dobrze, skoro wcześniej nie dasz rady.

Drzwi do budynku się zamykają, zaraz później słyszę też trzask z okolic mieszkania pani Antonelli. Dzięki Bogu.

Sięgam do torebki po kilka zimnych frytek, popijam je winem, a potem otwieram pierwszy terminarz. Ma ciągle jeszcze białe i sztywne strony. Notatki dotyczą tylko pierwszego tygodnia stycznia, na wszelki wypadek przeglądam jednak dalszą część. Nic tam nie znajduję. Żadnych planów na przyszłość. To tylko boleśnie przypomina, że życie człowieka się skończyło.

Na kartach kalendarza widnieją dwa wpisy: „Urodziny” pod datą czwartego stycznia oraz „Lunch z Hayesem” w czwartek, drugiego stycznia. Przeglądam własne notatki w poszukiwaniu jakiegoś Hayesa, ale nikogo takiego nie znajduję. Nie było go na przyjęciu, więc kto to jest? Odnotowuję sobie, żeby jutro zapytać o to żonę.

Odkładam terminarz i w gryzam się w burgera. Na szczęście nie wystygł jeszcze do końca. Wyjmuję z torby drugi notes. Ten jest mocno sfatygowany, trochę rozpulchniony. Strony ma wypełnione notatkami w różnych kolorach, gdzieś tam też zaplamione kawą. Wystarczy wziąć go do rąk, żeby stwierdzić, że doktor Bradley nie narzekał na brak zajęć. Zaczynam od końca, od grudnia. Kilka wpisów dotyczy Bożego Narodzenia. Są też randki z żoną i częste wpisy uwzględniające imiona przyjaciół, którzy zostali zaproszeni na przyjęcie urodzinowe. Pod datą dziewiątego grudnia znajduję wpis: „Spotkanie z Laken w spa, 12.30”. Może doktor Bradley postanowił sobie zafundować masaż. Na

czwartek dziewiętnastego grudnia zanotował: „Pub, Josh i Cal”. A zatem zdarzało mu się czasem wyskoczyć na piwo z kumplami. Potem spostrzegam coś, co mnie od razu stawia do pionu. Odstawiam kieliszek na stolik.

Na poniedziałek trzydziestego grudnia doktor Bradley miał zaplanowaną wizytę w zakładzie karnym w Connecticut. Co on tam robił? Przeglądam pozostałe strony terminarza. Nie znajduję żadnych innych wpisów, które by dotyczyły tego lub jakiegokolwiek innego więzienia. Wszystkie pozostałe adnotacje wydają się dotyczyć spotkań o charakterze czysto towarzyskim. Czyżby chodziło o byłego pacjenta? Czy może doktor Bradley zbierał materiały do swojej książki? To kolejne pytanie do żony, choć na to akurat może nie znać odpowiedzi. Ona chyba w ogóle nie wie za dużo o jego życiu zawodowym. Może więc lepiej będzie zapytać doktor Westmore. Porządkuję notatnik, przygotowuję pytania do pani Bradley na jutro i dopijam wino.

ROZDZIAŁ 13

MOLLY

Corrine przywiozła mnie do domu dziś rano. Detektyw Myers zadzwoniła z informacją, że z przestrzeni mieszkalnej już nic więcej nie potrzebują i że mogę wrócić, o ile nie będę wchodzić do garażu. Jak dla mnie, to zupełnie w porządku.

Dziwnie się tu czuję. Corrine zamówiła ekipę sprzątającą, która uporała się nie tylko z bałaganem po przyjęciu, ale również ze śladami po proszku do zbierania odcisków palców. Teraz stoi na ganku z szefową sprzątaczek i reguluje należność. Pozostałe dwie kobiety pakują sprzęt do furgonetki. Czuję się zupełnie nieporadna, tymczasem Corrine zapanowała nad sytuacją, jak to tylko ona potrafi. Nie ma na świecie drugiego człowieka, który lepiej by sobie radził z chaosem.

Powoli idę korytarzem do kuchni z dłońmi splecionymi nad brzuchem. Najpierw spoglądam na ekspres, jakbym liczyła, że on mi powie, co się przydarzyło mojemu mężowi. Potem przenoszę wzrok za okno. Drzwi do pracowni Jaya zostały oklejone na krzyż żółtą policyjną taśmą. Nie mam ochoty już nigdy przestępować progu tego budynku. Na wiosnę każę go zburzyć i urządzę na jego miejscu ogród. Może taki tradycyjny, w angielskim stylu, wypełniony piwoniami i krzewami różanymi. Będą tam rosły wieloletnie rośliny, które rozkwitają na nowo każdego roku. Scott na pewno mi w tym pomoże.

– Co takiego? – Słyszę obok siebie głos Corrine.

– Nic nie mówiłam.

A może mówiłam? Może myślałam na głos? Kto wie? Nie do końca jestem sobą.

– Na pewno chcesz tu zostać dziś na noc zupełnie sama? – pyta Corrine.

– Tak. – Mijam ją gwałtownym ruchem. – Chłodno tu.

Przechodzę do korytarza. Na widok uchylonych drzwi do piwnicy serce zaczyna mi mocniej bić. Zamykam je, przekręcam zamek, a potem opadam na nie całym

ciężarem ciała. Nabieram powietrza do płuc i powoli je wypuszczam. To pewnie policja ich za sobą nie zamknęła, ale że też akurat tych...

– Wstawiłabyś wodę? – wołam w drodze do kuchni.

Corrine przegląda stertę kopert, które wyjęła ze skrzynki pocztowej. Ona taka już jest. Ma w sobie więcej z matki niż ze starszej siostry. Może to dlatego, że dzieli nas aż dziewięć lat. A może dlatego, że ona i rodzice zawsze traktowali mnie jak dziecko, jakbym na zawsze pozostała sześciolatką.

– Jasne. – Odkłada pocztę na blat i nastawia wodę na herbatę.

Siadam przy stole, w tym samym miejscu, które zajmowałam podczas rozmowy z sierżantem Simmonsem dwa dni temu. Obserwuję, jak Corrine wyjmuje kubki z szafki i sięga do pudełka po herbatę. Bez problemu odnajduje się w mojej kuchni i niemal się panoszy. Zazwyczaj mi to przeszkadza, ale dzisiaj nie. Dzisiaj mogłaby pootwierać koperty i zapoznać się z treścią mojej prywatnej korespondencji, a nic by mnie to nie obchodziło. Wszystko jest teraz inaczej.

– Nie mogę zostać cały dzień, Molly – oznajmia, stawiając przede mną kubek. – Mam po południu dwa spotkania.

– Nie liczyłam na to, że zostaniesz.

Opiera rękę na biodrze.

– Nie podoba mi się, że zostaniesz tu sama.

Wzruszam ramionami.

– Nic mi nie będzie – mówię, choć sama nie wiem czy to prawda. – Detektyw Myers ma dziś przyjść. Zaproponowała, że przez kilka najbliższych nocy mogą przysyłać patrole w tę okolicę.

– No, to już chyba coś. A może zadzwoniłabyś do firmy od zabezpieczeń? Może daliby radę przysłać jutro technika, który by zainstalował alarm. Mam to za ciebie zrobić?

Już sięga po telefon.

– Jasne, możesz.

Gdy Corrine rozmawia z firmą od alarmów, odzywa się telefon stacjonarny. Dzwoni Laken. Przechodzę ze słuchawką do salonu. Nie słucham jej zbyt uważnie, ale udaje mi się raz po raz coś sensownego odpowiedzieć. Potem się rozłączam. Zdejmuję z półki nad kominkiem nasze ślubne zdjęcie i wracam z nim do kuchni.

Corrine kończy rozmawiać.

– Rano przyjedzie technik założyć instalację antywłamaniową.

– Świetnie. – Mijam ją, żeby dojść do kuchennego blatu. Odstawiam zdjęcie, chwytam ekspres do kawy i chowam go do jednej z dolnych szafek.

– A może by tak jakieś: dzięki, Corrine? – rzuca moja siostra.

– Przepraszam. Tak, oczywiście, dziękuję ci.

Jestem jej autentycznie wdzięczna. Chwilowo nie wykrzesalabym z siebie dość siły, aby pokierować swoim życiem. Ledwo mi jej wystarcza na poruszanie się i oddychanie.

– A właśnie – mówię. – Laken i Cal mają wpaść. Przyniosą coś na kolację, więc nie będę sama.

– To dobrze. – Corrine spogląda na telefon. – Za parę minut muszę jechać, bo inaczej utknę w południowym korku.

Odprowadzam ją do drzwi, a gdy odjeżdża, rozglądam się po ulicy. Na szczęście mediów nie ma. Zastanawiam się, kiedy się pojawią. Ile to jeszcze potrwa, zanim mnie znajdą i zlecą się jak sępy, które wyczuły padlinę. Z trzaskiem zamykam drzwi i przekręcam klucz.

ROZDZIAŁ 14

RITA

Nie jestem najcierpliwszą osobą na świecie. A praca w policji wymaga dziś prowadzenia skrupulatnej dokumentacji, gromadzenia papierów w zasadzie na wszystko. Czasem trudno mi wysiedzieć przy biurku i spokojnie klepać w klawiaturę, gdy wiem, że źli ludzie są ciągle na wolności. Upijam łyk kawy i wracam do biurokratycznej roboty.

Mniej więcej dziesięć minut później opadam na oparcie i wzdycham ciężko. Sprawa Bradleya idzie jak po grudzie. Trzeba się przedrzeć przez całą masę materiału, a wskazówek jest jak na lekarstwo. Trochę to potrwa, zanim uda mi się porozmawiać ze wszystkimi pacjentami doktora Bradleya z ostatnich kilku miesięcy. Ekspertyza wykluczyła wszystkie noże, które zabezpieczyliśmy w domu ofiary, więc albo sprawca zabrał narzędzie zbrodni ze sobą, albo schował je gdzieś na terenie nieruchomości. W każdym razie tego też nie mamy.

Słyszę pukanie we framugę. Unoszę wzrok. W drzwiach stoi funkcjonariuszka Lauren Broderick.

– Mam wstępny raport dotyczący komputera doktora Bradleya.

Lauren to błyskotliwa dziewczyna, serio. Zrezygnowała ze stypendium na MIT, żeby studiować w akademii policyjnej. Mamy szczęście, że do nas trafiła. Jest zaangażowana, nie brakuje jej motywacji. Przygotowuje się do pracy w roli detektywa. Niestety, partnerować będzie komuś innemu. Mnie Bob przydzielił w zeszłym roku Chase'a. Zdążyłam się już z nim zżyć, ale Lauren też mi trochę będzie brakować, gdy już zostanie pełnoprawnym detektywem i zacznie pracować nad własnymi sprawami.

– Chodź do środka.

Siada na krześle i odrzuca do tyłu długi warkocz. Zerka na laptopa.

– Przechowywał na komputerze przede wszystkim kopie artykułów. Wygląda, jakby zbierał materiały. Na komputerze znaleziono właściwie tylko zdjęcia, e-maile i różne notatki dotyczące spraw rodzinnych. Jest też plik zatytułowany „Książka”.

– Jak kreatywnie – rzucam. – A ile zdążył napisać?

Lauren wzrusza ramionami.

– Niewiele. Jakieś trzydzieści stron.

– Przeczytałaś wszystko?

– Tak. – Nie dziwi mnie to w ogóle. – Wczoraj wieczorem.

– No i?

– Roboczy tytuł brzmi *Psychologia zaburzona i umysł przestępcy*. Chodzi o to, że u wielu przestępców występują antyspołeczne zaburzenia osobowości.

– Sama bym mu to pomogła powiedzieć.

– Stawia tezę, że im silniejsze zaburzenia, tym większą gwałtownością czy perwersyjnością cechuje się zbrodnia. Twierdzi też, że zdarzenia o charakterze kryminalnym często wykazują związek z oddziaływaniem otoczenia, trudnym dzieciństwem lub wystąpieniem innych czynników stresujących.

– Widać, że facet aspirował do Nobla... – rzucam.

Lauren unosi wzrok i uśmiecha się szeroko. Jej młodą i świeżą twarz bez makijażu okalają niesforne brązowe pukle, które nie dały się zniewolić w warkoczu. To dziewczyna, która na brak urody na pewno nie może narzekać, ale niespecjalnie przejmuje się wyglądem.

– Przepraszam. Doktor Bradley na pewno miał w głowie jakieś własne spostrzeżenia, które wniosłyby coś odkrywczego do tematu. – Odchylam się na krzesło i opieram stopy o belkę zamocowaną pod blatem biurka. – Wskazywał kogoś konkretnego?

– Nie. A myślisz, że zabił go pacjent? Książka w swoim obecnym kształcie raczej nie mogła nikogo skłonić do aż tak drastycznych czynów. Nie ma tam nic, czego by się można obawiać. Żadnych nazwisk. Zresztą gdyby sprawcy właśnie o to chodziło, to zapewne zabrałby komputer.

– Na razie trudno cokolwiek wyrokować. Muszę porozmawiać z jeszcze jednym z jego znajomych. Bradley spotkał się z nim na kilka dni przed śmiercią. Może on

zdoła nam powiedzieć coś nowego.

Szczerze na to liczę. Bardzo by nam się przydało cokolwiek.

Lauren przygryza wargę i klika coś w komputerze. Ja przerzucam kartki notatnika, który leży otwarty na moim biurku. Spoglądam na zapiski z rozmowy, która przeprowadziłam z doktor Westmore w jej gabinecie. Nie mogę oprzeć się pokusie i dorysowuję obok rybki kilka pęcherzyków powietrza.

Lauren spogląda na mnie znad ekranu laptopa.

– Dlaczego rysujesz w tym notatniku, Rita? – pyta nieśmiało, jakbym jej miała odgryźć za to głowę.

Nie wiem, dlaczego młodzi policjanci czują przede mną taki respekt. Już raz czy dwa razy ktoś mi to pytanie zadawał, a ja wtedy zawsze odpowiadałam. Nie mam z tym problemu.

– To mi pomaga myśleć podczas przesłuchania. Pomaga mi się zatrzymać. Poza tym często wytrąca mojego rozmówcę z równowagi, a to bywa pomocne – mówię ze śmiechem.

– A zawsze rysowałaś?

– Tak – wzdycham. – Chyba już na studiach. Nigdy nie wygrałam żadnego konkursu ani nic, ale to mi pozwala uporządkować myśli.

W dzieciństwie byłam chłopczycą. Wspinałam się na drzewa, szwendałam się po okolicy, wdawałam się w bójki z innymi dziećmi. Na kolację wcale nie tak rzadko wracałam z rozciętą wargą albo zdartymi kolanami. Matka spoglądała na mnie wtedy jakby z udręką w oczach, odwracała głowę i szeptała niemal bezgłośnie: „Jezusie, Maryjo i Józefie Święty, nawet nie chcę wiedzieć”. Wychowała już wcześniej niesforną ósemkę i być może liczyła na to, że ostatnie, dziewiąte z dzieci McMahanów (po tym, jak wydała mnie na świat, usunięto jej macicę, żeby na pewno nie zaszła już ponownie w ciążę) nie zaprowadzi jej przedwcześnie do grobu. W trzeciej klasie moja nauczycielka, panna Hanson, zasugerowała, żebym znalazła sobie hobby. Takie spokojne hobby. W szkole też trochę za bardzo mnie nosiło. Pewnego dnia, gdy pozostałe dzieci siedziały w milczeniu nad lekturą, do czego ja nigdy nie byłam zdolna, nauczycielka wysłała mnie do kącika sali. Położyła przede mną blok i kredki, po czym kazała mi narysować drzewo. I od tego się zaczęło. Z tym sobie poradziłam. Rysowanie to była aktywność, ale taka, przy której się nie hałasuje. Wymagało to skupienia, które wkrótce bardzo mi się

spodobało. Potem rysowałam także w domu, w szkole, w autobusie i w ogóle wszędzie tam, gdzie potrzebowałam na chwilę zwolnić lub się uspokoić. Nigdy nie szło mi jakoś spektakularnie. Nikt nigdy nie wysyłał mnie do szkoły artystycznej ani nie wróżył mi wielkiej kariery związanej z plastyką, ale radziłam sobie zupełnie nieźle. Rysowałam też po rozpoczęciu pracy w policji, uzupełniając gryzmołami notatki. Dzięki temu łatwiej było mi się skupić, a czasem także zrobić pauzę w rozmowie, żeby przesłuchiwany mógł coś przemyśleć.

– Jesteś wzrokowcem – mówi Lauren.

Unoszę spojrzenie.

– Tak, chyba tak.

Zawsze myślałam obrazami, a o takich ludziach właśnie tak się mówi w dzisiejszym świecie, w którym każdego trzeba opatrzyć co najmniej jedną etykietką. Mnie tam wszystko jedno.

Lauren wstaje i przekłada laptopa z ręki do ręki.

– A właśnie... Zaglądałaś do ich mediów społecznościowych? – pytam. – Do Bradleyów i do ich znajomych?

Młoda policjantka opiera się o framugę i ściąga brwi.

– Owszem. U Pearsonów i Ferrisów nic nadzwyczajnego nie znalazłam. Scott Westmore ma stronę firmową, ale to by było tyle. Ani doktor Westmore, ani doktora Bradleya w mediach społecznościowych nie znalazłam. Mają tylko stronę gabinetu i profile na LinkedIn. W ich zawodzie to raczej normalne. Trudno się dziwić, że nie chcą dawać się obserwować pacjentom.

Kiwam głową.

– Rozsądne to.

– Za to w przypadku pani Bradley dość dziwnie to wygląda. – Lauren przenosi laptopa na drugie biodro. – Ona jest względnie młoda. Kobiety w jej wieku zwykle mają konto przynajmniej na Facebooku. Jej przyjaciółki są bardzo aktywne w mediach społecznościowych, a jej nie ma. Nie ma po niej ani śladu.

– Hm...

Nawet ja mam konto na Facebooku, choć występuję tam pod panińskim nazwiskiem. Nic tam nie wrzucam, ale jedna z bratanic namówiła mnie kilka lat temu, gdy urodziło jej się pierwsze dziecko i chciała mi pokazać zdjęcia. Wychodzi na to, że dziś nikt już zdjęć nie drukuje i nie rozsyła.

– Dziwne to – powtarza Lauren. – Jakby się chowała przed światem albo coś.

Drzwi otwiera nam pani Bradley. Jest blada, wymizerowana, zmęczona. Ma na sobie bardzo luźne dresy i męską flanelową koszulę, która wygląda tak, jakby została wyciągnięta z samego dna kosza na brudne rzeczy.

Prowadzi mnie i Chase'a korytarzem do kuchni. Siadając przy stole, rozglądam się dookoła. Bałagan z przyjęcia został uprzątnięty. W domu pachnie wybielaczem i cytryną i to tylko potęguje wrażenie bezruchu.

– Chcielibyśmy zdać pani relację z przebiegu śledztwa, pani Bradley.

– Czy macie jakieś tropy?

– Na razie nie.

Kiwa głową.

– A kiedy odzyskam telefon?

– Już niedługo. Mamy sporo rzeczy do zrobienia, ale tę kwestię traktujemy priorytetowo.

Ależ czasy się zmieniły. Dziś ludzie, którzy mieli styczność z brutalnym przestępstwem, chcą przede wszystkim odzyskać telefon.

Otwieram teczkę.

– Mamy już pełny raport z sekcji, więc za parę godzin będziemy mogli zwolnić ciało pani męża do kostnicy.

Ona wpatruje się we mnie okrągłymi niebieskimi oczami, które wyglądają jak u boksera po meczu. Ten widok jednak mnie nie dziwi.

– Będę musiała zorganizować pogrzeb – mówi właściwie do siebie.

– Pewnie warto by się tym zająć.

Zastanawiam się, czy to się aby nie okaże ponad jej siły. Mam nadzieję, że ma jakąś rodzinę, która mogłaby ją w tym wyręczyć, bo chwilowo nie wygląda, jakby była w stanie wybrać się sama choćby po zakupy spożywcze.

– Jak pani sobie radzi, pani Bradley? – pyta Chase, bacznie się jej przyglądając. – Mieszka tu pani sama?

– Tak – odpowiada cicho kobieta.

– A czy chciałaby pani, żeby dziś wieczorem wysłać radiowóz w tę okolicę?

– Tak, poproszę. Ktoś właśnie wspominał, że moglibyście o to zadbać.

– Dopilnuję tego.

Chase chwyta ją za rękę, a potem wpisuje sobie coś w telefon. Nasza wdowa chyba zdobyła jego serce. Mój obecny partner wcześniej przez dziesięć lat służył w mundurze. Podczas patroli na pewno widział niejedną rzeź i nieraz stawał oko w oko z niebezpieczeństwem, ale z ofiarami na pewno miał zdecydowanie mniej do czynienia niż teraz w pracy detektywistycznej. Mundurowi zazwyczaj nie mają okazji nawiązać bliższej relacji z ludźmi, którym pomagają. W przypadku detektywów sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Oczywiście trzeba zachować profesjonalny dystans, nawet gdyby miało to oznaczać celowe schładzanie kontaktów.

Przypomina mi się pewna sytuacja z okresu, gdy jako młoda policjantka pracowałam w Bostonie. Pewnego razu, w czasie upalnego lata, dostaliśmy wraz z moim partnerem wezwanie z eleganckiej okolicy, gdzie rzekomo padły strzały. W bogato urządzonej domu zastaliśmy zapłakanego mężczyznę, który tulił w ramionach umierającą żonę. Koszulę miał całą we krwi i mamrotał coś o napastniku z bronią, który włamał się tylnymi drzwiami. Rozpacz tego mężczyzny pochłonęła mnie do tego stopnia, że zupełnie nie zwróciłam uwagi na oczywiste tropy wskazujące na jego winę. Ludzie potrafią naprawdę bardzo skutecznie udawać emocje na potrzeby innych. To była dla mnie cenna lekcja.

– Pani Bradley – mówię – sekcja zwłok wykazała, że pani mąż zginął od jednej rany zadanej w szyję. Poza tym żadnych obrażeń nie doznał. Nic więcej nie znaleźliśmy.

Ona wbija wzrok w stół, po czym z jej gardła wydobywa się taki dźwięk, jakby się miała lada chwila rozpląkać. Ostatecznie jednak udaje jej się nad sobą zapanować.

– Kto mógł zrobić coś takiego Jayowi, pani detektyw? Przecież wszyscy go uwielbiali.

Najwyraźniej nie wszyscy, ale tę uwagę zachowuję dla siebie. Zaglądam do notatek.

– A czy pani mąż rozmawiał z kimś o tym, co pisał? Być może prowadził jakieś wywiady?

– Nie wydaje mi się, ale jeśli tak, to może Elise coś na ten temat wie. Jeśli z kimkolwiek rozmawiał o pracy, to tylko z nią.

Wyciągam z torby jego kalendarz.

– A co to jest? – pyta pani Bradley.

– Terminarz towarzyski pani męża. Z zeszłego roku.

Ona mruży oczy.

– A skąd to pani ma?

– Z jego biura w centrum. – Otwieram notes na grudniu, a ona zerka na zapiski. – Czy często chodzili z Joshem i Calem do pubu?

– Raz na jakiś czas.

– A spotkanie z Laken Ferris w spa dziewiątego?

Pani Bradley wzrusza ramionami.

– Być może poszedł na masaż. Coś takiego chyba pamiętam. Jakoś mniej więcej w tym czasie coś mu strzeliło w plecach podczas pracy w ogrodzie. A czy to ważne?

– Być może wcale nie. Próbuję sobie po prostu wyobrazić, jak wyglądało życie pani męża w okresie poprzedzającym jego morderstwo. – Przesuwam terminarz jeszcze trochę w jej stronę. – A to? – Wskazuję na sobotę, dwudziestego ósmego grudnia. Widnieje tam adnotacja „okno”.

– A... Jay pojechał wtedy do naszego domu w górach, w Mountclair, w stanie New Hampshire. Trochę za Manchester. Dostaliśmy telefon z informacją, że jakieś dzieciaki stłukły okno śnieżkami. Jay pojechał je naprawić.

– No dobrze. A to tutaj, trzydziestego grudnia? – Wskazuję na wizytę w więzieniu.

Ona nachyla się i zaciska wargi.

– Nie mam pojęcia.

– Nie wspominał pani o tym?

– To musiało być związane z pracą. – Kręci głową. – Albo może miało związek z jego książką, pani detektyw. Nie mam pojęcia.

– No dobrze, to jeszcze jeden wpis. – Zamykam pierwszy notes i chowam go do torby, po czym wydaję drugi. Ten terminarz otwieram na pierwszej stronie. – To mianowicie. – Kładę palec na interesującym mnie kwadraciku. – Lunch z Hayesem. Kto to?

Ona spogląda na kartkę i mruga intensywnie.

– To mój szef z księgarni.

– O tym też pani nie wiedziała?

– Nie. – Na jej twarzy maluje się autentycznie zdumienie.

– A dlaczego pani mąż miałby rozmawiać z pani szefem?

– No cóż, przyjaźnią się.

– A jednak pana Hayesa nie było na przyjęciu urodzinowym męża?

Kobieta rozkłada ręce.

– Akurat nie mógł nas odwiedzić, ale widujemy się dość regularnie.

– Mimo to nie wie pani, po co mieli się spotkać w zeszłym tygodniu dwa dni przed zabójstwem pani męża?

– Może po prostu umówili się na lunch, pani detektyw. – Jej głos podnosi się nagle o całą oktawę. – Nie wiem, co jeszcze miałabym powiedzieć. – W oczach stają jej łzy.

Chase wzdycha ciężko.

– Wszystko w porządku, pani Bradley. Próbujemy po prostu zebrać możliwie jak najwięcej informacji, żeby pani pomóc.

Kobieta wyjmuje z serwetnika papierową chusteczkę i przyciska ją sobie do nosa. Skupiam całą uwagę na pakowaniu terminarzy z powrotem do torby, żeby dać jej chwilę na odetchnięcie.

– Miałabym jeszcze jedno pytanie.

Ona kiwa głową i sięga po kolejną serwetkę.

– Czy doktor Bradley często się widywał z ojcem?

– Z ojcem? – Odchrząkuje. – Nie. Jego ojciec zmarł w zeszłym roku. Miał osiemdziesiąt jeden lat. Jaya mieli z żoną dość późno.

Cholera... Już liczyłam na to, że może choć ojcu doktor Bradley się zwierzał, że to może tu się pojawi jakiś trop. No nic.

Ona spogląda teraz na mnie.

– Jego ojciec był detektywem.

– Tak, słyszeliśmy już. – Zbieram notatki i chowam je do torby. – Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, pani Bradley, proszę dzwonić.

Kobieta wstaje i odprowadza nas do korytarza.

– Dziękuję – mówi i zamyka za nami drzwi.

Na dworze wita nas podmuch lodowatego wiatru. Łagodniejsza aura sprzed kilku dni znów ustąpiła miejsca tej prawdziwie zimowej. Chowam uszy w kołnierzu kurtki i szybkim krokiem zmierzam do mojego vana. Silnik nie odpala od razu, więc Chase spogląda na mnie wymownie.

– Wszystko będzie w porządku – rzucam i na szczęście w tym momencie udaje mi się ożywić motor.

– Nie martwisz się, że ten stary gruchot pewnego dnia po prostu się rozkraczy? I utkwisz na jakimś odludziu?

– Mam ubezpieczenie, syneczku.

Odpowiada mi śmiech. Chase szuka czegoś w telefonie. Ten leciwy wóz to dla mnie taki dom poza domem. Pasuje mi to, że zawsze mam pod ręką wszystko, czego mogłabym potrzebować w toku śledztwa. Wożę ze sobą narzędzia, wysokie kalosze, zapasowe ubrania. Jeżdżę furgonetką tylko wtedy, gdy rozsądnie mogę założyć, że nic nieoczekiwanego się nie wydarzy. Gdybym musiała ruszyć w pościg, nie miałabym przecież żadnych czas. Wiem jednak, że Chase nigdy się w tym samochodzie nie rozgościł. On bardzo dba o to, jak wygląda, a w tym aucie... no cóż... porządek nie jest najważniejszy.

Zatrzymujemy się u André na późny lunch. Nie ma dziś ani jego, ani Collina. Za ladą stoi nastolatka o kruczoczarnych włosach. Jej odsłonięte lewe ramię oblepiają kolorowe wróżki. Zanosimy tace do okrągłego stolika pod dużym oknem.

– I co myślisz, tak na ten moment? – pytam Chase’a.

On i Lauren ciągle się jeszcze uczą, a ja chętnie rzucam im wyzwania. Dorastałam jako najmłodsze dziecko i teraz dobrze się czuję w roli tej starszej i mądrzejszej.

Wzrusza ramionami i drapie się po brodzie, na której chyba hoduje lekki zarost.

– No cóż... Nie wydaje mi się, żeby to mógł być ktoś przypadkowy. Nie zostawiłby wtedy laptopa na biurku i portfela w kieszeni ofiary. Zapewne dużo zależy od tego, czego się dowiemy od pacjentów. Nie sądzisz?

– Owszem, jeśli zrobił to pacjent. Możliwe jednak, że to był ktoś, o kim doktor Bradley miał zamiar pisać w swojej książce. Ktoś, o kim nie wie ani jego żona, ani żadne z jego przyjaciół.

– A jedziemy do tego więzienia, o którym była mowa w zapiskach?

– Tak. – Kiwam głową. – Czekam tylko na potwierdzenie. On się tam spotkał z jednym z osadzonych. – Na razie jedynie tyle się dowiedziałam.

– Ale przecież zbrodni nie mógł popełnić ktoś, kto akurat siedzi.

– Nie, to oczywiste. Być może jednak ten więzień coś wie. Na przykład, z kim jeszcze rozmawiał doktor Bradley. Z kimś, kto nie siedzi.

Wizyta w więzieniu może się okazać owocna, ale wcale nie musi. Tymczasem jednak nie mamy w ogóle żadnego tropu.

Sączę colę i obserwuję kobietę, która przechodzi przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Jej czerwony szalik powiewa na wietrze.

– Jak sądzisz, co ten sprawca robił w biurze już po zabójstwie? To będzie klucz do całej sprawy.

– Nie wiem. – Chase odchyła się na krześle i bębni palcami o blat. – Ale tak sobie myślałem... – Spogląda mi prosto w oczy. – A może jeden z pacjentów doktora Bradleya powiedział mu, że popełnił przestępstwo? I potem zwątpił, czy aby na pewno słusznie zrobił.

– Może.

Nabieram widelcem kęs sałatki ryżowej z tuńczykiem. Chase tymczasem jakby z pewnym zawahaniem spogląda na swoją zupę z małży.

– Psychiatrizy mają obowiązek zgłaszania aktów przestępstwa, prawda? – pyta.

– Doktor Bradley był psychologiem, ale obowiązywały go te same reguły. – Otrząsam chipsa nad talerzem. – Muszą zgłaszać ryzyko wystąpienia aktywności przestępczej. Gdybym powiedziała psychiatrze, że zamierzam zastrzelić moją irytującą nową sąsiadkę z broni służbowej, on byłby zobowiązany go zgłosić.

– A co, jeśli chodzi o zbrodnię z przeszłości? Gdy ofiara już nie żyje?

Przekrzywiam głowę.

– Tu sprawa nie jest już tak jednoznaczna. Wtedy obowiązuje tajemnica zawodowa, bo nic się nikomu nie stanie z tego tylko powodu, że terapeuta zachowa taką informację dla siebie.

– Czy sądzisz, że ktoś mógł się przyznać przed doktorem Bradleyem do popełnienia przestępstwa, a potem przestraszyć się potencjalnych konsekwencji? – pyta Chase. – Sprawca mógł nie wierzyć, że doktor Bradley dochowa tajemnicy zawodowej.

– Tego nie można wykluczyć. Tylko czego w takim razie ten ktoś szukał w pracowni doktora?

Chase rozkłada ręce na znak, że nie wie.

Tymczasem odzywa się mój telefon. To wiadomość od Lauren.

– Musimy wracać – mówię. – Kończ z tą zupą.

– Co ci się tak spieszy? – Chase unosi miskę, rozgląda się dyskretnie, żeby sprawdzić, czy nikt na niego nie patrzy, po czym wysiorbuje jej zawartość.

– Lauren napisała, że być może coś mają, a komendant chce to obwieścić. Napisała, że mamy się streszczać.

W komendzie wita nas wyraźnie wyczuwalna atmosfera napięcia. Na mój widok ludzie unoszą głowy znad biurków i spoglądają wyczekująco. Bob stoi w drzwiach do swojego gabinetu z teczką w dłoni i z telefonem przy uchu trzymany tak, że aparat niemal znika między jego szyją a obwisłym policzkiem. Zerka na mnie i gestem daje znać, że mamy się udać do salki konferencyjnej. W ciasnej przestrzeni czekają już wszyscy, którzy pracują przy tej sprawie, czyli mniej więcej połowa komendy.

Bob wychodzi na przód pomieszczenia, staje przy białej tablicy, na której wiszą połączone ze sobą liniami zdjęcia oraz czerwone i niebieskie listy. Ściąga ekran od rzutnika i sygnalizuje gotowość młodemu policjantami, który trzyma laptopa na kolanach.

– Connors właśnie dostał materiał z monitoringu z okolicy Bradleyów. Wyłącz światło, Chase. – Pomieszczenie tonie w ciemności, a policjant obsługujący komputer zaczyna coś klikać. – Na razie udało nam się zabezpieczyć tylko jedno przydatne nagranie. Zarejestrowała je w noc zdarzenia kamera zamontowana u sąsiada.

– Którego? – pytam, wyjmując notatnik.

Bob zerka do dokumentów, które ma przed sobą na stole.

– Dwa domy od Bradleyów. – Wzdycha ciężko. – No dobra, ludzie, chcę się temu uważnie przyjrzeć. Potem roześlemy ten materiał do wszystkich, którzy by go mogli potrzebować.

Gestem daje znać chłopakowi z laptopem, aby zaczynał.

Na ekranie wyświetla się ziarnisty obraz przedstawiający chodnik i ulicę sąsiadującą z ogrodem w zimowej szacie. W rogu dostrzegam datę i godzinę, która cały czas się zmienia. Świetnie. Pierwsza piętnaście w nocy. Nic się nie dzieje. Pierwsza szesnaście, pierwsza siedemnaście. Nagle pojawia się jakiś cień. Wszyscy się nachylamy. To postać. Wysoka, w ciemnym ubraniu i czapce nisko nasuniętej na oczy. Na pierwszy rzut oka mężczyzna, ale pewności nie mam. Jakość filmu pozostawia wiele do życzenia, więc twarzy nie widać. Nawet światło pobliskiej latarni niewiele pomaga. Człowiek idzie szybkim, równym krokiem. Zmierza w kierunku domu Bradleyów, patrzy prosto przed siebie. Z ramienia zwisa mu coś, co wygląda jak plecak.

Komendant daje znać chłopakowi, żeby zatrzymał nagranie. Postać na ekranie zamiera w bezruchu.

Bob wypuszcza głośno powietrze.

– No więc, ludzie, to może być nasz zabójca. Czas by się zgadzał z ustaleniami koronera. Zresztą po co ktoś miałby się przechadzać tą ulicą o pierwszej w nocy? Nikogo więcej na tym nagraniu nie ma.

– A widzimy go jeszcze później? Jak wraca? – pytam.

– Nie. Jest tylko to. Być może przeszedł przez ulicę, ale wrócił jakąś inną drogą. Nie wiemy tego.

– To może być przypadkowy gość, który wraca z baru – mówię, jak zwykle wcielając się w rolę adwokata diabła.

– Owszem. Tyle że nie ma żadnego lokalu, który byłby otwarty do tak późna. W okolicy nie działa żaden bar ani restauracja.

– A stacja benzynowa na rogu? – pytam.

– Przeglądaliśmy ich nagrania. Nie trafiliśmy na nikogo, kto by wyglądał jak ten tutaj.

– A czy namierzyliśmy w okolicy jakiś samochód, którym mógł przyjechać?

– Nie. Na razie mamy tylko to.

To i tak już coś. To rzeczywiście może być nasz sprawca.

– A czy laboratorium dałoby radę ten obraz poprawić? – pytam.

– Mam nadzieję – odpowiada Bob. – Zaraz im go wyślę.

ROZDZIAŁ 15

MOLLY

Laken i Cal siedzą przy stole w kuchni i w przeciwieństwie do mnie wydają się mieć pełną kontrolę nad swoim życiem. Oboje są silni i wysportowani. Laken ma, co prawda, figurę modelki, ale w liceum zdobyła tytuł mistrzyni tenisowej stanu i jeszcze na studiach brała udział w zawodach. Ona i Cal żeglują, jeżdżą na nartach, na rolkach i na czym tam jeszcze. Czasem im zazdroszczę tej krzepy. Ja w liceum należałam do drużyny pływackiej, ale wielkich sukcesów nie odnosiłam.

Laken śmieje się głęboko i zaraźliwie. Dobrze mi się tego słucha, choć odrobinę mi z tym nieswojo. Nagle sobie uświadamiam, że od sobotniego wieczoru nikt się w moim towarzystwie nie śmiał. Wszyscy chodzimy ostatnio na paluszkach, porozumiewamy się szeptem i cicho łkamy w kłęby chusteczek.

Ich dzieci krążą po domu, biegając z salonu, przez korytarz i jadalnię, do kuchni i z powrotem. Laken chwyta Liama – a może to jest Logan – za kołnierz, a on się wtedy zatrzymuje.

– Dość tego. Bierzcie jedzenie do drugiego pokoju i włączcie sobie telewizję, dobrze?

Wyjmuje z jednego z pudełek dwa kawałki pizzy pepperoni i przekłada je na papierowe talerzyki.

– Pomogę im się usadowić – mówi Cal, po czym otwiera lodówkę i nalewa mleka do dwóch szklanek.

Wszyscy trzej przechodzą do pokoju obok, gdzie po chwili odzywa się telewizor. Słyszę, jak zmieniają się kanały, aż w końcu ciszę wypełniają odgłosy jakiegoś hałaśliwego programu dla dzieci. Laken wzdycha z irytacją.

– Przepraszam cię, Molly. Niania nie mogła dzisiaj przyjść.

– Nie ma sprawy.

Naprawdę nie ma problemu. Przynajmniej coś się dzieje.

Laken nakłada sobie sałatkę na papierowy talerzyk, obok kładzie kawałek pizzy z warzywami. Ja robię to samo, po czym napełniam winem dwa kieliszki. Cal wraca, wyjmując sobie z lodówki drugie piwo i dosiada się do nas.

– Molly, czy policja coś już ma? – pyta.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Cal ciężko wzdycha, po czym upija spory łyk piwa.

– A czy biorą pod uwagę napad rabunkowy?

Kręcąc głową.

– Kto wie? A Jay ci się nie zwierzał ani nic? Nie wspominał, żeby go coś martwiło?

– W ostatnich tygodniach nie za wiele z nim rozmawiałem. Miałem bardzo dużo pracy w laboratorium, a Josh...

Laken posyła mu wymowne spojrzenie.

– Co takiego? – pytam.

– Josh dość często zgłaszał ostatnio nieobecności, a nawet jeśli stawiał się do pracy, to niezbyt się wykazywał. Sporo nerwów mnie to kosztuje. – Cal przesłania palcami oczy, przez co okulary podskakują mu na nosie. – Nie powinienem o tym mówić. Może on ma jakieś problemy. Może Jayowi coś wspomniał.

Laken głośno przełyka, a potem upija kolejny łyk wina.

– Tylko co to ma wspólnego z zabójstwem Jaya? Josh na pewno się ogarnie, Cal. Nie wiem, czy wiesz, ale jego siostra ma raka. Może to go tak przygnębia. To chyba nie jest najlepszy moment, żeby go wyrzucać z pracy.

Cal zaciska wargi.

– Przecież nie zamierzam go zwalniać, Lake. Tylko mam przez to wszystko więcej roboty, ot co. Muszę z nim porozmawiać. – Odchrząkuje wymownie, po czym wstaje i wyrzuca swój talerzyk do śmieci. – Sprawdzę, co u chłopców.

– No dobrze – Laken zmienia temat – a ty tutaj sobie sama poradzisz?

– Tak, nic mi nie będzie. Corrine zamówiła już kogoś, kto przyjedzie jutro zainstalować alarm.

Laken kiwa głową.

– To dobrze. To zanim się dzisiaj położysz spać, upewnij się, że drzwi masz pozamykane.

– Będę ostrożna. Nie przypuszczasz chyba, żeby zabójca Jaya miał wrócić i po mnie?

Laken odrywa usta od kieliszka i odwraca gwałtownie wzrok.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałam cię straszyć. Ktokolwiek to zrobił, zapewne jest już daleko stąd.

Zastanawiam się, czy ona rzeczywiście tak myśli, czy tylko chce mnie podnieść na duchu. Pewnie to drugie, no ale trudno. Nie mam teraz siły się tym zadreć. Gdzieś po głowie kołacze mi myśl, że wcale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby spocząć w grobie obok Jaya.

– Słuchaj, a może wpadniesz do mnie jutro? Na jakiś masaż albo maskę?

– Sama nie wiem... Może...

Laken wzrusza ramionami.

– A co będziesz robić cały dzień? Musisz wychodzić. – Rozgląda się po kuchni. – Zwariujesz, jeśli będziesz cały czas tylko siedzieć tutaj.

– Myślę o tym, żeby za parę dni wrócić do pracy.

– Naprawdę tego właśnie chcesz?

Tak naprawdę to ja niczego nie chcę. Chcę zostać w domu, skulić się w kłębek na kanapie i naciągnąć koc na głowę. To chciałabym zrobić tak naprawdę.

– A cóż niby innego miałabym robić, Laken? Wrócić do rodziców i znów zamieszkać z nimi? To już bym wolała umrzeć.

Spod starannie wyregulowanych brwi spoglądają teraz na mnie jej wielkie ciemne oczy.

– Przepraszam – mówię. – Zabrzmiało to melodramatycznie. No ale wiesz, o co mi chodziło. Nie ma opcji, żebym wróciła do rodziców.

Ona kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Czytałam gdzieś, że nie powinno się podejmować ważnych życiowych decyzji bezpośrednio po traumatycznym wydarzeniu.

Uśmiecham się do niej lekko.

– No właśnie. Powrót do pracy tym bardziej może być najlepszym pomysłem.

Laken, Cal i dzieciaki wyszli o ósmej. Stałam na ganku i patrzyłam, jak wsiadają do wielkiego SUV-a i znikają w mroku nocy. Zostałam na dworze jeszcze przez chwilę, mocniej otulając się swetrem. Było ciemno i zimno. Lepkie płatki śniegu opadały mi na twarz i kłuły jak małe igiełki. Gdy w końcu weszłam z powrotem do domu, poczułam się tam całkowicie samotna. Nagle sobie uświadomiłam, że Jay już nie wróci.

Włączam wszystkie światła na dole i przechodzę z pokoju do pokoju. Zaglądam we wszystkie kąty i do wszystkich szaf. Dwa razy sprawdzam, czy zamek, który Jay zamontował na drzwiach prowadzących do piwnicy, na pewno jest zamknięty. Za kuchnią znajduje się małe pomieszczenie. Jay twierdził, że swego czasu pewnie mieściła się tam spiżarnia. Wyobrażam sobie rzędy weków ustawione na półkach, a w nich cebule i ogórki zatopione w solance przyozdobionej ziołami. Wyobrażam sobie jakąś kobietę z przeszłości w długiej sukni i fartuchu, która je tam ustawia. Uderza mnie, jak szybko mija życie. Myślę chwilę o ludziach, którzy mieszkali w tym domu przed nami. Większość z nich pewnie już nie żyje. My nie potrzebowaliśmy spiżarni, więc urządziliśmy w tym pomieszczeniu schowek, wstawiliśmy tam też pralkę i suszarkę. Ciągnę za łańcuszek, którym się włącza wiszącą pod sufitem żarówkę, i nagle przestrzeń wypełnia się trupio bladym światłem.

Idę korytarzem do drzwi wychodzących z boku na werandę. Czuję, że robi się chłodno. Przydałoby się na nowo docieplić ściany. To kolejny punkt na długiej liście napraw i remontów, które mieliśmy w planach. Boczna weranda, osłonięta drewnianymi żaluzjami to moje ulubione miejsce w całym domu. Zeszłej wiosny, zaledwie parę miesięcy po tym, jak się wprowadziliśmy, zakwitł tu na biało krzew bzu – wypełniając tę przestrzeń do czytania i relaksacji niesamowitym zapachem. Już się nie mogę doczekać, kiedy zima się skończy i znów będę się tu mogła rozsiadać. Chwytam za klamkę, żeby się upewnić, że drzwi są zamknięte. Potwierdziwszy to, wracam korytarzem do salonu.

Włączam telewizor i przeskakuję z kanału na kanał, aż w końcu trafiam na film o jasnych kadrach i lekkich dialogach. Mam nadzieję, że sztuczne dźwięki ożywią trochę mój dom. Zerkam na stosik książek, które leżą na stoliku przy kanapie. Normalnie wieczory upływają mi na lekturze. Zawsze uwielbiałam zatracać się w historii i w nią uciekać. Jay oglądał mecz, a ja przytulałam się do niego i czytałam. Połykam łzy. Taka jestem zmęczona, że chwilowo nie mam siły na

powieści. Nawet jednej strony nie zdołałabym sobie przyswoić. Pozostaje mi więc telewizja.

O północy, po obejrzeniu dwóch filmów, których tytułów nawet nie próbowałam zapamiętać, idę schodami na górę. Staję w drzwiach do sypialni i stwierdzam, że sprzątaczkę posłały łóżko i pozbierały porozrzucane ubrania. Ciuchy moje i Jaya leżą teraz na równym stosiku, wymieszane ze sobą. Mój sweter wcisnął się gdzieś między dwie pary jego eleganckich spodni.

Wieczorną toaletę odbywam zupełnie bezrefleksyjnie. Wmawiam sobie, że Jay wyjechał na konferencję, bo lepsze to niż rzeczywistość. Nie gaszę światła, tylko wsuwam się pod kołdrę. Leżąc na boku, całkiem wbrew sobie zapadam w głęboki i ponury sen.

Otula mnie mrok, a ściany pomieszczenia, w którym jestem uwięziona, pachną ziemią i zgnilizną. Mokra od własnego moczu, czołgam się na czworakach, starając się wymacać gdzieś przed sobą schody. Słyszę dziewczęcy płacz i jęki, ale nie wiem, czy to ja, czy ktoś inny. Tu gdzieś, w tej dziurze, kryje się potwór. Wyczuwam jego kwaśny oddech, słyszę, jak łapczywie nabiera powietrza. Przemykam się po podłodze, wbijając paznokcie w brudną ziemię. Kolana mnie pieką. Ale uciec nie mogę. Nie mogę znaleźć schodów. Serce wali mi jak oszalałe, bo on się nade mną pochyla i przyciska mi twarz do klepiska. Zębami wgryzam się w piasek, czuję w ustach jego gorzki smak. Nie mogę oddychać. Jego ostre jak szpony palce wdzierają się w moje ciało. Odrywa mi rękę od podłoża i rozdziera moją delikatną skórę. Czuję ukłucie noża i tonę w ziemi. Nigdy się już nie podniosę.

Budzę się i z trudem łapię powietrze. Potrzebuję dłuższej chwili, żeby zapanować nad oddechem i przywrócić jego normalny rytm. Przełykam łzy, zrzucając stopy na podłogę i wstaję. Zdejmuję z drzwi szafy szlafrok Jaya i wsuwam ramiona w jego rękawy, a potem ściśle owijam się miękką flanelą w pasie. Wtulam twarz w kołnierz i staram się oddychać spokojnie i powoli. Wychodzę na korytarz. Pod bosymi stopami czuję chłodne drewno. U szczytu schodów znajduje się niewielkie okienko, przez które widać ogród na tyłach domu. Przypadam do niego i zastanawiam się, jak często przez te wszystkie lata ktoś zatrzymywał się w tym miejscu i wypatrywał kogoś lub czegoś w oddali. Skupiam się na tej myśli, żeby odgonić od siebie koszmar. Przez starą framugę wdziera się do środka chłodne powietrze, ale ja z chęcią przytulam czoło do zimnej szyby.

Nagle tętno znów mi przyspiesza. W ogrodzie jest ciemno, ale w pracowni Jaya dostrzegam światło. Czyżby policja zostawiła je włączone? Skupiam wzrok. W oknie garażu przesuwają się jakieś cienie. Odruchowo sięgam do kieszeni szlafroka Jaya po mój telefon, ale oczywiście go tam nie ma. Będę musiała zejść na dół i zadzwonić ze stacjonarnego. Ale co, jeśli się mylę? Co, jeśli to tylko złudzenie? Co, jeśli ciągle się jeszcze nie otrząsnęłam z koszmaru? Pomyślę, że mi odbiło. Serce wali mi jak oszalałe, czuję w uszach szum jego bicia. Potem dostrzegam postać. Mężczyzna w ciemnym ubraniu i czapce mocno naciągniętej na oczy nachyla się, żeby przemknąć pod policyjną taśmą, a potem biegnie przez ogród.

ROZDZIAŁ 16

RITA

Jestem potwornie zmęczona po tej pobudce o piątej rano. Powolnym krokiem wchodzę do komendy. Oczy mam podkrążone, włosy w nieładzie, upięte krzywo z boku. Powtarzam sobie jednak, że mogło być gorzej. Para mundurowych musiała wstać nawet wcześniej, bo o drugiej nad ranem pani Bradley zadzwoniła pod numer alarmowy z informacją, że właśnie widziała ubranego na ciemno mężczyznę, który wyszedł z pracowni jej męża i pobiegł w kierunku ulicy. Technicy pojechali na miejsce, ale na razie żadnych śladów nie znaleźli.

Wychodziłoby na to, że nasz sprawca nie znalazł w noc morderstwa tego, czego szukał. Być może wystraszyło go szczekanie psa pani Murray i światło, które rozbłysło u niej na ganku.

Pani Bradley siedzi w małym pokoju, w którym zwykle rozmawiamy ze wstrząśniętymi członkami rodzin ofiar przestępstw. To przestrzeń nieco bardziej komfortowa niż pokoje przesłuchań. W każdym razie taką mamy nadzieję. Kobieta siedzi przy niewielkim stoliku, obracając w dłoniach papierowy kubek z herbatą, którą Chase przyniósł jej z ekspresu stojącego na blacie. Podał jej też kilka saszetek z cukrem i różnymi zabielaaczami, ale ona na razie nawet herbaty nie upiła. Trzyma tylko kurczowo kubek, jak dziecko swój ulubiony kocyk.

Chase otwiera nagranie z monitoringu, które wczoraj pozyskaliśmy od jej sąsiada. Stuka w klawiaturę laptopa, żeby włączyć film.

– Proszę się dobrze przyjrzeć, pani Bradley. Czy to tego mężczyznę widziała pani w nocy? – pytam.

Jej zmęczone oczy spoglądają na ekran i przez chwilę podążają za mężczyzną idącym chodnikiem.

– Pani Bradley?

– To mógł być on.

Cała się trzęsie. Teraz już otula kubek obiema rękami.

– A co się pani wydaje takie samo? – drązę.

– Hm. Wzrost by się zgadzał.

– A ubrania?

Mężczyzna na filmie ma długi płaszcz, czarny lub szary. Spod niego wyzierają chyba dzinsy. Nogi ma ukryte w wysokich butach. Na głowie ma mocno nasuniętą na oczy dzierganą czapkę.

– Wyglądają tak samo. Chyba.

Spogląda na mnie, jakby oczekiwała potwierdzenia.

– Jest pani pewna?

– Czapka jest tego samego rodzaju. Ale może kurtka była krótsza. To chyba nie był taki długi płaszcz jak na tym filmie.

– A twarz? Co potrafi pani powiedzieć?

Pani Bradley kręci głową.

– Nie widziałam twarzy. To się wszystko wydarzyło tak szybko, a on miał światło za plecami.

– Ale to może być ten sam człowiek?

Ona potakuje gestem i dodaje:

– Tak. – Spogląda na Chase'a. Głos jej drży. – Dlaczego miałby wracać?

– Nie wiemy tego, pani Bradley.

Chase wbija wzrok w stół, jakby czuł się z tego powodu winny.

– A czy on coś ze sobą miał? – próbuję jeszcze.

– Nie widziałam – odpowiada i patrzy na mężczyznę na ekranie. – Nie wydaje mi się, żeby ten mężczyzna, którego ja widziałam, miał ze sobą plecak.

– No dobrze. – Nachylam się w jej stronę. – Nasze laboratorium pracuje nad poprawą rozdzielczości tego filmu, więc być może jeszcze do tego wrócimy.

Wstajemy. Ja zbieram notatki, a Chase otwiera drzwi.

– Podwieźć panią do domu, pani Bradley? – proponuje.

– Nie, dziękuję. Pojadę sama. Siostra już na mnie czeka. Ściągnęła technika, który instaluje system alarmowy.

– To dobry pomysł – stwierdza Chase.

– A czy będą kamery na zewnątrz? – pytam.

– Tak. Moja siostra i takie zamówiła – odpowiada, a ja niemal się uśmiecham. – Kamery wewnątrz i w środku, najlepszy możliwy wariant.

Chase deklaruje, że odprowadzi ją do samochodu, a ja idę do swojego gabinetu. Mam na biurku porozkładane notatki, a na ekranie wyświetla się nagranie z monitoringu. Zagląda do mnie Lauren.

– Coś znaleźliśmy, Rita. – Unosi torebkę na dowody. W środku znajduje się koperta. Lauren siada na krześle naprzeciwko mnie i rozprostowuje torebkę na blacie. – Chłopaki znaleźli ją wciśniętą w róg, w tylnej części jednej z szuflad szafy kartotekowej.

Wyjmuję z kieszeni marynarki okulary do czytania i nachylam się nad woreczkiem. Lauren wzdycha niecierpliwie, wkłada rękawiczki i sięga do środka, po czym umieszcza kopertę na folii.

Na kopercie widnieje logo dostawcy prądu, zupełnie jakby w środku miał się znajdować rachunek.

– No dobra. – Zerkam na nią, zdumiona.

Ona tymczasem wyjmuję ze środka złożoną chusteczkę, a z niej coś lśniącego. Niczym zafascynowany jubiler rozkłada sobie na dłoni delikatny naszyjnik. Wodzi kciukiem po okrągłym wisiorku. Nad osadzonym w środku topazem widnieje napis SCORPIO.

– Ciekawe. – Tylko na tyle mnie stać. – Nie wygląda na jakoś szczególnie kosztowny.

– Bo nie jest – odpowiada pośpiesznie Lauren.

Opadam na oparcie fotela.

– Czy zatem sądzisz, że sprawca wracałby po coś takiego?

– Po coś wrócił.

– Ale po taki względnie bezwartościowy wisiorek?

– Być może ma dla niego jakieś znaczenie. – Lauren oblizuje wargi. – Moim zdaniem powinniśmy mu się co najmniej przyjrzeć. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie trud, aby go ukryć w szafie kartotekowej? No i jest jeszcze coś – mówi, obracając krążek. – Inicjały.

Teraz się prostuję. Poprawiam okulary do czytania, ale nadal nic nie widzę.

– A. R. – mówi Lauren.

– Mógł leżeć w tej szufladzie od nie wiadomo kiedy.

Lauren stuka palcem w kopertę, a konkretnie w stempel pocztowy. Rachunek został nadany dwa tygodnie temu.

– Hm. – To zmienia postać rzeczy. Doktor Bradley ukrył ten naszyjnik niedawno. – No dobrze, już rozumiem, do czego zmierzasz. Rzeczywiście warto się temu przyjrzeć.

– Tak właśnie myślę. – Lauren owija wisiorek z powrotem w chusteczkę, a potem chowa go do koperty i do torebki foliowej. Zrywa się na równe nogi. – No to zaczynam zgłębiać temat.

ROZDZIAŁ 17

MOLLY

Wracam do domu, akurat w momencie gdy facet od alarmu odjeżdża. Corrine siedzi w kuchni nad otwartym laptopem i przegląda obrazy z kamer.

– Jak poszło? – pyta, nawet nie podnosząc wzroku.

– W porządku. Pokazali mi nagranie z monitoringu Fergusonów. Widać na nim faceta, który w sobotę w nocy przechodził obok ich domu i zmierzał do nas. Chcieli wiedzieć, czy to był ten sam człowiek, którego widziałam wczoraj.

– A był?

– Mógł być. To się wszystko wydarzyło tak szybko.

– No cóż...

Odwraca komputer w moją stronę. Na ekranie widzę czarno-biały, ale zdumiewająco wyraźny podgląd mojego ogrodu. Corrine przeklikuje przez kolejne obrazy. Pokazuje mi pracownię zabezpieczoną żółtą, a w tej wersji trupio szarą taśmą, której fragment powiewa na wietrze. Potem przełącza się na widok z ogrodu na tyłach, ukazujący płot i drzewa. Jest też kamera z boku, od strony podjazdu i wreszcie od przodu nakierowana na ulicę. Corrine wpisuje jakiś skrót na klawiaturze, a wtedy wszystkie obrazy zmniejszają się do rozmiaru małych prostokątów i teraz już wypełniają cały ekran.

– Możesz oglądać wszystko naraz – mówi Corrine. – Albo pojedynczo, albo po dwa jednocześnie. Wstaje i przeciąga dłonią po włosach. – To samo w środku. Wystarczy dostęp do komputera albo telefonu, żeby mieć oko na wszystko, co się dzieje w domu i wokół niego.

– Wow.

– Bezpiecznie jak w Fort Knox.

– A rachunki będą przychodzić raz na miesiąc? Jak to właściwie działa?

Corrine wzdycha ciężko.

– Rich i ja za to płacimy.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Nie ma w ogóle gadania. Sprawa załatwiona.

Chwyta markową torebkę i przerzuca sobie jej pasek przez ramię.

Doceniam oczywiście jej szczodrość, ale trochę mnie to wyprowadza z równowagi. Znow wychodzi na to, że jej zdaniem nie jestem w stanie sama czegoś dopilnować.

– Posłuchaj, Molly. To dla nas naprawdę żaden problem, jasne? Chcemy tylko pomóc.

Niby wiem. Oboje dużo zarabiają, a poza tym Rich odziedziczył też spory majątek po rodzinie.

– A finansowo jak wyglądasz? – pyta Corrine. – Mama i tata się martwią. Powiedziałam im, że z tobą porozmawiam.

– Wszystko w porządku. Nie musicie się tak mną przejmować.

– Wiesz, Jay już nie będzie zarabiać... A miał jakąś polisę na życie? Albo oszczędności?

– Tak, oczywiście.

Nie bardzo wiem, ile właściwie tego było. Wcześniej nie zaprzętałam sobie głowy kwestiami finansowymi. Odwracam się i podchodzę do tylnych drzwi, skąd widać pracownię Jaya.

– Mogłabyś sprzedać dom w górach – mówi Corrine. – I tak właściwie tam nie jeździcie.

Dom w górach znajduje się w stanie New Hampshire. Jay odziedziczył go po matce. Nic więcej mu nie zostawiła, tylko tę dawną chatę myśliwską, którą jej rodzina posiadała już od wielu lat. Ponoć jej pradziadek dorobił się na spedycji, ale potem kolejne pokolenia trwoniły majątek, aż w końcu nie zostało już nic oprócz domu wakacyjnego w górach. Aby tam dojechać, trzeba pokonać strome wzniesienie, ale trudy wynagradza widok zapierający dech w piersiach oraz sąsiedztwo rzek i jezior. Jeździmy tam parę razy do roku, często zapraszając na wspólną wyprawę znajomych.

Nigdy jednak dobrze się tam nie czułam. Gdy Jay zabrał mnie tam po raz pierwszy, nie mogłam oderwać wzroku od zwierzęcych głów rozmieszczonych w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Wpatrywały się we mnie tymi swoimi szklanymi oczami. No i ta piwnica...

Za to Jay uwielbiał ten dom. Pewnie kojarzył mu się z matką, bo tam właśnie spędzał z nią czas, gdy ojciec jechał na polowanie. Ona zmarła młodo, więc Jayowi nie było dane długo się nacieszyć tą relacją. Opowiadał, jak przyrządzała kakao zupełnie od zera i jak układali razem puzzle. Ten dom był mu tak bliski chyba właśnie ze względu na to wspomnienie.

Wszystkich pozostałych trochę jednak onieśmiał. Stał na szczycie skały, jakby panował nad lasami i rzeką. Ściany miał wyłożone ciemnym drewnem i tapetą w kratkę. Wyobrażałam sobie, że właśnie w takich domach mogli się spotykać dobrze urodzeni ludzie, gdy wybierali się na polowanie lub oddawali innym zimowym rozrywkom wymagającym hartu ducha, aby w ten sposób udowodnić przede wszystkim sobie, że pieniądze nie pozbawiły ich pazura.

Z uwagi na Jaya próbowałam się jakoś odnaleźć w tym osobliwym miejscu, a nawet czerpać radość z tych eskapad. Przy każdej nadarzającej się okazji zabieraliśmy na te wyjazdy przyjaciół. Tylko sporadycznie się zdarzało, żebyśmy się tam wybierali sami. Nawet jednak w towarzystwie nie czułam się tam do końca jak u siebie. Ten dom onieśmiał mnie swoim mrokiem. Wydawał się ociekać krwią, którą mężczyźni przelewali dla czystej rozkoszy polowania i zabijania.

Wzdycham.

– Na razie nie jestem w stanie o tym myśleć.

Nie mam ochoty na rozmowy z pośrednikami, podpisywanie umów i użeranie się z potencjalnymi nabywcami.

– W każdym razie to jest jakaś opcja, gdyby ci zabrakło pieniędzy.

– Tak, wiem, ale wszystko będzie w porządku.

Odprowadzam Corrine do drzwi. Ona ściska mnie przelotnie, a potem wychodzi.

Siadam przy stole i przeklikuję ekrany jak jakiś maniak. W ogrodzie na tyłach domu dostrzegam wiewiórkę, która skrada się do karmnika. Zatrzymuje się, nasłuchuje, a potem rozgląda się na lewo i na prawo, po czym wspina się po ogołocnym z liści klonie, aby zdobyć przysmaki ukryte w pojemniku. Obawiam

się, że się rozczaruje. Od ładnych kilku dni go nie uzupełniałam. Przyglądam się stworzeniu i całkiem się zatracam w jego świecie, gdy nieoczekiwanie do mojej własnej rzeczywistości przyzywa mnie dźwięk dzwonka przy drzwiach.

Przełączam ekrany, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Byłoby to nawet fajne, gdyby nie powód, dla którego ta instalacja w ogóle się tu pojawiła. Na ganku cierpliwie czekają Hayes i Alice. Zamykam laptopa i idę im otworzyć.

– Cześć, wejdźcie.

Hayes bierze mnie w objęcia, ale córka szybko go odpycha.

– Proszę, to dla ciebie, Molly – mówi, wręczając mi pudełko przewiązane sznurkiem. – Muffinki cytrynowo-makowe. Sama piekłam.

– Dziękuję, Alice.

Przyjmuję od niej pakunek i obejmuję ją ramieniem.

– Jak sobie radzisz? – pyta Hayes.

Odwija szalik, odsłaniając czarny golf. Jego ciemne włosy kręcą się w nieładzie.

– Wszystko w porządku.

Stawiam pudełko na stole i odbieram od nich płaszcze. Alice zdejmuje czerwoną czapkę z pomponem i wciska ją między zwinięte w moich ramionach okrycia.

Siadamy przy kuchennym stole z herbatą i muffinkami. Alice splotła swoje długie jasne włosy w dwa warkocze, przez co wygląda jak mała Szwajcareczka. Patrzy na mnie ogromnymi szarymi oczami, w których jak zawsze maluje się powaga. To jedenastolatka, której lada moment stuknie czterdzieści pięć lat. Tak mówi Hayes.

Teraz zaś ujmuje moją dłoń.

– Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

– Na tyle, na ile to możliwe – odpowiadam.

– Księgarnią się nie przejmuj. Możesz wrócić, jak tylko poczujesz się na siłach.

Alice marszczy brwi.

– Sharon bardzo chętnie weźmie za ciebie godziny, Molly.

Uśmiecham się na tę myśl. Alice i Sharon dogadują się, delikatnie rzecz ujmując, nie najlepiej. Sharon ma sześćdziesiąt dwa lata i chętnie wciela się w rolę eksperta w dziedzinie wychowywania dzieci. Jej zdaniem Alice powinna opuścić progi księgarni i zaznajomić się w centrum handlowym z piskliwymi dziećmi,

względnie zająć się ściąganiem na siebie lubieżnych chłopięcych spojrzeń. Alice oburza się na ten pomysł, uważa go bowiem za niepoważny.

– Właściwie to myślałam, żeby w piątek wrócić – mówię, choć do tej pory jeszcze nie rozważałam żadnej konkretnej daty. – Dobrze mi zrobi, jeśli będę miała czym zająć myśli.

Wstaję od stołu i idę do holu po laptopa.

– Policja ma jakiś trop? – pyta Hayes po moim powrocie.

– Na razie nie. Ale mają nagranie, na którym jakiś facet zmierza w stronę naszego domu w sobotę w nocy, a ja... – przetykam ciężko ślinę – właśnie wczoraj widziałam kogoś w pracowni Jaya. Wybiegł na ulicę, zanim zdążyłam zadzwonić na numer alarmowy.

– O, Boże, Molly! Trzeba było dać mi znać. Przyjechałbym od razu.

– Wszystko w porządku. Przyjechała policja, zostali ze mną do rana. Potem pojechałam do komendy, żeby złożyć zeznanie.

– Ależ się musiałaś przestraszyć – stwierdza Alice. – A co to jest?

Wskazuje na obrazy, które wyświetliłam przed chwilą i które teraz przeklikuję jak dziecko bawiące się nowym gadżetem.

– To mój system alarmowy. Teraz będą mogła zobaczyć, czy ktoś się nie kręci w pobliżu domu. Albo czy nie wszedł do środka.

Hayes wzdycha.

– To dobrze.

Przeczesałam dłonią włosy, ale osiąga chyba efekt odwrotny do zamierzonego.

– Ja się od tego czuję lepiej. Choć zastanawiam się, czy nie sprawić sobie jeszcze psa.

– Słusznie – mówi Alice. – Pies byłby nawet lepszy.

– Hayes. – Odchrząkuję. – Policja pokazała mi terminarz Jaya. Z jednego wpisu wynikało, że w zeszły czwartek jedliście razem lunch. O co chodziło?

On lekko się rumieni, a następnie poprawia okulary w ciemnych oprawkach.

– Jay chciał ze mną porozmawiać o waszej rocznicy.

– A, no tak. To już niedługo – mówię, a jednocześnie zupełnie tracę rezon.

Wzięliśmy ślub w walentynki. Wiem, że dość to banalne, ale decyzja miała bardzo spontaniczny charakter, a nam nie zależało na wielkim weselu, które by wymagało wielu miesięcy planowania. Postanowiliśmy zaprosić przyjaciół i rodzinę do domu w górach na uroczystość i skromne przyjęcie. Ten wybór lokalizacji nie do końca mi odpowiadał, ale ani w domu Jaya, ani w moim mieszkaniu byśmy się nie pomieścili. A tak nie musieliśmy szukać niczego na ostatnią chwilę. Jay uważał, że to będzie świetny pomysł, a ja chciałam być jak wszyscy. Ostatecznie dom, niezależnie od swojego pierwotnego przeznaczenia, nie powinien stanąć mi na drodze do budowania mojej wymarzonej tożsamości. Nie chciałam już być człowiekiem, który boi się starych konstrukcji i mrocznych piwnic, więc się zgodziłam.

– A dlaczego rozmawiał o tym akurat z tobą? – pytam nieco ochrypłym tonem.

– Chciał zorganizować dla ciebie podróż niespodziankę. Uznał, że może mu coś podpowiem.

Spośród naszych znajomych Hayes ma niewątpliwie największe doświadczenie podróżnicze. Sporo jeżdżą z Alice po świecie i zawsze przywożą z tych wojaży jakąś pamiątkę dla Jaya i dla mnie. Filiżanki z Londynu. Wełniane koce z Irlandii. Kimono dla niego i dla niej z Japonii.

– A...

W oczach znów stają mi łzy. Jay i ja też lubiliśmy podróżować, choć nie mieliśmy okazji robić tego tak często, jak byśmy chcieli. Naszym największym osiągnięciem był tygodniowy wypad do Paryża przed dwoma laty. Przyciskam do oczu chusteczkę i sączę herbatę.

Hayes klepie mnie po dłoni.

– Jesteśmy tu wszyscy dla ciebie, Molly.

ROZDZIAŁ 18

RITA

Ponury szary budynek góruje nad gołymi zimowymi polami. Okalają go betonowe mury w górnej części zwieńczone koroną z drutu kolczastego. Podjeżdżamy do więzienia pchani podmuchami wiatru, który swobodnie miota ogołoconymi z liści gałęziami drzew.

Doktor Bradley złożył wniosek o możliwość odbycia widzenia z niejakim Tylerem White'em i uzyskał zgodę na to spotkanie. Dwudziestosześcioletni osadzony przebywa w zakładzie karnym od trzech lat. Zanim trafił za kratki na mocy bieżącego wyroku, zdołał zgromadzić całkiem pokaźną kartotekę jako nieletni. Ma na koncie zażywanie narkotyków i kradzieże, nie odnotowano jednak żadnych aktów o charakterze gwałtownym czy istotnie zakłócającym porządek publiczny. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, matka umieściła go w zakładzie psychiatrycznym. Twierdziła, że jej syn ma urojenia i stanowi dla niej zagrożenie, ponieważ już kilkakrotnie ją atakował. Po półrocznym leczeniu ośrodek go jednak zwolnił. Tyler White wrócił do matki i zdawał się radzić sobie nieźle. Tak w każdym razie wynikało z dokumentacji. Pewnego ciepłego czerwcowego popołudnia po powrocie z pracy matka usłyszała jednak od Tylera, że jego pies, ślepa suczka labradora imieniem Lady, uciekła z domu i pobiegła do pobliskiego lasu. Louise White wyruszyła na poszukiwania. Wędrowała pośród drzew, cały czas wołając psa, a syn szedł za nią tak, aż w końcu znaleźli się z dala od ludzkich siedzib. Tam ją zawołał, a gdy się odwróciła do niego przodem, zastrzelił ją z łuku. Potem wrócił do domu, gdzie Lady spała smacznie u niego w pokoju. Tyler egzystował sobie spokojnie przez kolejnych sześć dni, zamawiając pizzę i grając w gry wideo. Dopiero po tym czasie policja znalazła ciało Louise White oparte o sosnę w lesie, z jedną strzałą wystającą z piersi, a drugą wbitą w oko.

Jak się okazało, Tyler zabił również dwoje nastolatków, którzy uciekli z domu. Policja poszukiwała ich przez cztery miesiące, a ciała znaleziono w tym samym lesie.

Nie wiem, czy dowiemy się od niego czegokolwiek istotnego, ale na razie żadnych większych postępów nie udało nam się poczynić i zaczynam się niecierpliwić.

Ściany pomieszczenia, w którym się znajdujemy, zostały zbudowane z betonowych pustaków i pomalowane na więzienny szary kolor. Nie ma tu okien, jest za to podrapany metalowy stół, przy którym stoją trzy krzesła. Jasnowłose brzuchaty strażnik wprowadza Tylera White'a do pokoju i sadza go na krześle naprzeciwko nas. Chłopak jest chudy jak szczapa. Ramiona ma pokryte amatorskimi tatuażami. Wnioskując po tym, że bezmyślnie wbija wzrok w ścianę, zapewne znajduje się pod wpływem jakichś leków. Jedno z jego niebieskich oczu pozbawionych blasku ucieka na bok, jakby żyło własnym życiem. Rzadkie, proste włosy w niedookreślonym brązowym kolorze wyglądają, jakby nikt ich nie obcinał już dobrych kilka miesięcy.

– Panie White – zaczynam, a wtedy sprawne oko przenosi się na mnie. – Dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać. – Przedstawiam najpierw siebie, potem Chase'a. On nie odpowiada, więc mówię dalej. – Rozmawiał pan w zeszłym tygodniu z niejakim doktorem Bradleyem. Czy pan to pamięta?

Więzień parska kpiąco.

– Pewnie, nie jestem opóźniony w rozwoju ani nic.

W kącikach jego popękanych ust pieni się ślina.

– Nic takiego nie chciałam sugerować – mówię.

Chase odchrząkuje i odruchowo sięga do kieszeni po telefon. Dopiero po chwili się orientuje, że musiał go zostawić w więziennym depozycie.

– Dlaczego zgodził się pan z nim rozmawiać?

Tyler chwilę wierci się na krześle i drapie po plecach, jakby się dopiero obudził.

– On pisze książkę. Zapytał, czy może przeprowadzić ze mną wywiad.

– Zgodził się pan?

– To chyba jasne, skoro z nim rozmawiałem. – Zaczyna pocierać palce, a potem bacznie im się przygląda, jak gdyby właśnie dotknął czegoś bardzo interesującego. – Tu nic innego nie ma do roboty.

– A o czym rozmawialiście?

Tyler ciężko wzdycha.

– O tym samym, o co pytali wszyscy inni lekarze: czy postanowiłem zabić matkę dlatego, że miałem beznadziejne dzieciństwo.

– A co mu pan powiedział?

– Prawdę. – Wbija palec wskazujący w blat stolika. – Zabiłem Louise w samoobronie.

– Jak pan to rozumie?

– Ona mną całe życie poniewierała. Dosłownie wszystko było moją winą. – Spogląda mi prosto w oczy. – Poza tym ona też miała jakieś moce.

– Moce?

Opuszcza głowę i mówi dalej drżącym głosem:

– Wiedziała różne rzeczy. Znała różne tajemnice. Nie umiem tego opisać. – W pokoju nastaje cisza. Słysząc tylko tykanie zegara na ścianie. W końcu Tyler się prostuje, wbija wzrok we mnie i Chase'a, a potem szepcze: – Ona mnie zamierzała zabić. Słyszałem, jak z kimś o tym rozmawiała.

– A z kim?

Dolna warga zaczyna mu lekko drżeć.

– A skąd, do licha, miałbym wiedzieć? Nigdy tego gościa nie widziałem. – Z gardła Tylera wydobywa się dziwny, niski dźwięk, a potem czuję na sobie spojrzenie jego oczu. – Więc to było na zasadzie: ona albo ja.

– Czyli znalazł się pan w sytuacji bez wyjścia?

– Właśnie. W sytuacji bez wyjścia. Nie miałem wyboru. To im właśnie ciągle powtarzam.

Kręci głową, jakby próbował przemieścić coś, co mu utkwilo w mózgu.

– Aha. A o co jeszcze pytał pana doktor Bradley?

– Niechże się chwilę zastanowię. – Przymyka powieki, po czym jego twarz rozciąga się w uśmiechu. Sprawne oko się otwiera i próbuje przewiercić mnie na wylot. – Chciał wiedzieć, w którym momencie przestawił mi się przełącznik.

– To znaczy?

– W którym momencie z normalnego faceta zmieniłem się w zabójcę. Co się zmieniło... – Przenosi wzrok na ścianę i wpatruje się w nią uporczywie przez

dłuższą chwilę, nawet nie mrugając. – Jakbym ja to wiedział. Ja się przecież nie zmieniłem. Zawsze byłem tym samym człowiekiem. Tak właściwie to nie rozumiałem, o co mu chodzi. Potem jednak zapytał, czy zanim zabiłem matkę, to wyobrażałem sobie, jak by to było.

– A zastawiał się pan?

Tyler White wzrusza chudym ramieniem.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Powiedziałem mu, że to bardzo osobista sprawa. Fantazje człowieka to zawsze jego osobista sprawa, nie wydaje się pani? Nikogo nie powinno obchodzić, co się dzieje w czyjejs głowie.

Nie mam wrażenia, żeby ta rozmowa do czegośkolwiek prowadziła.

– A czy on wspominał o innych ludziach, z którymi prowadził wywiady na potrzeby swojej książki?

Wąskie usta Tylera wykrzywają się w uśmiechu.

– Powiedział, że jestem pierwszy. Że do mnie przyjechał w pierwszej kolejności.

Rozpieram się na krześle i spoglądam na zegar.

– A czy pan wie, że ktoś zabił doktora Bradleya w zeszłą sobotę w nocy?

– Chyba sobie pani jaja ze mnie robi. – Uśmiecha się szeroko i niemal podrywa się z krzesła. Pod wpływem tego ruchu uderza mnie fala powietrza przesycona jego zapachem. – A wiadomo, kto to zrobił?

– Nie. A pan ma jakieś przypuszczenia? Czy wspominał panu może, że boi się kogoś?

To strzał zupełnie w ciemno, ale kto wie?

Tyler opada na oparcie krzesła i splata ręce, brzęcząc przy tym kajdankami. Kiwa głową, jakby się intensywnie nad czymś zastanawiał.

– Nie. Nic takiego nie powiedział. – Nieoczekiwanie znów się ożywia, jakby podane mu leki nagle przestały działać. – To dopiero podróż przez życie, co? Facet rozpoczyna badania nad mordercami i ginie zamordowany. Wariactwo jakieś! Czyli on nie żyje. No cóż, beznadzieja.

– Rzeczywiście, tkwi w tym pewna ironia. A o czym jeszcze rozmawialiście?

Tyler robi głęboki wdech i zaczyna bębnić palcami po stole, wygrywając na nim metaliczny rytm. Wyraźnie zaczyna się nudzić.

– Czyli nie będzie o mnie w książce?

– Nie wiem. Być może ktoś z jego współpracowników ją dokończy – mówię w nadziei, że uda mi się go na nowo zainteresować.

On jednak kiwa tylko głową i odwraca się do strażnika.

– Tyler! – wołam, więc znów spogląda na mnie. – A czy pytał o te dwie dziewczyny, które znaleziono w lesie za twoim domem?

Więzień marszczy brwi.

– Nie chcę o nich rozmawiać. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– No dobrze, a czy pamiętasz coś jeszcze z rozmowy z doktorem Bradleyem?

Znów wzrusza ramionami, tym razem obydwoma.

– Zbliża się pora kolacji – oznajmia. – Dziś będzie pizza.

– Prawie skończyliśmy. Czy pamiętasz cokolwiek, co doktor Bradley mówił na temat innych osób?

Tyler podnosi się do pozycji stojącej, a strażnik natychmiast do niego przystępuje.

– Jestem gotowy wracać.

– Zaczekaj, Tyler. Czy pamiętasz z tej rozmowy coś jeszcze?

On kręci głową i zwraca się do strażnika:

– Tom, dziś pudding czekoladowy. Z posypką.

I wychodzą.

ROZDZIAŁ 19

MOLLY

Zamiast spać, pół nocy wpatrywałam się w obraz z kamer. Nic ciekawego się nie działo, ale i tak nie mogłam oderwać wzroku od ekranu. Mężczyzna już nie wrócił, a w każdym razie ja już go nie widziałam. Ulżyło mi w związku z tym. Mam nadzieję, że albo znalazł to, czego szukał, albo doszedł do wniosku, że nie ma tego w pracowni Jaya.

Podjeżdżam właśnie pod schronisko dla zwierząt, które mieści się na obrzeżach Graybridge. Gdy się poznaliśmy, Jay miał czekoladowego labradora imieniem Winston. Byliśmy razem zaledwie pół roku, gdy pojechaliśmy we dwoje go uśpić. Miał trzynaście lat i toczył go rak. Płakaliśmy jak bobry przez całą drogę do domu. Regularnie co miesiąc wpłacaliśmy datki na schronisko. Rozmawialiśmy też o tym, żeby adoptować następnego psa, ale teraz już tego wspólnie nie zrobimy.

Ja sama nigdy nie opiekowałam się zwierzakiem. Dopóki mieszkałam z rodzicami, matka nie zgadzała się na psa, twierdząc, że ma alergię. W końcu się zorientowałam, że to jest tylko wymówka. Ona po prostu nie chciała dodatkowych obowiązków. U nas w domu wszystko musiało działać jak w zegarku. Wszystko musiało się zawsze znajdować na swoim miejscu. Rozszalały szczeniak zwyczajnie nie mieścił się w takim układzie.

To między innymi dlatego w dzieciństwie tak bardzo lubiłam niedziele: bo zawsze w ten dzień odwiedzaliśmy dziadka Wrighta. Był wdowcem i mieszkał na niewielkiej farmie na całkowitym odludziu. Miał dwa opaste beagle, które się nazywały Sparky i Thumper. Uwielbiałam je. Rodzice nigdy nie chcieli zbyt długo tam zostawać, a po powrocie do domu matka zawsze wstawiała mnie prosto do wanny.

Wzdycham ciężko i przekraczam próg schroniska. Przy biurku siedzi kobieta w średnim wieku w wyblakłych dzinsach i bluzie z czarnymi odciskami łap.

Siwiejące włosy ma związane w kucyk, co tylko podkreśla pucułowatość jej nieumalowanej twarzy.

– Chciałabym adoptować psa – mówię.

– Rozumiem – odpowiada i wskazuje mi podkładkę z dokumentami. – Proszę wypełnić tamte formularze. – Podaje mi długopis zakończony dużym plastikowym kwiatkiem. – A jakiego psa pani szuka?

– Nie szczeniaka. – Chwilowo nie mam siły na jakąkolwiek tresurę. – Może takiego paroletniego. Takiego, który by się umiał zachowywać w domu.

– Jasne. – Kobieta wstaje i kładzie dłoń na pulchnym biodrze.

– Takiego raczej większego. Najlepiej, żeby donośnie szczekał.

– Nie znajdzie pani u nas psów stróżujących – zaznacza, mrużąc oczy.

Unoszę wzrok znad formularza.

– A, nie, nie... Chciałabym adoptować psa towarzyszącego. Miłości mu czy też jej na pewno u mnie nie zabraknie. Mieszkam w domu. Będę dobrym opiekunem.

– Aha. – Wychodzi zza biurka i zagląda mi przez ramię, dokładnie w momencie gdy przewracam kartkę. – Wypełniać skończy pani za chwilę. Może pójdzie pani ze mną? Zobaczymy, czy znajdzie się jakiś odpowiedni zwierzak.

Napiera biodrem na drzwi i przestrzeń od razu wypełnia się skowytem i szczekiem.

Cofam się przerażona.

– Nie. Wolałabym, żeby to pani mi jakiegoś psa wybrała i przyprowadziła.

Ona znów spogląda na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego?

Przygryzam wargi. Nie chciałabym wyjść na wariatkę, ale nie zdołam tam wejść i się nie rozpaść.

– Zdam się na panią. Strasznie mi się smutno robi na ten widok.

Kobieta wzdycha ciężko, jakby pracowała w ekskluzywnym butiku i miała do czynienia z trudną klientką.

– No cóż, chwilowo rzeczywiście mamy pełno. Czyli chce pani dużego psa?

– Niekoniecznie takiego pod sto kilogramów. Może takiego rozmiarów labradora?

– A może być mieszaniec?

– Tak, oczywiście.

– Kilkuletni, nie szczenię.

– Tak. Czy pies, czy suczka, zupełnie mi obojętne.

Kobieta nic więcej nie mówi, tylko przechodzi przez drzwi i pozostawia je, aby się same zamknęły.

Kilka minut później wraca, prowadząc na smyczy czarnego psa.

– To jest Sadie. Mieszaniec owczarka i labradora, między innymi.

Wyciągam rękę do suczki, żeby mnie mogła powąchać, a potem głaszczę ją po głowie. Pies z początku zachowuje się nieśmiało, ale gdy chcę cofnąć rękę, lizę mnie po niej.

– Idealna będzie.

– Jest tu od paru miesięcy.

– A co się z nią działo wcześniej?

Kobieta parska lekko.

– Trafiła tu, bo właściciele się przeprowadzali i nie mogli jej zabrać do nowego mieszkania.

– A dlaczego nie szukali takiego, w którym można by trzymać psy? Nie brakuje przecież takich.

– To klasyczna wymówka, którą ludzie podają, gdy już im się nie chce dbać o zwierzaka.

Sadie spogląda na mnie i macha ogonem, a ja od razu się w niej zakochuję.

– Z nami tak nie będzie. Mój mąż i ja uważamy, że zwierzak to domownik i zostaje z rodziną na zawsze.

Wyraz twarzy kobiety zmienia się w jednej chwili. Teraz się do mnie uśmiecha.

– No dobrze, pani Bradley. Sadie wydaje się zadowolona. Proszę wypełnić do końca te druczki i jeśli tylko wszystko będzie okej, zyskacie państwo z mężem nowego domownika.

Nie mam serca jej wyznać, że Jay nie żyje i że będziemy z Sadie same.

– Dziękuję. Świetnie to słyszeć.

W drodze do domu zatrzymujemy się w sklepie zoologicznym. Kupuję cały sprzęt, którego będzie potrzebowała Sadie: jedzenie, zabawki, miękkie legowisko, stalowe miski. Suczka początkowo wchodzi do domu ostrożnie, muszę ją do tego aktywnie zachęcać. Przeklinam w duchu jej poprzednich właścicieli. Mojej nowej towarzysze wyraźnie brakuje pewności siebie. Zachowuje się tak, jakby spodziewała się w każdej chwili dostać burę. Za to świetnie chodzi na smyczy, a gdy w końcu udaje mi się ją namówić, żeby weszła do domu, nie odstępuję mnie na krok. Odkładam psie rzeczy, taszcę piętnastokilowe opakowanie suchej karmy do pralni, a potem myję nowe miski i jedną z nich napełniam wodą.

Dzwoni telefon stacjonarny, więc wolną ręką – tą, w której nie trzymam jedzenia dla zwierząt – podnoszę słuchawkę.

– Pani Bradley?

Przez chwilę milczę, bo nie rozpoznaję głosu.

– Tak?

– Dzień dobry, z tej strony George Barton ze sklepu wielobranżowego w Mountclair...

– Ach, tak. Tak, słucham?

– Dostaliśmy to okno, które zamówił Jay. Przekazuje mu pani informację?

Przełykam ciężko ślinę.

– Tak, oczywiście. Dziękuję, panie Barton.

Odkładam słuchawkę, bo nie mam ochoty dalej prowadzić tej rozmowy. Dlaczego nie potrafiłam powiedzieć mu o Jayu? Będę przecież musiała zacząć informować ludzi spoza okolicy, że mój mąż nie żyje. Mountclair to niewielkie miasteczko w New Hampshire. Leży u podnóża gór, w których mamy dom. Tam się zaopatrujemy. Tam też radośnie wędrowaliśmy pośród półek z konserwami i przekąskami, podziwiając przez witryny rzędy piw i słodzonych napojów na chłodzonych półkach. W jednym rogu sklepu stoją nafta i sprzęt kempingowy, bo kupić tam można wszystko, co mogłoby się przydać podczas weekendowego wypadu w góry. W sobotę poprzedzającą urodziny Jaya byłam akurat w pracy, więc on tam pojechał sam. Powiedział, że zabił wybite okno deskami i że zamówił u George'a nową szybę. Przysiadam na krześle w kuchni. Znów coś, czym się muszę martwić. Słyszę stukot pazurów na drewnianej podłodze. Sadie podchodzi do mnie i kładzie mi głowę na kolanach.

ROZDZIAŁ 20

MOLLY

Poniedziałek nie wita mnie słońcem, bo ono chowa się gdzieś za gęstymi chmurami, które zimową porą na Północnym Wschodzie stanowią w zasadzie dość typowy widok. Graybridge Books mieści się w narożniku budynku. W środku akurat światła nie brakuje. Zrobiło się chłodniej, z nieba spadają na chodnik grube płatki śniegu, który powoli pokrywa wszystko warstwą bieli. Rano wzięłam prysznic, włożyłam wąskie czarne spodnie i zielony sweter. Umalowałam się raczej dyskretnie, tylko na policzki nałożyłam nieco więcej różu, żeby ukryć cienie pod oczami.

Muszę się trochę wysilić. Jay by tego ode mnie oczekiwał. Powrót do pracy to krok we właściwym kierunku. Cóż innego miałabym dziś robić? Siedzieć w domu i rozmyślać o zaplanowanym na jutro pogrzebie? Idę więc chodnikiem i obserwuję, jak śnieg przykleja się do czarnej wełny mojego płaszcza. Płatki są idealne, to takie ulotne dzieła sztuki. Sadie drepcze przy mojej nodze, dumnie prezentując czerwoną uprząż i smycz. Zamierzam wszędzie ją ze sobą zabierać. Skoro inni ludzie mogą czerpać pocieszenie z obecności zwierzęcia, to ja również. Do całego jej wyposażenia postanowiłam domówić jeszcze kamizelkę psa towarzyszącego. Powinna przyjść za dzień czy dwa.

Alice wygląda na mnie przez witrynę, nad którą widnieją złote litery układające się w nazwę księgarni. Otwiera ciężkie drzwi, zanim jeszcze zdążę do nich podejść.

– Molly! Tata mówił, że dziś wracasz, ale nie wiedziałam...

Ona ma w zwyczaju zawieszać głos. Ubrana jest w fioletowy sweter, do którego założyła ręcznie robione koraliki. Długie włosy spływają jej po ramionach, a na powiekach dostrzegam jakby odrobinę różowego cienia. Dziewczynka nachyla się, żeby pogłaskać Sadie.

– Idealna jest, Molly. Własne takiego psa sobie dla ciebie wyobrażałam.

– Jest przesłodka – odpowiadam. – Odkąd ją wzięłam, nie odstępuję mnie na krok.

Za plecami Alice pojawia się Hayes. Kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Na pewno chcesz już wracać?

On również wyciąga rękę, żeby pogłaskać Sadie.

Kiwam głową.

– W domu zaczęło się robić duszno. – Przywołuję na usta wymuszony uśmiech. – A gdzie miałyby mi być lepiej, jeśli nie tutaj?

– Cieszymy się, że wróciłaś. – Hayes czym prędzej mnie obejmuje.

W drzwiach księgarni pojawiają się dwie starsze panie, więc schodzimy im z drogi. Witają się z nami i pospiesznie zmierzają do działu z romansami.

– Chętnie się już czymś zajmę – mówię, aby przełamać niezręczną ciszę.

– Świetnie – pada odpowiedź.

– A co słyhać? – pytam, rozglądając się wokół tak dobrze mi znanych wystaw i regałów.

– Niezbyt wiele się dzieje. Jak to po świętach.

– Przepraszam! – woła do nas jedna ze starszych pań. – Czy mogłabym prosić o pomoc w odszukaniu najnowszej Nory Roberts.

– Już podchodzę, pani Curtis.

Hayes odwraca się i rusza w jej kierunku.

– Zaczynam nowy dział z nauk społecznych, wiesz, Molly – oznajmia Alice.

Hayes uczy córkę sam i codziennie zabiera ją ze sobą do pracy. Często można ją zastać w dziale dla dzieci przed komputerem, bo tam odrabia zadania. Jeśli w księgarni dużo się dzieje, chowa się w biurze i wtedy pracuje za dużym, zabytkowym biurkiem ojca.

– A o czym?

– O Ameryce kolonialnej. Piszę pracę o procesach czarownic z Salem.

– Wow. To powinno być interesujące, tym bardziej że to się działo dokładnie tutaj.

– No... Powiedzmy, że niedaleko stąd. Nikt z Graybridge nie został oskarżony.

– To prawda.

Alice jest bardzo skrupulatna. Straciła matkę w wieku pięciu lat i odtąd Hayes wychowuje ją sam.

Teraz i on do nas podchodzi.

– Tam jest pudło z książkami, które trzeba rozstawić na półkach na górze. Poradzisz sobie? – pyta.

– Jasne.

Sadie i ja wspinamy się po drewnianych spiralnych schodach na pierwsze piętro. Stopnie lekko trzeszczą mi pod nogami. Znikamy w głębi działu dziecięcego, który zajmuje połowę tej przestrzeni. Tylną ścianę zdobi tu mural przedstawiający Beatrix Potter, Kubusia Puchatka i Tennielowskie ilustracje do *Alicji w Krainie Czarów*. To właśnie na cześć tej bohaterki Hayes nazwał swoją córkę. Centralne miejsce na tej ścianie zajmuje dumnie portret Amelii Mitchell, autorki powieści fantasy dla młodszej młodzieży. Wokół jej głowy krążą radośnie postaci z książek, a także wróżki i inne egzotyczne stworzenia. Pani Mitchell została przedstawiona w bajecznych, pastelowych barwach. Ma krótko przystrzyżone jasne włosy i elfie rysy twarzy, przez co śmiało mogłaby uchodzić za jedną z tworzonych przez siebie istot. Ma duże szare oczy, zupełnie jak Alice. Co oczywiście nie powinno dziwić, bo to jej matka. Zdążyła wejść na drogę sukcesu i opublikować cztery książki, ale jej karierę przerwała przedwczesna śmierć w wieku trzydziestu czterech lat.

Zatrzymuję się na chwilę i z podziwem patrzę na nasz prześliczny dział dziecięcy. Sama spędziłam tu wiele godzin, jeszcze zanim Hayes wrócił ze szkoły z internatem i kiedy jeszcze żona i córka były dla niego pieśnią przyszłości.

Wyjmuję książki z kartonu i napawam się ich charakterystyczną wonią. W całej księgarni pachnie papierem i trawą cytrynową, bo taki właśnie aromat rozsiewa dyfuzor umieszczony na ladzie na piętrze. Przez to wszystko tylko delikatnie i z trudem przedziera się niedający się z niczym pomylić zapach pleśni. To w końcu stary budynek. Bardzo mi tu dobrze pośród tych wszystkich książek. To była moja kryjówka. To jest miejsce, w którym znajdowałam i znajduję azyl po tym wszystkim, co się stało.

ROZDZIAŁ 21

RITA

Sobotni poranek jest tak chłodny, że psa by nie wygnał, jak mawiała moja babcia. Stawiamy się z Chase'em w kościele St. Mary's w najlepszych galowych strojach. Trzymamy się z tyłu, bacznie obserwując ludzi, którzy wchodzą i zajmują miejsca. Stare wnętrze wypełnia zapach kadzidła, a kolorowe światła witraży uzupełniają blask świec. Nieoczekiwanie dla siebie stwierdzam, że wpatruję się w wizerunki świętych odwzorowane w oknach. Na zewnątrz niebo jest zaciągnięte chmurami, ale od czasu do czasu aureola czy czerwona szata rozbłyska nagle za sprawą słonecznego promienia. Przypomina mi się dzieciństwo, gdy moja babcia przyjeżdżała z Maine w odwiedziny. Mama bardzo się wtedy spinała. Zależało jej, żebyśmy się dobrze zachowywali, zwłaszcza w kościele.

Podobnie jak większość rodzin z naszej okolicy, w niedzielę chodziliśmy wszyscy razem na mszę. Żeby się jako tako prezentować, najpierw przez dwie godziny toczyliśmy boje o łazienkę, więc gdy w końcu stłaczaliśmy się w jednej z tylnych ławek, moje siostry miały do wszystkich pretensje, starsi bracia się wściekali, a ja nadymałam gniewnie policzki, wciśnięta między Danny'ego a Jimmy'ego. W najważniejszym momencie nabożeństwa, gdy ksiądz unosił hostię, bracia kłuli mnie pod żebrami tak mocno, że wybuchałam śmiechem i ojciec musiał ich obu trzepnąć przez łeb. Choć utrzymanie w ryzach dziewiątki dzieci stanowiło nadludzkie wyzwanie, rodzina McMahanów co niedziela stawiała się w kościele, jak Pan Bóg przykazał. Mama gotowa była zrobić wszystko, byle tylko nie wychować bezbożników.

Chrząkanie Chase'a sprowadza mnie ponownie do tu i teraz. Ostatecznie przyszedliśmy oddać cześć zmarłemu i obserwować żywych, bo stara policyjna zasada głosi, że morderca często uczestniczy w wydarzeniach rozgrywających się na skutek jego zbrodniczego aktu. Wycieczka do więzienia nie przyniosła żadnych

rewelacji. Tyler White potwierdził jedynie, że doktor Bradley rozpoczął zbieranie materiałów do książki. O ile jednak można mu było wierzyć, zbyt wiele ich jeszcze nie zgromadził. Spoglądam na ludzi w kościele. Być może zabójca też tu gdzieś jest.

Pani Bradley siedzi w pierwszej ławce z siostrą, szwagrem i rodzicami. W czarnej sukience i ciemnym płaszczu, z włosami związanymi w kucyk, wygląda na jeszcze drobniejszą niż zazwyczaj. Przed ołtarzem stoi trumna tonąca w morzu białych kwiatów. Ksiądz i ministranci przygotowują się do nabożeństwa, a organy ulokowane na górze za naszymi plecami wypełniają świątynię rzewnym łkaniem. Zgromadzeni wstają. Sporo ich jest. Doktor Bradley był widać znaną osobistością.

Niski głos księdza niesie się echem pośród murów. Baczenie przyglądam się tym, którzy go słuchają. Przyjaciele Bradleyów, których dotąd przesłuchiwaaliśmy, przybyli w komplecie. Próbuje odgadnąć, kim mogą być pozostali żałobnicy. To oczywiście tylko sztuka dla sztuki, ale być może ktoś z tych ludzi mógłby rzucić nowe światło na tę na pozór całkowicie pozbawioną sensu zbrodnię.

Po zakończeniu ceremonii rodzina ustawia się na czele konduktu żałobnego w środkowej nawie. Pani Bradley zerka na mnie przelotnie, ale siostra szybko ją odciąga. Chase i ja pozostajemy na miejscach i staramy się obserwować twarze wszystkich osób opuszczających budynek.

Gdy w kościele nie ma już nikogo oprócz księdza i ministrantów przy ołtarzu, Chase zwraca się do mnie.

– Zauważyłaś coś ciekawego?

– Nie. A ty?

Kręci głową.

Najchętniej bym stąd nie wychodziła. Powoli idę wzdłuż ławek, mijając tkaniny zwieszane ze ścian między oknami. Przedstawiają one dwanaście stacji drogi krzyżowej. St. Mary's to piękny kościół, ale nasz parafialny wydawał nam się bardziej przytulny. To tam moje dwie starsze siostry brały ślub, tam odbył się pogrzeb mojego brata Ricky'ego. Byłam jeszcze dzieckiem, gdy zginął w Wietnamie. Nagle mnie to wspomnienie zalewa i przepełnia bezbrzeżnym smutkiem. To była wczesna lekcja niesprawiedliwości życia. W mojej dziecięcej głowie nie mogło się pomieścić, że mój wielki i silny brat, który nosił mnie na

barana, nigdy już nie wróci do domu. Przez wiele miesięcy nasłuchiwałam pod drzwiami, spodziewając się usłyszeć w korytarzu jego donośny głos.

Nadal mam ostatni list, który do mnie przysłał z Wietnamu. Gdy go dostałam, on już nie żył, więc mama wyjęła go z kupki korespondencji i schowała przede mną. Trzymała go w kieszeni starego swetra, z którym się nigdy nie rozstawała. Był zaadresowany do mnie, ale mama nie oddała mi go aż do śmierci. Gdy przesiadywała w kuchennym stole nad herbatą, miała w zwyczaju głaskać tę kopertę. Po jej śmierci niczego innego nie chciałam. Rozdzielaniem nielicznych rzeczy, które zostały po naszej matce, zajęła się moja siostra Maureen, najstarsza z dziewcząt i zdecydowanie najbardziej apodyktyczna wśród nas. Strasznie duże halo robiła wokół tego listu, aż w końcu osaczyliśmy ją z Dannym w kuchni i wtedy nam go oddała. Nigdy za mną nie przepadała, bo byłam najmłodsza i jej zdaniem potwornie rozpuszczona, ale Ricky wysłał ten list do mnie i – jak jej powiedział Danny – mama chciała go przekazać właśnie mnie.

Kręcę głową i wzdygam.

– Wracamy, Rita? – pyta Chase.

– Co? Tak, chwila. A czy ty myślisz, że sprawca wrócił po ten wisiołek?

– Możliwe. Doktor Bradley po coś go ukrył, i to zupełnie niedawno.

Znów wzdygam.

– Kto to może wiedzieć po co... Ale być może coś nam wpadnie w ręce. – Stoję nieruchomo przed ołtarzem. W nozdrzach czuję wyrazisty, słodki zapach kwiatów. – Chodźmy. Może Lauren coś ma.

ROZDZIAŁ 22

MOLLY

Jest coś dziwnego w tym, że ci wszyscy ludzie zebrali się po pogrzebie w moim domu. Czuję się trochę jak podczas urodzinowego przyjęcia Jaya, tyle że wszyscy są ubrani na czarno. Jest moja siostra, są rodzice, są też inni członkowie rodziny. Musieli przemierzyć cały stan Massachusetts, żeby tu przyjechać.

W niewielkim gronie tych, którzy tydzień temu w tym samym miejscu świętowali urodziny Jaya, przycupnęliśmy teraz przy kuchennym stole z drinkami i talerzami z jedzeniem. Wszystko zorganizowała Corrine, zamówiła catering z jakiegoś luksusowego sklepu w Bostonie. O napełnianie kieliszków dba Rich, który teraz przywołuje mnie z korytarza:

– Ciotka Ellen prosi o kieliszek białego wina, Molly.

– Hm, jasne. W piwnicy jest.

On zamiera w bezruchu. Rzadko kiedy bywa u mnie w domu. Nie wie, gdzie szukać piwnicy.

– Pokażę ci.

Idzie za mną do drzwi, a ja wspinam się na palce, żeby odblokować zamek. Spogląda na mnie pytającym wzrokiem, ale ja nie zamierzam tam schodzić. Nie dzisiaj i nie z nim.

– Wino jest na dole, po prawej stronie będą regały. Po lewej stronie masz włącznik.

Spiesznym krokiem cofam się do kuchni, którą wypełnia stłumiona kakofonia rozmów.

– Hayes wspominał, że wróciłaś wczoraj do pracy – mówi Laken.

– Tak. Dobrze jest wyjść z domu i porobić coś normalnego.

– Brawo ty – komentuje Laken. – Faktycznie powinnaś znaleźć sobie zajęcie.

– A skoro już mowa o zajęciu – mówię – to jakieś dzieciaki wybiły szybę na strychu w domu w górach. Jay tam pojechał dwa tygodnie temu, zamówił nowe okno u pana Bartona. On dzwonił do mnie z informacją, że przyjechało. Pewnie musiałabym tam pojechać. – A wolałabym nie jechać, a już zwłaszcza nie sama.

Scott, który stoi oparty o framugę kuchennych drzwi z butelką piwa w dłoni, nagle się prostuje.

– Ja je mogę wstawić, Molly. Nie musisz sobie tym zaprzętać głowy.

– Będę ci bardzo wdzięczna.

Kim robi głęboki wdech.

– Całe wieki już minęły, odkąd tam razem byliśmy.

Uśmiecham się lekko. Gościliśmy ich tam z okazji hucznych obchodów czwartego lipca, które zostały połączone z moimi urodzinami.

– Mogę ci pomóc, Scott – proponuje Cal.

– Poradzę sobie – odpowiada Scott. – Ale czemu nie.

Hayes spogląda na mnie badawczo.

– Nie bierz na siebie za dużo na raz, Molly. Jay powiedział, że zabezpieczył to okno deskami. – Wbija wzrok w blat stołu. – Wspominał mi o tym, gdy się umówiliśmy na lunch.

Josh, który siedzi obok Kim, obejmuje ją i mówi:

– Zimą na drodze bywa ślisko. A wczoraj spadło dużo śniegu. Może więc lepiej będzie poczekać.

Wzruszam ramionami.

– Nie ma pośpiechu.

Zresztą najchętniej w ogóle bym się nie zajmowała domem w górach.

Biorę z blatu butelkę z winem i napełniam sobie kieliszek. Do pokoju wchodzi Alice z tacą pełną ciasteczek. Ma na sobie koronkową czarną sukienkę i rękawiczki, które wyglądają jak z poprzedniej epoki. Pewnie kupiła je w jednym z tych sklepów z ciuchami retro, w których tak się lubi zaopatrywać.

– Wybierasz się do domu w górach, Molly? – pyta.

– Prędzej czy później będę musiała.

Alice wzdycha. Ona również była tam z ojcem latem zeszłego roku. Większość czasu przesiedziała na tarasie ze szkicownikiem. Zbierała też polne kwiaty nad

rzeką.

– Mogłabym pojechać z tobą, gdybyś miała ochotę na towarzystwo.

Odstawia talerz na ladę.

– Sadie stoi pod drzwiami do ogrodu. Mam ją wypuścić?

– Tak, poproszę.

– Molly! – Matka woła mnie z pokoju.

Alice się krzywi. Wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy.

Chwilę rozmawiam z przybyszami z moich rodzinnych stron. Ciotki, wujowie i kuzynka przyjechali z Albany. Nic nas specjalnie nie łączy, niezbyt dobrze się też czuję w ich towarzystwie. Moja matka, nie wstając z sofy, chwyta mnie za rękę i ściska.

– Czy wszystko w porządku? – pyta szeptem. – Nie widziałam cię w ogóle, odkąd przyjechaliśmy z kościoła.

– W porządku. Jestem zajęta w kuchni.

Ojciec wstaje i podnosi kieliszek wuja Jima. Klepie mnie po ramieniu i odchodzi. Siadam obok matki, bo konwenanse zobowiązują mnie do nawiązania rozmowy. Wypełniam swoją towarzyską powinność, ale staram się poruszać sprawy związane z funkcjonowaniem księgarni, pogodą albo moim zachwytem nad Graybridge. Mówię też o Sadie i w ogóle o wszystkim, byle tylko nie myśleć o tym, co jej teraz na pewno chodzi po głowie: *Jak ona sobie poradzi? Czy na pewno wytrzyma? Po tym wszystkim, co przeszła... Nikt chyba by sobie nie poradził...*

Zamieniam z każdym po dwa zdania i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wracam do kuchni. Trudno mi się oprzeć wrażeniu, że moi przyjaciele i rodzina z Graybridge zgromadzili się w jednym miejscu i że wyraźnie odcinają się od ludzi z mojej przeszłości. Tak to chyba powinno zostać. W korytarzu zbaczam jednak z trasy i wychodzę na werandę. Potrzebuję chwili spokoju, otwieram więc drzwi i łykam chłodne powietrze. Ziąb mi nie przeszkadza. Muszę odpocząć. Siadam na rozkładanym fotelu, który odziedziczyliśmy po poprzedniej właścicielce domu. To relikwium przeszłości. Ma plastikową ramę i wyblakłe poduszki w żółte kwiaty. Skrzypi, gdy się ugina pod ciężarem mojego ciała. Wpatruję się w szarość popołudnia. Za oknem leniwie opadają płatki śniegu. Podążam wzrokiem najpierw za jednym z nich, potem odprowadzam na ziemię drugi.

– Molly! – W drzwiach staje Corrine. – Wszystko w porządku?

Ocieram łzę z policzka.

– No tak...

Moja siostra dołącza do mnie i zamyka za sobą drzwi. Siada na rattanowym krześle naprzeciwko mnie.

– Zimno tu.

– Zaraz wracam do środka.

Ona odchrząkuje i zaczyna bawić się rąbkiem sukni firmowanej przez Verę Wang.

– Ja wiem, że to nie jest łatwe, tym bardziej że z domu wszyscy przyjechali.

– Przecież chyba nic nie powiedzą? – Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Nie, Molly. Przecież wiesz. Nikt by czegoś takiego nie zrobił.

Tata już dawno temu dał wszystkim jasno do zrozumienia, że tutaj, w Graybridge, o przeszłości należy milczeć. Mimo to się martwię.

Robię głęboki wdech i znów spoglądam na płatki śniegu.

– A nie wydaje ci się, że powinnaś z kimś porozmawiać? – sugeruje Corrine.

Już ja dobrze wiem, co ona ma na myśli. Pół życia spędziłam na terapii.

– Pewnie powinnam.

– A Elise wie?

Kręcę głową.

– Tutaj nikt nie wie, Corrine. Oprócz Jaya. Chcę, żeby tak pozostało. Przecież to właśnie po to przeprowadziliśmy się do Graybridge, czyż nie? Żebyśmy mogli tu żyć normalnie. Żeby nikt nie wiedział, kim jestem.

Nie przechodzi mi to przez gardło. Nie potrafię wypowiedzieć na głos tego określenia, którym posługiwały się media, gdy o mnie mówiły. Dziewczynka z piwnicy.

– No tak, oczywiście. Tylko że skoro Jay...

– Poproszę Elise, żeby mi kogoś poleciła. Powiem jej, że potrzebuję pomocy w związku z jego śmiercią.

To oczywiście prawda, choć nie wydaje mi się, żeby terapia mogła mi jeszcze jakoś pomóc. Odbyłam już w życiu dość sesji. Zaliczyłam swoje. Pora zaakceptować życie takim, jakie ono jest. Przez ostatnich pięć lat miałam Jaya.

Z nim zawsze mogłam porozmawiać. Do niego mogłam się przytulić w nocy, gdy dręczyły mnie koszmary. On ocierał z moich policzków łzy, gdy coś przywołało trudne wspomnienie. Teraz jego już nie ma. Zostałam sama. Jeśli mam przetrwać, muszę sobie jakoś z tym wszystkim poradzić sama. Corrine bierze mnie za rękę.

– Straszliwy tu ziąb, Molly. Chodźmy do środka.

Wstaję razem z nią i daję się jej objąć ramieniem. To w końcu moja troskliwa starsza siostra. Jej przeszłość jest trwale spleciona z moją i ona też to wszystko bardzo przeżywa.

ROZDZIAŁ 23

RITA

Nie chciało mi się wracać do domu, żeby się przebrać, jadę więc do komendy w ciuchach z pogrzebu. W drodze do mojego gabinetu prawie wpadam na Douga Schmitta, który również pracuje w naszym wydziale jako detektyw.

– Cześć, Rita. Jaka ładna sukienka.

– Rany, dzięki, Doug. Wyglądam prawie tak paradnie jak ty.

On w ciemnym garniturze uszytym na miarę i z kubkiem kawy w dłoni prezentuje się jak z żurnala. Bardzo dba o wygląd, zupełnie jakby w pracy najbardziej cenił te chwile, w których ktoś go pomylił z dziarskim bohaterem jakiegoś filmu kryminalnego. Idę dalej w swoją stronę, ale on podąża krok w krok za mną.

– Słyszałem, że masz na tapecie morderstwo – mówi.

– Na to wygląda.

Zatrzymuje się w drzwiach swojego gabinetu, zanurza usta w kawie.

– Jak to jest, że najciekawsze rzeczy dzieją się akurat pod moją nieobecność?

– Następne morderstwo postaramy się zaplanować tak, żebyś zdążył wrócić z wakacji.

Uśmiecha się co najmniej tak, jakby to był doskonały dowcip. Bardzo go uwiera, że najgłośniejsze sprawy szef przydziela mnie. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy, że mam piętnaście lat doświadczenia więcej niż on.

– No to powodzenia – rzuca i znika u siebie.

Akurat włączam komputer, gdy w drzwiach pojawia się Chase.

– Lauren powiedziała, że zwolnili telefon pani Bradley.

– Okej. A coś tam znaleźli?

– Nic. – Chase odchrząkuje. – Jeśli chcesz, mogę do niej pojechać. I tak się wybierałem do domu. Dzisiaj właściwie miało mnie nie być w pracy.

– No tak. – Zdążyłam już o tym zapomnieć. – A to nie kłopot?

On ucieka wzrokiem w stronę okna.

– Żaden. Nawet nie muszę nadkładać drogi.

– A może powinniśmy się trochę z tym wstrzymać? – sugeruję, kładąc rękę na biodrze. – Dopiero co pochowała męża.

– Jej chyba zależało, żeby odzyskać ten telefon. Może poczuje się od tego lepiej.

– Pewnie racja. No dobrze, to jedź.

Po jego wyjściu wysyłam na numer pani Bradley zdjęcie wisiora. W wiadomości pytam, czy może wie, do kogo on należy.

Do mojego gabinetu wkracza Lauren z laptopem pod pachą.

– Chyba coś mam, Rita!

Opada na krzesło naprzeciwko mnie. Zwykle nie ekscytuje się bez powodu, więc jej zdecydowanie od razu przykuwa moją uwagę.

– O co chodzi?

– No więc tak – zaczyna i ustawia komputer na skraju mojego biurka. Widocznie potrzebuje obu rąk, żeby przedstawić sprawę. – Idąc za głosem intuicji, zaczęłam sprawdzać zaginięcia, a konkretnie osoby o inicjałach A.R.

– No i?

Teraz Lauren robi głęboki wdech.

– Annalise Robb. Dwadzieścia cztery lata. Zniknęła z baru latem ubiegłego roku. Pokłócili się z chłopakiem, a potem ona wyszła, nic nikomu nie mówiąc. Gdy następnego dnia nie wróciła, jej matka zgłosiła zaginięcie.

– I od tamtej pory żadnych tropów?

– Niczego nie znalazłam. Sprawą zajmował się miejscowy szeryf, niejaki Tom Skinner. Prześlę ci jego numer, żebyś mogła do niego zadzwonić.

– A dlaczego sądzisz, że ten wisior należał do niej? Mogło go przecież zgubić wiele innych osób o inicjałach A.R.

– Bo jest szansa, że to się jakoś wiąże z doktorem Bradleyem.

Unoszę wzrok znad ekranu komputera.

– A niby jak?

– Bo ona zniknęła w Mountclair, w stanie New Hampshire.

– Hm. Dzięki, Lauren. W takim razie zadzwonię do tego szeryfa.

Młoda policjantka chwyta laptopa i energicznym krokiem wychodzi z mojego pokoju. Ja tymczasem zaglądam do notatek, tak tylko dla pewności. Czasami z takich zupełnie niepozornych pytań wynika coś bardzo cennego. To dlatego tak konsekwentnie je zadaję, mimo że ludzie się niecierpliwiają. Sięgam po okulary do czytania i wodzę wzrokiem po stronie, aż w końcu docieram do punktu, w którym obok rysunku małego domku znajduje się to, czego szukałam. Należący do Bradleyów dom w górach faktycznie znajduje się w niewielkim miasteczku o nazwie Mountclair. *Cholera jasna*. Wybieram numer do szeryfa Skinnera.

Rozmawiam przez chwilę z jakąś kobietą, która mnie do niego przełącza. W słuchawce odzywa się opryskliwy głos.

– Dzień dobry, szeryfie. Z tej strony detektyw Rita Myers z komendy policji w Graybridge, w Massachusetts. Czy możemy porozmawiać?

– Możemy, pani detektyw. A o co chodzi?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa. Na miejscu zbrodni znaleźliśmy damski wisiołek. Zastanawiamy się, czy aby nie ma on związku z jedną z pańskich spraw.

– A dlaczego miałby mieć?

– Ponieważ widnieją na nim inicjały A.R, a jak ustaliliśmy, prowadził pan poszukiwania kobiety, do której by pasowały.

Wyciągam nogi pod biurkiem.

– A jak wygląda ten wisiołek?

– Chwileczkę. Prześlę panu zdjęcie.

Czekam, aż dokona się technologiczna magia. W słuchawce słyszę dyszenie szeryfa. Sądząc po tym, jak brzmi jego oddech, albo ma wśród swoich przodków psa rasy husky, albo najzwyczajniej w świecie choruje na astmę.

Chwilę później szeryf odchrząkuje.

– Mówiła pani, że gdzie go znaleźliście?

– Tutaj, w Graybridge. W domu naszej ofiary, czterdziestoletniego miejscowego psychologa.

Tamtejszy stróż prawa znów z trudem nabiera tchu, a potem kaszle.

– A skąd się, u licha, tam wziął? – mamrocze do siebie.

– No cóż, to właśnie chcielibyśmy ustalić. Te sprawy mogą mieć ze sobą jakiś związek, bo nasza ofiara ma dom wakacyjny w Mountclair. Co mi pan może powiedzieć o tej zaginionej kobiecie?

Po drugiej stronie na chwilę zapada cisza.

– Momencik – odzywa się w końcu szeryf, a ja słyszę odgłos do złudzenia przypominający stukanie w klawiaturę.

Mój rozmówca na pewno niczego nie musi sprawdzać. Ileż w końcu kobiet mogło zginąć w takiej małej miejscowości? Jakby czytając w moich myślach, szeryf mówi:

– Prześlę pani akta sprawy, ale w skrócie wygląda to tak: czwartego lipca Annalise Robb i jej chłopak siedzieli przy drinku w barze Mounclair Tavern. Jakoś około pierwszej w nocy zaczęli się kłócić i ona powiedziała, że wraca do domu. Mamy całą listę zeznań klientów baru, które to potwierdzają. To było święto, więc w lokalu zebrał się spory tłum. Rzeczony chłopak, Lyle Peabody, wypił jeszcze jedno piwo i też wyszedł. Potem nikt już jej nie widział. To znaczy ktoś musiał ją jeszcze widzieć, ale nie wiemy kto.

– Może chłopak?

– Ściągaliśmy go tu dobrych kilka razy. Twierdzi, że jej nie widział. Wariograf potwierdza, że nie kłamie. Nie mamy niczego, co by go pozwalało powiązać z jej zniknięciem. W ogóle nic nie mamy. Jakby dziewczyna po prostu wyparowała.

– I to było czwartego lipca zeszłego roku?

– Tak.

– A w tym czasie w górach macie spory ruch?

– Wiadomo.

– A co z tym wisiorkiem?

Szeryf ciężko wzdycha.

– Pasuje do opisu, który nam podała matka zaginionej.

– Możliwe, że nasz denat po prostu go znalazł i zabrał.

– Możliwe. A jak on się nazywał?

– Doktor Jay Bradley. Zna go pan?

– Owszem. – Po drugiej stronie rozbrzmiewa odchrząkiwanie. – Bradleyowie mają tu duży dom, od wielu lat. I on nie żyje? Ktoś go zabił?

– Właśnie tak.

– Chryste Panie. No to wychodzi na to, że będziemy musieli się w tej sprawie spotkać.

– Na to wychodzi.

Notuję sobie kilka rzeczy, a potem próbujemy coś razem z szeryfem zaplanować. Rozłączam się, opadam na oparcie krzesła i wzdycham przeciągle.

Dochodzi szósta, a ja powoli robię się głodna, wyłączam więc lampkę na blacie biurka i zbieram kartki z notatkami, żeby je włożyć do torby. Zastanawiam się, co by tu zjeść na kolację. Wnętrze mojej lodówki świeci pustkami, jak zwykle zresztą, a André i Collin obsługują akurat konferencję w centrum miasta. Zaglądam więc przez drzwi do Boba.

– Może chciałbyś wyskoczyć na coś do jedzenia?

Unosi wzrok znad bałaganu, który ma na biurku.

– Brzmi dobrze.

Mac's to niewielka knajpka, a właściwie zwykły bar, ale w razie czego można tu coś przekąsić. Klienci akurat dziś nie dopisali, nawet żaden glina nie zajrzał na piwo po pracy. Drinki serwuje tu Mac we własnej osobie, wielki i barczysty facet, który milion lat temu przez sezon czy dwa grał w Patriotach. Z mięśni nic już nie zostało, w całości zastąpił je tłuszcz i teraz dziergany sweter aż mu się opina na brzuchu.

Opierając ciężar ciała na rękach, wzdycha chrapliwie.

– Bob, Rita. – Wita nas skinieniem głowy. – Co słychać?

– Wspaniale, po prostu wspaniale, Mac. A u ciebie? – odwzajemniam uprzejmości.

– Lepiej być nie może. – Uśmiecha się szeroko. – Angela jest w ciąży. Ale pewnie już wam mówiłem?

Z *dziesięć razy*. Jego córka, jedynaczka, uśmiecha się do nas z wiszącego za barem zdjęcia.

– Latem będę dziadkiem.

– Gratulacje – mówi Bob. – Nie ma jak wnuki.

Mac znów kiwa głową i zaciera ręce.

– Napijecie się? Czy może chcielibyście coś zjeść?

– Jedno i drugie – odpowiadam. – Możemy sobie wybrać stolik?

– Jasne. Siadajcie gdziekolwiek. Jak widzicie, lokal pęka w szwach – dodaje z lekkim sarkazmem w głosie, ale też z uśmiechem na ustach.

Siadamy z komendantem w mrocznym boksie na tyłach baru. Mac to świetny facet, ale jeśli akurat nie ma nic do roboty, gęba mu się nie zamyka, a my mamy z Bobem kilka spraw do omówienia.

Opowiadam mu o tym, co odkryłyśmy z Lauren. On słucha, pociągając przy tym duży łyk bud lighta z butelki.

– Chryste Panie, Rita! Czy ty myślisz, że doktor Bradley mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem tej dziewczyny?

Wzruszam ramionami.

– A któż to może wiedzieć? Z jakiegoś jednak powodu ukrył jej naszyjnik w swojej szafie z dokumentami. Mogło się oczywiście zdarzyć, że go po prostu znalazł podczas spaceru w górach, podniósł z ziemi i postanowił zachować, ale to się wydaje mało prawdopodobne. Bo po co by go w takim razie chował?

Bob zanurza nachosa w miseczce z gęstą salsą.

– A myślisz, że to właśnie tego szukał sprawca, gdy przyszedł po raz drugi?

– Być może. – Upijam łyk wina. – Najczarniejszy scenariusz przewiduje, że za zniknięciem panny Robb stali doktor Bradley i ktoś jeszcze. Zabójca doszedł do wniosku, że doktorka gryzie sumienie i może zechcieć ich obu wsypać, więc go zabił. Wisiorek zaś pozwalał ich powiązać z porwaniem i dlatego sprawca go szukał.

Bob kiwa głową.

– Możliwe. A czy znaleźliście w historii tego całego doktorka coś, co by wskazywało, że mógłby popełnić tego rodzaju przestępstwo?

– W dokumentacji nic nie ma. Od dziesięciu lat nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości. – Pojawia się nasza kolacja: wrząca jeszcze fajita Boba i mój cheeseburger z frytkami. – Współwłaścicielka jego gabinetu twierdzi, że to dobry facet. Że jest czysty jak łza. A ona zna go chyba lepiej niż ktokolwiek inny.

– Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że to wcale nie musi o niczym świadczyć. Te różne świry potrafią przez całe lata udawać, a potem nagle ich mroczna natura wychodzi na jaw.

Kiwam głową i przypominam sobie kolejne szkolenia, w których uczestniczyłam od początku swojej kariery zawodowej. Opowiadano nam podczas nich o najróżniejszych seryjnych zabójcach, którzy przez lata funkcjonowali w społeczeństwie jak gdyby nigdy nic. Sama też dość już widziałam, żeby wiedzieć, że ludzie nie zawsze są tacy, jacy się wydają. Jak to się mawia, czasami zło czai się w zupełnie nieoczekiwanych miejscach.

– Tak, wiem. Ściągniemy z Chase'em jego żonę ponownie do komendy. Może coś jeszcze uda się z niej wyciągnąć.

ROZDZIAŁ 24

RITA

W poniedziałkowy poranek siadamy przy małym stoliku naprzeciwko pani Bradley i jej nowego psa. Mnie on nie przeszkadza. Lubię psy, a ten konkretny nie wygląda, jakby miał nam utrudniać prowadzenie rozmowy. Chase zrywa się z krzesła, żeby podkreślić ogrzewanie. Proponuje też pani Bradley herbatę, ale ona nie chce.

– Nigdy wcześniej nie widziałam tego wisiorka, pani detektyw – mówi. Wygląda na bardzo zmęczoną. Kasztanowe włosy ma związane w niezbyt staranną kitkę, a pod jej oczami malują się sine cienie. – W tej sprawie mnie wezwaliście?

– Tak. Proszę jeszcze raz spojrzeć, bo zdjęcie mogło nie być dość wyraźne – proponuję.

Chase wyjmuje naszyjnik z woreczka i układa go sobie na dłoni otulonej rękawiczką. Obraca go, żeby pani Bradley mogła przyjrzeć się zarówno awersowi, jak i rewersowi.

Ona kręci głową.

– Nie mam pojęcia, skąd się wziął. Znaleźliście go u mojego męża w szafie kartotekowej?

– Tak.

Mam niemal całkowitą pewność, że należał do Annalise Robb. Chcemy się jednak przekonać, czy pani Bradley cokolwiek na ten temat wie.

Ona spogląda przez chwilę na Chase'a, a potem znów przenosi wzrok na mnie.

– Może należał do jakiejś pacjentki. Nie wiem. Może on go znalazł w gabinecie w mieście i postanowił przechować w domu w bezpiecznym miejscu do czasu ustalenia tożsamości właścicielki.

– Na odwrocie są inicjały. Gdyby chodziło o pacjentkę, na pewno łatwo dałoby się ją wskazać.

Pani Bradley wyciąga rękę, żeby pogłaskać psa. Zanurza dłoń w futrze na jego grzbiecie.

– Nie wiem, jak mogłabym w tej sprawie pomóc. A co to właściwie ma wspólnego z zabójstwem mojego męża?

– Ktokolwiek zabił doktora Bradleya, włamał się także do szafy z dokumentami i przeszukiwał jego biurko. Najwyraźniej więc czegoś szukał.

– Nie mam pojęcia czego, o co mu mogło chodzić, pani detektyw.

– No cóż, po coś jednak wrócił. Być może więc za pierwszym razem nie znalazł tego, po co przyszedł. Wisiorek był zatknięty w tylną obudowę szuflady, przez co nie było go widać na pierwszy rzut oka. Za drugim razem szafy już nie było. Ale może porozmawiajmy o czymś innym – zmieniam temat, a ona niechętnie na mnie spogląda.

– Dobrze.

– Chodzi o dom w Mountclair.

– Co z nim?

– Wspominała pani, że pani mąż pojechał tam na tydzień przed śmiercią.

– Tak. W sprawie wybitej szyby. Przecież mówiłam.

– A kiedy był tam poprzednio?

Ona mruga powiekami.

– Hm... Chyba w październiku. Pojechali ze Scottem Westmore'em na kilka dni na ryby.

– Pani z nimi nie pojechała?

– Nie. Pracowałam akurat w tamten weekend, a poza tym... – przeszywa ją dreszcz – nie lubię łowić ryb. To krwawa zabawa.

Unoszę brwi w wyrazie zdumienia.

– Dorastałam w małym miasteczku – tłumaczy – na wsi. Wielu ludzi tam polowało i łowiło ryby. Nigdy mi się to nie podobało.

– Myślałam, że pochodzi pani z Graybridge.

Jej cienkie palce wędrują do kołnierzyka swetra i zaczynają nitka po nitce podciągać go ku górze.

– Przeprowadziliśmy się, gdy miałam siedem lat, więc dom jest dla mnie tutaj. To jest mój dom.

– No dobrze, a wcześniej, kiedy pani mąż był w górach?

– A cóż to ma z czymkolwiek wspólnego?

Pani Bradley otwiera i zamyka ciężkie ze zmęczenia powieki i wzdycha.

– Do tego zaraz dojdziemy, a na razie proszę odpowiedzieć.

Pociąga nosem i spogląda mi prosto w oczy.

– Zeszłej jesieni jakoś nam się nie udawało pojechać, więc pewnie po raz ostatni byliśmy tam na czwartego lipca. Pojechaliśmy na tydzień i zaprosiliśmy znajomych na przyjęcie z okazji święta i moich urodzin.

Czuję, jak mi tętno przyspiesza. Odchrząkuję i stukam ołówkiem w otwarty notatnik.

– A kto tam jeszcze był oprócz pani i pani męża? Którzy państwa znajomi?

– Ci sami co na przyjęciu urodzinowym Jaya.

– Czyli Westmore'owie, Ferrisowie i Pearsonowie? Ktoś jeszcze?

– Hayes Branch z córką.

– Spora grupa.

– To duży dom.

Coraz bardziej mnie to intryguje.

– Czyli mieli państwo w tamtym tygodniu cały dom pełen gości?

– Tak.

Opadam na oparcie krzesła i wzdycham ciężko. Oto teraz stoi przed nami bardzo konkretne zadanie. Musimy zrekonstruować przebieg weekendu, podczas którego w domu zgromadziło się dziesięć osób, a w pobliżu zaginęła dziewczyna.

– Pani Bradley, a czy w tamtym tygodniu wydarzyło się coś niezwykłego? Czy zapamiętała pani coś, co wydało się pani dziwne albo nie na miejscu?

– Nie, a cóż to ma właściwie z czymkolwiek wspólnego?

– A kiedy goście wyjechali?

– Piątego. W piątek.

– Rozumiem. – Przykładam ołówek do notatnika i stukam palcami w stolik. – Naszym zdaniem ten wisiołek znaleziony w szafie pani męża należał do kobiety

z Mountclair.

Pani Bradley otwiera szeroko usta.

– A to dziwne. Nie mam pojęcia...

Najwyraźniej rzeczywiście nie ma. Z jej twarzy łatwo można wyczytać, że całkowicie ją to zbiło z tropu i że prawdopodobnie nie słyszała nawet o zaginięciu Annalise Robb.

– Ta kobieta zginęła, pani Bradley. Od nocy czwartego lipca nikt jej nie widział.

ROZDZIAŁ 25

MOLLY

W porze lunchu w kawiarni André's zawsze jest spory ruch. Siadamy z Laken i Hayesem przy niewielkim stoliku wciśniętym między innych gości. Ze wszystkich stron osaczają mnie matki z dziećmi w wózkach oraz kobiety i mężczyźni z okolicznych biur i sklepów. A mimo to uwielbiamy to miejsce. Laken ma tu blisko ze spa, a my z księgarni.

Starsza pani siedząca przy stoliku obok spogląda na mnie krzywo, bo Sadie dyszy tuż pod jej łokciem. No trudno. Nie zamierzam się tym przejmować.

– Czego chciała policja? – pyta Laken, przerzucając włosy przez ramię.

– Znaleźli w szafie Jaya jakiś wisiołek. Twierdzą, że to prawdopodobnie tego szukał zabójca.

– Wisioraka? A jakiś cenny jest?

– Nie wydaje mi się. Ale co dziwne, ich zdaniem należał do jakiejś kobiety z Mountclair, która zaginęła wieczorem czwartego lipca.

Laken się wzdryga.

– Cóż za upiorna myśl, ale ja chyba nic na ten temat nie słyszałam.

– Ja też nie.

Hayes odchrząkuje i popija latte.

– A dlaczego Jay miałby mieć ten naszyjnik?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Dla mnie to wszystko zupełnie bez sensu. – Dosładzam herbatę jeszcze odrobinę. – Chcieli też wiedzieć, w jakich terminach jeździliśmy w góry.

– A co to ma wspólnego z poszukiwaniem tego drania, który zabił Jaya? – Hayes wbija widelec w sałatkę z kurczakiem po tajsku.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Naprawdę nie mam. Jay pewnie znalazł ten wisiołek i nawet nie wiedział, czyją był własnością. Inaczej to wszystko nie ma żadnego sensu. Nie chce mi się o tym myśleć, więc zmieniam temat.

– A co dziś porabia Alice?

– Została w księgarni, bo pracuje nad swoim wypracowaniem na temat procesów czarownic – odpowiada Hayes z uśmiechem. – Siedzi w moim gabinecie za zamkniętymi drzwiami i ma nadzieję, że Sharon da jej spokój. – Zerka na telefon. – A skoro już mowa o Sharon, to pewnie powinienem wracać, żeby ona też mogła wyjść na lunch. – Wstaje i podnosi ze stolika na wpeł zjedzoną sałatkę. – Widzimy się później.

Przeciska się obok Sadie i innych gości kawiarni, a potem wrzuca lunch do kubła na śmieci stojącego przy drzwiach. Przez okno widzę, jak dopina płaszcz i naciąga czapkę na głowę.

Laken wzdycha ciężko.

– Co się stało? – pytam.

Jej ciemne oczy raz jeszcze uciekają za okno.

– Nic. Nic takiego. Dość już masz spraw na głowie.

– Ależ, mów, o co chodzi.

Wolę słuchać o cudzych problemach niż o własnych.

– Chodzi o Cala. – Laken wzrusza ramionami.

– A co jest nie tak z Calem?

– Strasznie się zrobił drażliwy. – Popija kawę. – Ale wszystko w porządku. Poradzimy sobie.

– Właśnie stracił przyjaciela, Laken.

– Nie, to nie w tym rzecz. Nie zrozum mnie źle. Śmierć Jaya potwornie nim wstrząsnęła, ale to się zaczęło znacznie wcześniej.

– A może chodzi o kłopoty z Joshem? Sama wiesz.

Na jej twarzy maluje się jakiś dziwny wyraz.

– To nic takiego. Pewnie coś w pracy. W ogóle nie powinnam była o tym wspominać. W każdym związku zdarzają się trudniejsze momenty.

Jay i ja nie mewaliśmy nigdy takowych, ale widocznie dla innych ludzi to normalne. Być może nas też by to kiedyś spotkało, gdyby Jay nie umarł, ale jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Jeszcze przed zachodem słońca zabieram Sadie na spacer. Nie jest już tak widno jak za dnia, a światło odbite od śniegu wypełnia popołudniowy krajobraz dziwną luną. Gdy przechodzimy obok domu Fergusonów, w mojej głowie pojawia się myśl, że nagramy się na ich kamerę tak samo, jak w noc morderstwa Jaya utrwalił się na filmie tamten mężczyzna. O czym on wtedy myślał? Od jak dawna planował, że zabije Jaya? Czy Jay zdawał sobie sprawę, że jego życiu coś grozi? A może to była całkiem przypadkowa zbrodnia? Może jakiś wariat zobaczył światło w pracowni i spontanicznie się tam zakradł?

Przystajemy z Sadie, a ja rozglądam się i przechodzę na drugą stronę ulicy. Uwielbiam tę naszą starą okolicę. Każdy dom jest inny, wszystkie mają długą historię. Otaczają je rozległe zadaszone ganki, w każdym ogień tli się w kilku kominkach. Zwykle mają też boczne wejścia, a niektóre także zadaszony podjazd. Za nasz dom nie zapłaciliśmy bardzo dużo, ponieważ wymagał sporych nakładów. Mam nadzieję, że uda mi się go zatrzymać. Gdybym musiała go sprzedać, to byłoby tak, jakbym straciła kolejną część Jaya. Wzdycham, a potem przyspieszamy z Sadie kroku. Robi się naprawdę zimno, wraz z zapadaniem ciemności drastycznie spada też temperatura.

Docieramy na róg, gdzie znajduje się tętniąca życiem stacja benzynowa. Ludzie zatrzymują się po drodze do domu, żeby zatankować i kupić butelkę napoju gazowanego albo sześciopak piwa. Przyglądam im się przez chwilę, a potem ruszamy z powrotem w stronę domu.

Jesteśmy o krok od ganku, gdy telefon w mojej kieszeni zaczyna wibrować. Zapomniałam rękawiczek, więc wyciągam go zgrabiały mi z zimna palcami.

– Tak, słucham?

Przez chwilę nikt nic nie mówi, a potem odzywa się niski i stłumiony głos.

– Wiem, kim jesteś.

Dźwięk brzmi tak, jakby został przepuszczony przez jakieś urządzenie.

– Kto mówi?

Czuję, jak przesywa mnie dreszcz. Rozglądam się wokół siebie, jakby mój rozmówca miał się ukrywać gdzieś w pobliżu.

– Dziewczynka z piwnicy. Melinda Wright. To ty.

Kolana się pode mną uginają. Lewą ręką chwytam się balustrady ganku.

Po drugiej stronie zapada cisza. Mężczyzna się rozłącza. Zerkam na ekran, ale numer wyświetla się jako nieznany. Serce dudni mi w piersi jak oszalałe. Odwracam się przez ramię i staram się dostrzec coś pośród cieni. Nic się tam jednak nie dzieje. Widzę tylko świat pod śniegiem. Nic się nie porusza. Czy on tam jest? Czy mnie znalazł? To niemożliwe. On jest przecież w więzieniu. Nie wydostanie się stamtąd. Nie wydostanie się, prawda? *Tylko spokojnie, Molly.* To był jedynie głupi dowcip. Ktoś cię próbuje wytrącić z równowagi. Zaciskam dłoń na smyczy Sadie, a potem wbiegam po schodach do środka. Zatrzasnę ciężkie drzwi i przekręcę zamek.

ROZDZIAŁ 26

MOLLY

Przez większość nocy nie zmrużyłam oka. Wpatrywałam się w obraz, który rejestrowały kamery rozmieszczone wokół domu. Owinęłam się w stary pled i siedziałam w salonie z komputerem na kolanach, raz po raz przeskakując z ekranu na ekran. Włączyłam wszystkie światła w domu i na zewnątrz. Sadie położyła się obok mnie na dywanie i zwinęła w kłębek. Przysnęłam raz czy dwa, ale starałam się zachować czujność. Kto mógł do mnie zadzwonić? Po co? I dlaczego teraz?

Przez te wszystkie lata zdarzyło się raz czy dwa, że mnie wytropił jakiś reporter, który chciał napisać artykuł albo książkę o moich przeżyciach. Nigdy się nie zgodziłam. Absolutnie nie zależało mi na rozgłosie, za nic nie chciałam, żeby ktoś wydał książkę ze mną w wieku sześciu lat na okładce. W środku pewnie by się znalazły czarno-białe zdjęcia z mojego rodzinnego miasteczka albo takie przedstawiające moich rodziców, Corrine i mnie z uśmiechami na twarzach lub w strojach z okazji Halloween. Na samą myśl dreszcz mi przechodził po plecach. Dotąd jednak nikt nie kontaktował się ze mną w taki sposób, jakby chciał mi grozić.

Jay na pewno nikomu o mnie nie powiedział. Czy to zatem był ktoś z moich rodzinnych stron? Przecież moja stopa od dwudziestu ośmiu lat tam nie stała. Tam już nikt raczej o mnie nie myśli, a już na pewno nie interesuje się moją osobą na tyle, żeby mnie nękać. Ale przecież tego się właśnie obawiałam: że ktoś się kiedyś dowie, że ktoś znów zacznie o tym głośno mówić i wyciągnie całą tę historię na światło dzienne. Że ktoś obudzi tego drzemiącego od dawna potwora i znów znajdę się w centrum uwagi, której wcale nie chcę. Moje życie w Graybridge ległoby wówczas w gruzach. Wszyscy by o mnie mówili i znów byłabym dziewczynką z piwnicy. Przyjaciele już zawsze by ją we mnie widzieli.

Potrzebuję Jaya. Sama sobie z tym nie poradzę. Wybieram numer do Corrine, ale od razu się rozłączam. Słońce dopiero co wzeszło, poranek jest szary i wilgotny. Wstaję, chwytam smycz Sadie i narzucam na plecy płaszcz. Wychodzimy z domu frontowymi drzwiami. Jest tak wcześnie, że samochody jeżdżą z włączonymi światłami, ale ruch ciągle jest jeszcze niewielki. Idziemy z Sadie w innym kierunku niż dotychczas, w miejsce dla niej nieznane. Skręcamy trochę przed stacją benzynową i ruszamy przed siebie wzdłuż szerokiej drogi. Tu dzieje się więcej niż w okolicach mojego domu, ale też stoją tu starsze, większe i okazalsze rezydencje.

Sadie drepcze tuż przy mojej nodze. Najwyraźniej wyczuwa, że dokądś zmierzamy, bo nie zatrzymuje się na wąchanie. Przed nami z porannej mgły wyłania się dom Elise. To imponujący budynek, wpisany już do rejestru zabytków. Wzniósł go blisko dwieście lat temu jakiś miejscowy potentat.

Na podjeździe dostrzegam jej samochód. Na to właśnie liczyłam. Elise otwiera mi drzwi z kuchenną serwetką w dłoni.

– Molly! A co cię sprowadza do mnie o tak wczesnej porze? Wszystko w porządku?

– Czy mogę na chwilę wejść?

– Oczywiście, właśnie kończymy ze Scottem śniadanie. Może napijesz się kawy? – proponuje, a Sadie i ja podążamy za nią wyłożonym drewnem korytarzem.

Czuję, jak przeszywa mnie dreszcz. *Nie mogę pić kawy, Elise. Czy ty tego nie rozumiesz?* Pewnie nie rozumie. Jay zawsze mi powtarzał, że inni ludzie nie mogą przecież wiedzieć, co mnie porusza.

– Nie, dziękuję.

Jak na tak wielki dom kuchnia jest malutka. Pod ścianą stoi niewielki okrągły stół nakryty białym obrusem. Na nim w idealnym porządku rozstawione zostały talerze z bułeczkami i grzankami, dzbanek z kawą i kubki. Centralne miejsce zajmuje słoik dżemu. Obok leży nóż. Plamy po truskawkach wyglądają na białej tkaninie jak krople krwi. Scott stoi przy zlewie i płucze jakieś naczynie.

– Molly, dzień dobry! Czy wszystko w porządku?

Ma na sobie ciężkie ubranie robocze. Delikatna porcelana z subtelnym niebieskim roślinnym motywem wygląda w jego szorstkiej dłoni jak kwiat przypięty do kozucha.

– Tak, w porządku.

– W weekend mogę pojechać w góry, żeby wstawić tę szybę.

– Nie ma pośpiechu.

Chciałabym porozmawiać z Elise, więc z niecierpliwością wyczekuję chwili, gdy sobie pójdzie. On najwyraźniej o tym wie.

– Daj mi znać, gdybyś chciała, żebym pojechał. Na razie muszę wybywać do pracy.

Całuje Elise i rusza w kierunku drzwi.

– Usiądź, proszę – proponuje Elise i sama wraca na swoje krzesło. – Na pewno nie masz na nic ochoty?

– Nie, dziękuję.

Zerkam na pozostałości po ich śniadaniu. Jakież musiało być przyjemne.

– Co zatem cię do mnie sprowadza o tak wczesnej porze?

Przyszłam tu, co prawda, ale sama nie wiem po co. Czy powinnam ją w to wciągać? A może tylko otworzę w ten sposób puszkę Pandory, która na zawsze powinna zostać zamknięta. Gdyby jednak Jay miał o wszystkim komukolwiek opowiadać, to na pewno na powierniczkę wybrałby właśnie Elise.

– Co ty o mnie wiesz?

Ona przetyka kęs grzanki i popija kawą.

– A o co konkretnie pytasz?

Robię głęboki wdech i spoglądam na Sadie, jakbym szukała u niej wsparcia.

– Czy Jay kiedykolwiek opowiadał ci o mnie i o mojej przeszłości?

Wypada to trochę tak, jakbym miała do niej o coś pretensje.

Na jej twarzy maluje się wyraz zdenerwowania.

– Jay wspominał, że miałaś trudne, traumatyczne dzieciństwo.

Nie podoba mi się to. Po co on jej w ogóle cokolwiek mówił? Kręcę głową.

– Nie rozumiem, dlaczego on...

– Przecież przyszedł do nas na terapię, Molly.

– No tak, jasne. A czy mówił cokolwiek więcej? Czy zdradził ci jakieś szczegóły?

Łzy więzną mi w gardle.

– Nie, oczywiście, że nie.

Elise odwraca wzrok, więc trudno mi uwierzyć w jej zapewnienia.

– Nie miał prawa ci o mnie opowiadać.

Ona chwyta mnie za rękę, ale po chwili puszcza.

– Nic nie powiedział. Żadnych konkretów nie zdradził.

Próbuję jakoś zapanować nad uczuciami, ale taka jestem zmęczona i taka zła. Prawą ręką ściągam lewy rękaw.

Elise wstaje od stołu i stawia przede mną kubek z wrzątkiem i pływającą w nim torebką herbaty.

– A może mi po prostu wyjaśnisz, o co chodzi?

Zatapiam herbatę głęboko w kubku i nagle robi mi się głupio.

– To nic takiego. Po prostu brakuje mi Jaya.

Czy powinnam jej powiedzieć o tym telefonie? Co ona może o tym wiedzieć? Czy to ma z nią cokolwiek wspólnego? Po co ja tu w ogóle przyszłam?

– Przechodzisz piekło, Molly. Może chcesz, żebym ci kogoś poleciła? – Elise stoi teraz przy kuchennym blacie i szuka czegoś w torebce. – Morgan Blanton jest wspaniała. Na pewno będzie ci się z nią dobrze rozmawiało. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Odwraca się do mnie i unosi wizytówkę. – No i zawsze możesz porozmawiać ze mną. Zawsze.

Do kuchni po cichutku wkrada się kot i oplata jej się między nogami. Sadie zrywa się do siadu, ale chyba niespecjalnie jest nim zainteresowana.

Elise kładzie kartonik przy moim kubku.

– Może jednak coś zjesz? W gabinecie muszę być dopiero za pół godziny. Możemy porozmawiać, o czymkolwiek zechcesz. O Jayu albo nie o Jayu, może być nawet o pogodzie.

Uśmiecha się.

Kiwam głową i zanurzam usta w herbacie, ale w myślach cały czas słyszę stłumiony męski głos: *Wiem, kim jesteś.*

ROZDZIAŁ 27

RITA

Niewielkie miasteczko Mountclair rozcinają jakby na sektory dwie drogi, obie dwupasmowe. To one biorą na siebie zdecydowaną większość ruchu. To nimi ludzie przemieszczają się sprawnie tam, dokąd chcą dotrzeć. Z szeryfem Skinnerem spotykam się na parkingu przed zlokalizowanym u zbiegu ulic sklepem wielobranżowym Mountclair Dry Goods. Wita mnie tam krzepki mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki, zdecydowanie dobrze odżywiony. Świdruje mnie ciemnymi oczami, a ich spojrzenie wydaje się mówić, że powinnam od razu przejść do rzeczy.

Wymieniamy uprzejmości, po czym wsiadamy wraz z Chase'em do radiowozu. Mój partner uparł się, żebyśmy jechali służbowym autem. Widocznie nie wierzył, że mój van poradzi sobie na górskich drogach New Hampshire. W ostrym powietrzu czuć wyraźnie chłód i wilgoć, ale na szczęście nie pada. Jedziemy za szeryfem Skinnerem. Po obu stronach drogi mijamy kilka zakładów i sklepów: warsztat samochodowy, przed którym piętrzą się stare opony, lodziarnię, niewielki różowy motel, stację benzynową z dwoma dystrybutorami i bar. Zatrzymujemy się przed barem Mountclair Tavern i wysiadamy z wozów.

– To tutaj spędzili wieczór czwartego lipca panna Robb i jej chłopak – informuje szeryf Skinner.

Ściany niewielkiego lokalu zostały pomalowane na szaro, chyba względnie niedawno. W dwóch dużych witrynach od ulicy wiszą wyłączone chwilowo neony w kształcie piwa. W środku jest ciemno, bo przyjechaliśmy przed otwarciem. Mimo wszystko wchodzimy za szeryfem przez drzwi.

Za barem stoi mężczyzna po trzydziestce. Ustawia szklanki.

– To jest Sid Jenkins. – Lokalny stróż prawa przedstawia nam barmana, który wyciąga do nas masywną dłoń i przy okazji prezentuje okazałe bicepsy. Pomimo

chłodnej aury jest w samym T-shircie.

– Annalise i Lyle siedzieli w tamtym boksie. – Szeryf wskazuje miejsce przy jednym z okien. – Było pełno.

Zerka na Sida.

– Czwartego lipca zawsze mamy dobry utarg – potwierdza barman. – Latem zresztą klientów nie brakuje, zwłaszcza w święta.

– A przychodzą raczej miejscowi czy również przyjezdni? – pytam.

– I jedni, i drudzy.

– Czyli większość bywalców pan zna?

Sid unosi lekko głowę i przygryza wykałaczkę.

– Większość.

Czytałam zeznania, które podesłał szeryf. Z materiałów wynikało, że dochodzenie zostało przeprowadzone dość skrupulatnie.

– I nie widział pan nikogo, kto by się jakoś podejrzenie przyglądał Annalise?

To była atrakcyjna młoda kobieta o jasnych włosach i miłym uśmiechu.

Sid kręci głową.

– Annalise i Lyle bywali tu co najmniej raz w tygodniu. Zwykle w sobotnie wieczory. Nigdy nie widziałem, żeby ją ktoś zaczepiał. Większość ludzi ją zna.

Zerkam na szeryfa.

– Jest pan przekonany, że to nie chłopak?

– To nie Lyle – odpowiada mi Sid.

– A skąd pan to wie?

– On gotów byłby całować ziemię, po której stąpała. Chciał się żenić.

– A o co się pokłócili? – pytam.

– O to samo, co zawsze. – Barman wzrusza ramionami. – Ona chciała wyjechać. Chciała trochę pozwiedzać kraj. A Lyle to taki prawdziwy chłopak stąd. Jego to nie interesowało.

– Czyli zrobiło się gorąco?

Sid kręci głową.

– Lyle nawet muchy by nie skrzywdził, a co dopiero Annalise. Był zdruzgotany.

Szeryf odchrząkuje.

– Jesteśmy w zasadzie przekonani, że to nie on, pani detektyw.

– To nie był nikt miejscowy – dodaje Sid, po czym chwyta ścierkę i zabiera się do mycia baru.

– A skąd to przekonanie?

Barman przerywa sprzątanie i unosi wzrok. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– Wszyscy kochali Annalise. Wszyscy byśmy jej tu bronili.

Niemal można poczuć, jak bardzo zaginięcie tej dziewczyny dotknęło zarówno jego, jak i szeryfa. Atmosfera zrobiła się gęsta jak chmura burzowa. Mountclair to najwyraźniej miejsce, w którym ludzie o sobie nawzajem dbają.

– I ona wyszła około pierwszej, tak? I powiedziała, że idzie do domu? – pytam.

– Tak. Mieszka niedaleko stąd, ale trzeba przejść przez las. Tam raczej nikt nie chodzi – mówi Sid. – Chociaż latem sporo się tu dzieje. Ludzie z miasta przyjeżdżają się odprężyć. Obcy szukają tu dobrej zabawy.

Wychodzimy z baru za szeryfem, wsiadamy z nim do samochodu. Prosiłam wcześniej, żeby zabrał nas w miejsce, z którego porwano Annalise, więc wyjeżdżamy na dwupasmówkę. Gdy w pewnym momencie skręcamy, słowa Sida nabierają dla mnie nowego sensu. Po obu stronach drogi pojawia się las. Niezbyt to przyjazne miejsce dla kobiety, która musi gdzieś iść sama w środku nocy.

– A gdzie ona mieszka? – pytam szeryfa.

– Niecały kilometr w tamtym kierunku.

– A co się jeszcze znajduje przy tej drodze?

– Do samej góry już właściwie nic, ale ruch jest tu całkiem spory, bo jeździ się tędy do Anderson. To miasteczko po drugiej stronie. No i w połowie trasy jest odbicie, które prowadzi po prostu na szczyt.

– A kto tam jeździ? I dokąd?

– Stoi tam parę domów, głównie takich wakacyjnych.

– Dom Bradleyów też?

– Tak. To też tam.

Szeryf poinformował mnie już wcześniej, że dzień po zaginięciu Annalise przesłuchano wszystkich, których w tych domach zastano. U Bradleyów nikogo nie było, więc Skinner zadzwonił do doktora, ale ten mu powiedział, że wraz

z gośćmi wyjechali wcześniej rano, że cały czas spędzili w domu i nikt nie widział ani nie słyszał niczego nietypowego. Wziąwszy to pod uwagę, szeryf i jego ludzie zajęli się innymi tropami, których przecież nie brakowało. Annalise mógł porwać ktokolwiek, kto tędy przejeżdżał. Na tym się wtedy skupili. Teraz jednak, za sprawą wisiora odkrytego w gabinecie doktora Bradleya, wszystko się zmieniło. Stało się też jasne, że doktor Bradley wiedział o zaginięciu dziewczyny, jeśli nawet nie z tego powodu, że miał z nim cokolwiek wspólnego, to od szeryfa, który do niego w tej sprawie zadzwonił. Tak czy owak, był zorientowany w sytuacji.

Zatrzymujemy się w miejscu, które niczym szczególnym się nie wyróżnia. Szeryf przestawia skrzynię biegów w tryb parkowania, a my wysiadamy.

– To tutaj znaleziono jej telefon – mówi. – Obok tych dwóch sosen.

– A było w tym telefonie coś przydatnego?

– Nic. Była tylko wiadomość wysłana do matki. Annalise pisała, że lada moment wraca, więc pewnie wysłała ją zaraz po wyjściu z baru. Znaleźliśmy niewielką ilość krwi na drodze, w tym miejscu tutaj, a także włókna, które prawdopodobnie pochodziły z jej dzinsów. – Skinner unosi kapelusz i drapie się po czubku głowy. – Napastnik przypuszczalnie ją przewrócił, a potem zaciągnął do wozu. Taką mamy hipotezę.

– Brzmi rozsądnie.

Zerkam na drzewa, które stoją w milczeniu pośród śniegu. Zamykam oczy i próbuję wczuć się w Annalise. Nie rejestruję jednak nic oprócz chłodnej pustki.

Chase oddala się nieco, podchodzi do drogi i skręca.

– Do niej do domu tędy?

– Tak. Za wzniesieniem odchodzi zwirowa droga w lewo.

Chase wyciąga szyję i spogląda między drzewami.

– Stąd nie widać – woła do niego szeryf. – Jest dość mocno w głębi.

Skinner stoi nieruchomo, jakby doprowadził wycieczkę do końca. Najwyraźniej dalej nie ma już nic, co warto by zobaczyć.

– Chciałby pan wracać i jeszcze raz to przegadać? – pytam.

– Dobry pomysł – odpowiada i prowadzi nas z powrotem do samochodu.

ROZDZIAŁ 28

MOLLY

Jadąc do pracy, Elise podrzuciła mnie i Sadie do domu. Cicho tu, spokojnie. Przeglądam obrazy z kamer, a potem idę z laptopem do łazienki i stawiam go na umywalce. Zostanie tam, dopóki się nie wykąpię i nie ubiorę.

We wtorkowy poranek w księgarni niewiele się dzieje. Moszczę się na piętrze z Sadie. Ona przysypia między stosami książek, które ja systematycznie rozstawiam na półkach. Zza ściany książek dobiegają mnie głosy kobiet i dziecięcy śmiech. Widocznie przyszły jakieś mamy z dziećmi w wieku przedszkolnym. Wzdycham. Chciałabym być jedną z nich. Chciałabym mieć dziecko, które mogłabym otoczyć opieką. Chciałabym, żeby wieczorem Jay wracał po pracy do domu i żebyśmy jedli rodzinną kolację. Obserwowałabym pierwsze kroki dziecka, czytałabym mu na dobranoc. Wzdycham głęboko i sięgam po kolejną książkę.

Kobiety w końcu wychodzą, pewnie zaraz zatrzymają się w innym sklepie. Znow robi się samotnie i cicho. Robię dalej swoje, a poranek mija w spokojnym tempie. Próbuję nie myśleć ani o Jayu, ani o tym telefonie. Sama ze sobą gram w grę, która polega na tym, że staram się wybrać swoją ulubioną książkę z każdej półki.

Gdy wraz z rodzicami zamieszkaliśmy w Graybridge, ubłagałam Corrine, żeby mnie tu przyprowadziła. Ona miała szesnaście lat i musiała się jakoś odnaleźć w zupełnie nowym miejscu. Tęskniła za przyjaciółmi, którzy zostali w domu. Przez kilka pierwszych miesięcy dość chętnie spędzała ze mną czas, bo samotność mocno dawała jej się we znaki. Przesiadwałyśmy tu razem nad książkami, a potem odwiedzałyśmy sklep z cukierkami po drugiej stronie ulicy. Już dawno go nie ma, teraz sprzedają tam deskorolki.

Gdy jesienią zaczęła się szkoła, Corrine wróciła do dawnego trybu funkcjonowania. Łatwo nawiązywała przyjaźnie i szybko doszła do wniosku, że w Graybridge odnajduje się nawet lepiej niż w starym miejscu. Ja też znalazłam

wtedy przyjaciółkę, Kim. Im bardziej się starałam chować gdzieś w ostatnich ławkach, tym większe okazywała mi zainteresowanie. Postawiła sobie za cel zaznajomić się z tą nową, dziwną i milczącą dziewczynką. Kim już w drugiej klasie była otwarta i lubiana. A ponieważ się ze mną zaprzyjaźniła, inne dzieci nawet nie próbowały pokpiwać sobie z moich osobliwości. Ona nigdy o nic nie pytała i nawet teraz po latach nie pyta. Tak naprawdę nie wiem, czy zna moją dawną tożsamość. Dopóki jednak nikt o tym nie mówi i nikt nie zmusza mnie, żebym sobie o tym przypominała, staram się nad tym nie zastanawiać.

W porze lunchu przemierzam rynek i zaglądam do spa, w którym pracuje Laken. Alice poprosiła, żeby Sadie została z nią w biurze na czas odrabiania lekcji. Niechętnie, bo niechętnie, ale się zgodziłam.

Serene Lake Spa zajmuje dwa sąsiadujące ze sobą lokale. Wystarczy przekroczyć próg, aby się natychmiast przenieść do zupełnie innego świata. Ściany są tu w kolorze złamanej bieli, gdzieniegdzie tylko pojawia się jakiś delikatny niebieski czy zielony akcent. Subtelnie oświetloną przestrzeń poczekalni wypełniają łagodne odgłosy fal. W powietrzu czuć zapach lawendy i cytrusów. Biurko recepcjonistki, która obsługuje właśnie dwie panie w średnim wieku, ukrywa się za liśćmi paproci i gładkimi otoczakami. Macham jej na powitanie i idę prosto do gabinetu Laken.

Pukam w zamknięte drzwi. Charakterystyczny odgłos przekręcanego zamka rozlega się dopiero po dość długim czasie.

– Molly! Cześć!

– Wskoczmy na lunch?

Ona odchrząkuje i odwraca się przez ramię.

– Czemu nie, fajny pomysł. Właśnie kończyłam papierkową robotę.

Jakoś dziwnie się zachowuje, a gdy po chwili otwiera szerzej drzwi, na kanapie pod oknem dostrzegam Josha.

– Cześć, Molly – wita mnie radośnie. – Właśnie zrobiłem sobie przerwę. Wpadłem do Laken zapytać, czy może by się nie wybrała do André's.

Laken przeciąga palcami po rozczochranych włosach. Dwa z guzików bluzki ma rozpięte, spod spodu wyziera koronkowe wykończenie stanika. Najwyraźniej ich zaskoczyłam.

– Ach, przepraszam. Jeśli mieliście plany tylko we dwoje... – bełkoczę jak skończona idiotka.

Josh zrywa się na równe nogi i wsuwa koszulkę w spodnie.

– Nic z tych rzeczy. Idźcie na lunch, dziewczyny. Będziemy w kontakcie kiedy indziej – rzuca do Laken i praktycznie wybiega z pokoju.

Idziemy z Laken przez rynek. Nie bardzo wiem, co właściwie mam powiedzieć. Ona trajkocze jak najęta o firmie i o chłopcach. W końcu docieramy do kawiarni. Składamy zamówienia przy barze i zabieramy ze sobą do stolika metalowy numerek.

– Josh chciał się zapisać na masaż – mówi Laken. – Ostatnio nie ma łatwego życia w pracy.

Laken nie potrafi kłamać. Aż mi się jeść odechciało. Jak oni tak mogą, przecież to nie w porządku wobec Kim i Cala. A do tego teraz, gdy jesteśmy wszyscy wstrząśnięci po śmierci Jaya? *Chryste Panie! I co ja niby mam z tym zrobić?* W tym momencie w mojej głowie odzywa się głos Jaya: *Nie twój problem, Molly. Nie ty to musisz naprawić.* W sumie to zabawne, bo przecież Jay zawodowo, i nie tylko zawodowo, zajmował się naprawianiem właśnie takich rzeczy.

Mimo wszystko potwornie mi będzie trudno się w to nie mieszać. Jak niby miałabym to zachować w tajemnicy przed Kim? Z nikim się nie przyjaźnię od tak dawna. Laken poznałam dopiero później. Nie chciałabym stracić tej znajomości, ale gdyby tak się stało, jakoś bym sobie poradziła. No a Josh? Nigdy za nim nie przepadałam jakoś przesadnie. Próbowałam go polubić, ponieważ Kim świata poza nim nie widziała. Oboje z Jayem byliśmy zaskoczeni, gdy oświadczył jej się po zaledwie pół roku znajomości, ale ona wydawała się przeszczęśliwa.

Słucham teraz, jak Laken nawija o spa, o bliźniakach i w ogóle o wszystkim, tylko nie o Joshu. Mieszam zupę łyżką, tak jak to robiłam w dzieciństwie. Wychodzę z kawiarni przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie chcę, żeby Laken sobie pomyślała, że od niej uciekam, ale przecież to właśnie robię. Chcę jak najszybciej wrócić do księgarni i znów stanąć pewnie na nogach.

Chodzimy z Sadie po domu, który powoli tonie w szarości kończącego się dnia. Nie rozmawiałam z Corrine już od kilku dni, więc dzwonię do niej, ale odzywa się skrzynka głosowa. Wtedy sobie przypominam, że ona się wybierała na zebranie

wspólnoty mieszkaniowej. Siadam więc, z miską topiących się lodów, w kuchni nad laptopem i oglądam obraz z kamer zainstalowanych na zewnątrz. Gdy odzywa się dzwonek, przełączam się na tę frontową i na ekranie pojawia się mężczyzna z rękami w kieszeniach kurtki. Przeszępuje nerwowo z nogi na nogę. Serce mi trochę przyspiesza, gdy rozpoznaję w tej postaci Josha.

Idziemy z Sadie mu otworzyć.

– Czy mogę wejść?

W świetle lampy wiszącej na ganku widzę, jak jego oddech skrapla się w mroźnym powietrzu.

Popycham lekko skrzydło drzwi, a on pospiesznie wchodzi do środka.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Josh?

– Chciałem pogadać.

Na chwilę spogląda mi w oczy, a potem wbija wzrok w podłogę. Nie za bardzo mam ochotę z nim rozmawiać, ale czuję się w całej tej sytuacji mocno zagubiona, więc prowadzę go do kuchni.

Siadamy przy stole. Dojadam lody, jemu nic nie proponuję.

– Chciałem się wytłumaczyć – mówi, przeciągając dłońią po jasnych włosach.

– Okej.

– Pewnie się domyśliłaś, co zaszło między mną a Laken. – Już mam się odezwać, ale on wyciąga dłoń w geście, który ma mnie przed tym powstrzymać. – Zanim cokolwiek powiesz, posłuchaj mnie przez chwilę.

– No dobrze, to się tłumacz.

Josh robi głęboki wdech.

– Spotykamy się z Laken od paru miesięcy. Wiem, że nie powinniśmy. Nie planowałem tego...

– Nikt nigdy tego nie planuje.

– Tylko że ona naprawdę nie ma łatwego życia.

Unoszę brwi.

– Ja wiem, że ty chwilowo przeżywasz piekło. Nie chciałbym cię tym obciążać. W świetle twoich problemów te nasze jakoś nie wydają się aż tak poważne.

– To nie jest konkurs.

Josh ucieka spojrzeniem w górę i przeciera usta dłonią.

– Szkoda, że Jaya tu nie ma.

Wstaję i podchodzę do zlewu, żeby opłukać miskę. Zbieram się w sobie. Jemu szkoda?

– Przepraszam, to była mało przemyślana uwaga.

– A czy Jay o tym wiedział? – Opieram się o blat i spoglądam prosto na niego.

– Tak. – Josh zwiesza głowę. – Wiedział.

W tym momencie czuję w sercu potworne ukłucie. Dlaczego w takim razie nie podzielił się ze mną tą informacją?

– A od jak dawna on o tym wiedział, Josh?

– Rozmawiałem z nim o tym tak ze dwa tygodnie przed świętami. Poszliśmy we trzech na piwo i Cal wyszedł trochę wcześniej.

– Dlaczego wy robicie takie rzeczy?

Teraz pociera dłonią powieki.

– Cala już od dłuższego czasu coś gryzie i się wyżywa na Laken. Nie zauważyłaś?

– Nie. Najwyraźniej ominęły mnie wszystkie akty tego dramatu.

Josh macha ręką, jakby od niechcenia.

– No nieważne. W każdym razie siedzimy sobie w pubie i rozmawiamy, a tu nagle Cal wstaje i wychodzi. Mówi, że musi wracać do domu. Zostaliśmy w Jayem trochę dłużej, piliśmy dalej. Wtedy mu powiedziałem o mnie i o Laken.

– I co on na to?

– Nie był jakoś specjalnie zadowolony. Właściwie to strasznie się oburzył. Potem kazał mi wyznać wszystko Kim i poradził, żebyśmy poszli na terapię.

Cały Jay.

– Posłuchaj, Molly. Laken jest bardzo roztrzęsiona, ma kłopoty w pracy. A Cal przy każdej okazji mi przypomina, że to ja pracuję u niego, że nie spełniam firmowych standardów i że właściwie to powinien mnie zwolnić, więc powinienem być mu wdzięczny za wyrozumiałość.

– Czyli postanowiłeś wyrównać rachunki?

– Nie. – Josh kręci głową.

– A posłuchałeś rady Jaya? Powiedziałeś Kim?

Domyślałam się, że nie. Wtedy ja na pewno też bym się dowiedziała.

– Powiem, lada moment powiem. Muszę tylko znaleźć sposób na to, żeby skończyć to z Laken. Tylko że jej jest chwilowo tak ciężko. – Josh wzdycha. – A Jay strasznie na mnie naciskał i to też nie pomagało.

W jego oczach rozbłyska gniew. Wygląda teraz jak topielec, który sobie uświadomił, że nikt mu nie przyjdzie z pomocą.

– Dobrze sobie... A co z Kim? Jak mogłeś jej zrobić coś takiego?

Zbiera mi się na płacz, gdy pomyślę o tym, co spotkało moją przyjaciółkę. Brak Jaya jeszcze bardziej mi w tym momencie dokucza. On by wiedział, jak w tej sytuacji postąpić.

Josh chowa twarz w dłoniach.

– Jestem dupkiem, Molly. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie chciałem skrzywdzić Kim. Świata poza nią i Willow nie widzę.

– To dlaczego nie próbowałaś tego jakoś naprawić?

– Chciałem, naprawdę chciałem. Zebrałem się nawet na odwagę, choć wiedziałem, że moja żona się załamie, a ja wylecę z pracy. Tylko potem zginął Jay i całkiem straciłem grunt pod nogami.

Ocieram łzę z policzka i zakładam ręce na piersiach.

– No dobrze, to teraz Jaya nie ma, już go nawet pochowaliśmy. Może więc pora się do tego zebrać, nie sądzisz? – Mówię to szorstkim tonem, bo nie ma we mnie litości dla tego żalostnego typu.

On spogląda na mnie i kręci głową.

– Kim się nie pozbiera.

– Serio? Może trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Teraz on płacze. Ociera łzy dłońmi i głęboko wzdycha.

– Ona jest w ciąży – szepcze.

Zaciskam palce na krawędzi blatu, żeby się nie osunąć na ziemię. Sadie podbiega i trąca mnie nosem.

– Kim? Kim jest w ciąży?

On potakuje.

– Nie chciała ci mówić tak od razu. Miała nadzieję, że ty też będziesz jej mogła przekazać radosną nowinę. Że będziecie w ciąży razem.

Unoszę wzrok i przez chwilę wpatruję się w sufit. To by dopiero było coś!

– Słuchaj, Molly. Jest mi bardzo przykro i wiem, że dałem ciała po całości. Wiem też, że jesteście sobie z Kim bardzo bliskie. – Podrywa się od stołu i chce mnie otoczyć ramieniem, ale ja się cofam. – Nie mów jej, dobrze? – Chwyta mnie za rękę. – Ja to wszystko naprawię, przysięgam. Naprawię to. Tylko... Pamiętasz, jak to było, gdy Willow urodziła się o siedem tygodni za wcześnie? Co będzie, jeśli i to dziecko przyjdzie na świat przed terminem? Albo jeśli przez cały ten stres ona w ogóle je straci? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Boże, ale się to wszystko pokręciło.

Wbija mi palce w ciało tak mocno, że aż mnie to boli.

– Powiem jej – zapewnia. – Obiecuję. Tylko potrzebuję trochę czasu.

– Niech ci będzie, Josh. Tylko zerwij z Laken. Choć tyle miej przyzwoitości.

Spogląda na mnie przekrwionymi oczami.

– No tak. Jasne. Przyzwoitość...

Rany boskie, jak ja gardzę tym człowiekiem! Nie pojmuję, dlaczego Jay się z nim przyjaźnił. Chociaż... Mój mąż to był człowiek, który lubił wszystkich i w każdym dostrzegł to, co najlepsze.

– Zmęczona jestem, Josh. Chyba już na ciebie pora.

Idę korytarzem, a Josh człapie za mną. Otwieram drzwi i spoglądam w mrok nocy.

ROZDZIAŁ 29

RITA

Kolejny chłodny poranek, znów nikt nie ma nic nowego na temat morderstwa Bradleya. Mściwy pacjent, który postanowił się zemścić, ciągle nam się nie objawił. To mi akurat nie przeszkadza, skoro wisiołek prowadzi nas w zupełnie innym kierunku. Relacjonuję zgromadzonym w salce konferencyjnej wnioski z naszej wyprawy do Mountclair. Potem jednak wszyscy rozchodzą się do swoich biurk i nadal nic z tego wszystkiego nie wynika. Przydałby nam się jakiś przełom. Mogłoby się wydarzyć coś, co by tchnęło na nowo ducha w to śledztwo.

Rozkładałam się u siebie za biurkiem i sięgam po telefon, żeby zadzwonić do pani Bradley.

– Tak, słucham?

– Z tej strony detektyw Myers. Jak się pani miewa z rana?

Przyciskam telefon uchem do ramienia, żeby przerzucić kilka stron w notatniku.

– W porządku. Ma pani jakieś wieści?

W głosie pani Bradley słychać zmęczenie. Zerkam na zegarek i zastanawiam się, czy jej aby nie obudziłam.

– No cóż, nie do końca... Chcielibyśmy za to poprosić panią o zgodę na przeszukanie domu w Mountclair.

Po drugiej stronie zapada cisza. Słyszę tylko rwany oddech.

– Pani Bradley?

– Ale po co? Czy to naprawdę konieczne?

– Rutynowa sprawa. Żeby znaleźć mordercę pani męża, musimy złożyć wszystkie elementy układanki w jedną całość.

Ona odchrząkuje.

– Nie bardzo rozumiem, co ten wisiołek ma z czymkolwiek wspólnego. Mój mąż pewnie znalazł go gdzieś w Mountclair. Może po prostu na ulicy.

– To możliwe.

– A ta kobieta się nadal nie znalazła?

– Nie.

– A jak się nazywała.

– Annalise Robb. Zna ją pani?

– Nie.

– No dobrze. Czy mogłaby się pani z nami spotkać tam na miejscu? Chcielibyśmy się rozejrzeć.

– Jeśli to miałyby w czymś pomóc, to pewnie tak.

– A proszę mi jeszcze raz opowiedzieć o tym, jak pani mąż ostatnio tam pojechał.

– Trzeba było naprawić okno. Ale pani przecież mówiła, że ta kobieta zniknęła w zeszłym roku latem.

– Tak, zgadza się. A jak się pan Bradley zachowywał po powrocie z tego wyjazdu związanego z naprawą okna?

Zaczynam szkicować wisiołek. Umieszczam go na marginesie obok notatek z mojej ostatniej rozmowy z panią Bradley.

Ona pociąga nosem.

– Hm, sama nie wiem. Zachowywał się normalnie.

Przerzucam jeszcze kilka stron mojego zeszytu.

– A czy nie wspominała pani, że był jakby czymś pochłonięty? Że po powrocie jakby go coś trapiło?

– Nie pamiętam.

Czytam jej to, co sobie zanotowałam.

– Pamięta to pani?

Na to jego „pochłonięcie” zwróciła też uwagę doktor Westmore.

– Chyba tak. Ale to pewnie chodziło o to, że miała mu lada moment stuknąć czterdziestka. To w końcu przełomowy moment.

– No tak. Niektórzy mocno to przeżywają. Ale może coś innego go martwiło?

– Nie wiem, co to niby mogłoby być. Być może dowiedział się w miasteczku o zaginięciu tej dziewczyny i to mu popsło humor.

– A dlaczego nie przekazał tego wisiorka szeryfowi?

Odpowiada mi najpierw cisza. Dopiero potem padają słowa:

– Jay na pewno nie miał nic wspólnego z tym zaginięciem, pani detektyw. – Słyszę głośny oddech w słuchawce. – Jay by nigdy... nikogo nie skrzywdził.

– Nic takiego nie sugeruję. No dobrze, ale czy możemy się spotkać tam na miejscu?

– Tak. Oczywiście, że tak.

Dogadujemy szczegóły, po czym się rozłączam. Początkowe zmieszanie pani Bradley przeszło z czasem w rozpacz i strach, a potem w determinację i pragnienie oddania mężowi sprawiedliwości. Nie mam z tym problemu. O ile tylko nie przestanie współpracować, powinniśmy się jakoś posuwać naprzód.

ROZDZIAŁ 30

MOLLY

Całe rano szwendałam się po domu, a Sadie postępowała krok w krok za mną. Zastanawiałam się, co zdaniem detektyw Myers stało się z Annalise Robb i dlaczego Jay miał jej naszyjnik. To musiał być czysty przypadek. Jakiś dziwny zbieg okoliczności. Być może jednak ktoś z Mountclair uznał, że Jay skrzywdził tę kobietę – i przyjechał go za to zabić. Czy to możliwe? Czy tak rozumuje policja? Zaczęłam szukać w Internecie informacji na temat jej zaginięcia. Wtedy nie miałam pojęcia, że w ogóle do niego doszło. W tamten piątek wyjechaliśmy z samego rana, zapewne zanim ktokolwiek rozpoczął poszukiwania, i najpewniej zanim wieść o jej zniknięciu rozniosła się po miasteczku. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli wierzyć w to, co czytam, to miejscowym śledczym niczego nie udało się ustalić. Annalise Robb nadal nie odnaleziono. Aż mnie dreszcz po plecach przeszedł. Wiem, jak to jest zaginać.

Po lunchu jedziemy z Sadie do Laken do domu. Muszę się ruszyć z miejsca i zająć czymś głowę, żeby nie myśleć ciągle tylko o Jayu. Muszę też porozmawiać z Laken. Nie wiem, co jej powiem na temat Josha, ale cała ta sprawa po prostu mnie w tej chwili przerasta i musi zostać jakoś załatwiona.

Dzwonię do drzwi, ale nikt nie otwiera. Z ogródka dobiegają głosy dzieci, więc idziemy z Sadie przez śnieg na tyły domu. Bliźniaki w grubych dresach, kurtkach i kaskach ślizgają się po wylanym przez Cala ogrodowym lodowisku z kijami hokejowymi w dłoniach.

Ich ojciec siedzi na stole piknikowym i się temu wszystkiemu przygląda. Wołam z daleka, żeby się zapowiedzieć, a wtedy on spogląda w moją stronę i zeskakuje na ziemię.

– Cześć, Molly. Co ty tu robisz?

– Szukam Laken.

– Pojechała do spa. Amanda znów jest chora, więc Laken musiała ją zastąpić.

Mimo że w środy zwykle ma wolne.

– Wyszedłem wcześniej z pracy, żeby odebrać chłopców ze szkoły.

Zerka na bliźniaków, którzy zdążyli już porzucić kije i teraz ścigają się na lodzie.

– Tato! – krzyczy jeden z nich, chyba Logan. – Czy możemy iść do domu po jakąś przekąskę?

– Jasne, pewnie. Chodźmy. – Zwraca się do mnie. – Może wejdiesz?

Początkowo tego nie planowałam, ale zmieniam zdanie.

– Czemu nie.

Chłopcy idą z wielką paczką chipsów do salonu i włączają telewizor. My z Calem siadamy przy szklanym blacie stołu, każde z puszką coli. Ta kuchnia jest przestronna, utrzymana w chłodnej kolorystyce, wykończona granitowymi blatami i pełna urządzeń w kolorze stali. Sadie rozkłada się na podłodze obok mnie.

– Co się działo z Jayem? – wypalam całkiem nieoczekiwanie. – Wiesz coś?

Cal sprawia wrażenie kompletnie zaskoczonego.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Czy nie wydawało ci się, że coś go trapi?

Mąż Laken drapie się po brodzie.

– Nic takiego nie zauważyłem, Molly. A dlaczego pytasz?

Kręcę głową.

– Próbuję się w tym wszystkim jakoś odnaleźć. Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Jaya? Dlaczego ktoś miałby mu grozić? Czy Laken wspominała ci coś o tym wisiorku? Albo o tej zaginionej kobiecie?

– No tak.

– Bo ja próbuję dostrzec jakiś związek między tymi wszystkimi faktami. O ile w ogóle jakiś jest...

– A nie wydaje ci się, że to dość szalona koncepcja? – Cal popija colę. – Przykro mi, Molly, ale jeśli Jaya coś dręczyło, to ja nic na ten temat nie wiedziałem. No ale też mnie samego absorbowwały inne rzeczy. Ostatnio nam się z Laken nie układa. Ona ci coś wspominała?

– Nie – kłamię w żywe oczy.

– Jay próbował mi z tym pomóc. Wiesz, jaki on był. Zawsze starał się doprowadzić do tego, żeby wszyscy dobrze się czuli. Może go te moje problemy przytłaczały? Ostatnio dość dużo na niego zrzuciłem.

Na jego twarzy na chwilę pojawia się gniew. On go jednak próbuje odpędzić intensywnym mruganiem.

– I to wszystko? To znaczy chodzi tylko o to, że wam się z Laken nie układa?

Być może Jaya faktycznie trapiło po prostu to, że nie potrafił pomóc Calowi, a przy tym wiedział o romansie Laken i Josha.

– Nie, to nie wszystko – odpowiada Cal, chowając twarz w dłoniach. – Chryste, Molly. Nie chcę teraz o tym mówić.

– No cóż... W sumie i tak dość już się dzieje w moim życiu. – Wstaję i chwytam torebkę. – Pójdę już.

– Nie, zostań, proszę cię.

Cal zdejmuje okulary, kładzie je na stole, a potem przeciera oczy.

Siadam z powrotem.

– Może za dużo od niego oczekiwałem. Jay miał całą masę swoich obowiązków i być może nadmiernie go obciążylem. No i nie zawsze zachowywałem się tak do końca uprzejmie, gdy mi próbował pomóc.

– Co? A co mi jeszcze powiesz, Cal?

On teraz wzdycha ciężko.

– Ubiegłej wiosny, akurat gdy się urządzaście w domu, spadły na mnie złe wiadomości.

– Jakiego rodzaju złe wiadomości?

– Rozpoznano u mnie dziedziczną chorobę oczu. – Kładzie na stole dłonie zaciśnięte w pięści. – Moja matka na nią cierpiała. U niej ją stwierdzono po czterdziestce. Przed sześćdziesiątką nie widziała już zupełnie nic.

– O Boże. I nic się na to nie poradzić?

– Nie za wiele. Dlatego taki byłem drażliwy. Przypuszczalnie wyładowywałem to moje zdenerwowanie na wszystkich dookoła. Poza Laken i Jayem nikt o tym nie wie. Właściwie to wołałbym, żeby tak zostało. Laken próbowała mi okazywać

zrozumienie, ale pewnie jej tego nie ułatwiałem. Aż za dobrze zdaję sobie z tego sprawę, ale jest mi po prostu ciężko.

No to się popisałaś, Laken, pokpiwałam z niej w myślach. Nie ma to jak zafundować sobie romans właśnie wtedy, gdy twój mąż odbiera taką przygnębiającą diagnozę.

– Rozumiem, ale czy nie wydaje ci się, że wy dwoje moglibyście się bardzo skutecznie wspierać? Pomóc sobie nawzajem?

Można by przynajmniej na coś takiego liczyć...

Na jego twarzy znów na chwilę odmalowuje się gniew.

– Jakoś nie potrafię się z tym uporać. Zwłaszcza z myślą, że nie będę mógł pracować i utrzymywać rodziny. Ale też z tym, że koniec z rolkami, nartami czy tenisem – mówi z rezygnacją. – Ja umrę, Molly.

Zaczyna drapać się po głowie z taką zawziętością, jakby mu włosy płonęły.

– Bardzo mi przykro, Cal.

On zrywa się od stolika i zbiera nasze puszki.

– Masz ochotę na drinka?

Jest dopiero czwarta po południu, ale on ma taką smętną minę.

– Jasne, niech będzie. Jednego mogę wypić.

Cal podchodzi do lodówki i wyjmuje puszkę kraftowego piwa. Stawia ją na blacie.

– Laken ma otwartą butelkę merlota, może być?

– Jak najbardziej.

Siadamy i sączymy drinki, a ja zastanawiam się, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Wtedy on odchrząkuje.

– Nie chciałem tak tego na ciebie zrzucić, Molly. Dość masz własnych problemów. – Ściska moją dłoń, ale niemal natychmiast ją puszcza. – A jak w ogóle sobie radzisz?

– Staram się mieć zawsze jakieś zajęcie. Pracuję w księgarni tyle, ile tylko się da.

On w tym momencie prychnął.

– A co to miało znaczyć? – dziwię się.

– Nic takiego.

– Daj spokój, mów! – Trącam go lekko w ramię.

On wtedy przyciska dłoń do ust.

– Cóż, Jay się zawsze martwił, że Hayes coś do ciebie czuje. Nie był zazdrosny ani nic, ale bacznie mu się przyglądał.

Aż mi dech w piersiach zapiera.

– Przecież to bzdura! Jesteśmy z Hayesem tylko przyjaciółmi. Koniec i kropka. Czy Jay naprawdę się martwił?

– Troszeczkę. – Cał przekrzywia głowę. – Choć pewnie głównie dlatego, że się tak bardzo o ciebie troszczył. O czym zresztą dobrze wiesz...

Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że Hayes miałby się interesować moją osobą inaczej niż tylko po przyjacielsku. On się rzeczywiście rzadko kiedy umawia na randki, ale zawsze myślałam, że to ze względu na Alice. Widocznie tak to było oczywiste, że aż mi umykało.

– No cóż, u mnie wszystko dobrze. U Hayesa też wszystko w porządku. A ja zdecydowanie nie jestem zainteresowana żadnym związkiem.

– Tak tylko pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. W końcu lepiej wiedzieć niż nie. – Cał zrywa się z krzesła i idzie do lodówki po następne piwo. – A policja zdołała już coś ustalić? – pyta.

Kręcę głową. Nie mam ochoty wnikać w szczegóły.

– Niczego istotnego. Całą ich uwagę zaprzęta teraz ten wisiołek.

On wzdycha i otwiera puszkę. Melancholia aż bije z jego oczu, z jego skulonych ramion.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć. Budzę się codziennie rano i muszę sobie przypominać, że jego już nie ma.

– Ja też tak mam.

Cał upija spory łyk piwa i wygląda przez okno na prowizoryczne lodowisko.

– I kto teraz dopilnuje, żebyśmy wszyscy nie powariowali?

Też bym chciała to wiedzieć.

– Pewnie będziemy musieli polegać na sobie nawzajem i na rodzinie. – Sączę wino. – A ty się często widzisz z matką? Jakoś nie przypominam sobie, żebyś o niej kiedykolwiek wspominał.

Jego twarz wykrzywia się teraz w dziwnym grymasie.

– Zmarła kilka lat temu. – Wstaje, wskazując palcem mój kieliszek. – Dolać ci?

– Nie, dziękuję. Prowadzę.

Teraz i ja się podnoszę, a w ślad za mną Sadie.

Cał ściska mnie za ramiona.

– Trzymaj się, Molly – mówi na pożegnanie.

Nie odprowadza mnie do drzwi.

ROZDZIAŁ 31

MOLLY

W czwartek rano jadę do domu w górach. Po drodze przykrytej cienką warstwą świeżego śniegu mknie przede mną policyjny radiowóz, którym podróżują detektywi Myers i Fuller. Gdy docieramy na zbocze, dostrzegam na poboczu drogi kilka samochodów z biura miejscowego szeryfa. Na moje oko to będzie coś więcej niż tylko rutynowa wizyta. W głowie świta mi myśl, że być może należało skontaktować się w tej sprawie z jakimś prawnikiem. Corrine na pewno uznałaby, że to dobry pomysł. No ale nie zrobiłam tego i teraz jesteśmy tutaj. Gdybym się nie zgodziła, i tak by pewnie zdobyli nakaz. Poza tym jeśli to pozwoli w końcu rozwiązać sprawę wisiorka i policja wróci do poszukiwania mordercy Jaya, to może coś dobrego z tego wyniknie.

Na siedzeniu pasażera siedzi Alice, a Sadie wciska między nas głowę i dyszy. Hayes długo nie chciał puścić córki na tę wyprawę, ale ona zdołała przedstawić mu przekonujące argumenty natury edukacyjnej. No bo jak często człowiek ma okazję obserwować policyjne przeszukanie? Ostatecznie przekonała go do swoich racji, jak zwykle zresztą, a ja cieszyłam się, że ktoś mi będzie towarzyszył. Przypuszczałam też, że konieczność sprawowania nad nią opieki pomoże mi za dużo nie myśleć o samym domu i o Jayu.

W zimowej otoczce budynek robi wrażenie większego i jeszcze bardziej nieprzyjaznego. Stoi pośród zasp, otulony śniegiem zsuwającym się dachu. Przypominam sobie, po co go zbudowano, i od razu przeszywa mnie dreszcz. Myśliwi, którzy dawno już rozstali się z tym światem, odpoczywali tu między kolejnymi polowaniami i przy whisky wspominali pogonie za dzikim zwierzem albo przechwalali się między sobą łowieckimi dokonaniem.

Wraz z Alice i Sadie podążamy za detektywami w kierunku drzwi. Gdy do nich dochodzimy, policjanci robią mi miejsce, żebym mogła podejść z kluczami.

Trzymam kciuki, żeby to się wszystko odbyło możliwie najszybciej i najspokojniej. Za nic bym nie chciała, żeby sprawę zwęszyły media. Tego bym nie zniosła. Po raz pierwszy w życiu jestem zła na Jaya. Jak on mógł mnie na coś takiego narazić? Był przecież moją podporą. Moją gwarancją namiastki życiowej normalności. A teraz?

– Pani Bradley? – Detektyw Myers sprowadza mnie na ziemię. – Proszę nas oprowadzić po domu.

– Tak, oczywiście.

Wchodzimy do sieni, gdzie całkiem odruchowo zdejmuję wysokie buty i odwieszam kurtkę na kołku. W domu panuje chłód, a mimo to pozostali również się rozdzielają.

– A te do czego są? – pyta detektyw Myers, wskazując na pęk kluczy wiszących na ścianie.

– To są klucze zapasowe. Dla gości.

– A które drzwi otwierają?

– Frontowe i tylne, a także drzwi na taras. I zewnętrzne drzwi do piwnicy.

Detektyw Myers notuje coś w swoim zeszytku.

Ruszamy przed siebie korytarzem, a ja po drodze pokazuję im, gdzie Jay miał swój kącik do pracy. Policja zagląda do środka, a potem idziemy do kuchni. Tam stróże prawa również się chwilę rozglądają, po czym przenosimy się do przestronnego pokoju dziennego. Przez wysokie okna w tylnej ścianie budynku widać otulone śniegiem góry. Przez chwilę zachwycam się ich urokiem, a potem przenoszę wzrok na kominek. To dominujący element tego pomieszczenia, wykonany z polnych kamieni poczerńiałych po latach użytkowania. Gdy Jay pierwszy raz mnie tu przywiózł, wisiała nad nim jeszcze wielka głowa jelenia. Na moją prośbę ją zdjął, podobnie zresztą jak całą kolekcję innych myśliwskich trofeów, które zdobiły ściany w jego kąciku do pracy oraz innych pomieszczeniach. Wszystkie te zbiory trafiły na strych.

Kręcimy się po parterze. Detektywi raz po raz zadają jakieś pytanie. Alice też przywiozła sobie notatnik i coś w nim zapisuje. Nie mam pojęcia co, ale Alice już tak ma.

– Na dole są dwie sypialnie – mówię – a na górze jeszcze dwie.

– Czyli w sumie cztery? – pyta detektyw Myers.

– Tak.

– A pamięta pani, kto którą zajmował?

Najpierw wchodzimy do głównej sypialni.

– Jay i ja spaliśmy tutaj.

Ten pokój jest największy i ma własną łazienkę. Jeśli chodzi o komfort i poczucie prywatności, to zdecydowanie najlepsza z dostępnych tu opcji. Znalazło się w nim nawet miejsce na prywatny salonik i kącik wypoczynkowy. Można się tu zaszyć i zupełnie zapomnieć o tym, co się dzieje wszędzie indziej.

Z naszą sypialnią sąsiadują drzwi prowadzące na werandę. Pokazuję je policji.

– Alice i jej ojciec spali tam. W tamtym tygodniu było naprawdę gorąco.

Druga sypialnia na parterze znajduje się po przeciwległej stronie domu.

– Tam spali Westmore'owie – informuję.

Detektyw Fuller obchodzi pomieszczenie dookoła i wygląda przez okno, z którego widać trawnik na tyłach domu. Przyglądam się, jak detektyw Myers coś notuje. Zauważam, że obok tekstu zamieszcza też rysunki.

– No dobrze – mówi. – A na górze?

Idziemy schodami, z których na półpiętrze otwiera się sporych rozmiarów salon. Potem skręcamy i po pokonaniu kilku kolejnych stopni docieramy na górną kondygnację.

– Tutaj są dwie sypialnie połączone łazienką. Pearsonowie spali w tej po prawej, a Ferrisowie po lewej.

– A dzieci jakies były?

– Nie. Zostały z dziadkami. To znaczy z wyjątkiem Alice.

– Jak dogodnie – komentuje policjantka. – A gdzie spali pan Branch i jego córka?

– Na dole – odpowiada Alice, która bez problemu włącza się do rozmowy dorosłych. – Spaliśmy na werandzie.

Alice przygotowuje się do notowania, jakby czuła się jednym z ważnych uczestników tego procesu.

Detektyw Meyers patrzy na nią tak, jakby ją dopiero zauważyła.

– Hm. No dobrze. – Unosi lekko głowę i spogląda na klapę w suficie. – A to jest wejście na strych?

– Tak.

– To tam pani mąż musiałby się udać, żeby uzyskać dostęp do rozbitego okna?

– Tak.

Detektyw Fuller chwyta za linę, a my się wszystkie odsuwamy, żeby kłapa miała gdzie opaść. Z góry niczym wypuszczony z klatki demon spływa na nas chłodne powietrze. Sadie przytula się do moich nóg. Aby młodszy policjant mógł ściągnąć schody, musimy się mocno stłoczyć pod ścianami korytarza.

– Czy moglibyśmy się tam z detektywem Fullerem rozejrzeć sami?

Przytakuję.

– Oczywiście, proszę bardzo. Ja poczekam na parterze.

ROZDZIAŁ 32

RITA

W domu jest dość chłodno. Oczami wyobraźni widzę, jak Teddy Roosevelt albo Ernest Hemingway przekraczają próg z martwym zwierzęciem na ramieniu. Nie żebym była jakąś wielką miłośniczką polowań. Bynajmniej nie jestem. To miejsce ma jednak niewątpliwie specyficzny klimat wiejskiej rezydencji. Potrafię sobie wyobrazić, jak taki Hemingway siada na tarasie z notatnikiem w jednej dłoni i butelką w drugiej.

Pani Bradley ledwo się trzyma. Gdy oprowadzała nas po kolejnych pokojach i mówiła, kto gdzie spał, wyrzucała z siebie tylko rwane nerwowe komunikaty. Nie wiem, czy chodzi o morderstwo jej męża, co byłoby oczywiście zrozumiałe, czy ona po prostu tak ma. Wyczuwam w niej jednak coś dziwnego, coś mrocznego. Nie mogę przestać myśleć, że w tym wszystkim kryje się coś jeszcze, że gdzieś we wnętrzu tej kobiety drzemie jakaś histeria.

Nakreśliłam sobie rozkład pomieszczeń i zaznaczyłam na nim, kto gdzie spał. Po strychu chętnie rozejrzałabym się bez pani Bradley i jej świty. Dlatego odesłałam je na dół. Wspinamy się po drabinie na poddasze. Chase odnajduje kontakt i przed naszymi oczami pojawia się kolejne pomieszczenie. Niezbyt tu widno, bo jedno z dwóch okien jest zabite deskami, a spod sufitu zwisa tylko pojedyncza żarówka. Mój partner wyciąga telefon i włącza latarkę, żebyśmy widzieli nieco więcej. Już ma ruszyć przed siebie, ale chwytam go za kurtkę.

– Zaczekaj.

Chowam notatnik, a z torby wyciągam latarkę. Gdy naciskam włącznik, ciemność strychu przenika snop jasnego światła. Wodzę promieniem od prawej do lewej po drewnianej podłodze.

Okna wychodzą na dwie strony domu. W rogach stoją jedne obok drugich pudła i skrzynie pokryte kurzem. Nagle światło zatrzymuje się na tylnej ścianie

i przeżywam moment zwątpienia. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że lśniące czarne oczy patrzące stamtąd na mnie należą do martwych zwierząt, których głowy – w liczbie kilkudziesięciu – wiszą w rzędzie w charakterze pamiątek po polowaniach sprzed lat.

– To dopiero przerażające – mówi Chase.

Robię głęboki wdech.

– Ano... Upiorne.

Kieruję latarkę na drugą stronę strychu i obserwuję grubą warstwę kurzu. Oddalam się od rozbitego okna, ale potem wracam.

– Tam! Tu mamy ślady w kurzu. To tutaj pracował doktor Bradley.

Podchodzimy do okna zabitego deskami. Pod nogami lśnią nam i chrupią odłamki szkła. Rama została starannie zabezpieczona sklejką, a na podłodze zostały śmieci. Dlaczego doktor Bradley po sobie nie posprzątał?

ROZDZIAŁ 33

MOLLY

Siedzimy z Alice na sofie, z której możemy podziwiać widok na podwórko i góry. Kilku ludzi z biura szeryfa wędruje po śniegu w tę i z powrotem.

– Co oni tam chcą znaleźć? – pyta Alice, wstając i biorąc się pod boki.

Opowiedziałam jej o wisiorce, a w szczególności o tym, że zdaniem detektywów należał do kobiety stąd, która zaginęła zeszłego lata.

– Nie wiem.

– Tylko bałagan robią – mówi nie bez racji.

Gdy tu przyjechałyśmy, widok był jak z obrazka. Nieskalany bytnością ludzi zaśnieżony trawnik na tle gór, ciągnący się aż do linii sosen, za którymi kryje się rzeka.

– Tak tu było ładnie – stwierdza Alice. – Tak biało i spokojnie. A czy możemy trochę się przejść po okolicy, zanim oni tu skończą?

Zerkam w kierunku schodów, ale nie słyszę, żeby detektywi zmierzali w naszym kierunku.

– Jasne. Sadie pewnie chętnie by się przeszła.

Ubieramy się ciepło. Alice naciąga czerwoną czapkę mocno na uszy i wychodzimy, kierując się na tyły domu.

– Chodźmy ścieżką w kierunku rzeki – proponuję.

Zakładam, że to nam pozwoli uniknąć spotkania z ludźmi szeryfa, bo oni kręcą się bliżej domu. Mój plan okazuje się jednak zawodny, bo jeden z zastępców przywołuje mnie do siebie. Idę pochylonym trawnikiem w jego stronę, przedzierając się przez śnieg. Alice i Sadie czekają na mnie na ścieżce.

– A dokąd prowadzą te drzwi, pani Bradley?

Wskazuje na podwójne metalowe drzwi ukryte w krzywiznie stoku w taki sposób, że z domu ich nie widać.

Wsuwam ręce głęboko do kieszeni.

– Do piwnicy.

Gdy Jay przywiózł mnie tu po raz pierwszy, bardzo chciał mi wszystko pokazać. Zapytał, czy jestem gotowa zejść z nim do piwnicy. Powiedziałam, że oczywiście. Chciałam być jak wszyscy. Chciałam być normalna, bo wydawało mi się, że Jay na to zasługuje. Wzięłam go więc pod rękę i zeszliśmy razem po drewnianych schodach. Gdy jednak do moich nozdrzy wdarł się zapach wilgoci i stęchlizny, dostałam ataku paniki i Jay czym prędzej mnie stamtąd wyprowadził. Czułam się upokorzona, ale on otarł mi łzy z policzków i przytulał mnie dopóty, dopóki nie przestałam się trząść. Od tamtej pory tam nie schodziłam.

– Zamknięte są?

– Powinny być. Jeśli naprawdę musicie tam schodzić, klucze są w domu.

– Dam znać szeryfowi.

Dziękuję mi skinieniem głowy i wraca do kolegów.

Tymczasem Alice i ja idziemy pośród sosen ścieżką, która nas prowadzi w dół. Warstwa śniegu ma jakieś dziesięć centymetrów, więc drogę odnajdujemy bez trudu. Sadie idzie przodem, od czasu do czasu odchyła głowę i zaciąga się powietrzem przesyconym wonią igieł sosnowych. Zimno mi jest, ale przynajmniej mogę się na coś skupić. Wędrujemy krętą ścieżką pośród drzew, a głosy ludzi szeryfa wydają się z każdą chwilą cichsze.

Odgłosy rzeki wychwytyuję prędzej niż latem. Mam wrażenie, że woda płynie szybciej, jakby jej się spieszyło w doliny. Liście, które normalnie tłumiliłyby te dźwięki, leżą teraz martwe i zagrzebane pod śniegiem. Nie ukrywają również widoku, więc rzeka także objawia się naszym oczom niespodziewanie szybko.

– Pamiętasz, jak tu zbierałam dzikie kwiaty? – pyta Alice.

Uśmiecham się.

– Wstawiłaś je do wazonu, który stoi w kuchni na stole, a wtedy Laken nie mogła przestać kichać.

Śmiejemy się teraz obie.

– A potem mój ojciec się wściekł, że wyprawiałam się tu bez opieki.

– Bał się, że wpadniesz do wody, Alice. To dość głęboka rzeka, a na dodatek niedaleko stąd tworzy wodospad.

– On się o wszystko martwi.

– Przecież wiesz, że jesteś dla niego całym światem.

– Tak, wiem. Tylko że mam już prawie dwanaście lat. Kiedyś będzie mi musiał odpuścić.

Stoimy przez chwilę nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy płynącej wody i wczuwając się w chłód wiatru. Czuję, że nos mi zamarza, a policzki lekko pieką. Ścieżka skręciła tak, że zbliżyliśmy się nieco do domu. To zakole rzeki leży bardzo niedaleko granicy naszego trawnika, znów więc słyszę głosy ludzi szeryfa.

– Może powinniśmy wracać? Nie marzniesz?

Alice wzrusza ramionami.

– Może troszeczkę. A czy możemy najpierw przejść mostem na drugą stronę?

Chodzi jej o kładkę, którą można się przedostać na przeciwległy brzeg.

– Ale potem wracamy, umowa stoi?

Alice zgadza się, więc idziemy powoli po oblodzonych deskach. Zatrzymujemy się w połowie drogi. Pod naszymi stopami wartko płynie szara woda.

– Tam coś jest.

Alice wskazuje punkt na zboczu. Z ziemi wystaje tam pod dziwnym kątem jakiś przedmiot, który wygląda jak gałąź.

Ostrożnie przechodzimy przez most. Sadie mocno mnie ciągnie, muszę więc trzymać smycz obiema rękami. Z bliska możemy się dokładnie przyjrzeć tej nietypowej gałęzi. Sadie zaczyna szczekać, sierść jej się jeży, a ona cała drży. Alice obejmuje mnie w pasie i wtula twarz w moją kurtkę.

To nie jest gałąź. To jest ramię.

ROZDZIAŁ 34

RITA

Znaleźliśmy Annalise Robb. Ściśle rzecz biorąc, znaleźliśmy szczątki młodej kobiety, ale szeryf Skinner i jego zespół nie mają większych wątpliwości, że to ona. W tym przekonaniu utwierdzają ich jej jasne włosy i ubrania znalezione w pobliżu na brzegu. Ale oczywiście oficjalnie jej tożsamość potwierdzić może dopiero lekarz sądowy.

Chase zabrał panią Bradley i Alice do domu. Próbował je uspokoić i trzymać z dala od całego zamieszania. Ja postanowiłam pomóc szeryfowi i jego ludziom. Technicy dopiero przybyli na miejsce i znoszą sprzęt w kierunku rzeki.

Rozbili sobie na miejscu niebieski namiot, z którego ktoś co chwila wychodzi w kierunku rzeki lub do którego znad jej brzegu wraca. Samochody też ustawiają się jak karawana.

Stoimy z szeryfem przy jego aucie. Śnieg pada z nieba dużym, mięsistymi płatkami. Klei nam się do ramion i do włosów.

– Przeprowadziliśmy z detektywem Fullerem wstępne oględziny głównych pomieszczeń i strychu. Nie byliśmy natomiast jeszcze w piwnicy – informuję go.

Spoglądamy z góry na pracujących jak mrówki miejscowych stróżów prawa. Szeryf zdejmuje czapkę i drapie się po łysiejącej głowie.

– Możecie śmiało schodzić. Bardzo pani jestem wdzięczny za pomoc, pani detektyw.

– Wy nam również pomagacie. Coś mi mówi, że razem uda nam się rozgryźć tę sprawę.

Dostrzegam nadzieję w jego oczach. Jest dla mnie jasne, że zaginięcie tej kobiety bardzo mu ciążyło. Teraz pewnie czuje ulgę, że udało się ją znaleźć,

a jednocześnie smutek, dlatego że nie wróci do domu cała i zdrowa. Teraz pozostaje nam tylko oddać jej sprawiedliwość.

Chase znalazł gdzieś dwie puszki piwa imbirowego dla pani Bradley i Alice, które siedzą skulone na kanapie. Gdy wchodzi, spogląda na mnie, jakby chciał zapytać: „No to co teraz robimy?”.

– Pani Bradley – mówię – chcielibyśmy zajrzeć do piwnicy.

Widzę, że drży jej dolna warga.

– Jasne.

– A którądy się wchodzi?

Ona wskazuje mi sień.

– Czy panie tu sobie poradzą? Chciałabym, żeby detektyw Fuller poszedł ze mną.

Ona kiwa głową.

– Proszę się nigdzie nie wybierać.

– Dobrze.

Zaraz za drzwiami do piwnicy znajduję włącznik lampy, która rzuca słabe światło na drewniane schody. Z dołu ciągnie chłodem. Po kamiennych ścianach od razu widać, że pamiętają bardzo dawne czasy.

– Upiorne miejsce – mówi Chase, gdy w końcu docieramy na sam dół.

Podłoga, też kamienna, jest śliska od wilgoci. Pod stropem znajduje się kilka okien, jednak do połowy przesłania je śnieg. W oplecionych pajęczyną kątach stoją najróżniejsze sprzęty, które wyglądają jak zabytki ze starej farmy. Są brudne i pordzewiałe.

– Nie wygląda to, jakby tu ktokolwiek bywał – stwierdza Chase, wycierając ręce o kurtkę.

Ruszam przed siebie, włączając latarkę. Wyczuwam w powietrzu zapach ziemi i zgnilizny, ale oprócz tego coś jeszcze... Obrzydliwa gryząca woń atakuje nas tym bardziej, im głębiej wchodzimy do piwnicy.

Odwracam się i kieruję promień światła w stronę schodów.

– Tutaj w zasadzie nic nie ma. Tylko piec i bojler.

Urządzenia znajdują się niemal przy schodach, więc domownicy nie bardzo mieli powody, aby się zapuszczać w głąb tego lochu. Odwracam się znów

w kierunku drugiego końca pomieszczenia i wtedy dostrzegam światło. Pochodzi z jakiegoś punktu, który się znajduje daleko przede mną. Zbliżamy się z Chase'em do niego i tak odkrywamy drzwi z małym okienkiem, przez które wpadają promienie słońca z zewnątrz. Za nimi otwiera się przed nami coś jakby kamienny hol o łukowatym sklepieniu. Podłoga jest nachylona, spływa w dół ku metalowym drzwiom.

– Dziwne to jest – mówię.

Zza moich pleców odzywa się Chase:

– Spójrz tam, Rita.

Odwracam się i kieruję światło latarki na drewniany stół. Na ścianie nad nim wiszą na kołkach noże i inne narzędzia. Przy krawędzi blatu leży młotek. Być może ktoś zapomniał odwiesić go na miejsce. Obok stołu znajduje się poszarzały ze starości zlew, pokryty ciemnymi smugami. W podłodze nieco dalej dostrzegam odpływ.

Chase odchrząkuje i cofa się chwiejnym krokiem.

– Myśliwi przynosili tu pewnie swoją zdobycz. – Zasłania usta dłonią, więc trochę mamrocze. – Mój dziadek polował. Zawsze gdy go odwiedzaliśmy, serwował nam dziczyznę albo królika. Miał takiego znajomego, który sprawiał mu to mięso. Raz mnie do niego zabrał. To przez to mam taką awersję do krwi. Miałem wtedy osiem lat. Zrobiło mi się niedobrze od tego zapachu i zwymiotowałem cały lunch.

Na ramionach robi mi się gęsia skórka. Obok stołu na podłodze coś leży. Otwarte pudełko, z którego wysypały się gwoździe.

– Wygląda na to, że doktor Bradley upuścił gwoździe, których używał do zabicia okna. Ciekawe, dlaczego zostawił je rozsypane. – Opuszczam się na kolana, żeby poświecić latarką pod stołem. – Patrz na to, Chase.

On kuca obok mnie.

– Krew?

– Tak to wygląda.

– Może jakiegoś zwierzęcia.

– Może. – Opadam do siadu i zaczynam się masować po karku, żeby łatwiej mi się myślało. – Ale załóżmy, że doktor Bradley schylił się, żeby pozbierać te

gwoździe, i zobaczył coś, przez co odkładanie narzędzi na miejsce i sprzątanie szkła nagle wydało mu się mało istotne.

– Żeby zajrzeć pod stół i zobaczyć tę krew, musiałby mieć latarkę. A nie potrzebowałby jej przecież do zbierania gwoździ. Leżą na widoku.

– Ale może on wcale nie zobaczył krwi. Może zobaczył coś innego.

– Wisiorek?

– Na przykład. A potem dostrzegł inicjały i dodał sobie dwa do dwóch. – Robię głęboki wdech. – Zobaczmy, dokąd prowadzą te drzwi.

Metalowe wyjście jest pordzewiałe, a szyba w oknie brudna. Zamek otwiera się bez większego oporu. Wychodzę na zaśniewany jasny świat i nabieram w płuca świeżego powietrza. Jesteśmy teraz dosłownie rzut beretem od rzeki. Zaraz po drugiej stronie mostku stoi niebieski namiot.

Do piwnicy weszli już technicy, więc my możemy wrócić na górę.

Pani Bradley unosi wzrok, gdy tylko dobiega ją odgłos naszych kroków.

– Czy to ona? Ta zaginiona kobieta?

– Pewność będziemy mieli dopiero po oficjalnej identyfikacji zwłok.

Pani Bradley przyjmuje tę informację skinieniem głowy. Zaciska wargi jak dziecko, które stara się za wszelką cenę nie rozpłakać.

– Dlaczego ktoś miałby ją tu pochować? Zabójca musiał przechodzić obok domu i podrzucić tu naszyjnik. Jay go zapewne znalazł gdzieś w ogrodzie.

– To niewykluczone.

Ona podrywa się z kanapy i zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokoju z rękami założonymi na piersiach.

– Nie wiem, jak to się wszystko mogło stać, pani detektyw. Tak niedaleko stąd. My nic nie słyszeliśmy. A ona na pewno zaginęła czwartego lipca?

– Tak.

Pani Bradley cała się trzęsie i z nosa kapie jej woda, ale ona wydaje się nic sobie z tego nie robić. Dostrzegam w jej oczach szal, który często poprzedza atak hysterii. Nagle zatrzymuje się i prostuje jak struna.

– A są media? – pyta.

– Chyba nie. Przynajmniej na razie. Chociaż spodziewam się, że niedługo się pojawią. Najpierw pewnie przyjadą z Manchesteru.

To chyba dla niej druzgocąca wiadomość. Nagle zasłania usta dłonią i opada na kanapę.

– Wszystko w porządku? – pytam, a Chase siada obok niej i klepie ją po ramieniu.

– Muszę jechać do domu. Muszę stąd zniknąć, zanim się pojawią – zaczyna błagalnym tonem.

Wbija wzrok w Chase'a i chwyta go kurczowo za rękę.

On tymczasem spogląda na mnie pytająco. Ona przecież nie jest w stanie prowadzić samochodu.

– No dobrze – mówię. – To może niech detektyw Fuller odwiezie panią i Alice z powrotem do Graybridge. Moglibyście pojechać pani autem. Czy pani na to?

Ona kiwa głową, a po policzkach spływają jej perliste łzy.

– A czy możemy jechać od razu?

– Tak, proszę dać mi tylko chwilę.

Gestem sygnalizuję Chase'owi, żeby wyszedł ze mną do korytarza.

– Może tak być? – pytam go. – Możesz ją odwieźć jej samochodem? Ona chyba nie powinna prowadzić. Zadzwoni do komendy, niech ktoś przyjedzie po ciebie do niej do domu. Pasuje ci to?

– Tak, pewnie. A tu mnie nie potrzebujesz?

– Po powrocie zdam ci relację. A jak będziesz już w komendzie, to opowiedz o wszystkim szefowi. Potem zaczniemy razem z ekipą obrabiać to, co już mamy.

Zaglądam do pokoju, gdzie pani Bradley chodzi w tę i w tę i co chwila przeciera oczy rękawem.

– Zobacz, czy w drodze powrotnej uda ci się coś z niej wyciągnąć.

– Całkiem się rozsypała – stwierdza Chase. – Ale chyba w sumie nie ma się co dziwić, zważywszy że właśnie znaleźliśmy trupa na jej podwórku.

Niby tak, ale nos mi podpowiada, że tu chodzi o coś więcej. O coś, co do tyczy samej pani Bradley. Ja to czuję!

ROZDZIAŁ 35

MOLLY

W końcu jestem w domu. Z chwilą gdy przekraczam próg, spada mi z ramion olbrzymi ciężar. Najchętniej nigdy bym już nie oglądała na oczy tego domu w górach.

Detektyw Fuller najpierw odwiózł Alice, a teraz czeka z powrotem do komendy do czasu przyjazdu Corrine. Włączyłam wszystkie światła i laptopa, żeby przejrzeć nagrania z kamer. Jakoś się nie mogę uspokoić, ale przynajmniej przed mediami uciekłam. Mijaliśmy po drodze wóz transmisyjny, który już zmierzał na miejsce. Odetchnęłam z ulgą, gdy sobie uświadomiłam, że nie zastanie mnie w tamtym domu.

– Może jednak zrobię pani herbatę, pani Bradley?

Detektyw Fuller stoi przy blacie, jakby czekał na instrukcje. W jego brązowych oczach dostrzegam troskę.

– Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Oczywiście nic nie jest w porządku i on to wie. Przez całą drogę powrotną wypytywał mnie o różne osobiste sprawy, ale zbywałam go, jak tylko mogłam. Mam nadzieję, że nie dojdzie przez to do wniosku, że coś ukrywam. Bo choć ukrywam, to nie ma to żadnego związku z zabójstwem tamtej kobiety. Starłam się skupiać w rozmowie na Alice, żeby ją podnieść na duchu. Przez całą drogę prawie się nie odzywała, a Hayes bardzo się zdenerwował, gdy zadzwoniłam do niego, żeby mu opowiedzieć, co zaszło. Na krótko przed przyjazdem zebrała się jednak w sobie i powiedziała, że nic jej nie jest. Wyglądało, jakby wróciła do równowagi. Taką mam w każdym razie nadzieję.

Detektyw Fuller pojechał, a Corrine siedzi ze mną przy kuchennym stole. Nie jestem, co prawda, głodna, ale przecież cały dzień nic nie jadłam, więc ona

przyniosła chińszczyznę i coś do picia.

– Co się stało, Molly?

– Oni uważają, że ta zaginiona kobieta została prawdopodobnie zamordowana jeszcze tej samej nocy, kiedy zniknęła, i że ktoś ją zakopał nad rzeką tuż obok naszego domu, gdy my spaliśmy smacznie w środku. – Robię głęboki wdech, żeby się uspokoić. Spoglądam na Corrine. – Jay mógł znaleźć ten wisiołek w ogrodzie, jak pojechał naprawić okno. Tak ja przypuszczam. – Odwracam wzrok, żeby zerknąć na ekran laptopa. Wyświetla się na nim akurat obraz sprzed pracowni. – To było przerażające, Corrine. Mam ma myśli to, co zobaczyłyśmy z Alice.

Opisywałam jej już całą sprawę przez telefon i raczej nie chcę do tego wracać.

Corrine głaszcze mnie po dłoni.

– Spróbuj coś zjeść. A czy dzwoniłaś może do tej terapeutki, którą ci poleciła Elise?

Przełykam ślinę i zaczynam dziobać pałeczkami w makaronie.

– Zadzwoń. Zadzwoń na pewno.

Próbuję powstrzymywać łzy, ale one uparcie płyną mi po policzkach.

– Słuchaj, jestem przy tobie. Wszystko będzie w porządku.

Pociągam nosem.

– A co, jeśli oni uznają, że Jay zabił tę kobietę? To niemożliwe, ale coś mi mówi, że oni próbują go jakoś z tą sprawą powiązać.

– To czyste szaleństwo. Jay przecież nie był zabójcą.

– A jeśli ktoś w Mountclair myśli, że to jednak on? I to dlatego go zabił? No bo niby z jakiego innego powodu ktoś miałby zabić Jaya? Te dwie sprawy muszą się jakoś łączyć, Corrine.

– A czy ty nie wspominałaś, że ta kobieta miała chłopaka i że się pokłócili tej nocy, gdy zaginęła? Przecież zwykle zabójcą okazuje się właśnie mąż albo chłopak.

– Miała i tak mogło być, ale może ten facet uznał, że Jay go widział, i dlatego go zabił?

Ten scenariusz wydaje mi się najbardziej sensowny, bo ja przecież wiem na pewno, że mój mąż nie był zabójcą.

– Dałam znać rodzicom, co zaszło.

– Świetnie!

Corrine jakby zamiera w bezruchu z pałeczkami w uniesionej dłoni.

– A co niby miałam zrobić? Poczekać, aż sami zobaczą materiał w wiadomościach?

– Nie, masz rację.

– Chcieli oczywiście przyjechać, ale kazałam im z tym poczekać. Powiedziałam, że ci dotrzymam towarzystwa.

– Dzięki. Zadzwoń później do mamy.

Dojadamy z Corrine posiłek. To znaczy ona je, a ja staram się przełknąć choćby parę kęsów.

Siostra namawiała mnie, żebym się na kilka dni przeniosła do niej, ale nie chciałam. Obchodzimy wszystkie pomieszczenia, żeby sprawdzić, czy drzwi są pozamykane, a światła włączone. Sadie nie odstępuje mnie na krok. W końcu Corrine wychodzi, a ja rozsiadam się na sofie z komputerem na kolanach i znów skupiam na przełączaniu ekranów monitoringu.

Na dźwięk dzwonka automatycznie przeskakuję na obraz spod drzwi. Widzę na nim młodą kobietę o długich ciemnych włosach. Obok stoi gość z kamerą. W momencie gdy ona ponownie wyciąga rękę do dzwonka, Sadie rusza korytarzem, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Nie podnoszę się. Liczę na to, że ta kobieta po prostu sobie pójdzie.

– Pani Bradley? – Słyszę głos z za drzwi. Ponownie rozlega się też dzwonek. – Pani Bradley? Nazywam się Ashlyn Davis, jestem z Wiadomości Programu Drugiego. Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Spadaj stąd. Proszę. Proszę, proszę, proszę.

– Pani Bradley?

Widzę na ekranie, że kobieta robi parę kroków w tył. Potem podchodzi do okna salonu i przysłania ręką oczy. Cała drętwieję i siedzę przez chwilę zupełnie nieruchomo. Modłę się w duchu, żeby mnie nie zauważyła. W końcu dziennikarka odchodzi, a ja mogę znów odetchnąć. Odkładam laptopa na stolik do kawy, naciągam koc i zapadam się głębiej w kanapę.

Budzi mnie dzwonek telefonu. Na dworze jest już ciemno, więc pewnie przysnęłam. Zegar stojący na półce nad kominkiem wskazuje wpół do drugiej. Kto miałby do mnie dzwonić o takiej porze? Sadie podrywa się z podłogi.

– Tak, słucham?

– Melinda Wright?

Przeszywa mnie dreszcz. Czyżby znowu jakiś dziennikarz? Potem jednak głos znów się odzywa, a ja rozpoznaję rozmówcę. To ten sam człowiek, co poprzednio.

– Wiem, kim jesteś. Jesteś Melinda Wright. Dziewczynka z piwnicy. Podobno znaleziono martwą kobietę w pobliżu twojego domu. Lepiej na siebie uważaj, Melindo. Raz uciekłaś, ale...

Rzucam telefon na podłogę, zrywam się z kanapy i biegnę do pralni. Sadie pędzi za mną. Zamykam nas obie w środku i osuwam się na podłogę. Moja towarzyszka kładzie się obok mnie, a ja opieram rękę na jej szorstkim grzbiecie i zaczynam płakać.

ROZDZIAŁ 36

RITA

Wczoraj wróciłam do domu dopiero o północy, ale i tak nie mogłam zasnąć. Cały dzień coś robiłam, co chwila coś się działo. Tyle było roboty! Wierciłam się w łóżku pewnie z godzinę, cały czas myśląc o tym, że muszę się wyspać, żeby nazajutrz efektywnie pracować. W końcu jednak wstałam i zafundowałam sobie gorącą kąpiel. Wrzuciłam do wanny jedną z tych kulek, od których woda zamienia się w pianę i przybiera ładny zapach. Z okazji Bożego Narodzenia od André i Collina dostałam wielki kosz różnych kosmetyków do kąpieli. Uznałam, że pora wreszcie zacząć z nich korzystać. Zanurzam się w wannie z kieliszkiem wina w dłoni. Z telefonu, który leży w rogu, płyną ciche dźwięki Moody Blues. Do łóżka wróciłam dopiero, gdy się porządnie odmoczyłam i ułożyłam sobie w głowie ciąg zdarzeń, które moim zdaniem miały miejsce w domu w górach. Dopiero wtedy zachciało mi się spać.

Obudziłam się o wschodzie słońca, po drodze kupiłam sobie dużą kawę na wynos. Komendanta spotkałam w drzwiach budynku. To tak wczesna pora, że nie wszyscy zdążyli przyjść. Oczywiście Lauren już jest, z tymi swoimi błyszczącymi oczami i bujnymi włosami spiętymi w kucyk. Zaczynam myśleć, że ona w ogóle stąd nie wychodzi. Właśnie zerwała z kolejnym chłopakiem i cały czas nie potrafi pojąć, dlaczego nikt z nią nigdy nie wytrzymuje dłużej niż miesiąc czy dwa. Ale przecież tak to jest, jak ktoś pracuje na okrągło. Już ja coś na ten temat wiem. Sama przecież też nie mam życia uczuciowego.

Komendant wzywa wszystkich – a w każdym razie wszystkich obecnych – do salki konferencyjnej. Pora na mój występ. Podchodzę do białej tablicy i odkładam notatki na stół. Relacjonuję w szczegółach, co odkryliśmy wczoraj w domu w górach należącym do Bradleyów.

Po zakończeniu zebrania sygnalizuję Lauren, żeby poszła ze mną. Właśnie siadamy do pracy, gdy pojawia się Chase z kawą w dłoni. Młoda policjantka zajęła krzesło przy biurku, więc on zdejmuje uschniętego filodendrona z szafki i tam siada.

– Co o tym wszystkim myślisz, Rita? – pyta Lauren.

Robię głęboki wdech.

– Jeśli się okaże, że ta krew należy do Annalise Robb, będzie to sugerowało, że została zabita w piwnicy, a zabójca nie zauważył, że pod stołem zostały ślady i że przy sprzątaniu przegapił być może także wisiołek. Doktor Bradley pojechał później naprawić okno i przypadkiem upuścił gwoździe. Gdy się nachylił, żeby je pozbiierać, znalazł naszyjnik. Moim zdaniem albo to on jest zabójcą i postanowił usunąć ten ślad z miejsca zbrodni, albo też nie jest zabójcą i po prostu słyszał o zaginięciu tej kobiety, ponieważ szeryf zadzwonił do niego w tej sprawie ubiegłego lata. W każdym razie przywiózł ten wisiołek do Graybridge i schował go w swojej szafie kartotekowej. Tylko kto w takim razie zabił jego? Ten ktoś z całą pewnością szukał czegoś w jego pracowni. Jeśli chodziło o wisiołek, to możliwe, że doktor Bradley powiedział zabójcy, że go znalazł, bo inaczej skąd sprawca by o tym wiedział? Tak czy owak, doktor Bradley słyszał o zaginięciu panny Robb. Zapewne domyślił się, że ten wisiołek należał do niej. Albo to on ją zabił, albo wiedział, kto jest sprawcą, i dał mu znać, że ma naszyjnik u siebie w pracowni.

Chase odchrząkuje.

– Ale jeśli doktor był niewinny, to dlaczego nie zadzwonił na policję z informacją, że znalazł ten wisiołek?

– Pomyśl tylko. Jeśli wisiołek znaleziono w jego domu, a on przyjmował gości w noc zaginięcia Annalise, to kto mógł ją zamordować? – Odchyłam się na krześle i kładę nogi na biurku. – Doktor Bradley – podsumowuję – nie zadzwonił na policję, ponieważ znał tożsamość zabójcy. To musiał być ktoś, kto nocą z czwartego na piąty lipca przebywał w tym domu.

Lauren otwiera usta ze zdumienia.

– Czyli ktoś z jego znajomych?

Biorę do ręki blok kartek i wypisuję nazwiska wszystkich uczestników tej imprezy: doktor Bradley, pani Bradley, Elise Westmore, Scott Westmore, Cal Ferris, Laken Ferris, Josh Pearson, Kim Pearson, Hayes Branch, Alice Branch.

– Wiele zależy od tego, czy krew należy do panny Robb. Jeśli się okaże, że tak, to moim zdaniem zabił ją ktoś z tego grona. – Odkładam długopis i kartki na biurko. – Gdy doktor Bradley znalazł wisiołek, nagle wszystko stało się dla niego jasne. Krwi prawdopodobnie w ogóle nie widział, bo kto niby oglądałby podłogę z latarką w ręku. Annalise miała wtedy jeszcze status zaginionej. On pewnie doszedł do wniosku, że któryś z jego znajomych był w tę sprawę jakoś zamieszany, a gdy poruszył temat, ten ktoś go zabił. – Robię głęboki wdech. – To kogo mogę z tej listy skreślić?

– Alice – rzuca Lauren.

Wykreślam Alice Branch.

– Jasne. Jest skrajnie mało prawdopodobne, żeby jedenastolatka miała coś wspólnego z podwójnym zabójstwem. Ktoś jeszcze?

– To mógł być ktokolwiek z nich – stwierdza Chase.

– Wcale nie. – Lauren nachyla się nad biurkiem. – Nie wydaje mi się, żeby to mogła być którakolwiek z kobiet. Kobiety zwykle nie zabijają nieznajomych. Raczej nie należy zakładać, że jedna z nich zabiła i zakopała w ziemi Annalise Robb.

Wykreślam wszystkie kobiety.

– Zgadzam się. Nie jest to niemożliwe, ale należy to uznać za mało prawdopodobne.

– A jeśli ta krew pod stołem to krew zwierzęca? – pyta Chase. – Wtedy nie można wykluczyć, że doktor Bradley znalazł ten wisiołek na przykład na drodze.

– Wtedy wracamy do punktu wyjścia. Tylko dlaczego doktor Bradley nie zgłosił się z tym wisiorkiem do szeryfa? Po co innego miałby go przechowywać, jeśli nie po to, żeby kogoś chronić?

ROZDZIAŁ 37

MOLLY

Hayes jest zdenerwowany. Dostrzegam to natychmiast po przekroczeniu progu księgarni. Przegląda pudło z książkami, które stoi tuż obok kasy. Brwi ma ściągnięte, co niepodważalnie sugeruje, że się nad czymś zastanawia lub coś rozważa.

– Cześć – mówię, a on unosi wzrok i niby się do mnie uśmiecha, ale jakoś tak krzywo.

– Wcześniej jesteś – stwierdza.

– Tak, nie mogłam spać, więc postanowiłam po prostu zebrać się i przyjść.

Przyjmuje moje wyjaśnienie skinieniem głowy.

– A wszystko w porządku, Molly?

– Tak, w porządku. – Staram się, żeby to zabrzmiało wiarygodnie. – A jak Alice?

– Ona twierdzi, że w porządku. – Z głośnym trzaskiem zamyka jakąś książkę, którą następnie ustawia na półce z napisem „Rezerwacje”. – W ogóle nie powinienem był jej wczoraj z tobą puszczać.

Serce wali mi jak oszalałe. To wszystko moja wina.

– Nie wiedziałam, że coś takiego się wydarzy, Hayes. Gdybym choćby przypuszczała, to nie zabrałabym jej ze sobą... To miała być rutynowa wizyta. Detektyw Myers twierdziła, że chcą tylko zajrzeć do tego domu. Nic strasznego nie miało się stać.

Hayes się prostuje i spogląda na mnie tym razem już z łagodniejszym wyrazem twarzy.

– Przepraszam cię. To dla ciebie na pewno bardzo trudne.

Wychodzi za lady i mnie przytula. Rozluźniam się w jego objęciach. Wzdycham ciężko i przetykam łzy.

– Tak bardzo mi przykro – mamroczę.

– Słuchaj, ja nie mam do ciebie pretensji. Skąd miałaś wiedzieć, że znajdą nad rzeką zakopaną kobietę?

Odsuwam się i ocieram oczy chusteczką.

– To jest wszystko surrealistyczne.

– A oni mają jakąś teorię?

– Nie mam pojęcia, ale chyba podejrzewają Jaya. – Udaje mi się zasymulować śmiech wyrażający oburzenie. – Tylko nie wiem, co w związku z tym zamierzają zrobić. Aresztować nieboszczyka?

Na dźwięk tych absurdalnych słów łzy znów same cisną mi się do oczu. Hayes głaszcze mnie po plecach.

– Może zajrzałabyś do Alice? Siedzi w biurze nad czymś do szkoły.

– Jasne, pewnie. Tylko najpierw wytrę twarz. – Rozglądam się po księgarni. – A potem znajdę sobie jakieś zajęcie.

Zimą w piątki zamykamy o ósmej, a ja zwykle pracuję do szóstej. Hayes poszedł z Alice do sklepu papierniczego, bo potrzebowała czegoś do swojego projektu. Wróci dopiero tuż przed końcem pracy, więc na razie jesteśmy z Sharon same. Od rana niewiele się działo. Śnieg padał cały czas i ogólnie ruch przy rynku był niewielki.

Mrok zapada właśnie jak ciężki koc, gdy w końcu pojawia się jakiś klient. To wysoki mężczyzna po trzydziestce. Głowę ma ogoloną na łyso, ale jego twarz przysłania trzydniowy zarost. Prosi Sharon o pomoc w poszukiwaniu książki z działu literatury. Ja stoję akurat przy kasie, pogrążona w myślach o Jayu i Annalise Robb. Bardzo się też staram nie pamiętać, że ktoś do mnie wydzwania.

Sharon skrada się do mnie w tym swoim grubym czerwonym swetrze, który się z przodu nie dopina.

– Mogłabyś obsłużyć tego pana? – Zerka w kierunku regałów w głębi sklepu. – Nie zabrałam dzisiaj okularów do czytania i ledwo sobie radzę. – Nachyla się nad ladą i zaczyna czegoś szukać na półce po drugiej stronie. – Wydawało mi się, że tu gdzieś powinnam mieć zapasową parę.

Ruszam w kierunku klienta skupionego na przeglądaniu stosów książek.

– W czym mogę panu pomóc?

On prostuje się i uśmiecha.

– Właśnie znalazłem – mówi. Widzę, że trzyma w dłoni egzemplarz *Frankensteina* Mary Shelley w broszurowej oprawie. – Od liceum tego nie czytałem. – Unosi książkę. – Wtedy nie dokończyłem, więc chciałbym spróbować jeszcze raz.

Kiwam głową.

– To dobra książka – stwierdzam i odwracam się w stronę kasy.

– Chwileczkę. – Mężczyzna się rozgląda. – To taka cicha księgarnia w starym stylu.

– Owszem.

Z jakiegoś powodu nie czuję się komfortowo sama pośród regałów w towarzystwie tego obcego człowieka. Ostatnio w każdym nieznanym mężczyźnie dopatruję się nękającego mnie rozmówcy. Kto wie, czy on się gdzieś nie czai, czy mnie nie śledzi, bo dręczenie mnie przez telefon przestało mu już wystarczać? Wzdrygam się i cofam o krok, ale nieznanomy jakby podąża za mną.

Pies

– Nie jestem stąd – zaczyna – więc może zechce mi pani powiedzieć, czy jest tu dział z książkami dla dzieci?

– Tak, oczywiście. Znajduje się na piętrze.

Otulam się ramionami. Najchętniej bym się po prostu ulotniła, ale nie chcę się zachować nieuprzejmie albo jak jakaś ostatnia paranoiczka.

– Przyjechałem w odwiedziny do brata, a nie przywiozłem nic dla jego córki. Co ona sobie pomyśli o wujku, który przybywa z pustymi rękami?

Znów się uśmiecha. To przyjazny uśmiech, żeby nie powiedzieć flirciarski.

Mężczyzna ma przewieszony przez ramię plecak. Ubrany jest w obcisłe dzinsy i skórzaną kurtkę. Ma w sobie coś z dziennikarza, więc wolałabym uniknąć konieczności towarzyszenia mu w wyprawie na piętro. Najchętniej wróciłam do mojego azylu za ladą.

– Mamy ogromny wybór książek dla dzieci. Proszę dać mi znać, gdyby pan potrzebował pomocy – wymawiam się uprzejmą formułką i odchodzę.

Sharon wzięła sobie okulary do czytania ze stojaka przy wejściu do księgarni. Nasunęła je na nos, nawet nie zdejmując metki.

– Teraz lepiej – stwierdza. – Słuchaj, Molly. Może byś zeszła do piwnicy? – Podaje mi karteczkę. – Hayes powiedział, że te książki przyszły, a on je właśnie tam odstawił, żeby nie zawadzały. Teraz polecił mi je uporządkować, tylko że... – Wystawia nogę i zaczyna nią kręcić. – Tak mnie strasznie boli kolano. – Wzdycha ciężko. – Nie dam rady biegać po schodach. Mogłabyś ty pójść?

Nie lubię tam schodzić. Ona wie o tym równie dobrze jak Hayes. Oboje myślą, że mam klaustrofobię. Tak im powiedziałam i przyjęli to wyjaśnienie bez problemu, bo ostatecznie piwnica to niewielkie pomieszczenie o niskim suficie. Hayes zawsze sam chodzi do piwnicy albo wysyła tam Sharon. Nie wiem, co mam zrobić.

– Ależ, daj spokój – mówi Sharon. – Włączysz światło i zostawisz drzwi otwarte. Sama bym poszła, ale to kolano...

Biorę od niej listę.

– No dobrze...

Przynajmniej od tamtego mężczyzny się oddalę.

– Jak chcesz, to możesz potem iść do domu – woła za mną. – Obie tu nie jesteśmy niezbędne.

Ruszam w kierunku drzwi do piwnicy. Są stare, jak wszystko w tym budynku. Skrzypią, gdy je otwieram. Włączam światło i wzdrygam się, gdy otacza mnie unoszące się z dołu zatęchłe zimne powietrze.

Poradzisz sobie, Molly. To tylko księgarnia.

Na schodach dobiegają mnie odgłosy rozmowy między klientem a Sharon. Drewniane stopnie drżą pod moim ciężarem. Schodzę powoli, krok po kroku. Na dole nie ma okien, wszędzie za to stoją pudła, a na środku znajduje się duży stół. *To tylko księgarnia*, powtarzam sobie. Napinam ramiona i jakoś docieram do książek, które leżą na stercie na stole. Kładę przy nich moją listę. Przystępuję do pracy, usiłując nie myśleć o niczym innym niż moje bieżące zadanie. Całą uwagę skupiam na książkach.

Prawie kończę, gdy nagle gaśnie światło i piwnica pogrąża się w ciemności. Zamieram z przerażenia. Chwytam się krawędzi z stołu i nie mogę puścić. Drzwi do piwnicy się zamykają, a podłoga nad moją głową zaczyna skrzypieć. Ktoś się po

niej przechadza. Dlaczego Sharon wyłączyła to światło? Może odcięli nam zasilanie? Może z powodu śnieżycy?

Serce wali mi jak oszalałe, dłonie wilgotnieją. Robię głęboki wdech, żeby odzyskać spokój. Po omacku zmierzam w kierunku, w którym spodziewam się znaleźć schody. Zaczynam się pocić i czuję ścisk w gardle. W ogóle nie powinnam była tu schodzić.

Zaczynam panikować, że nigdy nie znajdę tych schodów, gdy nieoczekiwanie uderzam łdką o pierwszy stopień. To boli.

– Sharon!

Wspinam się na górę na czworakach, puls dudni mi w uszach, a w żyłach tętni strach. Nie mogę oddychać. Wydaje mi się, że słyszę go za sobą. Słyszę, jak truchta w ciemności. Gdy tak pędzę po schodach na górę, czuję na plecach podmuch chłodnego powietrza.

Docieram do drzwi, podnoszę się do pozycji pionowej i chwytam za klamkę. Obracam ją, ale nic to nie daje. Ktoś przekręcił zamek. Przełykam łzy i zaczynam walić w drzwi pięściami. Przed oczyma stają mi wizje z przeszłości. To jest jak koszmar. Jestem zamknięta w środku. Nie mam którejdy uciekać.

W końcu drzwi się otwierają, a w świetle pojawia się sylwetka Hayesa.

– Molly!

Niemal rzucam mu się w ramiona. Cała się trzęsę.

– Co się, do licha, stało? – Odgarnia mi z twarzy wilgotne włosy. – Co ty tam robiłaś? Sharon powiedziała, że poszłaś do domu.

Podchodzi do lady i przynosi mi stamtąd butelkę z wodą.

Z biura wychodzi Alice.

– Co się stało?

Tętno mi powoli zwalnia, czuję się teraz głupio. Zarówno Hayes, jak i jego córka przyglądają mi się z wyraźną troską.

– Nie wiem. Jakoś tak wyszło, że znalazłam się tam na dole za zamkniętymi drzwiami. – Próbuję powstrzymać łzy. – Chyba miałam atak paniki.

Hayes mnie przytula, a ja oddycham głęboko przez jego sweter.

– Tyle ostatnio przeszłaś – mówi. – Nic dziwnego, że się przestraszyłaś.

Spoglądam mu przez ramię. Przez witrynę od strony ulicy dostrzegam tamtego mężczyznę. Stoi po drugiej stronie ulicy pod latarnią z egzemplarzem *Frankensteina* w ręku.

ROZDZIAŁ 38

MOLLY

Budzę się krótko przed jedenastą. Wczoraj wieczorem Hayes przywiózł mnie do domu i został ze mną do północy. Wypiliśmy razem butelkę pinot noir, rozmawiając przy tym o książkach i filmach, bo w normalnych okolicznościach to nasze ulubione tematy. Alice oglądała w tym czasie film dokumentalny o lasach deszczowych. Gdy w końcu poczułam się senna – jak małe dziecko, które płacze, aż ostatecznie opadnie z sił – moi goście pojechali do domu.

Popołudnie jest szare. Gęste zimowe chmury całkowicie przesłaniają niebo, ale nie przynoszą żadnych nowych opadów śniegu. Włączam lampki na choince i wpatruję się w kolorowe ozdoby w blasku białych światełek. Powinnam ją pewnie rozebrać, ale nie jestem w stanie. Jeszcze nie. To będzie kolejny symboliczny moment, w którym posprzątam po Jayu, schowam go do pudeł i wrócę do normalności.

Odzywa się dzwonek przy drzwiach. Sięgam pospiesznie po laptopa, żeby zerknąć na obraz z kamery. Kim. *Cholera jasna*. Nie widziałyśmy się, odkąd nakryłam Josha z Laken w spa. Rozmawiałyśmy parę razy przez telefon, ale starałam się szybko rozłączać.

Ściskamy się jeszcze w drzwiach, a potem siadamy przy stole w kuchni. Humor jej najwyraźniej dopisuje. Widocznie Josh jeszcze jej nic nie powiedział. Niech go szlag.

– Chciałam się upewnić, że jakoś sobie radzisz po tym, co się wydarzyło w domu w górach – mówi Kim.

– Radzę sobie i tylko Alice mi szkoda. Dość mocno nią to wstrząsnęło. W ogóle bym jej tam nie zabrała, gdyby mi choćby przeszło przez myśl, że może się stać coś takiego.

Wzdycham głęboko.

– To nie twoja wina. Skąd niby miałaś wiedzieć, że ta zaginiona kobieta znajdzie się na terenie waszej posiadłości?

Kręcę głową.

– To jest jeden wielki koszmar, Kim. Chciałabym, żeby się już to wszystko skończyło. – Próbuję się uśmiechnąć. – Josh mi powiedział, że jesteś w ciąży.

Ona się w tym momencie rumieni.

– Serio, powiedział ci? – Wzdycha z irytacją. – Sama ci chciałam powiedzieć, jakoś, kiedyś.

– Cieszę się, bardzo się cieszę.

– No cóż, ostatnio poza pojawieniem się tego dziecka nic dobrego się nie wydarzyło.

– Ale to przecież nie twoja wina. Mówiłaś już Willow?

– Jeszcze nie. Po tym, co się stało ostatnio, chcieliśmy trochę zaczekać.

Wracam myślami do narodzin ich córeczki. Pamiętam, jak na nią patrzyłam przez szybę na oddziale intensywnej terapii noworodka. Była w inkubatorze, podłączona do tylu różnych rurek. Oczka miała przesłonięte materiałową opaską. Serce mi się krajało, gdy widziałam, jak taki maluch walczy o życie.

– A na razie wszystko w porządku? – pytam.

Kim kiwa głową.

– Lekarz twierdzi, że tak, więc mam nadzieję, że tym razem uda mi się donosić ciążę do końca.

Czuję nagły przyływ gniewu, bo przypominam sobie o romansie Josha i Laken. Staram się to uczucie od siebie odepchnąć. To nie jest na nie ani czas, ani miejsce. Ale Joshowi nie zamierzam odpuścić. Będę na niego naciskać tak samo, jak to robił Jay.

– A na kiedy masz termin?

– Na koniec czerwca.

– No to przynajmniej jednej radości możemy wyczekiwać – mówię i ściskam jej dłoń. – Przyda nam się optymistyczny akcent.

– Dzięki, Molly. Głupio tylko wyszło, że to akurat w tym momencie.

Wzruszam ramionami.

– Tak to już w życiu bywa. Ja sobie jakoś poradzę.

Rozmawiamy o różnych mało istotnych sprawach, o szkole, o księgarni. Jeszcze parę tygodni temu wydawało nam się to wszystko takie ważne. Jak to dobrze móc po prostu pogadać z przyjaciółką i przez chwilę poudawać, że wszystko jest normalnie.

Kim zerka na telefon. Zbliża się pora obiadowa. Odprowadzam ją na ganek i macham, gdy uruchamia silnik. Dokładnie w momencie, gdy ona odjeżdża, przed domem zatrzymuje się ciemny sedan. Wysiada z niego mężczyzna z plecakiem. Czy to ten facet z księgarni? Wracam do domu, czym prędzej zatraskuję drzwi i przekręcę zamek.

Chowamy się z Sadie w pralni. Na komputerze, który trzymam na kolanach, obserwuję, jak mężczyzna zmierza w stronę domu. Nie odrywam wzroku od czarno-białego obrazu. Trudno mi powiedzieć, czy to ten sam człowiek. Nie potrafię też rozstrzygnąć, czy jest dziennikarzem. Odkąd jednak na naszym terenie znaleziono ciało, nie mam wątpliwości, że media mnie prędzej czy później wytropią. Zaczną drążyć. Doniesień będzie coraz więcej. To będzie sensacja. Zamordowany psycholog. Odkrycie ciała zaginionej kobiety. Jakieś związki między tymi dwiema rzeczami na pewno się znajdzie.

Gdy mężczyzna wyciąga rękę do dzwonka, wstrzymuję oddech. W tym momencie odzywa się mój telefon. Odbieram połączenie, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Molly?

– Mama, cześć.

– Czy wszystko w porządku?

– Tak, w porządku.

Mężczyzna chyba jednak da sobie spokój. Widzę, jak zawraca i kieruje się na schody ganku. Wyteżam wzrok, żeby stwierdzić, czy trzyma w dłoni telefon. Czy będzie próbował do mnie zadzwonić? Czy to on mnie gnębi? A może to po prostu reporter, który goni za sensacją?

– Molly?

– Co takiego?

– A czy mamy z tatą przyjechać?

Niemal słyszę w jej głosie: *Proszę, powiedz, że nie musimy.*

– Wszystko w porządku, naprawdę. – Widzę teraz już tylko samochód przy chodniku. Odjeżdża. Mogę odetchnąć. – Mam dzisiaj sporo rzeczy do zrobienia w domu. Może jutro byłoby lepiej?

Żegnamy się, a ja wzdycham z ulgą.

Moi rodzice jak zwykle nie wiedzą, jak się zachować. Mama dzwoni codziennie, żeby „sprawdzić, jak sobie radzę”, tak naprawdę jednak cały ciężar opieki nade mną zrzucają na Corrine. Od samego początku tak było. Dlaczego nie wykorzystać starszego dziecka, tym bardziej że się tego młodszego wcale nie planowało? Krótco po przeprowadzce do Graybridge, gdy byłam jeszcze bardzo mała, przyjechała do nas z wizytą ciotka mojej matki. To wtedy usłyszałam, jak ciotka Ellen opowiada jakiejś sąsiadce, że jestem wpadką. Pomyślałam wówczas, że chodzi jej o niezdarność, którą mi zawsze wytykała matka. Potem jednak zapytałam o to Corrine, a ona powiedziała, że nie byłam wyczekiwanyym dzieckiem. Tego również nie zrozumiałam. Dopiero po latach dotarło do mnie, z czego wynikała tak duża różnica wieku między moją siostrą a mną i co te wyrażenia tak naprawdę znaczą.

Mój ojciec jest księgowym, a mama wykłada matematykę. Ich życie jest ściśle zaplanowane i poukładane, a moje narodziny zaburzyły ten porządek. Całkowicie zbiły ich z tropu. Tamtego lata mama pracowała akurat nad doktoratem. W ten tragiczny dzień, który miał na zawsze odmienić nasze życie, pojechała na uczelnię, a mnie zostawiła pod opieką sąsiadki, pani Arndt. Minęło wiele godzin, zanim wróciła do domu i dowiedziała się, że zaginęłam. Nigdy nie potrafiłam wyzbyć się uczucia, że jakoś ich zawiodłam i że zrujnowałam im życie. Nikt mi oczywiście nigdy niczego takiego nie powiedział, ale w takich kwestiach można się czasem zorientować, nawet gdy wszyscy milczą.

Ledwo co odetchnęli, że wyszłam za mąż za człowieka, który mógł mnie uchronić przed upadkiem w przepaść, a tu znów rozpętało się w ich życiu piekło i to znowu ja ich w nie wciągałam.

Muszę zabrać Sadie na wieczorny spacer, zerkam więc na obraz z kamer, a potem jeszcze przez okno. Chcę mieć pewność, że nie ma nikogo w pobliżu. Wygląda, że nie, więc zbieram się do wyjścia, bo jest już prawie zupełnie ciemno.

Sadie posłusznie drepcze chodnikiem przy nodze. Palcami cały czas dotykam telefonu, który mam w kieszeni płaszcza. Z przerażeniem myślę o tym, że ten

mężczyzna miałby znów zadzwonić. Baczenie wpatruję się we wszystkie krzaki, drzewa i inne dogodne kryjówki. Od czasu do czasu obracam się też przez ramię i spoglądam za siebie. Muszę zachować czujność. Nieustannie się zastanawiam, dlaczego on mnie dręczy. O co mu może chodzić?

W drodze powrotnej przechodzimy z Sadie przez ulicę. Właśnie zaczął padać śnieg, skupiam więc wzrok na płatkach opadających powoli w świetle latarni. Uwielbiam śnieg. Choćby za to, jak tłumi dźwięki i jak wyzwala świat od szarości. Stanowi przeciwieństwo nachalnego letniego słońca, które pali skórę i utrudnia oddychanie.

Zatrzymuję się przy skrzynce na listy i wydaję z niej kilka kopert, a także stertę ulotek. Wsuwam sobie cały ten pliczek pod pachę.

Po wejściu do domu nalewam Sadie świeżej wody do miski. Poczta leży na kuchennym blacie, a ja przerzucam kolejne koperty. W końcu na jednej się zatrzymuję. Adres zwrotny podano jako „Ossing, Nowy York. Zakład Karny Sing Sing”. Serce podchodzi mi do gardła, jakby mi chciało wyskoczyć z piersi. Adresatem listu jest doktor Jay Bradley.

Opadam na kuchenne krzesło i rozdieram kopertę.

Szanowny Doktorze Bradley!

Bardzo Panu dziękuję za list. Schlebia mi fakt, że rozważa Pan uwzględnienie mojej osoby w swojej książce. Chętnie z Panem porozmawiam twarzą w twarz. Tyle kłamliwych informacji posłano już w świat na temat wydarzeń, z powodu których się tu znalazłem. Chętnie skorzystam z okazji, aby opowiedzieć o tym, co się stało naprawdę.

To wszystko miało miejsce dawno temu, ale ja dokładnie to pamiętam. Pamiętam każdy szczegół tych tragicznych zdarzeń. Chętnie Panu te informacje przekażę w nadziei, że Pańska książka ujawni w końcu prawdę, która tak się bardzo różni od tego, co media na ten temat opowiadały.

Proszę zatem zorganizować wizytę, a ja z przyjemnością odpowiem na wszystkie Pana pytania.

Załączam serdeczne pozdrowienia

Keith Russell

Cała się trzęsę. Nie mogę złapać tchu. Sadie trąca mnie nosem i skamle cichutko. To się nie dzieje naprawdę! To niemożliwe. Odrzucam list, jakby płonął. Nie chcę dotykać niczego, czego on wcześniej dotykał. Czy to się nigdy nie skończy? Jak to możliwe, że po tylu latach on cały czas maści w moim życiu?

Wtedy jednak w mojej głowie świta pewna myśl: to Jay napisał do niego. To przecież niemożliwe. Nawet jeśli postanowił opierać się w swojej książce na wywiadach z więźniami, to dlaczego miałby się kontaktować akurat z Keithem Russellem? Jak mógł mi coś takiego zrobić?

Chodzę tam i z powrotem po domu, z rękami zaplecionymi na brzuchu. Próbuje przestać się trząść, ale nie mogę.

Nie udało mi się uspokoić, więc zadzwoniłam do Corrine, a ona przyjechała.

– Co się dzieje, Molly? – pyta.

Przez telefon nie wyjaśniłam jej, o co chodzi. Powiedziałam tylko, że jej potrzebuję.

Kładę przed nią list, a ona szybko go czyta.

– O, Boże. – Spogląda na mnie. – Dlaczego Jay miałby chcieć rozmawiać z Keithem Russellem? – Niemal wypluwa z siebie jego nazwisko, jakby próbowała odczarować zły urok. – Nie znalazł żadnych innych porąbanych zabójców do tej swojej pieprzonej książki, że akurat z tym dupkiem musiał rozmawiać?

Kręcę głową. Nie mogę uwierzyć, że mój mąż miałby mnie zdradzić w taki sposób.

– A jeśli... – Nie potrafię zdobyć się na to, żeby spojrzeć Corrine w oczy. Głos więźnie mi w gardle. – A jeśli Jay ożenił się ze mną tylko ze względu na moją przeszłość? Może po prostu interesował się mną naukowo? Może chciał napisać książkę o mnie i o moim beznadziejnym życiu...

Corrine mocno mnie przytula.

– Nie, Molly. Jay cię kochał. Popełnił tylko straszny błąd. Potworny. Ale cię kochał.

Płacę w jej ramionach. Ona też płacze. Zgadzam się dziś pojechać na noc do niej. Mój dom z jakiegoś powodu stracił swój urok. Pakujemy się z Sadie i przenosimy do Corrine.

Po drodze opowiadam jej o tajemniczych telefonach.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

– A nie wydaje ci się, że to tylko wygłupy? – Nie chcę, żeby mnie wzięła za paranoiczkę albo histeryczkę.

Ona tymczasem uderza dłonią w kierownicę.

– Po tylu latach? Nie podoba mi się to, Molly. Niby dlaczego akurat teraz? Tyle czasu już minęło.

– Nie wiem. – Opieram głowę o szybę po stronie pasażera i zaczynam skubać rękaw płaszcza.

Corrine jedzie szybko i gwałtownie kręci kierownicą przy skrętach. Gdy w końcu wjeżdżamy na autostradę, wybiera najszybszy pas i ściąga brwi.

– Jutro z samego rana jedziemy do komendy powiedzieć detektyw Myers o tych telefonach – oznajmia.

– Wtedy będę jej musiała też powiedzieć, kim jestem, Corrine.

– No to będziesz musiała. Ona przecież nikomu tego nie wyjawia ani nie zadzwoni do gazet. Może uda im się ustalić, kto cię dręczy i dlaczego. A może pogadają z kimś w więzieniu, żeby sprawdzić, czy to aby ten dupek się nie wygłupia.

Zawsze mnie ta myśl prześladowała. Czy on już na pewno nie będzie w stanie nikogo skrzywdzić? Czy więzienne kraty zdołają go przed tym powstrzymać?

Gdy dojeżdżamy do mieszkania Corrine, znów pada śnieg. Tym razem jednak z nieba nie spływają już puchate płatki, tylko sypie drobny i twardy groszek. Kulę się w łóżku w pokoju gościnnym i nasłuchuję, jak stuka w szybę. W ostatnich dniach stanowczo za wiele się wydarzyło. Jedna katastrofa po drugiej. Siły mi już brakuje, nie jestem w stanie odpędzić od siebie koszmarów. Staram się, jak mogę, ale mój umysł cały czas wraca do tamtego dnia.

To był trzeci lipca, dzień po moich szóstych urodzinach. Na bezchmurnym niebie prażyło słońce. Bawiłam się w ogródku u sąsiadów z ich czteroletnią córeczką Indie. To było zdrobnienie od India. Wolałabym mieć trochę starszą koleżankę, ale poza nami nie było w okolicy żadnych dzieci poniżej dziesiątego roku życia, więc musiałyśmy się jakoś dogadać. Pilnowała nas jej mama. A w każdym razie miała nas pilnować. Raz po raz wychodziła na taras, ale szybko znikwała w domu, żeby oglądać opery mydlane i popijać wódkę z filiżanki do kawy.

Moja mama pojechała na uczelnię, żeby jeszcze przed rozpoczęciem letniej przerwy popracować w czytelni nad jakąś swoją publikacją. Corrine wybrała się ze znajomymi do centrum handlowego, a tata był w pracy. I tak oto ja wylądowałam u sąsiadów.

Lato na północy stanu Nowy Jork jest zwykle albo chłodne, albo bezlitośnie upalne. Tamto należało do tej drugiej kategorii. Było tak gorąco, że włosy kleiły się do szyi, a różne bzyzące stworzenia nie ustawały w wysiłkach, aby przysiąść na spoczonej skórze. Bez kremu do opalania w ogóle nie należało wyściubiać nosa z domu. Bawiłyśmy się z Indie na huśtawce, wymachując pulchnymi nóżkami i pobrzękując łańcuchami. Gdy nam się to znudziło, wróciłyśmy do ogródka. Pośród wysokich chwastów, w miejscu całkowicie niedostępnym dla kosiarki, znajdował się wyblakły plastikowy domek do zabawy. Moja matka czasem się skarżyła na te zarośla. „On tam powinien wejść z podkaszarką”, powtarzała. „Bo zaraz nam się tu zaroi od kleszczy”.

My się z Indie nie przejmowałyśmy kleszczami. Buszowałyśmy pośród wysokich traw, zbierając pojedyncze kwiaty, którym udało się przebić w stronę słońca przez gąszcz innych roślin. Trzymałam właśnie w lepiącej się rączce kilka kwiatów marchwi i niebieskich felicji, gdy pośród drzew rosnących w dość dużych odstępach za domami dostrzegłam postać. Najpierw stanęłam nieruchomo jak królik, który dojrzał na niebie jastrzębia, ale potem się rozluźniłam, bo mężczyzna wyłonił się zza pnia dębu.

To był Keith Russell, kuzyn Indie z Poughkeepsie. Miał osiemnaście lat i przyjechał na lato do ciotki i wuja. Był naprawdę wysoki, a w każdym razie tak mi się wtedy wydawało. Był też bardzo chudy i grdyka mu tak mocno wystawała, gdy coś mówił. Gęste i brązowe włosy zachodziły mu na krzaczaste brwi. Zęby jakby nie mieściły mu się w ustach, a brodę miał całą w czerwonych krostkach. Do mnie i do Indie zawsze jednak odnosił się przyjaźnie. Chętnie się z nami bawił na podwórku, huśtał nas albo wcielał się w rolę berka. Zachodził nas wtedy od tyłu i unosił wysoko w powietrze. Wydało mi się to dziwne, że przychodzi akurat od strony lasu. Wcześniej słyszałam, jak mówił ciotce, że się wybiera do kina. Uznałam jednak, że widocznie zmienił zdanie. Cieszyłam się, że go widzę, bo skończyły nam się pomysły na zabawę i szukałyśmy nowego. Gdy przywołał nas spomiędzy drzew, chętnie przedostałyśmy się przez dziurę w ogrodzeniu z siatki.

– Chodźmy na lody – powiedział i poprowadził nas przez las do samochodu, który stał przy sąsiedniej ulicy.

Wizja przygody i lodów skutecznie stłumiła obawę przed oddalaniem się od domu bez informowania dorosłych. Poza tym to był Keith. Na pewno dał znać mamie Indie.

Bardzo dokładnie pamiętam, jak jechaliśmy pordzewiałym niebieskim samochodem Keitha z otwartymi oknami, przez które wpadało do środka gorące i brudne od kurzu powietrze. Kuzyn Indie dał nam po butelce ciepłej oranżady, którą chętnie wypiliśmy. Z radia płynęły dźwięki piosenki, która odtąd już nieodmiennie kojarzyła mi się z tamtą feralną przejażdżką. Wyruszyłam wtedy w podróż do nowego życia, od którego nie było potem odwrotu. Wtedy jednak myślałam tylko o truskawkowym deserze lodowym z dużą ilością bitej śmietany. Pamiętam, jak oglądałam się przez ramię, gdy minęliśmy lodziarnię i zaczęliśmy się od niej oddalać.

– Miałeś się zatrzymać, Keith – zdziwiła się Indie. – To było tam wcześniej.

Wstała na paluszki i wyciągnęła w tamtą stronę palec wskazujący. Jechaliśmy razem na przednim siedzeniu. Nie odrywając oczu od drogi, Keith pociągnął ją za koszulkę, żeby z powrotem usiadła.

– Keith! – krzyczała Indie, której twarz otulały poklejone od potu i zmierzwione długie ciemne włosy.

– Zaraz zawracam. Siedź spokojnie i pij oranżadę.

W jego głosie zabrzmiało w tym momencie coś dziwnego, więc usiadłyśmy. Uda nam się kleiły od upału, po głowie zaś chodziła myśl, że chyba zrobiłyśmy coś nie tak. Posłusznie sączyłyśmy napój i po jakimś czasie upalny dzień zaczął się wokół mnie rozplýwać jak we mgle.

Nie mam ochoty opowiadać o tym ani detektyw Myers, ani w ogóle nikomu. Ale może ona już tę historię zna. Może zdążyła się dogrzebać do prawdy na mój temat. Ludzie czasem tak robią. Tak długo wnikają i drażną, aż dowiedzą się o prywatnym życiu innych dosłownie wszystkiego. Zupełnie jakby mieli pełne prawo wydobywać cudze sekrety na światło dzienne.

Jak zwykle gdy ten dzień wspominam, wzbiera we mnie gniew. Jakim prawem Keith Russell mi coś takiego zrobił? Kto mu pozwolił zniszczyć moje życie, jeszcze zanim na dobre się ono zaczęło? Terapeuci przekonywali mnie później, że sama

jestem panią mojego życia i że liczy się przede wszystkim to, jak zareaguję i jak przeżyję je dalej. Tylko że to moim zdaniem nie jest do końca prawda. Jak to się zawsze dzieje w przypadku krzywdzonych dzieci, moje życie toczy się wyjątkowym, zmienionym rytmem i na to nic nie da się poradzić.

Gdy w końcu morzy mnie sen, wyciągam rękę, żeby upewnić się, że Sadie leży obok mnie i mogę ją w każdej chwili pogłaskać. Czuję, jak spokojnie oddycha.

W tym momencie leżący na poduszce telefon nagle zaczyna drgać. Połączenie z nieznanego numeru. Mam ochotę zabić tego łajdaka.

– Tak?

– Witaj, Melindo Wright.

– Czego ty, do diabła, ode mnie chcesz?

Słyszę długie i rwane westchnienie.

– Wiem, jak było. I wiem, że nie spocznę, dopóki ty nie wrócisz do tej piwnicy na zawsze.

ROZDZIAŁ 39

RITA

Miałam mieć dzisiaj wolne, ale w domu nie mogłam sobie znaleźć miejsca, więc przyjechałam. Musimy przesłuchać podejrzanych, ale czekam jeszcze na wiadomość od szeryfa Skinnera. Umówiliśmy się, że mi przekaże, co ustalili technicy. Ten raport ma zasadnicze znaczenie dla dalszego trybu postępowania. Nie mogę się doczekać. Przejrzałam już całą dokumentację dotyczącą wszystkich innych śledztw, które prowadzę, zadzwoniłam tu i tam, ale cały czas nie mogę przestać myśleć o sprawie Bradleya. Snuję w głowie najróżniejsze scenariusze i miotam się jak wiewiórka w klatce.

Dzwoni telefon. Na ekranie wyświetla się numer, którego nie znam.

– Rita?

W pierwszej chwili nie rozpoznaję głosu.

– Tak, słucham?

– Tu Joe Thorne.

Uśmiecham się szeroko. Joe się już ładnych parę lat nie odzywał, ale znamy się jak łyse konie. Służy w FBI, prowadziliśmy razem jedną sprawę z pięć czy sześć lat temu. Na samo jej wspomnienie, a może raczej na wspomnienie tego, co się wydarzyło, gdy już ją zamknęliśmy, na twarz wstępuje mi rumieniec, a na sercu robi mi się ciepło. On potem kilka razy próbował się ze mną umówić, ale mnie jakoś zawsze brakowało odwagi, żeby potraktować tę sprawę poważniej, więc to się samo rozplynęło. Teraz znów się odzywa, znów się pojawia w moim świecie, a ja jednocześnie cieszę się z tego powodu i się tym martwię. Przed wszystkim jednak staram się zachować profesjonalizm. Nie przypuszczam, żebym miała z tym problem.

– Jak to miło znów cię usłyszeć, Joe. Kopę lat. Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku. Starzeję się. – Śmiejemy się oboje, ale on wcale nie brzmi staro. – Wygląda na to, że będziemy pracować razem przy sprawie Annalise Robb.

– Czyżby szeryf Skinner postanowił zrzucić na was brudną robotę?

– Właśnie... Wydaje się, że w sprawę może być zaangażowany ktoś z Graybridge, więc skontaktował się z nami, żeby poprosić o pomoc.

– A powiedział wam coś nowego?

– Tak. – Joe odchrząkuje. – Dostał wstępny raport z laboratorium, w którym badano krew znaną w piwnicy Bradleyów. Należała do ofiary.

Wypuszczam głośno powietrze, a potem zapadam się w krzesło.

– Czyli ona jednak zginęła w piwnicy Bradleyów.

– Wiele na to wskazuje.

– To w takim razie mamy sporo do obgadania, agencie Thorne.

– Owszem – słyszę w odpowiedzi.

Czyżby on sugerował, że ta sprawa wykracza poza kompetencje policji? Robię głęboki wdech i opieram stopy na ziemi.

– No dobra, Joe. To przejdźmy do konkretów.

Uzgadniamy wszystkie szczegóły, a potem się rozłączam. W drzwiach do mojego gabinetu stoi Chase.

– Ile słyszałeś? – pytam z nadzieją, że rumieniec zdążył w porę zniknąć z moich policzków.

– Niewiele. Co to za agent Thorne?

– Z FBI. Będą tu w poniedziałek.

Z korytarza dobiegają mnie głosy i głośne kroki. Ktoś się spieszy. Do mojego pokoju wpadają pani Bradley z siostrą, a za nimi Chase.

– Potrzebujemy pomocy – oznajmia Corrine Alworth, rzucając mi na biurko kopertę.

– A co to takiego? – pytam.

– Wczoraj przyszło do mojej siostry.

Pani Bradley siada ciężko na krześle naprzeciwko mnie, chowa nogi pod siedzisko i cała zwija się w kulkę jak jakiś przerażony dzieciak. U jej boku dyszy

pies o szpiczastych uszach i wywieszonym języku. Cała trójka aż kipi od emocji.

Spoglądam na adres nadawcy. Hm. Sing Sing. Czytam uważnie treść listu.

– Ktoś to wysłał do doktora Bradleya?

Pani Alworth kiwa głową. Stoi za siostrą i trzyma jej rękę na ramieniu.

Odkładam list na biurko.

– Czy słusznie się domyślam, że to kolejny osadzony, z którym chciał rozmawiać w ramach zbierania materiałów do książki? – pytam z wahaniem, bo czuję, że coś tu się święci.

Pani Bradley przełyka łzy i chowa twarz w dłoniach. Bardzo dziwne mi się to wszystko wydaje.

Pani Alworth wzdycha gniewnie.

– Keith Russell siedzi w więzieniu, bo dopuścił się napaści na moją siostrę, gdy była jeszcze bardzo malutka.

– Przykro mi to słyszeć.

Już rozumiem. Rzeczywiście niezbyt fortunnie się złożyło, że doktorek postanowił akurat z kimś takim przeprowadzić wywiad.

– Pani detektyw. – Corrine Alworth nachyla się nad moim biurkiem. Na jej twarzy maluje się nerwowe napięcie. – Moja siostra nazywała się wtedy Melinda Wright.

No dobra, to mi coś mówi. *Myśl, Rita, myśl*. Pamiętam tę sprawę, a w każdym razie powoli sobie przypominam. Różne szczegóły i drobiazgi. To było bardzo dawno temu, ale o sprawie mówiło się w całym kraju. Dwie małe dziewczynki zostały uprowadzone i przez trzy dni przetrzymywano je w piwnicy starego domu na wsi. Paskudna historia.

Teraz uderza mnie to z całą mocą.

– Tak mi przykro, pani Bradley – mówię, bo mam poczucie, że zabrakło nam trochę wrażliwości.

Obawiam się, że mogliśmy całkiem niechcący narazić ją na niepotrzebny ból. *Chryste Panie, ta kobieta przyciąga nieszczęścia jak magnes*. Nic dziwnego, że potrzebuje psa terapeutycznego.

– Dlaczego nam pani o tym nie powiedziała? – pytam cicho.

Molly Bradley unosi w górę nabiegłe krwią oczy.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Nie chcę tego wszystkiego. Niczego z tego nie chcę.

– A dlaczego mówi mi pani o tym teraz?

Pani Alworth zaciska pięści.

– Od czasu zabójstwa męża moja siostra odbiera jakieś głupie telefony.

Sięgam po notatnik.

– Jakie telefony?

Pani Alworth wyjaśnia mi ich naturę, tylko od czasu do czasu przerywając swój wywód, żeby siostra mogła potwierdzić prawdziwość jej słów.

– Dzwoniący pani grozi, pani Bradley?

– Właśnie – odpowiada za nią siostra.

– Dlaczego?

To przecież nie ma sensu. Co to wszystko może mieć wspólnego z morderstwem jej męża? Ale może wcale nie ma. Sprawca co najmniej dwukrotnie miał możliwość napaść na panią Bradley, ale tego nie zrobił. Najpierw gdy spała na piętrze swojego domu w noc zabójstwa, a potem gdy wrócił. Wtedy dostał się do garażu, do domu zaś nie próbował się wedrzeć, mimo że pani Bradley była tam sama i bezbronna.

– Nie wiem – wykrztusza z siebie.

– No dobrze. Zobaczmy, co nam się uda zdziałać.

Stukam ołówkiem w notes.

Chase robi krok naprzód.

– Ja się tym zajmę, Rita. Przyjmę zeznanie od pani Bradley, a potem spróbujemy namierzyć te połączenia.

Wychodzą we troje z mojego gabinetu, a za nimi podąża pies. Wzdycham ciężko. Ta sprawa komplikuje się z każdą chwilą.

ROZDZIAŁ 40

MOLLY

Leżę skulona w łóżku u Corrine. Ona mi proponowała, żebym przyszła na kolację, ale nie chcę. Żołądek mam cały czas ściśnięty. W drodze do mieszkania widziałam kilka wozów transmisyjnych zaparkowanych przy chodniku. Czyżby wreszcie złapali trop? Całe szczęście, że budynek ma prywatny parking i nie mogą za nami wjechać.

Włączam telewizję, żeby zagłuszyć odgłosy rozmowy, którą Corrine i Rich prowadzą w pokoju obok.

Zaczyna się jakiś rozrywkowy program informacyjny. Radosny dżingiel zapowiada pojawienie się prowadzącej. Kobieta szeroko się uśmiecha, a jej przylizane blond włosy lśnią w świetle telewizyjnych reflektorów. W prawym górnym rogu ekranu pojawia się moje zdjęcie. I nagle serce zaczyna mi walić jak młotem. Lokalne media donosiły o zabójstwie Jaya i znalezieniu zaginionej kobiety w domu w górach, ale nadawcy ogólnokrajowi dotąd nie interesowali się sprawą.

Prezenterka otwiera pomalowane na czerwono usta i mówi:

– Melinda Wright Bradley to niewątpliwie postać tragiczna. W niedzielę piątego stycznia ktoś włamał się do jej domu i brutalnie zamordował jej męża, psychologa Jaya Bradleya, gdy ona smacznie spała na piętrze. Kobieta jednak nie po raz pierwszy poznała smak dramatu. W dziewięćdziesiątym pierwszym roku cały kraj śledził losy małej rudowłosej Melindy, która wraz z sąsiadką Indią Arndt zniknęła z ogrodu państwa Arndtów na północy stanu Nowy Jork. Po trzech dniach poszukiwań dziewczynki znaleziono w piwnicy opuszczonego domu na wsi. Zostały brutalnie poturbowane przez niezrównoważonego psychicznie nastolatka. India niestety nie przeżyła.

Na tym się nie kończy.

– Jakby tego wszystkiego było mało, na terenie posiadłości należącej do zamordowanego męża Melindy znaleziono ciało kobiety, której zaginięcie zgłoszono w New Hampshire. Władze zastanawiają się, czy istnieje związek między tym zabójstwem a śmiercią doktora Bradleya...

Do pokoju wchodzi Corrine. Wyłącza telewizor.

Jestem całkiem oniemiała. Leżę na łóżku jak trup, nic nie czuję. Słyszę, że mój telefon dzwoni i informuje o nadejściu kolejnych wiadomości. Teraz już wszyscy wiedzą. Teraz już nie mam się gdzie schować.

ROZDZIAŁ 41

MOLLY

Wczoraj nie wyściubiałam nosa z pokoju w domu Corrine. Telefon miałam cały czas wyłączony. Dziś jednak, w poniedziałkowy poranek, postanawiam śmiało zmierzyć się z ogniem. Dochodzę do wniosku, że inaczej już na zawsze zostanę w tym mieszkaniu. Mam kilkadziesiąt nieodebranych wiadomości, więc kasuję je wszystkie, nie sprawdzając nawet nadawców. Akurat porządkuję powiadomienia, gdy telefon zaczyna dzwonić. Na wyświetlaczu pojawia się imię Kim. Robię głęboki wdech i odbieram.

– Cześć, Kim.

– Molly! Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Jestem u Corrine.

Po drugiej stronie zapada cisza. Kim najwyraźniej nie wie, co powiedzieć. Ja też nie.

– Martwiliśmy się wszyscy o ciebie. Widzieliśmy wiadomości – dodaje cicho.

– Teraz to już pewnie wszyscy widzieli, a ja nie chcę o tym rozmawiać.

– Rozumiem – mówi, ale słyszę w jej głosie rozgoryczenie.

Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, a tymczasem nie powiedziałam jej o sobie czegoś tak ważnego. Miałam na to wiele lat, ale tego nie zrobiłam. Rozumiem, co ona teraz czuje, a jednocześnie nie mogę uwolnić się od przeświadczenia, że mnie nie rozumie nikt. Nie rozumiał mnie żaden z terapeutów, z którymi się przez te wszystkie lata konsultowałam. Dopiero z Jayem się to zmieniło. W oczach stają mi łzy, bo przecież tak się co do niego pomyliłam.

– Molly?

– Tak. Przepraszam. Wszystko u mnie w porządku.

– Wszyscy się o ciebie martwimy.

– Proszę, przekaż pozostałym, że jest w porządku. Tylko nie chcę chwilowo z nikim rozmawiać. Może kiedyś, ale na razie nie.

– Jestem tu, gdybyś mnie potrzebowała.

– Dzięki, Kim.

Rozłączam się, a potem kładę telefon przy łóżku i wracam myślami do ostatnich dni, które przeżyłam jako Melinda.

Po tym, jak mnie znaleziono, jeszcze przez rok mieszkaliśmy w starym domu. Chowaliśmy się w jego murach przed reporterami, którzy obozowali na naszym trawniku. Ciotka mojego ojca, Martha, była emerytowaną nauczycielką, więc wprowadziła się do nas, żeby zająć się moją edukacją i zapewnić mi choć odrobinę rozrywki – bo bardzo rzadko gdziekolwiek bywałam. Rodzice w końcu wrócili do pracy i codziennie przechodzili przez szpaler kamer i mikrofonów. Corrine też poszła jesienią do liceum, za co zawsze ją podziwiałam. Reporterzy stopniowo się wykruszali, ale potem wiosną rozpoczął się proces i media zainteresowały się sprawą na nowo. Pamiętam, jaka byłam przerażona, gdy wyglądałam przez zasłony zaciągnięte na okna w salonie. Czułam się jak więzień. Mama poprosiła swoją fryzjerkę, żeby przyjechała do nas do domu i obcięła mi włosy na krótko. Kupiła mi też ubrania w ponurych i bliżej nieokreślonych kolorach. Z tamtego okresu zapamiętałam, że starali się za wszelką cenę sprawić, aby Melinda zniknęła. Jak gdyby chcieli mnie zastąpić jakąś inną dziewczynką. To właśnie wtedy zaczęli mnie nazywać Molly.

Gdy Keith został skazany, reporterzy zaczęli tracić zainteresowanie. Jeden po drugim pakowali sprzęt i ruszali w pogoń za kolejną sensacją. Moi rodzice długie wieczory spędzali w kuchni, rozmawiając o czymś i coś planując. Ja tego nie pamiętam, ale Corrine powiedziała mi później, że to wtedy zapadła decyzja o przeprowadzce i rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Ojciec otworzył książkę telefoniczną jakoś w środku i położył palec na przypadkowym nazwisku – i tak oto zostaliśmy Morganami. Wystarczyło tylko złożyć odpowiednie wnioski w odpowiednich urzędach. Potem ojciec znalazł pracę w Graybridge i przenieśliśmy się do Massachusetts. Zapadło mi w pamięć, jak w drodze do nowego domu matka odwróciła się do mnie i Corrine.

– Pamiętaj, Molly, że nazywałeś się Morgan i że przyjechaliśmy z Pensylwanii. Niech ci się nie zapomni. Jeśli podasz ludziom nasze inne nazwisko i powiesz,

skąd jesteśmy, to reporterzy wrócą i już nigdy nie będziesz mogła wyjść z domu ani pójść do szkoły.

Przeraziłam się, oczywiście. Zdołałam ukryć nasze sekrety tak głęboko, że właściwie przestałam myśleć o Melindzie Wright i moim życiu w stanie Nowy Jork. Przypominałam sobie o tym tylko pod wpływem skrajnego zmęczenia lub zdenerwowania. Wtedy zalewały mnie obrazy z przeszłości, a ja chowałam się w swoim pokoju i płakałam w poduszkę tak długo, aż w końcu byłam w stanie zepchnąć Melindę tam, gdzie jej miejsce.

Cały czas chodziłam też na terapię. Moi rodzice liczyli na to, że zdołają mnie w ten sposób uchronić przed paraliżującymi lękami albo próbami odreagowania stresu, bo przed tym właśnie przestrzegali ich nasz pediatra z Nowego Jorku. Mama co tydzień jak w zegarku woziła mnie do terapeuty do Providence. Nie chciała korzystać ze wsparcia lokalnego specjalisty, żeby prawda się przypadkiem nie wydała. Aby zająć się czymś podczas tych długich podróży, zatapiałam się w lekturze. Moja mama słuchała radiowych talk show, a ja połykałam kolejne książki dla dzieci.

Wzdycham i wtulam twarz w poduszkę. Nagle słyszę dzwonek do drzwi i kobiece głosy w korytarzu. Elise. *Cholera jasna.*

– Molly? – Corrine puka do drzwi.

– Idę. – Właściwie dlaczego miałabym się z nią nie spotkać?

Elise siedzi w salonie ubrana w eleganckie beżowe spodnie i białą bluzkę. Na szyi ma niebieski szalik. Za jej plecami rozciąga się port, który wygląda w tym momencie jak gigantyczny potwór.

– Jak sobie radzisz, Molly?

Wstaje i mnie przytula, ale ja nie odwzajemniam gestu.

– Jakoś sobie radzę. Co cię tu sprowadza?

Corrine spogląda na mnie wymownie.

– To ja do niej zadzwoniłam. Powiedziałam jej, co jest grane. O liście też. Uznałam, że może będzie w stanie jakoś pomóc.

– Ja nie potrzebuję niczyjej pomocy. – Tracę cierpliwość. – Policja już się tym wszystkim zajmuje. Jeśli zatem przysłaś tu, Elise, żeby mi opowiadać o tym, jakim to wspaniałym człowiekiem był Jay, to możesz sobie darować. Chwilowo nie jestem w stanie o nim myśleć. – Chodzę po pokoju, zataczając niewielkie kręgi. –

Chwilowo nie jestem w stanie myśleć o moim mężu. Muszę zatroszczyć się o siebie.

– Rozumiem.

Stoję przed nią i kręcę głową. Ta kobieta nie rozumie. Nikt nie może mnie zrozumieć.

– Jak się domyślam, teraz już wszystko o mnie wiesz.

– Tak. – Elise nie patrzy mi w oczy.

– Jay ci powiedział, prawda? Nie dowiedziałaś się tego z telewizji.

– Nie. Nie dowiedziałam się z telewizji, Molly. Wiedziałam od początku.

Klaszczę w dłonie.

– No proszę. Wiedziałam.

– To nie Jay mi powiedział – mówi, a ja przekrzywiam głowę w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia. – Przeczytałam to w twojej karcie, gdy zgłosiłaś się do gabinetu na terapię. Jeszcze zanim zostaliście z Jayem parą.

– Słucham? A dlaczego? Przecież to poufne dane, a ja nie byłam twoją pacjentką.

Elise unosi dłoń.

– Przepraszam cię, to się stało przypadkiem. Po prostu wzięłam teczkę z biurka Candace. Myślałam, że to moja teczka, bo przed chwilą jedną jej podałam. Nie przeczytałam wszystkiego, Molly. Odłożyłam dokumentację, gdy tylko uświadomiłam sobie swój błąd.

– Chryste Panie, Elise! Naprawdę? – Mało co się nie roześmiałam. – Ale zapewne najlepsze fragmenty zdążyłaś przeczytać, zanim postanowiłaś jednak tę teczkę odłożyć, co?

– Ja mówię zupełnie szczerze. Nigdy ani słowa nikomu nie pisnęłam. Nawet Jayowi nie powiedziałam, że wiem. Chciałam uszanować twoją prywatność.

– No po prostu wspaniale. A teraz, gdy jego już nie ma, przypuszczasz, że mogłabyś mi pomóc?

Teraz spoglądamy sobie prosto w oczy.

– Przeżyłaś piekło, Molly. Większość dzieci po czymś takim wymaga stałej opieki.

– Latami chodziłam na terapię.

Przypominam sobie moją pierwszą psycholog, doktor Sommers. To była starsza pani, która nosiła sandały do długich spódnic. Miała krótkie siwe włosy i okulary, w których wyglądała jak mucha. Trzymała w swoim gabinecie kosz z marionetkami, a także kredki, kartki i najróżniejsze inne rekwizyty, za pomocą których dzieci mogły ukazywać potwory ze swojego życia. Współpracowała z policją i ponoć nagrywali moje zeznania, choć ja tego nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że czułam się oszukana. Pewnie jestem w swojej ocenie niesprawiedliwa, ale nie zapamiętałam jej jako miłej osoby.

– Jeśli mogłabym jakoś pomóc, tobym chciała. – To mówiąc, spogląda na Corrine.

– Jasne, jasne. Tylko że ja nie potrzebuję twojej pomocy, Elise.

– Na pewno?

Przykładam sobie dłonie do skroni.

– Czego ty nie rozumiesz? Mnie nikt nie może pomóc! – Nikt nie jest w stanie uwolnić mnie od demonów i wspomnień, a właściwie ich strzępków. Opuszczam ręce wzdłuż boków. – Tylko ja mogę to zrobić.

– Co możesz zrobić? – pyta Corrine.

– Tylko ja mogę to naprawić.

Moja siostra podchodzi teraz do mnie.

– Co ty chcesz przez to powiedzieć, Molly?

– O niego chodzi. On tam gdzieś ciągle jest i sobie ze mnie kpi. Muszę go powstrzymać.

– Przecież te telefony to nie mógł być... – zaczyna Corrine i spogląda na Elise. – Do Molly ktoś wydzwaniał i twierdzi, że wie, kim ona jest i przez co przeszła.

Elise kręci głową.

– Połączenia wychodzące z więzienia są monitorowane. Nie pozwoliliby na coś takiego.

– Wszystko mi jedno – mówię. – Padam z nóg. Wracam do łóżka. Nie chcę już o tym rozmawiać.

Wchodzę do pokoju gościnnego i zatrzasnę za sobą drzwi. Mówiłam zupełnie poważnie. Muszę to naprawić. Bo inaczej będę zgubiona. Jaya nie ma i zostałam zupełnie sama. Ale może to i dobrze.

ROZDZIAŁ 42

RITA

Agenci specjalni Joe Thorne i Alison Metz pojawiają się tuż po lunchu. Właśnie zdążyłam dojeść tacos, gdy przyszedł po mnie Chase. Wrzucam do ust miętówkę i idę za nim korytarzem. Gości zastają już w salce konferencyjnej.

Joe wstaje i ściska mi dłoń. Jakies takie dziwne mi się to wydaje, nienaturalne. Niemniej cieszę się, że go widzę. Przez chwilę patrzymy sobie prosto w oczy, a potem ja pierwsza odwracam wzrok i odchrząkuję. Agentka Metz jest chyba wiekiem bliższa Chase'owi. Ma jasnobrązowe włosy związane w kok i piegi na twarzy.

Przedstawiamy się sobie nawzajem, po czym siadamy do stołu. Wszystkie notatki i zdjęcia dotyczące morderstwa doktora Bradleya od dawna już wiszą na białej tablicy. Teraz postawiliśmy obok drugą, dotyczącą Annalise Robb. To właśnie jej sprawą zajmujemy się w pierwszej kolejności. Liczymy, że rozwiązanie tej zagadki naprowadzi nas na trop w sprawie doktora Bradleya.

Agent Thorne otwiera teczkę, a jego partnerka podaje nam kopie tych samych materiałów.

– Na wierzchu macie raport z sekcji zwłok – mówi Joe. – Od tego zaczniemy.

Gdy odchylamy okładki, wita nas dobrze znany schematyczny rysunek ludzkiego ciała.

– Panna Robb miała dwadzieścia cztery lata. Mierzyła metr sześćdziesiąt, ważyła mniej więcej pięćdziesiąt pięć kilogramów. – Joe patrzy teraz prosto na mnie. – Zważywszy na stan zwłok, mieliśmy sporo szczęścia, że udało się ustalić przyczynę śmierci. – W sali zapada cisza. – Mamy uderzenie tępym narzędziem w tył głowy. Zdaniem patologa prawdopodobnie nie spowodowało ono zgonu, ale mogło ją pozbawić przytomności. Śmierć zaś nastąpiła najpewniej na skutek

uduszenia, na co wskazują obrażenia w okolicy szyi i wyraźnie widoczny ślad po ucisku.

– Szeryf Skinner przypuszczał, że sprawca mógł ją ogłuszyć na drodze prowadzącej do domu – mówię.

– Tak. W pobliżu ciała znaleźliśmy jej ubrania. Dzinsy były przetarte i pokrwawione na kolanach. Analiza wykazała, że to właśnie te włókna i tę krew znaleziono na drodze.

Drapię się lekko po podbródku.

– On ją widział, jak szła. Może nawet za nią jechał. A potem ją przewrócił...

– Być może to właśnie wtedy uderzył ją w głowę. Może dlatego się nie opierała i mógł ją wpakować do samochodu – dokańcza moją myśl Joe. – Takie przyjmujemy założenie.

– A na pewno zginęła w piwnicy Bradleyów? – pyta Chase.

– Tak – odpowiada agentka Metz. – Laboratorium wskazało piwnicę jako miejsce zbrodni. Raport jest na stronie trzeciej.

Wyjmujemy odpowiednią kartkę i zapoznajemy się z jej treścią.

– Żadnych śladów DNA? – pytam.

– Tylko jej. Facet wiedział, co robi. Ale technicy nadal szukają. Może coś się pojawi – ciągnie Joe. – Ciało, częściowo zawinięte w niebieski brezent, zostało zakopane nad brzegiem rzeki.

– Chodzi o taki brezent jak do zabezpieczania ciekącego dachu? – pyta Chase.

– Tak.

Odchylam się na krześle, bezmyślnie wgapiam się w raport. Nie mam większych wątpliwości co do tego, że sprawcą był albo doktor Bradley, albo któryś z jego gości. Inaczej trzeba by przyjąć, że ktoś zupełnie nam nieznany zdołał się wdrzeć do tej piwnicy. Wtedy pojawia się jednak pytanie, po co ktoś obcy miałby zaciągać dziewczynę do domu pełnego ludzi, przed którym stało kilka samochodów. Jeśli jednak ten ktoś dobrze znał ten dom, to wiedział, jak daleko od głównej jego części znajduje się to piwniczne pomieszczenie, do którego wchodzi się przez podwójne drzwi – idealne, żeby tam zaciągnąć nieprzytomną Annalise i zrobić z nią to, co się chce. A nad brzeg rzeki jest niedaleko, wystarczy przejść przez mostek w tym miejscu, w którym ścieżka podchodzi pod granicę posiadłości. A gdyby to był ktoś obcy, kto gdzieś ją przetrzymywał i czekał, aż Bradleyowie i ich goście wyjadą, to

czy nie znaleźlibyśmy jakichś śladów włamania? A przecież żadnych nie znaleziono. Dlaczego sprawca miałby nie zabrać jej gdzieś dalej od miasta, jeśli zamierzał przez jakiś czas utrzymywać ją przy życiu? To wszystko wydawało mi się jakieś takie naciągane.

Wstaję, żeby rozprostować nogi. Zwracam uwagę agentów na tablicę, na której wisi zdjęcie Annalise, a pod spodem widnieją nazwiska mężczyzn, którzy tamtej nocy gościli w domu. Nazwiska kobiet zostały wypisane w osobnej kolumnie.

– Zebraliśmy wstępne informacje na temat historii tych mężczyzn – stwierdzam.

Chase wstaje i rozdaje materiały, które udało nam się zgromadzić.

– To są mężczyźni, którzy tamtej nocy znajdowali się w domu Bradleyów. Zaczniemy może od samego doktora Bradleya – proponuję. – To chłopak z miasta, urodzony i wychowany w Bostonie. Czterdziestolatek. – Podaję wszystkie podstawowe informacje, włącznie z tymi na temat jego ojca i dziadka. To oczywiście wzbudza pewne zainteresowanie. – Prowadził akurat badania i zabierał się do gromadzenia wywiadów na potrzeby książki dotyczącej zaburzeń psychologicznych i umysłu kryminalistów. Ponoć w szczególności interesowały go zabójstwa.

Opowiadam dalej, w szczególności o tym, czego się właśnie dowiedzieliśmy na temat pani Bradley. Ten aspekt również zostaje uznany za intrygujący.

– A czy doktor wcześniej podejmował jakieś działania, które by go narażały na konflikt z prawem? – pyta Joe.

– Żadnych. Z informacji od przyjaciół i znajomych wynika raczej, że to był dobry człowiek.

Przechodzę do Josha Pearsona.

– Przyjaźnili się z doktorem Bradleyem od dziecka. Josh Pearson ma na koncie aresztowanie. Jako dwudziestotrzylatek wdał się w bójkę w barze i został aresztowany za pobicie.

Agentka Metz wzrusza ramionami.

– Młodym ludziom się takie rzeczy zdarzają.

Wzdycham ciężko.

– Ale jedną z poszkodowanych była kobieta. Twierdziła, że Pearson ją dusił i nie chciał jej wypuścić z baru.

Teraz Metz się krzywi.

– I co z tego wynikło?

– Pearson przyznał się do winy i zapłacił grzywnę. Za kratki nie trafił. Ani wcześniej, ani później już żadnych wyskoków nie było.

Przekładamy stronę i przychodzimy do Calvina Ferrisa.

– Pan Ferris pochodzi z Hartford, do Bostonu przyjechał na studia. Zaprzyjaźnili się z doktorem Bradleyem w lidze hokejowej. On nie ma na koncie nic ciekawego poza zakazem zbliżania się.

– A do kogo? – pyta Joe.

– Do matki. – Uśmiecham się krzywo.

– No proszę. A co ona na ten temat powiedziała?

– Nie żyje. To było sześć lat temu. Następny w kolejce jest Scott Westmore, mąż współpracownicy doktora. Jeździli z Bradleyem na ryby, czasem bywali w domu w górach. Jest architektem krajobrazu. Niewiele nam się udało o nim dowiedzieć. Nie ma kartoteki kryminalnej, nikt za bardzo nie ma nic do powiedzenia na jego temat. Dwa lata studiował na MIT, potem zrezygnował.

Joe stuka długopisem w blat stołu.

– No to zostaje nam Hayes Branch. Czyżby przedstawiciel bostońskiego rodu Branchów?

– Owszem. To syn Phyllis Branch. Jest właścicielem miejscowej księgarni. Pani Bradley u niego pracuje.

– A coś ciekawego w historii?

– Nie za bardzo. Chodził do szkoły z internatem, potem studiował na Harvardzie. Typowe dziecko bogatych rodziców. Jedyną może nadzwyczajną rzeczą to śmierć jego żony. Siedem lat temu znalazł ją martwą w domu. Miała trzydzieści cztery lata. Z aktu zgonu wynika, że zmarła z przyczyn naturalnych. Sekcji nie przeprowadzono.

Agentka Metz prychnęła.

– Śmierć z przyczyn naturalnych w wieku trzydziestu czterech lat?

– Tak wynika z dokumentacji. – Wstaję i podchodzę do tablicy. Wskazuję na listę nazwisk. – Tymi panami zainteresowałabym się w pierwszej kolejności. No chyba że wy macie jakąś inną teorię.

Joe przegląda teczkę, ale kręci głową.

– Wydaje się mało prawdopodobne, że ktoś spoza grona gości miałby porywać Annalise Robb, a następnie sprowadzać ją akurat do tej piwnicy.

Znów odzywa się agentka Metz:

– Ale jak sprawca zdołał ją zabić, podczas gdy wszyscy spokojnie chrapali na górze?

– A widziałaś tę piwnicę? – pytam.

– Alison nie była jeszcze na miejscu zbrodni – odpowiada za nią Joe. – Mnie pokazał wszystko wczoraj szeryf Skinner. – Teraz spogląda na swoją partnerkę. – Pojedziesz, to zobaczysz.

– Już się nie mogę doczekać – odpowiada Metz.

Joe zwraca się teraz do mnie:

– A ile wiedzą ci faceci?

– Tylko tyle, że w skarpie nad brzegiem rzeki znaleziono ciało panny Robb. Żona, a więc zapewne również pozostali, wie, że doktor Bradley znalazł jej wisiołek. Nie wiedzą jednak gdzie. My zresztą też nie wiemy tego na pewno. Oni nie wiedzą również, że morderstwo miało miejsce w domu Bradleyów. Mogą przypuszczać, że sprawcą był ktoś z okolicy, kto akurat niósł ciało przez las i znalazł się w pobliżu domu. – Rozglądam się po twarzach moich towarzyszy. – To bardzo ważne, żeby nam ta informacja nie wypłynęła.

Joe kiwa głową.

– Moim zdaniem powinniśmy czym prędzej ściągnąć tu tych gości i dowiedzieć się, co mają do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 43

MOLLY

Elise w końcu wychodzi. Słyszę, jak szepczą coś z Corrine pod drzwiami wejściowymi do mieszkania. Te się po chwili otwierają, a potem zamykają. Leżę w łóżku, na boku. Głaszczę Sadie. Nagle czuję się tu, to znaczy w okolicach Bostonu, potwornie na widoku. Od dziecka żyłam w przeświadczeniu, że to jest mój azyl, nieskalane przeszłością nowe miejsce, w którym Melinda po prostu nie istnieje. Ale teraz to życie się skoczyło. Molly została zdemaskowana.

Czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Rozpiera mi klatkę piersiową i lada moment całkowicie mną zawładnie. Jakim prawem Keith Russell zrujnował mi życie? Dlaczego nadal prześladowuje mnie w moich snach? Czy to się nigdy nie skończy, dopóki nie stawię mu czoła? Te myśli dręczyły mnie przez całe moje życie. I tylko terapeuci twierdzili, że nie powinnam zwracać na nie uwagi i że wcale nie potrzebuję konfrontacji z moim dręczycielem, aby odzyskać równowagę. Cóż oni jednak mogą na ten temat wiedzieć? Jak się okazuje, nic. Czuję się teraz znacznie gorzej niż dawniej.

Chowam głowę pod poduszką i wypłakuję się w materac.

Gdybym tylko wtedy odmówiła. Gdybym poszła do domu powiedzieć o wszystkim mamie Indie. Gdybym kazała Keithowi zostawić nas w spokoju.

– Molly? – Corrine woła mnie przez drzwi. – Chcesz herbaty?

Siadam i ocieram łzy z policzków. Muszę to wreszcie zakończyć. Muszę się zebrać w sobie.

– Chętnie. Sekunda, zaraz będę.

Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Przy chodniku stoi kilka wozów transmisyjnych, ale ludzi żadnych nie ma. Jest zbyt zimno, zbyt szaro. Ulicą idzie jakaś kobieta z zakupami. Chowa głowę przed wiatrem, który porywa jej szal i macha nim jak flagą.

Frontowym wyjściem się nie wymknę, mogę jednak spróbować od tyłu. Mogłabym wyjść przez te drzwi, przez które Corrine wynosi śmieci. To się może udać. Poprawiam włosy i zerkam na torbę podręczną. Wypiję herbatę, żeby uspokoić Corrine. A potem, gdy już wszyscy zasną, opuścimy z Sadie to mieszkanie.

ROZDZIAŁ 44

RITA

Zmierzcha już, gdy kończymy pracę. Chase wyszedł do domu nieco wcześniej, agentka Metz udała na spotkanie z jakimiś znajomymi. Przechodzimy z Joem na drugą stronę ulicy, do Maca. Panuje tu przyjemny półmrok, a przy barze szczęśliwie nie ma akurat nikogo z policji. Siadamy w boksie w rogu lokalu. Joe zdejmuje skórzaną kurtkę i kładzie ją na siedzisku.

Minęło zaledwie parę lat, odkąd razem pracowaliśmy. Utrzymywaliśmy potem kontakt, ale z czasem coraz rzadziej. Choć od tamtej pory oboje mieliśmy mnóstwo na głowie, doskonale pamiętam tamto śledztwo. Facet zabił żonę gdzieś w stanie Maine i uciekł do Graybridge, bo tam mieszkała jego babka. Po drodze popełnił kilka przestępstw, więc Joe przyjechał nam pomóc. Dopadliśmy skurczybyka, co uczciliśmy potem wspólnie u Maca paroma butelkami chardonnay.

Kelnerka podchodzi i kładzie na stoliku menu. Przyjmuje też od nas zamówienie na drinki.

Staram się wymyślić jakiś dobry temat do niezobowiązującej rozmowy, ale to akurat nie należy do moich najmocniejszych stron.

– Nadal biegasz?

– Biegam. Może już nie aż tak dużo, ale tyle, żeby zachować jaką taką formę.

Wygląda dobrze. Co do jego formy nie można mieć żadnych wątpliwości. Jeśli mnie pamięć nie myli, bywał też regularnie na siłowni. Wiele wskazuje, że i to się nie zmieniło. Jest wysoki, ale nie za bardzo. Dałabym mu ciut ponad metr osiemdziesiąt. Włosy ma nadal gęste, w większości już, co prawda, siwe, ale to mu absolutnie nie szkodzi. Jego oczy są za to dokładnie takie, jakimi je zapamiętałam: łagodne i tak ciemne, że tęczęwki niemal płynnie przechodzą w źrenice. Świdrują człowieka z taką intensywnością, że z niejednego czarnego charakteru zdołały

wydobyć przyznanie się do winy. Policzki trochę mu się może zapadły, pewnie od nadmiaru pracy albo trosk. Ma też cienką bliznę wiodącą od ucha niemal do kącika ust. Gdy poprzednio razem pracowaliśmy, wspominał coś o jakiejś walce na noże sprzed lat, ale nie chciał za bardzo o tym mówić. Nawet jednak z blizną jest przystojnym facetem.

Wtedy, gdy się widzieliśmy ostatnio, był akurat pół roku po rozwodzie. Ed i ja rozstaliśmy się znacznie wcześniej. Usiedliśmy kiedyś wieczorem przy drinku, a potem spędziłam noc w jego pokoju hotelowym. Owszem, niezbyt to było profesjonalne, ale takie rzeczy się zdarzają. Pąsowieję na samo wspomnienie, cieszę się więc, że jest ciemno.

Na stoliku pojawiają się drinki. W samą porę. Pinot noir dla mnie i piwo z kija dla Joego. Opuszczam wzrok i przyklejam wargi do kieliszka.

– A jak dzieci? – pytam.

– Świetnie. Moja córka wyszła za mąż w zeszłym roku w lecie. – Uśmiecha się. – Jest pielęgniarką. Mieszka z mężem w Stowe. Oboje dużo jeżdżą na nartach. Jest szczęśliwa.

– Wspaniale. – Przypominam sobie, jak o niej opowiadał.

– A mój syn pracuje w Nowym Jorku, jest finansistą. – Unosi brwi. – Jakoś żadne z moich dzieci nie poszło w moje ślady.

– Ciekawe dlaczego? – Uśmiecham się krzywo i upijam jeszcze łyček wina.

Joe drapie się po karku. Wzdycha. Gdy dzieci były małe, więcej czasu spędzał poza domem niż z nimi i jego żona w końcu miała tego dość. To w sumie dość typowa historia w naszym zawodzie.

– Sporo się wydarzyło, co? – mówi. – Gdy czterdzieści lat temu zaczynałem pracę w policji, nawet przez myśl mi nie przeszło, że tak długo się będę tym zajmował.

– Mam tak samo – stwierdzam, choć to nieprawda.

Odkąd pierwszy raz włożyłam mundur, nigdy ani przez chwilę nie zwątpiłam, że podążam za swoim przeznaczeniem. Mój brat Jimmy zawsze chciał być policjantem. On, Danny i ja byliśmy najmłodszymi dziećmi w rodzinie McMahonów i sporo się razem bawiliśmy, najchętniej w policjantów i złodziei. Mnie zawsze przypadała rola złodzieja i pewnie mam na koncie więcej aresztowań niż przeciętny prawdziwy przestępca. Jimmy nie dożył chwili, w której mógł to

swoje marzenie zrealizować, a ja niejako przejęłam po nim pałeczkę. Czasem pojawia się w mojej głowie myśl, że żyję swoim życiem za nas oboje.

– W sierpniu kończę sześćdziesiąt dwa lata – oznajmia Joe, jakby sam nie wierzył, że coś takiego może się wydarzyć.

Dobrze znam to uczucie.

– Ja w zeszłym roku w listopadzie skończyłam sześćdziesiąt.

On wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń.

– Wyglądasz świetnie, Rita – mówi z uśmiechem. – A myślisz czasem o emeryturze?

– Nie – odpowiadam bez namysłu. – Co ja bym miała robić z czasem?

– A faceta żadnego nie ma w twoim życiu?

– W tej chwili nie.

Już od dość dawna nie ma, ale tego mu przecież nie powiem. Collin bardzo się starał kogoś mi znaleźć, ale ostatnio jakoś przestałam chodzić na randki. Właściwie nie wiem dlaczego. Zaczynam bawić się kołnierzykiem i próbuję zmienić temat.

– Poza tym, Joe... Lubię swoją pracę. I wcale się nie czuję na te sześćdziesiąt lat. A ty?

On kręci głową i upija duży łyk piwa.

– Ja zwykle też nie.

Wyciągam nogi pod stolikiem i czuję, że coś mnie strzyka w biodrze.

– W zeszłym roku jesienią prowadziłam dużą sprawę. Musiałam kopnięciem wyważyć drzwi. Chodziło o bezpieczeństwo zakładnika.

Odpowiada mi szeroki uśmiech.

– Serio?

– Drzwi były chyba trochę spróchniałe, ale dałam radę.

Śmiejemy się, a on wznosi toast piwem. Unoszę kieliszek i opróżniam go do dna.

Po powrocie do domu spotykam na korytarzu Collina. Stoi właśnie u podnóża schodów z niewielką plastikową miseczką w dłoni. Wybiera się chyba na górę.

– Cześć, Rita.

Na jego twarzy maluje się coś jak poczucie winy, którego jednak w żaden sposób nie potrafię wytłumaczyć.

– Co tam masz?

Zwykle gdy go widuję z miseczką, schodzi z jedzeniem do mnie.

– A, o to pytasz. No więc... Pani Antonelli zaprosiła mnie na kolację. André akurat wyjechał na tydzień, na tę konwencję. Pamiętasz, mówiłem ci o niej?

– Myślałam, że ty też się wybierasz. Nie miałeś łapać słońca w Miami?

– Miałem. – Wzdycha. – Ale to Margo złapała... grypę.

Ma na myśli kierowniczkę kawiarni.

– I musiałeś ją zastąpić?

– Bingo. W każdym razie syn pani A. właśnie dał jej znać, że nie przyjedzie, a ona nagotowała gnocchi.

Pokazuje mi pojemniczek.

– Dobrze? – pytam z lekkim ukłuciem zazdrości.

Sama nigdy nie miałam dzieci, a odkąd Collin i André wprowadzili się mieszkania na piętrze nade mną, połączyła mnie z nimi szczególna więź.

– Owszem, pyszne! Poprosiłem ją o przepis, ale wtedy na mnie nawrzeszczała. Ponoć stare Włoszki nie korzystają z przepisów. – Uśmiecha się. – Za to obiecała, że nauczy mnie takie robić.

– No proszę, jak miło. Ale wiesz, ja jadłam twoje gnocchi. Nie wydaje mi się, żeby ona mogła cię jeszcze czegokolwiek nauczyć.

On odchyła głowę.

– Te są lepsze niż moje, Rita. Niesamowite to było. – Unosi brwi. – A ty gdzie byłaś? Siedziałaś do późna nad tą sprawą psychologa?

Wyławiam klucze z torebki i odwracam się do drzwi.

– Owszem, dość się to wszystko pokomplikowało.

– Strasznie już późno. Ciągle ci powtarzam, że za dużo pracujesz. A tak w ogóle, to poznałem parę dni temu syna pani Antonelli, Leo. Jest mniej więcej w twoim wieku. Przystojny całkiem, wiesz? I rozwiedziony.

Próbuję się nie roześmiać.

– Naprawdę nie musicie mnie z André z nikim swatać. Mówiłam ci to już przecież, Collin.

– Od czasu do czasu każdemu przyda się odrobina pomocy.

Zerkam na niego z ukosa.

– To się jeszcze zobaczy.

– Słuchaj, André przed wyjazdem upiekł ciasto cytrynowe. Przynieść ci trochę?

Wzdycham głęboko. Nie zaszkodziłoby coś, co by można przekąsić pod wino.

– Chętnie. Bardzo by to było miłe z twojej strony.

– To zaraz będę – mówi i wbiega po schodach do siebie.

ROZDZIAŁ 45

MOLLY

Słońce ledwo wychyla się nad horyzont i świt jest jeszcze bardzo blady, gdy wychodzimy z Sadie z budynku Corrine tylnymi schodami. Zamówiony uber, niewielki czarny sedan, stoi na luzie przy chodniku. Wsiadamy na tylną kanapę, a młody mężczyzna za kierownicą mamrocze „dzień dobry”. Gdy ruszamy w kierunku autostrady, czuję ścisk w żołądku. Ale jedziemy do domu.

Dom sprawia wrażenie porzuconego. W środku panuje chłód, a towarzyszy mu dojmujące uczucie pustki. Zwykle po przekroczeniu progu ogarnia mnie spokój, ale nie tym razem. List od Keitha Russella skalał to moje pozytywne doświadczenie, położył się cieniem na mojej opinii o Jayu. Skruszył wszystko to, na czym się opierałam.

Wchodzę na piętro i pakuję walizkę. Przybory toaletowe wrzucam do niewielkiej torby. Rozglądam się, żeby się upewnić, że niczego ważnego nie zapomniałam. Na dole zbieram rzeczy Sadie i zakładam jej kamizelkę psa towarzyszącego. Wsuwam jeszcze tylko laptopa do torby podręcznej i jesteśmy gotowe.

Ostatnio jeździłam mercedesem Jaya, ale teraz postanawiam wziąć moje subaru. Już z autostrady dzwonię do Corrine. Włączam ją na głośnik.

– A gdzie ty jesteś? – pyta. – Właśnie byłam do ciebie zajrzeć.

– Jestem w domu. To znaczy byłam w domu. A teraz jestem w drodze. – Sadie siedzi na fotelu pasażera i cicho dyszy. Chwytam pokrętło i skręcam grzanie. – Posłuchaj, Corrine. Musiałam na chwilę uciec od tego całego zamieszania.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zatrzymam się w hotelu albo w jakimś spokojnym miejscu, gdzie media mnie nie znajdą.

– Ale gdzie?

– Nie wiem jeszcze. – Właściwie to wiem, ale nie chcę jej martwić. – Wyjadę po prostu z miasta i znajdę jakiś hotel. Zadzwonię, będę w kontakcie.

– A jesteś pewna, że to dobry pomysł? Nie podoba mi się to, Molly. Nie wydaje ci się, że byłoby ci lepiej ze mną i Richem? U nas przecież byłabyś bezpieczna.

– Bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc, naprawdę. Po prostu potrzebuję trochę czasu. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Słyszę, jak ciężko wzdycha.

– Zadzwońisz?

– Pewnie. Będę w kontakcie.

– A będziesz miała telefon zawsze pod ręką?

– Tak, jasne. Wszystko będzie dobrze – powtarzam. – Wracam za parę dni.

– Miałyśmy rano jechać na policję.

– Powiedz detektyw Myers, że niedługo wrócę. Poczeka.

Rozłączam się i przez chwilę sumienie mnie gryzie, że okłamałam siostrę. Wiem jednak, że ona by mojej decyzji nie pochwałała. Do głosu doszłaby Corrine starsza siostra. Ta, która uważa, że nie poradzę sobie sama w życiu. Ona nie chce mi się narzucać i ja o tym wiem. Ona jest taka przez Keitha Russella.

ROZDZIAŁ 46

RITA

Popijamy z Joem kawę w pokoju przesłuchań, czekamy na panią Bradley. Wyjmuję telefon, żeby sprawdzić, która godzina i czy ona przypadkiem nie napisała, że się spóźni. Jest już dziesięć po dziewiątej. My jesteśmy w pracy od dawna. Joe dopija właśnie trzeci kubek.

W końcu drzwi się otwierają i Chase wprowadza Corrine Alworth. Nie wygląda tak schludnie jak zwykle. Przyszła w granatowym swetrze narzuconym na zwykłą koszulkę, a jasne włosy ma tak luźno upięte na czubku głowy, że kilka pukli swobodnie spływa jej na ramiona.

– A gdzie pani Bradley? – pytam.

Ona siada naprzeciwko i wiesza torebkę na oparciu krzesła.

– Nie przyjdzie.

– Dlaczego?

– Wyjechała z miasta na kilka dni.

Pani Alworth kładzie telefon na stole.

No to pięknie! Nie powiem, żeby mi się to podobało. Pani Bradley wydaje mi się skrajnie nieprzewidywalna. Wolałabym, żeby nie wyjeżdżała, bo dopóki jest na miejscu, mogę ją mieć na oku. Odchrząkuję.

– No dobrze. To jest agent specjalny Joe Thorne. – On podaje jej rękę. – A to jest pani Alworth, siostra pani Bradley.

– FBI?

– Tak – potwierdza Joe. – Będziemy pomagać.

Otwiera teczkę i sięga do kieszeni koszuli po okulary.

– Nie było pani w domu Mountclair tamtej nocy, gdy doszło do zdarzenia? – pyta.

– Nie, chętnie bym tam jednak pojechała, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– A dokąd udała się pani siostra? – pytam.

– Nie wiem. – Pani Alworth spogląda na telefon, jakby się w każdej chwili spodziewała usłyszeć jego dźwięk. – Ale zapewniła mnie, że niedługo wróci. Chciała na chwilę uciec przed dziennikarzami.

– Martwi się pani o nią?

– Oczywiście, że tak. Przecież ten mężczyzna, który do niej wydzwaniał, ostatnio jawnie jej groził.

– A co powiedział? – pyta Joe.

Pani Alworth przenosi na niego wzrok.

– Powiedział, że chce ją ponownie sprowadzić do piwnicy. – Zwraca się teraz do mnie: – A czy udało wam się namierzyć jego telefon?

Odchylam się na krześle.

– To był aparat na kartę, więc nie udało nam się zidentyfikować właściciela. Detektyw Fuller stara się natomiast ustalić, skąd wykonano połączenie.

Piszę do Chase'a, żeby przyszedł z informacjami dla pani Alworth.

– Chodzi o taki telefon, z jakiego korzystają dilerzy narkotyków?

– Tak. Sprawdziliśmy też Keitha Russella. Znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować, czyli w Sing Sing. Służby więzienne przeszukały jego celę. Nie znaleziono żadnej kontrabandy, komórki ani nic takiego.

Pani Alworth chowa twarz w dłoniach i palcami masuje sobie czoło.

– Dlaczego ktoś miałby dręczyć moją siostrę?

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby to ustalić. Miejmy nadzieję, że to tylko jakiś idiotyczny wybryk.

Gdy wypowiadam te słowa, czuję ścisk w żołądku. Ktoś zadał sobie naprawdę dużo trudu, żeby nastraszyć panią Bradley.

Do pokoju wchodzi Chase.

– Udało nam się wskazać miejsce, z którego wykonywano telefony do pani siostry.

– A mianowicie skąd?

– Z okolic Graybridge.

– A skąd konkretnie?

– Z okolic autostrady.

Pani Alworth wzdycha ciężko.

– A zatem nie dzwonił Keith Russell. Ale w takim razie kto? Kto mógł zrobić coś takiego Molly? – Spogląda na mnie zaczerwienionymi oczami. – Moja siostra chciała po prostu normalnie żyć, pani detektyw. Chciała mieć dobrego męża, dom, dzieci i golden retrievera. Nic więcej. Tego chciała Molly. Bo ja chciałam robić karierę i podróżować po świecie. Chciałam mieć wielki dom i rodzinę. Miałam naprawdę ambitne plany i wszystkie mi się udało zrealizować. Dlaczego nie udało się to Molly? Dlaczego ona musiała tyle wycierpieć? Przecież ona w życiu nawet muchy nie skrzywdziła.

– Życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy sobie tego życzyli – odpowiada Joe. – Ja wstąpiłem do służby po to, aby pomagać ludziom, których życie pokomplikowało się zupełnie nie z ich winy.

Brawo, Joe. Pani Alworth lekko się do niego uśmiecha.

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc pani siostrze – zapewnia Chase.

– A czy ona jest bezpieczna tam, dokąd się udała? – pytam.

– Tak sędzę. Zabrała ze sobą psa. Powiedziała, że odjedzie kawałek, a potem zatrzyma się na parę dni w jakimś hotelu. Obiecała być w kontakcie.

Wzdycham.

– Miałam nadzieję zapytać ją o wydarzenia z czwartego lipca.

– To wtedy zamordowano tę kobietę?

– Tak. Może ona coś słyszała.

Może ktokolwiek w tym domu widział lub słyszał coś, co wtedy wydało mu się nieistotne, ale nas teraz doprowadzi do przełomu.

– A co z Jayem? Co z jego zabójstwem?

– Pracujemy nad obiema sprawami równolegle.

– Przepraszam, ale ja myślę jednak przede wszystkim o mojej siostrze i jej mężu. Przykro mi z powodu tamtej kobiety, ale na pewno państwo rozumieją...

– Oczywiście – mówi Joe. – Sprawa doktora Bradleya ma dla nas najwyższy priorytet.

Ona kiwa głową, zerka na telefon, a potem chowa go do torebki.

– Czy jeszcze jakoś mogę pomóc?

– Na razie to nam chyba wystarczy. – Wstaję. – Proszę dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Pani Alworth przewiesza torebkę przez ramię.

– Dziękuję – mówi.

Chase wyprowadza ją z pokoju. Ja kończę robię notatki. Chciałabym jak najszybciej porozmawiać z przyjaciółmi państwa Bradleyów.

ROZDZIAŁ 47

MOLLY

Jadę drogą międzystanową numer osiemdziesiąt cztery w kierunku południowym. Samochodów jest niewiele, podróż przebiega sprawnie. Wzdłuż drogi leży odgarnięty śnieg, a ja spoglądam w niebo z nadzieją, że wyjdzie dziś słońce. Nie sprawdziłam prognozy przed wyjazdem, ale po coś mam przecież napęd na cztery koła, prawda? Większość trasy i tak zamierzam pokonywać drogą szybkiego ruchu, więc wszystko powinno być w porządku.

Mam przed sobą tylko trzy godziny podróży, a dobrze nam z Sadie w swoim towarzystwie. Dojeżdżamy na miejsce jeszcze przed jedenastą. Chyba niepotrzebnie aż tak się tym wszystkim stresowałam. Gdy w końcu podjęłam decyzję, nic mnie nie mogło powstrzymać. Ani śnieg, ani rodzina, ani przyjaciele. Muszę wreszcie stanąć we własnej obronie. Nie mogę się już ukrywać, nie mogę liczyć na to, że ktoś się o mnie zatroszczy.

Siedzimy z Sadie na parkingu przed hotelem, w którym wczoraj wieczorem zarezerwowałam pokój. Dzwonię do recepcji zapytać, czy możemy zameldować się wcześniej. Kobieta zaprasza mnie do środka. Pokój już na nas czeka. Poprawiam Sadie kamizelkę psa towarzyszącego i najpierw idziemy na spacer.

Potem wchodzimy do hotelowego lobby. Odbieram karty i od razu idę na górę. Hotel należy do większej sieci, więc pokój, choć ładny, jest dość standardowy. Na podłodze leży praktyczna wykładzina dywanowa, a w dużym łóżku można się wyspać pod białą puchatą kołdrą. W łazience wyłożonej pseudogranitem na gości czeka szklana kabina prysznicowa. Idealne miejsce, żeby się schować przed światem i na chwilę uciec przed życiem. Idealne miejsce, żeby odzyskać siły i równowagę.

Włączam duży telewizor i szukam programu nadającego wiadomości. Robię głęboki, powolny wdech i przez chwilę śledzę najnowsze doniesienia ze świata

polityki. Wszystko interesuje mnie teraz bardziej niż moja osobista historia.

Sięgam do materiałowej torby po opakowanie ciastek Oreo i butelkę wody. Sadie rozkłada się na podłodze i natychmiast zasypia. Układam wygodnie poduszki i moszczę się w łóżku, a potem skaczę po kanałach, aż na jednym z nich znajduję jakiś stary film. *Potwór z Czarnej Laguny*. To czarno-biały obraz, akuratnie dramatyczny w swej wymowie. Nie muszę o niczym myśleć. Nie muszę się o nic martwić. Jestem tylko ja i stary klasyk. Muzyka taka, jakbym miała się bać, ale historia całkiem oderwana od rzeczywistości. Chcę się przez chwilę odprężyć i oczyścić umysł. Chcę się dobrze przygotować do realizacji prawdziwego celu mojej podróży.

ROZDZIAŁ 48

RITA

Kim Pearson wierci się na krześle. Rozmowę prowadzimy Joe i ja, Chase i agentka Metz nagrywają natomiast każde przesłuchanie z niewielkiego pomieszczenia ukrytego za lustrem weneckim. Wezwaliśmy na posterunek wszystkie pary, ale na początku rozmawiamy z kobietami. Mężowie muszą poczekać na swoją kolej.

– Pani Pearson, interesuje nas noc z czwartego na piąty lipca zeszłego roku. Wraz z mężem gościli państwo wtedy w domu w górach położonym w Mountclair i należącym do państwa Bradleyów. Czy to się zgadza? – pytam.

– Tak. Czy to chodzi o tę kobietę, którą znaleziono nad rzeką?

– To element śledztwa – mówi Joe.

Ona rozsiada się jakby wygodniej, poprawia sweter.

Otwieram notatnik.

– Czy mogłaby nam pani zrelacjonować przebieg tamtego wyjazdu?

– Tak, oczywiście. Na miejsce dotarliśmy w poniedziałek. Molly zaprosiła nas tam z okazji czwartego lipca, ale też na swoje urodziny, które przypadają drugiego. To był fajny tydzień...

– A co państwo robili? – pyta Joe. – Tak przez cały tydzień.

– Siedzieliśmy przy grillu. Chodziliśmy po lesie. Piliśmy. Oglądaliśmy filmy.

– A coś nadzwyczajnego się wydarzyło? – Świdruje ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Powieka ani mu drgnie.

– Nic.

Kreślę w notatniku jej portret ze zmarszczkami na czole.

– A konkretnie czwartego?

– Piekliśmy na grillu mięso na hamburgery. Robiliśmy też hot dogi. Wszystko na zewnątrz.

– A wychodzili państwo oglądać fajerwerki? – pyta Joe.

Bez problemu złapaliśmy dawny rytm. Zadajemy pytania na zmianę, raz po raz przekazując sobie stery. Staramy się zmusić przesłuchiwanego do wysiłku.

– Nie, Molly nie lubi fajerwerków.

– Dlaczego nie?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Ona ma chyba jakieś lęki czy coś. Głośne dźwięki wywołują u niej dyskomfort. Byliśmy w domu.

– Czyli to był spokojny wieczór? – pytam.

– Tak. Zjedliśmy coś, wypiliśmy. A potem oglądaliśmy świąteczny program w telewizji.

– A o której się państwo wszyscy położyli spać?

– Nie wiem.

– A kto poszedł spać jako pierwszy?

Pani Pearson ciężko wzdycha.

– Chyba Molly. Głowa ją bolała.

Zawczasu przygotowaliśmy z Chase'em rysunek przedstawiający plan tego domu. Ustawiliśmy go na sztaludze w rogu pokoju. Wstaję i wskazuję na pomieszczenie na parterze.

– Czyli pani Bradley udała się do głównej sypialni, która jest tutaj. O której to było?

– O rany, nie pamiętam. Może jakoś koło dziesiątej?

– A pan Bradley?

– Nie wiem dokładnie. Ja poszłam się położyć niedługo po Molly, więc byłam pewnie druga w kolejce.

– Dość wcześnie zakończyła pani wieczór – stwierdza Joe. – A gdzie pani spała?

– Proszę nam to pokazać na rysunku – doprecyzowuję.

Pani Pearson wstaje i podchodzi do sztalugi. Potrzebuje chwili, żeby się odnaleźć w tym schemacie.

– Tutaj. W sypialni na górze.

– I od razu pani zasnęła? – pyta Joe.

– Nie. Przez jakiś czas jeszcze czytałam.

– A kiedy dołączył do pani mąż?

– Pewnie jakoś około jedenastej.

– Jeszcze pani wtedy nie spała?

– Nie.

– A czy pani albo mąż opuszczaliście w nocy pokój?

Ona otwiera szeroko oczy.

– Nie, poszliśmy spać.

– A czy w nocy coś pani słyszała? Cokolwiek?

Stukam ołówkiem w notatnik.

– Hm, właściwie... Bo ja jednak wstałam w nocy. Usłyszałam samochody przejeżdżające w okolicy.

– A o której to było? – pyta Joe, nachylając się do niej.

– Pewnie jakoś około północy. Tam gdzieś trochę dalej w górze odbywało się jakieś duże przyjęcie. Samochody jeździły tam i z powrotem przez cały dzień. – Zakrywa dłońmi usta. – Myślicie, że tę kobietę zabił ktoś z tamtej imprezy?

– Możliwe – stwierdzam. – A czy coś jeszcze pani słyszała?

– Nie. Zeszłam napić się wody.

– O północy?

– Tak.

– A kogoś pani spotkała na dole? – Joe włącza i wyłącza długopis.

– Zauważyłam światło w kąciku do pracy Jaya, więc tam zajrzałam. Pił kawę, siedział nad laptopem.

Serce zaczyna mi mocniej bić.

– Rozmawiała pani z doktorem Bradleyem?

– Przez chwilę. Powiedział, że miał coś do dokończenia i że lada moment idzie się położyć.

– A co się stało potem?

Kobieta kręci głową.

– Napiłam się i poszłam z powrotem na górę.

– A ktoś jeszcze nie spał?

– Nikogo więcej nie widziałam. W domu było ciemno.

Notuję wszystkie te informacje, a obok zamieszczam rysunek przedstawiający dom w górach.

– A czy słyszała pani jeszcze jakieś samochody?

– Możliwe, ale nie pamiętam.

Joe znowu nachyla się do niej.

– A czy zasnęła pani od razu?

– Tak mi się wydaje. Nie przypominam sobie, żebym się jakoś szczególnie długo kręciła w łóżku.

– A rano byli państwo w komplecie? – pytam.

Ona marszczy brwi, jakby uważała to pytanie za dziwne.

– Tak. Wyjeżdżaliśmy około ósmej. Wszystkim się bardzo spieszyło do domu. Musieliśmy odebrać dzieci.

– A rano całe towarzystwo zachowywało się normalnie? – indaguje Joe. – Nie zapamiętała pani niczego nietypowego?

– Nie, niczego.

Joe i ja wymieniamy spojrzenia.

– No dobrze, pani Pearson. Dziękujemy.

Odprowadzam ją do poczekalni i od razu wzywam do pokoju przesłuchań pana Pearsona. Nie chciałabym, żeby zdążyli przekazać sobie jakiekolwiek informacje.

Choć i tym razem odnosi się do nas obcesowo, o tamtym tygodniu w Mountclair opowiada właściwie to samo, co żona. Twierdzi, że w nocy z czwartego na piąty lipca spał jak kamień. Ani słowem nie wspomina o tym, żeby pani Pearson wstawała i szła się napić.

– A powie nam pan, co się wydarzyło w barze, gdy miał pan dwadzieścia trzy lata? – rzucam, zerkając do teczki.

On blednie i przez chwilę patrzy na nas wyraźnie zaskoczony.

– Słucham?

– Został pan aresztowany za bójkę w barze, zgadza się? – Wyjmuję z dokumentów stosowny raport.

– Chryste Panie. Tak, ale o co chodzi? To był głupi szczeniący wybryk, na litość boską. Nic takiego.

Joe odchrząkuje i wbija palec wskazujący w blat stołu.

– Przyduszał pan kobietę. Nie chciał jej pan puścić.

Pearson ociera usta dłonią.

– To była moja eks. Beznadziejne zauroczenie, ale kłamała w żywe oczy. Przyszła do baru, żeby wszcząć kłótnię. Zrobiła wielką awanturę. Jakiś koleś się wtrącił i daliśmy sobie po razie. Na tym się skończyło. Ale bramkarz wezwał policję.

– A dziewczyny pan nie dotknął? – pyta Joe, unosząc brwi.

Pearson wzrusza ramionami.

– To ona mnie zaatakowała.

– Pojechała na izbę przyjęć. Mamy zdjęcia. – Joe mówi podniesionym tonem, niemal już gniewnie.

Pearson uderza pięścią w stół.

– Próbowałem ją od siebie odepchnąć i tyle. Nic wielkiego się nie stało. – Spogląda na mnie. – Zresztą co to ma z czymkolwiek wspólnego? Zapłaciłem grzywnę. I jest po sprawie.

– Niczego nie chcemy przeoczyć. – Notuję coś sobie. – Pan to z tych raczej porywczych typów, prawda?

Facet robi się czerwony.

– Na litość boską. – Wzdycha pod nosem.

– O co chodzi? – pyta Joe.

– O nic. Możemy dać już sobie z tym spokój? Nie zabiłem tej dziewczyny z Mountclair, jeśli o to wam chodzi. A już na pewno nie tknąłem Jaya. Czy coś jeszcze ode mnie chcecie?

– Jest pan pewien, że tamtej nocy nie opuszczał pan domu? – pytam. – Że nie wybrał się pan nigdzie, żeby się trochę rozerwać. Można odnieść wrażenie, że w domu się za wiele nie działo. Przypadkiem nie wypuścił się pan na drinka?

– Nie. Cholera jasna! Tamtej nocy nie wychodziłem z domu.

– Jeszcze tylko jedna rzecz. Czy zechciałby nam pan udostępnić próbkę DNA?

On oczywiście nie wie, że nie mielibyśmy jej z czym porównać. Mam jednak nadzieję, że wkrótce coś się znajdzie.

On jednak podrywa się na równe nogi.

– Nie, nie zechciałbym wam udostępnić próbki swojego DNA. Czy mogę już iść? Joe i ja spoglądamy po sobie.

– Tak, panie Pearson. Najpewniej jednak jeszcze do tej rozmowy wrócimy.

– A róbcie sobie co chcecie, do diaska.

Po jego wyjściu naradzamy się z Joem.

– Niezbyt dobrze wypadł – stwierdza agent FBI.

– Obcesowy palant – mówię. – Choć tak naprawdę interesujące rzeczy powiedziała nam raczej jego żona. Nakreśliła coś jakby oś czasu.

Stukam ołówkiem w notatnik.

– O ile można jej wierzyć, to tak. Jeśli bowiem doktorek o dwunastej jeszcze nie spał, mógł odczekać, aż ona położy się z powrotem, i potem jeszcze parę minut na wszelki wypadek, a następnie wymknąć się z domu. Ona słyszała samochody przez całą noc, doktor Bradley mógł zatem wyjechać, a ona nie zwróciła na to uwagi.

W osobie Laken Ferris siedzi przed nami kłębek nerwów. Kobieta sprawia wrażenie zmęczonej. Straciła przez to znaczną część uroku, którym olśniewała wszystkich wokół, gdy rozpoczynaliśmy śledztwo. Jej relacja wpisuje się w to, co już wiemy. Wynika z niej, że po tym, jak pani Pearson poszła do sypialni, ona i jej mąż wypili jeszcze po drinku i również się pożegnali. Znaleźli się w łóżku jeszcze przed wpół do dwunastej. Tak by się jej w każdym razie wydawało.

Pan Ferris ma zaczerwienione oczy, ale poza tym wydaje się zachowywać pełny spokój. Siedzi spokojnie, dłonie trzyma na kolanach. Zeznaje to samo, co jego żona. Poszli spać i niczego nie słyszeli.

– Panie Ferris – zaczynam swoją część przesłuchania. – Zbieraliśmy dość szczegółowe informacje, więc dotarliśmy do zakazu zbliżania się, który został przeciwko panu wystosowany sześć lat temu.

On spogląda jakby oszołomiony.

– Słucham?

– Mówiłam o zakazie zbliżania się, panie Ferris.

Opuszcza głowę i przeciera oczy pod okularami.

– Moja matka o niego wniosła – mówi cicho.

– Pańska matka? – powtarza jego słowa Joe, udając zdumienie.

On kiwa głową.

– To nic takiego. Moja matka była trochę... pogubiona. Mój ojciec zmarł i zostawił mi to i owo.

– To znaczy co konkretnie?

– Karty baseballowe i trochę innych pamiątek sportowych. Nic takiego, co by mogło interesować moją matkę. No i były też moje rzeczy w domu. A moja matka chorowała, zresztą wkrótce później zmarła. Nie do końca rozumiała, co się wokół niej dzieje. Pojechałem się z nią zobaczyć i powiedziałem, że wezmę te kartony, ale ona mi nie pozwoliła. A gdy tak czy owak poszedłem na strych, strasznie się wkurzyła. Potem rzuciła się na mnie, jak schodziłem z pierwszą partią rzeczy. Popchnęła mnie i podrapała.

– A pan ją odepchnął? – Joe wychyla się porozumiewawczo w jego stronę.

Ferris wzrusza ramionami.

– Tak lekko, owszem. Ona nie chciała mnie puścić. Nie zrobiłem jej krzywdy.

– A co się stało potem? – pytam.

– Zapakowałem te pierwsze pudła do samochodu, a gdy wróciłem po następne, zastałem zamknięte drzwi.

Zaglądam do teczki.

– Ona twierdziła, że się pana boi i że potem nękał ją pan telefonami, a następnie próbował się włamać do domu.

– Nie nękałem jej. – Ferris się krzywi.

– A próbował się pan dostać ponownie do środka?

– Tak, ale gdy potem złożyła wniosek o ten zakaz, to dałem sobie spokój.

– Powiedział pan, że matka chorowała i wkrótce potem zmarła. Dlaczego pan po prostu nie zaczekał? – pyta Joe, unosząc brwi.

– Bo to były moje rzeczy. Należały do mnie i chciałem je odzyskać. Nie spodziewałem się, że ona się aż tak wkurzy. Ale jak się wystarała o ten zakaz, to odpuściłem. I tyle. Na tym się ta sprawa skończyła.

Stukam ołówkiem w notatnik.

– I jest pan pewien, że czwartego lipca nie opuszczał pan domu w górach?

Zza okularów patrzą teraz na mnie szeroko otwarte oczy.

– Nie. Wszyscy spędziliśmy tamten wieczór w domu. Ktoś zaproponował, żebyśmy pojechali obejrzeć fajerwerki gdzieś w okolicy, ale zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. – Kręci głową. – Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tej kobiety, jeśli o to wam chodzi – zapewnia, patrząc mi prosto w oczy.

– Podobno sporo państwo pili. Czy nie osiągnął pan stanu upojenia? Czy nie zechciał pan się trochę rozerwać już po tym, jak wszyscy poszli spać? Wstaję i opieram się o drzwi. – Być może spotkał pan Annalise i sprawy wymknęły się spod kontroli?

W oczach Ferrisa pojawia się błysk.

– Nie! Cholera jasna, nie ma takiej opcji, że zwalicie to na mnie. – Robi się cały czerwony na twarzy. – Tego nie zrobił nikt z nas. Znaleźliście ją w pobliżu, ale to jeszcze nic nie znaczy. Każdy mógł ją zaciągnąć nad tę rzekę. – Teraz zwraca się do Joego. – Ktoś mógł ją tam zakopać właśnie po to, żeby rzucić podejrzenie na kogoś z nas.

– Owszem – zgadza się spokojnie Joe, po czym wzrusza ramionami, zerka do notatek i odkłada długopis na stół. – A czy tamtej nocy pan coś słyszał? – Teraz spogląda Ferrisowi prosto w oczy. – Może słyszał pan albo widział coś, co mogłoby nam pomóc namierzyć faktycznego zabójcę.

– Nic nie wiem i nic nie zrobiłem.

– A zatem nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że pobierzemy od pana próbkę DNA? Do celów eliminacyjnych.

Ferris otwiera szeroko usta ze zdumienia.

– Chyba muszę się skonsultować z prawnikiem, zanim to się wszystko wymknie spod kontroli.

– Oczywiście – mówi Joe.

– Czy to na pewno konieczne? – pytam. – Procedura jest szybka i nieskomplikowana. Nie musielibyśmy już potem pana więcej nękać. Co pan powie, panie Ferris? Czego się pan obawia?

On zrywa się na równe nogi, po twarzy ścieka mu pot.

– Będę w kontakcie, ale na razie muszę wracać do rodziny.

Ferris wychodzi, a my zbieramy wszystko, bo to już koniec na dziś. Joe pyta, czy pójdziemy na drinka, ale nie mam już siły. Proponuję, żeby to przełożyć, i spieszonym krokiem idę przez parking do mojego vana.

W domu wkładam najstarszą i najbardziej znoszoną koszulkę, jaką mam, a do tego krótkie spodenki gimnastyczne. Staję przed lustrem w łazience i wyciągam gumkę z włosów, które w rezultacie spływają mi na ramiona. Przeciągam przez nie dłońmi. Na pewno więcej jest tych siwych, niż gdy poprzednio się im przyglądałam. Kiedykolwiek to było...

Przy wannie stoi opakowanie ciemnobrązowej farby do włosów. Zerkam na nią podejrzliwie. Gdy byłam dzieckiem, moja matka i jej koleżanki farbowały włosy regularnie co sześć tygodni. W niedzielne popołudnie siadały w kuchni z kawą i papierosami, wyganiały dzieci i przystępowały do realizacji tej niemal rytualnej czynności. Tkwiły potem nieruchomo jak posągi z głowami oblepionymi lśniąca i lepka mazią.

Chciałabym móc sobie powiedzieć, że ja nie jestem taka próżna, ale może jestem. Moja matka w moim wieku wyglądała staro. W pewnym momencie uznała swoją klęskę w obliczu siwizny i ścięła włosy, a te krótkie schowała pod zgrabnym czepkiem, które nosiły wtedy wszystkie znane mi starsze panie. Zupełnie jakby nie miała wyboru. Skoro kalendarz orzekł, że człowiek się postarzał, to nie pozostawało nic innego, jak tylko mu się podporządkować.

Ja cały czas nosiłam długie włosy, cały czas robiłam sobie makijaż. Ostatnio tyle miałam jednak na głowie, że się trochę zaniedbałam. Rower treningowy stoi zapomniany w rogu i służy mi raczej jako wieszak na ubrania. A kiedyś ćwiczyłam na nim nawet trzy albo cztery razy w tygodniu. Poza tym żeby zachować sylwetkę i sprawność, podnosiłam też ciężary. I tylko ostatnio trochę sobie odpuściłam. Biorę do ręki pudełko z farbą i czytam treść instrukcji. Dochodzę do wniosku, że mogę trochę popedałować, w czasie gdy pigment będzie mi wnikać we włosy.

Dzwonek do drzwi mnie zaskakuje. *Cholera jasna!* Włosy mam splukać dopiero za dziesięć minut. Dźwięk rozbrzmiewa ponownie. Zeskakuję z roweru. Pot spływa mi po klatce piersiowej i wsiąka w stanik treningowy.

Zerkam przez wizjer.

– Czego tam chcesz, Collin? – pytam przez drzwi.

- Riteczka? Otwórz drzwi. Przyniosłem kolację.
- Zostaw na wycieracze. Za chwilę odbiorę.
- A dlaczego tak? Czyżbyś miała męskie towarzystwo?
- Nie!
- Bakłażan pod parmezanową kołderką.

Przekręcą zamek.

- No dobra, niech ci będzie. Wchodź.

Collin zerka na mnie z ukosa.

- Miałaś zadzwonić do mojego stylisty. Dałem ci przecież wizytówkę. Te farby ze sklepu są naprawdę do niczego, Rita.

Wzdycham ciężko.

- Tak było szybciej.

On unosi wymownie brwi.

- Czyżbyś rozmawiała z Leo? On ostatnio całkiem często odwiedza matkę.
- Nic z tych rzeczy. Po prostu miałam dość patrzenia na samą siebie. – Odzywa się dźwięk timera, który ustawiłam w telefonie. – Muszę iść to spłukać.
- Jasna sprawa. To ja włączę piekarnik, a jedzenie zostawię w lodówce.
- Kochany z ciebie chłopak, Collin. – Uśmiecham się i idę do łazienki.

ROZDZIAŁ 49

MOLLY

Oglądam film do końca, a potem wstaję, przeciągam szczotką po włosach i chwytam smycz Sadie. Idziemy do hotelowej restauracji, bo pora zjeść kolację. Jest styczeń, więc obiekt świeci pustkami. Święta się skończyły, teraz jest po prostu zima. Ale mnie to pasuje.

Przy stoliku w środkowej części sali siedzi dwóch biznesmenów. Sadie i ja wciskamy się w róg. Pies cierpliwie czeka, aż zjem grillowanego łososa z fasolką szparagową. Wcześniej zjadłam ciastka, więc teraz postawiłam na bardzo zdrowy posiłek. Potem idziemy na szybki spacer. Potwornie przy tym marznę, bo zeszłam na kolację bez kurtki.

Po powrocie do pokoju zaciągam zasłony, żeby nie raziły mnie światła miasta. Zerkam na telefon, ale nie ma na nim żadnych wiadomości. Corrine najwyraźniej postanowiła uszanować moją potrzebę zniknięcia. Stwierdzam, że powinnam do niej zadzwonić.

– Co u ciebie, Molly? – Słyszę w jej głosie troskę, której ona nawet specjalnie nie ukrywa.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Właśnie byliśmy z Sadie na spacerze, a teraz wyciągnę się w łóżku i obejrzę jeszcze jeden film.

Czuję lekkie ukłucie winy, ale Corrine wzdycha z ulgą.

– To dobrze. Odpocznij sobie. A kiedy wracasz?

– Pewnie w czwartek, ale nie jestem pewna.

– Rozumiem. To tylko dbaj o siebie.

– Jasne.

– Ale wszystko w porządku, tak?

– Tak, wszystko w porządku. Nie martw się. Niedługo wracam.

– A zadzwonisz, gdybyś potrzebowała pogadać?

– Jasne.

Z tonu jej głosu wnioskuję, że wolałaby się jeszcze nie rozłączać, ale zegnamy się i odkładam telefon.

Zaglądam do walizki i wyjmuję z niej ubrania na jutro. Niepotrzebnie tak długo z tym zwlekałam. Jeśli zagniecienia się nie rozprostują, będę musiała wyciągnąć żelazko. Na stronie internetowej napisano wyraźnie, że obowiązują formalne stroje. Pewnie chodziło o to, żeby nikt z odwiedzających nie wyglądał nieobyczajnie. Mnie to nie grozi. Wybrałam na tę okoliczność moje najbardziej „biznesowe” ciuchy. Garsonki nie miałam, ale starałam się, jak mogłam. Postawiłam na szare spodnie, białą bawełnianą bluzkę i czarny żakiet.

Raz jeszcze sprawdzam, czy na pewno zamknęłam drzwi. Rozglądam się po pokoju, zerkam do łazienki, otwieram też drzwi szafy. Wkładam piżamę i wskakuję do łóżka. Po głowie chodzą mi najróżniejsze myśli. Wyobrażam sobie, co się może wydarzyć jutro. Nie potrafię tych scenariuszy zatrzymać. Na studiach miałam terapeutkę, która kładła bardzo duży nacisk na ćwiczenia relaksacyjne. Zamknij oczy, oczyść umysł i skup się na tym, żeby rozluźnić poszczególne części twojego ciała, poszczególne mięśnie. Skrupulatnie realizowałam tę instrukcję co wieczór, nim zasnęłam. Niezbyt mi to pomagało, ale do dziś zdarza mi się czasem do tego wracać. Próbuję i teraz, licząc, że dzięki skupieniu uwagi na poszczególnych mięśniach zdołam odpędzić od siebie myśli o dniu jutrzejszym.

Na stoliku odzywa się telefon. Jego wibrowanie wyrwa mnie ze snu. Pokój jest pogrążony w mroku i tylko ekran mruga. NUMER NIEZNANY. Zerkam na Sadie, ale ona spokojnie śpi. Mam nadzieję, że zatem nikt się na nas nie czai. Ot, zwyczajnie ktoś dobrze się bawi moim kosztem. Otrząsam się, wyłączam telefon i chowam go pod poduszkę.

ROZDZIAŁ 50

RITA

Rano w drodze do biura spotykam Lauren.

– Co tam słyhać? – pyta.

– Coś się ruszyło.

Trochę mi głupio, bo ona została nieco od tej sprawy odsunięta. Gdy pojawiło się FBI, detektyw Schmitt poszedł do Boba i zażądał, żeby Lauren przestała się rozpraszać i całą uwagę poświęciła na jego śledztwa, skoro to on ją szkoli. Bob się zgodził i przekierował Lauren, choć ona bardzo nam pomagała. Tak to niestety czasem bywa.

– A może wybierzesz się ze mną po pracy do Maca? Wszystko ci opowiem – proponuję.

Ona przystaje na tę propozycję.

– Bardzo chętnie.

Ze swojego biura wystawia głowę Doug.

– Dzień dobry, Rito! Czyżby się pani dziś spóźniła?

Wal się, Doug. Mamroczę coś pod nosem.

Siadamy z Joem, Chase'em i agentką Metz w salce konferencyjnej. Chase stawia na stole kartonowy chwytak z kawami, które kupił po drodze. Ja otwieram puszkę z ciasteczkami, które podarował mi André. Wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni, więc kofeina i cukier dobrze nam zrobią.

Analizujemy to, co dotychczas udało nam się ustalić na temat Annalise Robb. Przeglądamy raport z sekcji zwłok, ustalenia techników kryminalistyki i notatki z przesłuchań.

– I co myślisz, Chase? – pytam.

On przeciąga ręką po ciemnych włosach.

– To było zaplanowane. Facet musiał mieć na podorędziu sznur i brezent.

Kiwam głową.

– A co z ofiarą? Jeśli to był ktoś z domu Bradleyów, to skąd niby wiedział, że spotka na drodze Annalise?

Agentka Metz odchrząkuje.

– A jeśli to był przypadek? Jeśli facet po prostu jeździł po okolicy i szukał ofiary. Całkiem dowolnej. I akurat spotkał ją.

– To możliwe – stwierdza Joe. – Może się od jakiegoś czasu do tego przymierzał, a gdy nadarzyła się okazja, był już przygotowany.

– Doktor Bradley – dodaje Chase – zbierał dane dotyczące seryjnych morderców. Jego dziadek prowadził sprawę Dusiciela. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że interesowało go to zagadnienie. Może chciał się sam przekonać, jak to jest.

Joe upija łyk kawy.

– Może wyszedł z domu już po rozmowie z panią Pearson, po tym, jak ona wróciła do łóżka. Wsiadł do samochodu i pojechał na poszukiwania ofiary.

– Tak mogło być – mówię, choć bez przekonania.

Jakoś mi to nie pasuje. Moim zdaniem coś nam umyka i tylko nie potrafię stwierdzić co.

Chase drapie się po brodzie.

– Czyli myślicie, że cały sprzęt miał już przygotowany?

– Niewykluczone. – Kładę ołówek na notesie.

Joe zerka na zegarek.

– Westmore’owie będą lada moment?

– Tak, pora tu kończyć.

Coś mi jednak nie daje spokoju. Jeśli to doktor Bradley zabił Annalise, to kto właściwie zabił jego te kilka miesięcy po tym, jak ona zginęła u niego w piwnicy?

Elise Westmore wygląda tak samo mizernie, jak wszyscy pozostali, których dotychczas przesłuchiwaliśmy. Tydzień odpoczynku na jakiejś plaży na pewno by jej nie zaszkodził. Ubrała się i uczesała bardzo starannie, ale oczy ma podpuchnięte i żaden makijaż nie zdołałby ukryć tych cieni pod powiekami.

Siadamy z Joem naprzeciwko niej i słuchamy tej samej opowieści, którą przedstawiali wcześniej inni. Ona dodaje tylko, że poszli z mężem spać około wpół do dwunastej. O tej samej porze, co Ferrisowie. Zajmowali sypialnię na parterze, ale pod boczną ścianą, pod którą sprawca prawdopodobnie przeniósł nieprzytomną Annalise Robb, o ile oczywiście nie wszedł z nią do domu.

– A co z doktorem Bradleyem? – pytam. – O której on poszedł spać?

– Nie wiem. Później niż my. Twierdził, że popracuje jeszcze chwilę nad książką. Jay nie sypiał dużo.

– A to dlaczego? – pyta Joe.

Doktor Westmore wzrusza ramionami.

– Taki już był. Niektórzy ludzie nie potrzebują dużo snu.

– A czy coś go dręczyło, pani doktor? – pytam, uznawszy, że skoro już rozmawiam z jego bliską przyjaciółką, warto spróbować dowiedzieć się czegoś na temat jego psychiki.

Ona spogląda na mnie.

– A o co konkretnie pani pyta?

– No cóż... Zarówno od pani, jak i od pani Bradley miałam okazję usłyszeć, że w tygodniu poprzedzającym jego śmierć był jakiś taki „milczący”, jakby „czymś pochłonięty”. Być może coś go trapiło już od dłuższego czasu?

Ona kręci głową.

– Nie. Rozmawialiśmy o wielu różnych rzeczach. Trochę się martwił o żonę. Nigdy nie opowiadał mi w szczegółach, przez co ona przeszła, ale mówił, że w dzieciństwie przeżyła traumę.

Kiwam głową.

– A on sam? Jego żadne demony z przeszłości nie dręczyły?

Przyglądam jej się uważnie, gdy przekrzywia głowę. W jej oczach dostrzegam zmartwienie. Doktor Bradley był jej bliski, ona przeżywa jego stratę.

– Nie, nie wydaje mi się. On sobie świetnie radził. Terapeuta w ramach szkolenia sam również przechodzi terapię. Większość z nas miała do przepracowania większe lub mniejsze lęki, a Jay bardzo szybko ten proces zakończył.

Doktor Westmore lekko się uśmiecha, jakby gdyby myśli o przeszłości i wspomnienia z czasów studiów poprawiały jej nastrój.

– Nie miał żadnych dziwnych myśli, żadnych obsesji? Nawet pomimo tego, czego się nasłuchał jako dziecko? – pyta Joe.

Ona odchrząkuje.

– Jeśli przypuszczacie, że Jay mógł zabić tę kobietę, to się mylicie. To był dobry, łagodny człowiek. Nie snuł żadnych fantazji, w których występowałby w roli seryjnego zabójcy.

Doktor Westmore wyraża to przeświadczenie ze stanowczością godną adwokata wygłaszającego mowę przed sądem.

– Skąd pani to wie? – Opadam na oparcie krzesła i zaczynam stukać ołówkiem w podłokietnik.

– Po prostu wiem. – Moja rozmówczyni wzdycha z wyraźną irytacją.

– Wielu seryjnych morderców przez lata zwodzi rodzinę i przyjaciół – stwierdza cicho Joe.

W jej spojrzeniu pojawia się coś jakby oburzenie.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z tych pana seryjnych zabójców przyjaźnił się blisko z dobrze wyszkolonym psychologiem.

– Może i nie – przystaje Joe.

To do niczego nie prowadzi, kończymy więc przesłuchanie doktor Westmore i zapraszamy jej męża.

Scott Westmore ma na sobie firmową koszulę w kolorze jasnego dżinsu z logo pracowni architektury krajobrazu w górnym rogu. Na rozmowę z nami stawił się w porządnie już znoszonych, poplamionych ziemią spodniach. O czwartym lipca opowiada szybko, a jego relacja nie wnosi nic nowego do tematu.

– Panie Westmore – zaczynam – bo my na to wszystko patrzymy tak całościowo. – Zerkam do notatek. – A na pana temat niezbyt wiele udało nam się znaleźć.

To nasz człowiek zagadka. Być może za tą stoicką fasadą kryje się zabójca?

Westmore nie należy do ludzi gadatliwych i teraz też nic nie odpowiada, ale na jego ogorzałej twarzy maluje się wyraz irytacji.

– Widzę, że przez dwa semestry studiował pan na MIT – mówię, przeglądając papiery.

– Owszem. – Patrzy na mnie spokojnie i to ja pierwsza zrywam kontakt wzrokowy.

– A dlaczego nie skończył pan studiów?

– Uznałem, że to nie dla mnie.

– A co pan studiował?

Szkicuję w notatniku jego portret, skupiając się w szczególności na zmarszczkach wokół oczu.

– Przygotowywałem się do medycyny.

– No proszę. A potem zajął się pan architekturą krajobrazu? – podejmuje Joe.

– Tak. Poznaliśmy się z Elise właśnie na studiach. Wzięliśmy ślub. A potem ja założyłem firmę, a ona kończyła studia.

– No dobrze. Mówi pan więc, że w nocy z czwartego na piąty lipca niczego pan nie słyszał? Ta kobieta została zakopana w odległości czterystu metrów od budynku.

Joe wymownie stuka palcem wskazującym w blat stołu.

– Nic nie słyszałem – odpowiada Westmore i zaciska szczękę.

– Ale tę rzekę całkiem nieźle pan zna, prawda? – pytam.

– Mówiłem już wcześniej, że chadzaliśmy tam z Jayem na ryby.

– W ogóle sporo czasu spędza pan na świeżym powietrzu – stwierdzam, odkładając ołówek.

– Lubię świeże powietrze.

Jego utrudzone pracą dłonie lekko się w tym momencie poruszają, a mnie przed oczami staje obraz, na którym on je zaciska na szyi Annalise.

Joe ujmuję w dłoń długopis i zagląda do notatek.

– A jakim samochodem pan tam wtedy pojechał?

– Furgonetką.

– A wozi pan w furgonetce jakieś narzędzia? – pyta Joe, jakby się przygotowywał do sporządzenia listy.

– Oczywiście – odpowiada Westmore z lekkim wzruszeniem ramion.

– A co pan miał w furgonetce w tamtym tygodniu poprzedzającym święto czwartego lipca?

– Nie pamiętam dokładnie. Całe mnóstwo różnych rzeczy.

– A szpadel? – pyta Joe prosto z mostu.

– Jestem architektem krajobrazu – odpowiada nasz rozmówca, jakby chciał się wytłumaczyć. Widać, że wzbiera w nim gniew. – Jeśli wydaje wam się, że miałem cokolwiek wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny, to się bardzo mylicie. – Zrywa się na równe nogi, ale zwraca się bezpośrednio do nas: – Na mnie już pora, muszę wracać do pracy. Jeśli będą państwo mieli jeszcze jakieś pytania, proszę się kontaktować z moim prawnikiem.

Wychodzi, nie zamykając za sobą drzwi.

– A to dobrze poszło, nie ma co – mówi cicho Joe, po czym wstaje i zamyka drzwi. – Dziwny facet.

Uśmiecham się krzywo.

– W nich wszystkich jest coś dziwnego. – Układam równo kartki. – Już prawie skończyliśmy. Jeszcze tylko później przyjdą Branchowie.

ROZDZIAŁ 51

MOLLY

Ten list przelał czarę goryczy. To on zmobilizował mnie do podjęcia działań, o których wcześniej tylko fantazjowałam. Jeśli nie zrobię tego teraz, to się kompletnie rozpadnę i już się nigdy nie pozbieram. Nie mam żadnych oczekiwań, powoduje mną tylko wszechogarniające pragnienie wyzwolenia się spod władzy potwora, który z jakiegoś powodu trzyma mnie w garści. Z tego pragnienia czerpię siłę, która mnie zaniósła do drzwi Zakładu Karnego Sing Sing. Zostałam obrabowana z dzieciństwa. Nie mam pojęcia, co to spokój ducha i poczucie bezpieczeństwa. Miałam męża, który mnie z tego bagna wyciągnął, ale też go straciłam. A na dodatek okazuje się, że nie był tym, za kogo go miałam. Niżej już nie mogę upaść. Jestem więc gotowa stawić czoło bestii z najniższego kręgu piekieł i niech zwycięży lepszy.

Podążam pewnym krokiem za niskim strażnikiem z plamami na szerokim karku. Mężczyzna prowadzi mnie przez kolejne drzwi w głąb więzienia. Za chwilę mam usiąść przy niewielkim metalowym stoliku naprzeciwko człowieka, który mnie zaatakował. Nie będzie nas dzielić szyba, nie będziemy rozmawiać przez telefon. Strażnik ze szczękiem otwiera ostatnie drzwi i wprowadza mnie do szarego pomieszczenia o ścianach z betonu. Zatrzymuję się nieoczekiwanie i chwilę się waham. Przechodzi mi przez myśl, żeby się odwrócić i uciec, ale tego nie robię. Człowiek, który mnie tu przyprowadził, odchodzi. Zerkam teraz na strażnika, który stoi w rogu. To on odpowiada za Keitha Russella. Lekko kiwa głową, przyjmując do wiadomości moją obecność. Jest bardzo wysoki, pewnie ma z metr dziewięćdziesiąt. Stoi wyprostowany, ma napięte mięśnie. Spokój w jego spojrzeniu podnosi mnie na duchu. Siadam naprzeciwko człowieka, który zrujnował mi życie.

Serce wali mi jak młotem. Nie słyszę nic poza własnym tętnem. Chociaż krzesło jest zimne, zaczynam się pocić na twarzy i pod pachami. A wtedy on się do mnie uśmiecha. Keith Russell, kimkolwiek teraz jest, uśmiecha się do mnie i wypowiada moje imię.

– Melinda.

Zalewa mnie adrenalina. Prostuję się i czuję, jak mi czerwienieją policzki. Wiem, że podczas tej rozmowy muszę nad sobą panować. Jeśli puszcze wodze emocji lub zacznę krzyczeć, widzenie zostanie przerwane. Przelykam więc ślinę i robię głęboki wdech.

– Keith – mówię.

Oczy ma zapadnięte i jakby załzawione, a twarz wychudłą i pomarszczoną jak u osiemdziesięciolatka. Jego czterdziestosiedmioletnie ciało wygląda jak wyschnięta łupina. Keith Russell, który prześladował mnie w koszmarach sennych, miał dwadzieścia dziewięć lat. Był młodym, wysokim, gibkim i silnym potworem o wybałuszonych oczach i ostrych zębach. Teraz jednak siedzi przede mną zupełnie inny człowiek.

Zabójcy dzieci nie mają w więzieniach lekkiego życia. Znajdują się na samym dole wewnętrznej hierarchii i często padają ofiarami innych osadzonych. Niekiedy tracą życie na skutek tych ataków. Keith ma skórę pokrytą licznymi plamami i bliznami. Ślady na ramionach i w okolicach szyi mogły powstać na skutek cięcia nożem. On przez te wszystkie lata stracił całą swoją fizyczną przewagę nade mną, prostuję się więc i powoli uspokajam.

– Miło cię widzieć. – Uśmiecha się znowu, prezentując poważne braki w uzębieniu.

Ponownie nabieram powietrza i odpowiadam lekko drżącym głosem:

– Ciebie nie jest miło widzieć, Keith.

– To po co przyjechałaś? – charczy. – Odkąd moja matka umarła, nikt mnie nie odwiedza. Tylko mój brat, gdy sobie czasem przypomni.

Na jego twarzy pojawia się cień, a wtedy on potrząsa głową jak pies, który próbuje odgonić muchę.

– Nie przyjechałam w celach towarzyskich.

Czuję, jak świdruje mnie wzrokiem. Wbija we mnie jasne piwne oczy. To chyba jedyny element fizyczności, który mu pozostał po dawnym wcieleniu Keitha. Nagle

jednak opuszcza wzrok i zerka na moje lewe ramię. Odruchowo ukrywam to miejsce, ściągając rękaw prawą dłonią. Gdy zaczyna chichotać, przeklinam sama siebie, że dałam się wpuścić w pułapkę. On wypatrywał swojego znaku, piętna, które przed laty wrył mi na skórze kieszonkowym nożem. KR. Podpisał mnie, jakbym należała do niego.

Gdy miałam kilkanaście lat, Corrine zabrała mnie do dermatologa. Na skutek kolejnych zabiegów laserowych blizna zmniejszyła się do kilku ledwo widocznych fal na skórze. Ale zarówno ja, jak i Keith wiemy, że ten ślad tam jest. Dech mi w piersi zapiera, z trudem łapię oddech.

– Może mnie kiedyś wypuszczą – mówi, przygryzając paznokcie.

– Nie wydaje mi się.

Dostał dożywocie bez możliwości warunkowego przedterminowego zwolnienia.

On tylko kiwa głową, a potem nachyla się w moją stronę.

– Nie zabiłem Indie – szepcze. – Nikogo nie zabiłem.

Chwytam się blatu stołu, bo świat wokół mnie nagle zaczyna wirować. Czuję na plecach jego kwaśny oddech. Czuję, jak z wielką siłą wbija mi w kark swoje grube palce i wciska mi twarz w ziemię na dnie piwnicy. Czuję piekący ból, który zadaje nóż wbijający się w ciało. Strażnik kaszle wymownie, a ja wracam do terażniejszości. Spoglądam na spętane kajdankami ręce Keitha. To już nie są te same dłonie. Teraz są chude i pokrzywione, jakby zjedzone przez artretyzm i całkiem przez to bezużyteczne. Robię głęboki wdech i spoglądam mu prosto w oczy.

– Możesz sobie kłamać w nieskończoność – mówię cicho. – Nikt ci nie uwierzy i nikt cię nigdy nie wysłucha.

On jednak odchyła się lekko do tyłu.

– Zobaczymy, Melindo.

Znów mogę złapać oddech, odchrząkuję.

– Mój mąż nie żyje, Keith, więc nie masz co liczyć na to, że przyjedzie z tobą porozmawiać, że o tobie napisze ani w ogóle na cokolwiek. On nigdy więcej się do ciebie nie odezwie. Nigdy już z tobą nie porozmawia. – Podnoszę głos, więc strażnik spogląda na mnie ostrzegawczo. Staram się rozluźnić. – Już nikogo więcej nie skrzywdzisz. Odebrałeś mi dzieciństwo, Keith. Skrzywdziłeś mnie potwornie, ale ja tu teraz przyjechałam ci powiedzieć, że... ty przegrałeś, a ja

wygrałam. Nie tylko to przetrwałam, ale mam się wręcz świetnie. Dobrze mi się żyje.

Nawet jeśli to na razie nie jest prawda, w każdym razie nie do końca, to tak właśnie będzie. Gdy tylko stąd wyjdę, zacznę żyć dobrym życiem. Zaciskam dłonie w pięści.

– A Keith Russell jest nikim – ciągnę. – Jesteś nikim. Zostaniesz za tymi murami do końca swoich dni, a ja stąd wyjdę. Wsiądę do samochodu i odjadę z powrotem do mojego pięknego życia.

On wzrusza ramionami i zerka na strażnika.

– Ale przeszłości nigdy nie uda ci się zmienić, Melindo. A ja być może napiszę kiedyś książkę o tamtych kilku dniach. Prawo zabrania mi cokolwiek na niej zarobić, ale napisać przecież mogę. Mogę powiedzieć prawdę.

Serce znów wali mi jak oszalałe, znów mam kłopot ze złapaniem oddechu.

– Mój mąż cię nie uratuje.

Strażnik robi krok w kierunku stołu, ale ja wtedy opadam z powrotem na krzesło i zakładam dłonie na piersiach. To wystarczy, aby się cofnął.

Keith kręci głową.

– Jaki mąż? Ja nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

Mrugam powiekami.

– Pisał do ciebie. Mój mąż do ciebie pisał. Píše książkę, a ty zgodziłeś się z nim porozmawiać.

– Odbiło ci, Melindo. Wiesz o tym? – Przygryza wargi i nachyla się do mnie. – Przyjeżdżasz tu i opowiadasz, ile to ty możesz, ale przecież dalej jesteś tą samą małą dziewczynką, która opowiada niestworzone historie.

Owiewa mnie jego kwaśny oddech.

– Napisałeś do niego! Czytałam list.

Odpowiada mi prychnięcie.

– Listów to ja już całe lata nie pisałem. Podczas bójki zламаłem rękę. Nie jestem nawet w stanie utrzymać długopisu.

Wygina prawą dłoń, jakby mi chciał udowodnić, że nie kłamie. Przyglądam się, jak prostuje zdeformowane palce i ustawia je tak, że przypominają bezużyteczne szpony.

Zapiera mi dech w piersi.

– To nie ty pisałeś do mojego męża?

– Cholera jasna, Melindo. Przecież ja nawet nie wiedziałem, że ty miałaś męża. Skąd niby miałbym to wiedzieć?

List został napisany odręcznie, starannym i w pełni czytelnym pismem. Serce wali mi jak szalone. Wiem, że on mówi prawdę. Jay nigdy do niego nie napisał. Nie poprosił go o wywiad. Wzdycham ciężko i opadam na oparcie krzesła.

W pomieszczeniu nastaje cisza. Zamykam oczy i słyszę tylko delikatne tykanie zegara, który wisi wysoko na ścianie. Spoglądam na strażnika, a on ledwo zauważalnie kiwa głową, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że mogę na niego liczyć.

– Skończyłam – mówię do niego, a wtedy on otwiera drzwi i przekazuje opiekę nade mną koledze, który odprowadza mnie do wyjścia.

Siedzę w samochodzie na parkingu i wpatruję się w zimowe niebo. Gdzieś pośród tej szarości musi się ukrywać słońce. Nie mam siły, ale to mi nie przeszkadza. Czuję się trochę jak po intensywnym treningu. Dowiedziałam się, że Jay nie kontaktował się z Keithem. To mnie niesamowicie podnosi na duchu. Poza tym Keith Russell już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Jakkolwiek to słuszne, słono przyszło mu zapłacić za to, co zrobił Indie i mnie. Nigdy już nie wyjdzie z więzienia.

Uruchamiam silnik i wyjeżdżam na ulicę. Gdzieś w mroku czyha na mnie już tylko jedna myśl: że ktoś, nie wiem kto, stale próbuje mnie straszyć. Zadał sobie dużo trudu, żeby do mnie wydzwaniać, żeby mnie dręczyć, żeby mi wysłać ten list. Ten ktoś dobrze mnie zna. Wie, przez co w życiu przeszłam i że Jay zamierzał napisać książkę.

Dawno jednak nie czułam się tak silna. Wiem, że sobie poradzę.

ROZDZIAŁ 52

RITA

Pan Branch zostawia jedenastoletnią córkę w poczekalni i wchodzi do pokoju przesłuchań jako pierwszy. Jego ciemne włosy, porastające głowę całkowicie bezładnie, wydają się z niecierpliwością wypatrywać wizyty u fryzjera. Szkłom jego okularów stanowczo zaś by nie zaszkodziło, gdyby je czymś przetrzeć. W nieco wymiętych sportowych tweedowych spodniach pan Branch wygląda jak pokręcony naukowiec, któremu na wszystko wiecznie brakuje czasu.

Pytania o tydzień poprzedzający święto czwartego lipca zadajemy już niemal bez zastanowienia. I tym razem odpowiedzi nas nie zaskakują. Liczymy na to, że nieco więcej uda nam się wycisnąć z części dotyczącej przeszłości naszego gościa.

– Panie Branch, poszperaliśmy tu i tam, wiemy więc, że kilka lat temu stracił pan żonę.

– Tak.

– Miała zaledwie trzydzieści cztery lata?

– Zgadza się. – Branch odchrząkuje, a w jego oczach pojawia się błysk.

– To musiało być trudne doświadczenie – włącza się Joe.

Branch wzdycha ciężko.

– Owszem, było. Okropne.

Zaglądam do teczki i przekładam jedną z kartek.

– Z dokumentów wynika, że zmarła z przyczyn naturalnych.

Spoglądam na niego, ale on ucieka wzrokiem.

– Owszem, chorowała na serce. Znalazłem ją w domu, w łazience na podłodze.

– To musiało być traumatyczne.

On potakuje.

– Sekcji zwłok nie przeprowadzono? – upewniam się.

– Nie.

– Hm. – Zapisuję sobie to w notatniku.

– Kardiolog prowadzący jej przypadek uprawdopodobnił przyczynę zgonu – dodaje Branch i zaciska szczękę. Na jego skroniach pojawiają się kropelki potu.

– Rozumiem, choć zwykle w przypadku tak młodych osób autopsję przeprowadza się w zasadzie rutynowo.

– No cóż. W tym wypadku to nie było konieczne. Wszyscy się wtedy co do tego zgadzali. – Przenosi wzrok na Joego, ale potem znów spogląda na mnie. – A dlaczego to takie istotne?

– Nie powiedziałam wcale, że to istotne – odpowiadam.

– Proszę posłuchać, ja nie mam nic, co mógłbym wnieść do tego śledztwa. Nic nie wiem na temat tej kobiety z Mountclair. Nie mam też pojęcia, co się przydarzyło Jayowi. – Przeciąga ręką po włosach, ustawiając loki pod najróżniejszymi kątami. – To wszystko bardzo mocno poruszyło zarówno Molly, jak i moją córkę.

– Właśnie dlatego próbujemy dotrzeć do istoty sprawy, panie Branch – mówi Joe i rozsiada się na krześle.

Kiwa głową i przygryza wargę.

– No cóż, chętnie bym pomógł, ale akurat w tej sprawie powiedziałem wam wszystko, co wiem, czyli prawie nic.

– Czyli tamtego wieczoru nie opuszczał pan domu? – pytam.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nie uznał pan na przykład, że nie chce mu się spać, i nie wybrał się pan na przejażdżkę?

– Nie.

– A czy zechciałby nam pan udostępnić próbkę swojego DNA, panie Branch?

On otwiera szeroko usta ze zdziwienia, ale mówi:

– Jasne, oczywiście.

– Możemy pobrać materiał od razu.

Joe wstaje, ale wtedy na twarzy Brancha maluje się coś jakby przerażenie.

– Moja córka tu jest, siedzi tuż za drzwiami. Nie chciałbym jej denerwować. Może mógłbym zgłosić się w innym terminie, już sam?

– Ale o co właściwie chodzi? – pytam, nachylając się do niego. – Przecież pańska córka to błyskotliwa dziewczynka. Na pewno bez problemu jej pan wytłumaczy, że to tylko rutynowa procedura.

On jednak kręci głową.

– Nie. Przyjdę innym razem. Nie chcę mieszać w to Alice.

Nie nalegam więcej z obawy, że mogłabym go zniechęcić do współpracy.

– No dobrze, niech i tak będzie.

Wychodzę i zapraszam do pokoju jego córkę. Jest nieletnia, więc możemy z nią rozmawiać tylko w obecności ojca.

Długie jasne włosy ma gładko zaczesane i spięte czarną opaską. W białej bluzce i granatowym sweterku wygląda jak nastoletnia uczennica szkoły z internatem z lat pięćdziesiątych.

– Dzień dobry, Alice – witam ją.

Ona lekko się uśmiecha i kiwa głową.

– Wiesz, po co tu przyszłaś?

– Tak. Chcą państwo ustalić, co się przydarzyło tej kobiecie znad rzeki.

Spogląda na ojca.

– Właśnie. Wiemy oczywiście, że to ty ją znalazłaś.

Alice się czerwieni.

– To musiało być stresujące.

– Z początku nie wiedziałam, co to jest, ale potem podeszłyśmy z Molly bliżej i stało się jasne, że to nic dobrego.

Zaglądam do notatek.

– Chcielibyśmy porozmawiać o zeszłorocznym święcie czwartego lipca. Pamiętasz tamten wieczór?

– Tak.

– Spaliście z ojcem na werandzie, zgadza się?

– Tak. Było gorąco, więc zamiast rozkładać sobie kanapy w salonie, położyliśmy się na zewnątrz.

– A czy tamtej nocy cokolwiek słyszałaś?

– Nie, było zupełnie cicho.

Choć weranda ma ekrany osłaniające i znajduje się z drugiej strony domu, a więc daleko od rzeki, coś mogło być jednak słychać.

– A czy wstawiałaś w nocy?

Joe pozostawia przesłuchiwanie dziecka mnie, a sam lekko się odsuwa od stołu i wbija wzrok w notatnik. Dobrze go rozumiem. Nie chcemy przecież, żeby Alice się przestraszyła albo choćby poczuła dyskomfort. A mnie choć trochę zna.

– Nie.

– A twój tata?

Ona znów na niego spogląda.

– Nie wydaje mi się.

Pan Branch otacza ją ramieniem.

– Czyli oboje przespaliście całą noc?

Alce zaciska usta, jakby się nad tym mocno zastanawiała.

– Tak, ale ja potem wstałam bardzo wcześnie.

– A o której? – pytam spokojnie.

Ona robi głęboki wdech.

– Nastawiłam sobie budzik, bo chciałam uchwycić na rysunku wschód słońca. Lubię malować z tarasu, więc postanowiłam wstać o piątej. Obudziłam się, zanim zrobiło się jasno. Nie chciałam przegapić właściwego momentu, a musiałam jeszcze zebrać wszystkie potrzebne materiały i zaparzyć herbatę.

– A czy cokolwiek słyszałaś? Albo może kogoś widziałaś?

– Nie. Nic się nie działo.

– A twój tata cały czas spał?

– Tak, chrapał strasznie.

– I co zrobiłaś?

– Poszłam do kuchni wstawić czajnik. Zaparzyłam herbatę. Pilnowałam, żeby się gwizdek nie odezwał, bo nie chciałam nikogo obudzić. Czekaając, aż napar naciągnie, poszłam do sieni po kółko z kluczami, bo Molly pozamykała wszystkie drzwi, a ja chciałam wyjść na taras.

– No dobrze, a co było potem?

Alice wzrusza ramionami.

– Nie było ich.

– Jak to nie było ich? – pytam, przygotowując ołówek do notowania.

– Kluczy nie było.

Czuję, jak serce mi przyspiesza.

– A poprzedniego wieczoru były?

– Tak sędzę, bo one zawsze tam wiszą.

– A co się stało potem?

Alice wzdycha.

– Wróciłam do łóżka. Nie było sensu wstawać, skoro nie mogłam wyjść na taras.

– I poszłaś z powrotem spać?

– Tak. Tata obudził mnie o siódmej.

– A zwróciłaś może uwagę, czy wtedy klucze były już na miejscu?

– Widziałam je, gdy wyjeżdżaliśmy.

– A o której to było?

Dziewczynka spogląda na ojca.

– Wyjeżdżaliśmy jakoś krótko po ósmej – odpowiada pan Branch. – Czy to wszystko, pani detektyw? Musiałbym wracać do księgarni.

Joe i ja spoglądamy po sobie.

– Chyba wszystko. Alice, bardzo ci jesteśmy wdzięczni za pomoc.

ROZDZIAŁ 53

MOLLY

Wracam do hotelu. W drzwiach wita mnie Sadie. Przed wyjazdem do więzienia zamknęłam ją w pokoju i zostawiłam na drzwiach zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Radośnie macha ogonem na mój widok. Przypinam jej smycz i wychodzimy.

Przemierzamy lekko nachylony hotelowy parking i kierujemy się ulicą wiodącą w dół. Ruch jest duży. Ludzie jadą do sklepów albo może odebrać dzieci ze szkoły. Nikt nie zwraca uwagi na mnie ani na moją towarzyszkę. Nikt nie dostrzega lekkości mojego kroku, gdy ich mijam. Widzą we mnie przypadkową kobietę z psem.

Mam w sobie mnóstwo emocji i nie do końca wiem, co z nimi zrobić. Nie spodziewałam się, że w ogóle jeszcze kiedykolwiek zobaczę mojego dawnego oprawcę. Zdarzało mi się o tym fantazjować, ale nigdy nie wydawało mi się to możliwe, tym bardziej że wszyscy fachowcy konsekwentnie mi to odradzali. Teraz jednak czuję w sobie tak wielką moc, że tylko utwierdza mnie to w przekonaniu, że od dawna do tego dojrzywałam i że było mi to potrzebne.

Ulżyło mi też, że Jay mnie nie zdradził. Zimne podmuchy wiatru odgarniają mi włosy na ramiona, a ja czuję, jak lzy płyną mi po policzkach. Naciągam sobie dzierganą czapkę mocniej na uszy. Tak bardzo tęsknię za moim mężem, że aż mnie od tego serce boli. Tak bardzo chciałabym mu ze spokojem i z dumą opowiedzieć o tym, jak dobrze sobie dzisiaj poradziłam. To jest właśnie najgorsze w śmierci: że już nie można opowiadać tej bliskiej osobie o różnych ważnych i nieważnych rzeczach. Człowiek zaczyna sobie wyobrażać, co mógłby powiedzieć, i przewidywać reakcje drugiej strony. Czuje już nawet ciepło, które się w tej relacji pojawi. Tymczasem śmierć pozbawia go tej najbardziej podstawowej więzi. Zostaje po niej dziura największa chyba ze wszystkich. Mimo wszystko

postanawiam szeptem powiedzieć kilka słów do Jaya. Zamykam oczy i słyszę jego odpowiedź niesioną wiatrem: *Świetnie sobie poradziłaś, Molly!*

Wracamy z Sadie do hotelu. Muszę odpocząć i uwolnić się od całego tego nagromadzonego we mnie napięcia. Muszę oswoić się z tym wszystkim, co się wydarzyło, żebym mogła wracać do domu. Wyruszam jutro.

Przeoglądam laminowane menu, które leży na komodzie. Zamawiam sobie posiłek do pokoju. Karmię Sadie, sama kończę jeść, a potem oglądam telewizję i czytam gazetę. Niby rejestruję te wszystkie słowa, ale nie zwracam na nie uwagi. Jest już całkiem ciemno, ale nie chce mi się spać. Tryskam energią.

Wygrzebuję z walizki strój kąpielowy, czepki i okulary. Gdy zgłosiłam się do Jaya na terapię, on mnie niemal od razu zapytał, jaki uprawiam sport. Pracowałam wtedy w księgarni i wieczory spędzałam najczęściej w domu przed telewizorem nad jakimś gotowym posiłkiem odgrzany w mikrofalówce. Kładłam się potem spać potwornie zmęczona i przygnębiona. Jay głęboko wierzył w łączność ciała i ducha, więc zachęcał mnie do aktywności fizycznej. W szkole średniej należałam do drużyny pływackiej, więc musiałam sobie tylko przypomnieć, jak bardzo kiedyś lubiłam pływać. Po naszym ślubie chodziłam jednak na basen coraz rzadziej, bo u boku męża czułam się bezpieczna i szczęśliwa, a moją uwagę zaprzętało wiele innych spraw.

Hotelowy basen jest pusty. Głęboka niebieskozielona woda połyskuje w przyziemnym świetle, jakby mnie zapraszała w swoje objęcia. Z przyjemnością wciągam do płuc ostry chemiczny zapach. Zanurzam się po płytkiej stronie i przez chwilę stoję w bezruchu. Dotykam blizny na ramieniu. Pamiętam, że po tym, jak mnie uratowano i jak trafiłam do szpitala, lekarz delikatnie badał nacięcia układające się w inicjały Keitha. Z zakażonej rany wyciekała ropa, więc jej oczyszczanie i bandażowanie sprawiło mi dużo bólu. Przez kolejne kilka tygodni podobne zabiegi przeprowadzała moja matka. Zdierała stary opatrunek i oczyszczała skórę wacikami zanurzonymi w alkoholu. To bardzo piekło. Potem smarowała nacięcia jakąś specjalną maścią z tubki i nakładała nowy opatrunek. Podczas wykonywania kolejnych czynności powtarzała zawsze tylko: „Bądź dużą dziewczynką, Melinda. Nie wygląda to tak źle”. Mówiła o tym jak o zdartym kolanie, jak o ranie powstałej na skutek zwykłego szkolnego wypadku. Odchrząkuję. Dzisiejsze spotkanie z Keithem również i z tym

pomogło mi się uporać. Ta blizna to ślady po bitwie, ale ja wreszcie mogę sobie powiedzieć, że tę wojnę wygrałam.

Zakładam okulary i czuję charakterystyczne zasysanie, gdy przywierają mi do twarzy. Odpycham się nogami od ściany. Woda jest idealnie chłodna i miękka jak jedwab. Płynę wolno, spokojnym kraulem. Pod wodą panuje cisza, jakbym zanurzyła się w zupełnie innym świecie. Ręce i nogi powoli pracują, żeby nadawać mi w wodzie prędkość. Mięśnie mi się rozgrzewają, a umysł oczyszcza z każdym zwrotem i każdą pokonaną długością basenu. Ja pływam, a czas mija – i w końcu czuję, że pora iść spać.

ROZDZIAŁ 54

RITA

– Dobra, Alison. Możesz ruszać – mówi Joe.

Stoimy z Joem w chłodnym powietrzu na parkingu przed Mountclair Tavern. Agentka Metz robi kilka kroków naprzód. W dłoni trzyma telefon, bo mierzy czas. W pewnym momencie wykonuje zwrot i zaczyna do nas wracać.

– A nie powinnam najpierw wypić piwa czy dwóch, tak w imię dokładności tego pomiaru?

Joe się uśmiecha, a ona zawraca i idzie dalej wzdłuż drogi.

– Może później! – woła za nią. – Najpierw praca.

Ona macha do niego przez ramię. Chcemy się przekonać, ile czasu potrzebowała Annalise Robb, żeby pokonać trasę z baru do miejsca, z którego została porwana. Pomiaru dokonuje agentka Metz jako ta spośród nas, której najbliżej do ofiary pod względem wieku i postury. Chase czeka przy drodze w tym miejscu, w którym Annalise skręciła. Ma wskazać Alison odpowiedni kierunek.

Joe i ja jedziemy tymczasem w to miejsce, w którym ona zniknęła, i tam czekamy na koleżankę.

Siedzimy w samochodzie z włączonym silnikiem, żeby działało ogrzewanie. Popijamy kawę.

– Ktokolwiek to zrobił, musiał wyjść z domu Bradleyów jakoś po północy – stwierdza Joe – bo inaczej pani Pearson coś by zauważyła. Z zeznań świadków wynika, że Annalise wyszła z baru między pierwszą a pierwszą dwadzieścia.

Ponowna lektura zeznań zebranych przez ludzi szeryfa wykazała pewne rozbieżności co do tej kwestii, ale moment w czasie i tak został uchwycony dość precyzyjnie.

– A zbrodni dokonano najpewniej przed piątą rano – dorzucam.

– Alice twierdzi, że o tej porze nie było jeszcze kluczy. – Joe unosi brwi.

– To prawda. Tylko dlaczego ona nic nie słyszała? Myślę, że sprawca mógł odwiesić klucze później. Gdy zauważył, że nadal ma je w kieszeni. Niemniej myślę, że o tej porze było już po wszystkim, a zabójca leżał w łóżku. Nie ryzykowałby szwendania się po domu wczesnym rankiem. Myślę, że zrobił, co miał do zrobienia, w nocy, gdy wszyscy smacznie spali.

Do takich wniosków doszliśmy po wczorajszej rozmowie z Alice, nie zaszkodzi jednak raz jeszcze przeanalizować możliwych scenariuszy. Nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi jakieś nowe spostrzeżenie.

– Nie wydaje mi się, żeby zrobił to doktor Bradley – mówię.

Przez pół nocy nie spałam, bo mi ta sprawa nie dawała spokoju. Tylko utwierdziło mnie to w przeświadczeniu, że tę kobietę zabił ktoś inny. To być może jedynie instynktowne przekonanie, ale ono z każdą chwilą narasta. Moja matka zawsze powtarzała, że McMahonowie mają niezwykły dar przeczuwania różnych rzeczy. Ona sama chadzała czasem do pewnej staruszki, która mieszkała nad barem Corrigan, takim na rogu ulicy. O tej kobiecie wszyscy mówili, że jest medium, co bardzo martwiło ojca O'Briena. Tego typu rzeczy to już mnie nie przekonują, ale przecież nigdy do końca nie wiadomo.

Joe przechyla głowę.

– Może i nie.

– Wydaje mi się, że używałby własnych kluczy. Po co miałby brać te z sieni?

– Może akurat były pod ręką?

Siedzimy chwilę w milczeniu. Samochód stoi przodem do drogi, bo chcemy zobaczyć agentkę Metz, gdy się pojawi. W końcu nadchodzi. Idzie spokojnym krokiem, utrzymując tempo typowe dla lekko wstawionej Annalise. Gdy się do nas zbliża, wysiadamy z Joem z samochodu.

Oddychając ciężko, Alison wskazuje pokonaną właśnie trasę

– Podejście jest bardziej strome, niżby się mogło wydawać.

Na horyzoncie pojawia się Chase, który szedł parę kroków za nią. Na razie stoimy we trójkę.

– No dobrze, to jak poszło? – pyta Joe, a agentka Metz podaje mu telefon, sama zaś nachyla się i opiera dłonie na udach.

– Astma – tłumaczy.

Gdy unoszę brwi, dopowiada jeszcze:

– Na zimnie tak to jest. Normalnie nie ma problemu.

Joe notuje coś w swoim zeszycie.

– Droga zajęła dwadzieścia dwie minuty.

Spogląda na mnie.

– Czyli Annalise pojawiła się tu między pierwszą dwadzieścia dwie a pierwszą czterdzieści dwie. Tak mniej więcej, oczywiście.

– Tak, na to by wyglądało.

Dołącza do nas lekko zdyszany Chase.

Joe chowa notes do kieszeni.

– Jedziemy do domu Bradleyów. Wskakujcie.

Drogę pokonujemy w ciszy, mijając nagie zimowe drzewa. Joe siedzi za kierownicą, a ja mierzę czas przejazdu telefonem. On miał już okazję obejrzeć miejsce zbrodni, jeszcze zanim dotarł do Graybridge, ale mamy nadzieję, że gdy się tam wybierzemy wszyscy razem, na dodatek uzbrojeni w zeznania świadków, to uda nam się coś nowego odkryć. Zatrzymujemy się na poboczu. Stara chata myśliwska robi ponure wrażenie. Zatopiona w śnieżnych zaspach wygląda jak ogromny padły zwierz.

– Ile to trwało? – pyta Joe.

– Sześć minut.

Wysiadamy, a on wyjmuje brezent z bagażnika.

– Mam nadzieję, że tym się nie będę musiała owijać – odzywa się agentka Metz.

Nakreślony jeszcze w komendzie plan działań terenowych nie przewidywał aż tak drastycznych kroków, ale i tak nas ta uwaga bawi.

– Nie, choć to by pewnie sporo ułatwiło. – Joe wymownie unosi brew, na co ona prychnie i odsuwa się od niego na krok. – No dobrze. Niezależnie od tego, czy zaniósł ją do piwnicy od zewnątrz, czy też przeszedł z nią przez dom, miał do pokonania spory kawałek.

– Wszyscy nasi podejrzani to silni mężczyźni – stwierdzam. – Westmore na co dzień dźwiga różne ciężary. Ferris gra w hokeja i tenisa. Pearson też nie może narzekać na brak mięśni.

– A Hayes Branch? – zastanawia się Chase.

– Zgoda, że może nie jest goliatem, ale też nie jest pięćdziesięciokilogramowym chuchrem, a jeśli do tego dołożyć zastrzyk adrenaliny...

– Doktorek też był postawnym facetem, a panna Robb nie ważyła wiele – dodaje agentka Metz.

– Słusznie – przyznaje Joe. – Dobrze, to może najpierw wejdźmy do piwnicy od tyłu.

Owija w brezent trzy betonowe pustaki i wszyscy razem ruszamy w dół po nachylonym zboczu. Pustaki to może nie to samo co dorosła kobieta, Joe jednak uznał, że będą odpowiednio nieporęczne i ciężkie. Nie zapadamy się w śnieg jakoś mocno, ale trochę nam się stopy ślizgają. Znajdujemy się teraz na wysokości sypialni, w której spali Westmore'owie. Tyle że w tej ścianie nie ma żadnego okna, a dodatkowo to wygodniejsza trasa niż ta po przeciwległej stronie. Tam trzeba by pokonać wzniesienie, przedrzeć się między drzewami, a oprócz tego nie dać się zobaczyć z okna czy werandy, na której spali Branch i jego córka. Jeśli więc sprawca nie wniósł ciała ofiary do domu, to najpewniej wybrał drogę z tej strony.

Schodzimy po zboczu powoli. Joe napina mięśnie, a na jego twarzy pojawiają się kropelki potu. W końcu dochodzimy do podwójnych metalowych drzwi piwnicy. Dłonią w lateksowej rękawiczce wydaję pęk kluczy z woreczka na materiał dowodowy i odnajduję pośród wielu innych ten właściwy. Zamek otwiera się łatwo i względnie bezgłośnie. Popycham skrzydło drzwi.

Uderza nas ostry zapach zgnilizny, który prawdopodobnie unosi się w tym pomieszczeniu od dziesięcioleci. Ostatecznie to stara piwnica, przez którą przewinęła się cała masa martwych zwierząt. Pani Bradley twierdziła, że ostatnio właściwie się tu nie schodziło, odkąd dwadzieścia lat wcześniej ojciec doktora przestał polować. Bo gdy sam doktor z panem Westmore'em przyjeżdżali na ryby, to zazwyczaj je potem wypuszczali. Nie przychodzili ich tu oprawiać.

Przekręcam przełącznik, a wtedy włącza się upiorna podłużna jarzeniówka zamontowana pod łukowatym sufitem. Jej charakterystyczny szum tylko wzmacnia wrażenie grozy. Stół i tablica z kołkami znajdują się dokładnie tam, gdzie poprzednio. Widać jednak wyraźnie ślady aktywności techników kryminalistycznych. Miejsce, w którym rozsypały się gwoździe, oznaczono

niewielkim żółtym numerkiem. Podobny znacznik dostrzegam również tam, gdzie znajdowały się pudełko po nich oraz ślady krwi.

– Dziwne miejsce – stwierdza agentka Metz.

– Owszem, ale też idealne, żeby... – mówi Chase, odchrząknąwszy.

Stan ciała Annalise Robb nie pozwalał stwierdzić, czy doszło do gwałtu, ale po coś ją tu sprawca przyniósł. Być może chciał dokończyć to, co zaczął na drodze. A być może pomimo urazu głowy kobieta zaczęła się poruszać. Tego dowiedzieć się możemy tylko od jej zabójcy. Przede wszystkim jednak zależy nam na tym, żeby oddać sprawiedliwość jej i jej bliskim. A w tym celu musimy wsadzić drania za kratki.

Joe rozgląda się jeszcze chwilę po pomieszczeniu, po czym wraca do nas do drzwi.

– Chodźmy w miejsce, w którym pochowano ciało.

Podnosi zawiniątko, które wcześniej położył na podłodze w pobliżu odpływu.

Powietrze na zewnątrz jest chłodne, ale świeże, więc chętnie napelniam nim płuca. Idziemy po trawniku w dół, ślizgając się na śniegu. Na oblodzonym mostku trzeba bardzo uważać. Trzymamy się poręczy, żeby nie wpaść do wody. Rzeka ma szary kolor i niesie dużo wody ze styczniowych roztopów. Szumi tak głośno, że właściwie nie da się rozmawiać, idziemy więc w ciszy, kierując się tam, gdzie ciało Annalise Robb przeleżało ostatnie pół roku.

Miejsce zbrodni zostało wytyczone za pomocą policyjnej taśmy. Kształtem przypomina prostokąt. Agentka Maetz przeciera usta i nos rękawem kurtki.

– Dlaczego pochował ciało tak blisko? Dość to nierozważne z jego strony, nie sądzicie? Dlaczego nie poszedł gdzieś głębiej w las? Wystarczyło, że woda trochę podmyła brzeg, i sprawa się wydała.

Kręcę głową.

– Może mu się spieszyło. Musiał wrócić do domu, posprzątać i położyć się do łóżka, zanim ktokolwiek zauważy, że go nie ma. To wszystko w ogóle było dość ryzykowne.

– Może mu to odpowiadało – sugeruje Chase. – Że dopuszcza się zbrodni niemal pod nosem przyjaciół.

– Może – podchwytuje Joe.

Ekipa techników przeszukała to miejsce dość dokładnie, wracamy więc przez most i nachylony trawnik do samochodu.

Joe zrzuca z pleców obciążony brezent, wzdycha ciężko i wyciera ręce w spodnie.

– No dobrze, to teraz spróbujemy przez dom.

Idziemy przez podjazd w kierunku drzwi frontowych. Zatrzymuję się w sieni i wskazuję pozostałym kolek, na którym zwykle wisiły klucze.

– Dość dogodnie – zauważa Joe.

– Właśnie. Pani Bradley twierdziła, że wisiły tu po to, żeby każdy mógł je łatwo znaleźć.

– Każdy, czyli na przykład seryjny morderca? – Agentka Metz chichocze. – Proszę bardzo, klucze już masz. Teraz tylko musisz sobie znaleźć ofiarę i przynieść ją do piwnicy, żeby tam mogła rozstać się z życiem. Twój życzliwy gospodarz.

Odpowiada jej nasz zbiorowy jęk. Dziewczyna jest młoda, ale już ma wisielcze poczucie humoru.

– Do piwnicy prowadzą pierwsze drzwi po prawej stronie.

– Jeśli sprawca wszedł tędy, to nie musiał dużo jej nosić po domu – ocenia Joe. – Ale zobaczmy.

Schodzimy po schodach do piwnicy. Włącznik światła znajduje się na ścianie, w łatwo dostępnym miejscu. Idę przodem, więc to ja go przekręcam. Stopnie nie są ani strome, ani niewygodne. Wyglądają na wymienione jakieś dwadzieścia, może trzydzieści lat temu. Na pewno nie są tak stare jak ten dom. Na dole tracimy dostęp do światła i musimy poruszać się w ciemności.

Gdy Joe rzuca brezent na ziemię, betonowe pustaki wydają nieprzyjemny dźwięk. Wskazując palcem ledwo widoczne światło wpadające przez okienko w drzwiach po drugiej stronie, mówi:

– Jeśli zdołał dotargać ją niepostrzeżenie tutaj, to z tego tunelu nikt już raczej nie miał szansy nic usłyszeć.

Wchodzimy za nim w głąb piwnicy, przechodzimy przez drzwi. W okolicach stołu i zlewu charakterystyczny zapach wyraźnie się nasila. Przestrzeń pod sufitami wypełniają pajęczyny, a ciszę zakłóca odgłos kapiącej gdzieś wody. Stoimy bez słowa. Przypuszczam, że wszyscy się w tym momencie zastanawiamy,

co się dokładnie wydarzyło w ostatnich minutach życia Annalise Robb w tym ponurym lochu.

ROZDZIAŁ 55

MOLLY

Dobrze być z powrotem w domu. Robimy z Sadie obchód po pokojach, odsłaniamy zasłony i wpuszczamy światło. W rogu nadal stoi choinka, idę więc do pralni, gdzie znajdują się pudła na ozdoby.

Choinką zajmę się za chwilę. Na razie siadam po turecku na podłodze i sięgam po koszyczek, do którego odkładałam kartki świąteczne. Przeglądam je w poszukiwaniu jednej bardzo konkretnej: takiej białej z czerwoną stodołą i drzewem, na którym siedzi ptak kardynał. Otwieram ją i ze środka wypada brokat, a spod niego wyzierają życzenia spokojnych świąt Bożego Narodzenia, pełnych miłości i radości. Ta sama drżąca dłoń podpisała pod spodem dwie osoby, Johna i Margaret Castleberrych.

Dwadzieścia dziewięć lat temu John Castleberry, wówczas rolnik w średnim wieku, jeździł akurat quadem po polach i oceniał stan swoich upraw, gdy na sąsiedniej działce dostrzegł niebieskie auto zaparkowane w pobliżu opuszczonego domu. Od dziesięciu lat upominał się u lokalnych władz o rozebranie budynku, który ze względu na swój stan groził zawaleniem. Ktoś z urzędu zawsze mu wtedy odpisywał, że właściciel tej nieruchomości dawno temu wyprowadził się na Florydę i obecnie nie ma z nim kontaktu. I tak co roku. Tymczasem tamtego upalnego lipcowego dnia zobaczył młodego mężczyznę, który wychodził z domu i wsiadał do auta. John postanowił zajrzeć do rozpadającego się budynku. Obawiał się, że jakieś dzieciaki robią tam coś głupiego. Wrócił więc do siebie, przesiadł się do samochodu i pojechał do rudery. Żadnych nastolatków nie zastał, usłyszał natomiast dochodzące z piwnicy dziecięce zawodzenie. Choć media z całego stanu trąbiły o poszukiwaniu dwóch małych dziewczynek, pan Castleberry był bardzo zaskoczony, gdy znalazł pod podłogą Indie i mnie. Tak mi to w każdym razie opowiadano.

Sama natomiast zapamiętałam słońce, które mnie oślepiło, gdy ten człowiek wyniósł mnie na dwór. Zapamiętałam też, że jego robocza koszula pachniała ziemią, potem i tytoniem. Trzymałam się go kurczowo i chowałam twarz w jego ramionach. Byłam zmęczona, głodna i przerażona.

On posadził mnie na pulchnych kolanach swojej żony Margaret, na siedzeniu pasażera w swoim starym dodge'u, po czym zawiózł na posterunek policji. Nie wiem, dlaczego nie zabrał też Indie. Próbowałam mu tłumaczyć, że ona nadal jest tam na dole, ale nie potrafiłam znaleźć sensownych słów. Pani Castleberry mocno mnie przytulała i szeptała mi do ucha, że teraz już nic mi nie grozi.

Od tamtej pory co roku wysyłałam im kartkę na święta, dostawałam też życzenia od nich. Poza tym dwojgiem staruszków – i naszymi krewnymi – nikt z moich rodzinnych stron nie wie, gdzie mnie znaleźć. Nie utrzymuję z nimi kontaktu, kontynuujemy tylko tę bożonarodzeniową tradycję. Oni w ten sposób dają mi znać, że jeszcze żyją i nadal myślą o mnie. To mi z jakiegoś powodu daje poczucie bezpieczeństwa. Teraz mają pewnie dobrze ponad osiemdziesiąt lat. Przeraża mnie świadomość, że prędzej czy później te kartki przestaną przychodzić.

ROZDZIAŁ 56

RITA

Po krótkiej rozmowie z szeryfem Skinnerem jedziemy do Mountclair Tavern, żeby coś zjeść przed powrotem do Graybridge. Tłoku nie ma, bo to jeszcze nie pora na wieczorny posiłek czy drinki. Przy barze paru facetów siedzi nad kuflami. Rozmawiają z Sidem, który ich obsługuje.

Podchodzi do nas kelnerka z uśmiechem na twarzy. Pewnie się cieszy, że ma coś do roboty. To młoda dziewczyna, z włosami spiętymi na czubku głowy w luźny kok. Pyta nas, czego się napijemy, a przy tym łypie na litery FBI widocznie na kurtkach Joego i agentki Metz. Gdy wstaję, żeby zdjąć płaszcz, dostrzega także moją odznakę i broń.

Oddała się szybkim krokiem i zaraz potem wraca ze szklanką New England IPA dla każdego z nas.

– A co do jedzenia? – pyta z lekkim drżeniem w głosie.

Odnotowuje sobie nasze zamówienia i odchodzi od stolika, ale po chwili odwraca się znów do nas.

– Przyjechaliście w sprawie Annalise?

Kieruje to pytanie do Joego.

– Tak, a znała ją pani?

– Wszyscy ją tu znali. – Opiera dłoń na biodrze i zerka przez ramię. – Ale nie wiem, czy powinnam cokolwiek mówić. No bo nie chciałabym powiedzieć za dużo ani też nikogo bym nie chciała wpakować w kłopoty.

Chase wyjmuje telefon z kieszeni.

– A wie pani coś, co mogłoby nam pomóc? – pytam.

– Pewnie nie – wzdycha i odrzuca grzywkę – bo mnie nie było. To znaczy w pracy, w tamten wieczór, gdy zaginęła, mnie nie było. Wcześniej za to stało się

coś dziwnego.

Ja również sięgam po notatnik.

– To może jednak nam pani opowie.

– Dobra.

– A czy mogę panią nagrać? – pyta Chase, unosząc telefon.

On zerka najpierw na Joego, a potem na mnie.

– No tak, chyba tak.

Prosimy, żeby podała nazwisko – nazywa się Melissa Haskins – dzisiejszą datę i takie tam.

– No więc na kilka dni przed tym, jak Annalise zaginęła...

– A to znaczy kiedy? – pyta Joe.

– Bo ja wiem... Drugiego.

– Na pewno drugiego?

Dziewczyna kiwa głową.

– Tak. Poszłam pobiegać po pracy.

– O której?

– Tuż przed zmrokiem. Moja mama twierdziła, że nie powinnam, bo robi się późno, ale ja jej powiedziałam, że się pospieszę. Staram się biegać cztery razy w tygodniu. No w każdym razie... Biegam zawsze od domu do sklepu wielobranżowego i z powrotem. To niecałe sześć kilometrów.

– A gdzie pani mieszka? – pyta Joe.

Dziewczyna przekrzywia głowę.

– Jak się wyjedzie z parkingu, to zaraz w prawo. W przeciwnym kierunku niż do Annalise. Trzeba przejechać trochę ponad kilometr, a potem skręcić znów w prawo w Midline Road. Tam mieszkam.

– No dobrze, więc poszła pani pobiegać. A kiedy zrobiło się ciemno? Jak daleko zdążyła pani dobiec?

– Gdy zawracałam przy sklepie, było już dość ciemno.

– A dość ciemno to znaczy...? – dopytuję.

– No jeszcze nie całkiem, ale prawie. – Dziewczyna przygryza wargi. – W każdym razie biegłam drogą, gdy nagle usłyszałam samochód. Jechał za mną,

tak naprawdę bardzo powoli.

Nachylam się w jej stronę.

– A zatrzymał się?

– Nie. Ale na pewno jechał za mną. Bo jechał tak totalnie powoli.

W oczach stają jej łzy.

– A pamięta pani, Melisso, co się stało potem?

– Zbiegłam z drogi na piasek i przyspieszyłam.

– A przyjrzała się pani, jaki to był samochód?

– Nie za bardzo. Bałam się.

– A co może nam pani o nim powiedzieć? – pytam.

Ona robi głęboki wdech.

– Nie wiem. Światła mnie oślepiały.

Teraz Joe wychyla się do niej.

– A czy to była osobówka?

Ona kręci głową.

– Nie, to było coś większego. Może furgonetka, może SUV.

– A w jakim kolorze?

– Nie umiem powiedzieć.

– A jak się pani wydaje?

– Czarny albo może ciemnoniebieski...

– A mógł być srebrny? – podrzucam.

– Nie, to musiał być jakiś ciemny kolor.

Czuję, że serce zaczyna mi mocniej bić.

– A co umie pani powiedzieć na temat kierowcy? Był sam?

– Tak. Tak to wyglądało. Widziałam tylko jednego faceta.

– A czy wysiadł z samochodu?

– Nie.

– A potrafi go pani opisać? Cokolwiek na jego temat powiedzieć?

Melissa kręci głową.

– Za ciemno było, a do tego reflektory świeciły mi prosto w oczy.

– A co się stało później?

Ona pociąga nosem.

– Biegłam co sił w nogach. Pomyślałam, że jeśli się zatrzyma, to skręcę do lasu. Ale potem za nim pojawiło się inne auto i on przyspieszył.

Dziewczyna znów ciężko wzdycha.

– A wspominała pani o tym szeryfowi Skinnerowi albo komuś z jego ludzi?

– Nie. – Teraz drżą jej wargi. – Jak się tu pracuje, to faceci się czasem dowalają. Miejscowymi się nie trzeba przejmować, ale ci spoza miasta bywają dziwni. Ale pewnie trzeba to było zgłosić.

Joe posyła jej życzliwy, niemal ojcowski uśmiech.

– Teraz pani zgłasza, Melisso.

– A to w czymś pomoże?

– Całkiem możliwe, że tak – zapewniam ją.

– To się cieszę. Ostatnio mi to nie dawało spokoju. Bałam się, że szeryf Skinner będzie na mnie zły, że wcześniej nic nie powiedziałam. – Zerka w kierunku okna wychodzącego na parking. – A to wszystko?

– Tak, na razie tak – mówi Joe.

Dziewczyna uśmiecha się z ulgą.

– To ja przekażę państwu zamówienia do kuchni.

Pospiesznie przeglądam notatki.

– Rita? – zagaduje mnie Joe.

Unoszę palec, ponieważ właśnie czegoś szukam. Odczytuję na głos interesującą mnie notatkę:

– Pan Westmore jeździ czarnym pick-upem, Ferrisowie mają czarnego SUV-a, a Pearsonowie szarą furgonetkę. Pan Branch jest właścicielem czarnego SUV-a.

Uśmiecham się do Joego.

– A doktor Bradley?

– Miał srebrnego sedana.

ROZDZIAŁ 57

MOLLY

Od czasu wyprawy do więzienia optymizm mnie nie opuszcza. Czuję się rzeczywiście fizycznie silniejsza, a nieznajomy nie dręczy mnie ostatnio telefonami. Trochę nawet tego żałuję, bo... Jak by to powiedziała ciotka Ellen, jestem w nastroju do walki.

Właśnie sprzątam po lunchu, gdy od drzwi dobiega mnie dźwięk dzwonka. Zerkam na ekran komputera i widzę, że na ganku stoi Josh. *Świetnie...* Odstawiam naczynia do zlewu i idę go wpuścić.

– Cześć, Molly. Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Możemy. Co tam słychać, Josh?

On gestem sugeruje, że chciałby przejść do kuchni, więc zamykam za nim drzwi i przechodzimy w głąb domu. Siadamy przy stole.

Josh drapie się po brodzie i wygląda przez okno.

– Bardzo mi przykro, no wiesz, z powodu tego, co ci się przydarzyło.

Cała się spinam.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Mam to już za sobą, jasne?

– Tak, oczywiście.

– No to czego chcesz?

– A... Bo wiesz... Organizuję w sobotę po południu małe przyjęcie urodzinowe dla Kim.

– Aha! I niech zgadnę, nie powiedziałaś jej jeszcze o Laken?

On zamyka oczy.

– Wysłuchaj mnie, proszę.

Zakładam ręce na piersiach. Zazwyczaj organizowaliśmy dla Jaya i Kim wspólną imprezę, ale w tym roku mój mąż obchodził okrągły jubileusz, więc postanowiłam uczcić to w szczególny sposób.

– Wiem, że to nie najlepszy moment, ale nie chcę tak po prostu odpuścić tematu. Kim też się coś przecież należy.

– Owszem, Josh. Należy jej się. A kiedy zamierzasz jej powiedzieć?

– Molly, czy ty nie rozumiesz, że martwię się o dziecko?

– Pierwszy trymestr macie już za sobą, a lekarz mówi, że wszystko jest w porządku. Bo domyślałam się, że z Laken już skończyłeś?

– Tak. Tak, oczywiście.

– No to kiedy zamierzasz porozmawiać z Kim?

– W następną sobotę, ale przyjęcie organizujemy w tę sobotę. Potem odczekam tydzień i porozmawiam z nią w następny weekend. Nie chciałbym jej popsuć urodzin. Odstawię Willow do rodziców i wtedy... wtedy jej powiem, co zaszło.

Opadam na oparcie krzesła i kręcę głową.

– Nadal mi się nie chce w to wierzyć, Josh. Jak mogłeś?

On chowa twarz w dłoniach.

– A terapeutę małżeńskiego znalazłeś? – rzucam. – Chociaż nazwisko już masz?

– Zapytam Elise. Ona nie musi znać szczegółów, a przecież na pewno mi kogoś poleci.

– No dobrze, ale... – Ściskam go za ramię, a on wtedy podnosi wzrok. – Jeśli nie powiesz Kim do przyszłej soboty, to ja to zrobię.

W jego oczach rozbłyska gniew. Wrywa rękę z mojego uścisku.

– Powiem jej. Powiem. Nie musisz mi grozić, Molly.

Wstaję i zaczynam chodzić po kuchni tam i z powrotem.

– A kogo zamierzasz zaprosić? Laken i Cala?

– Będzie niewielkie grono, ale ich nie mogę nie zaprosić. To byłoby dziwne. Laken nie ma z tym problemu. Ostatecznie przyjęła to lepiej, niż się spodziewałam.

Opieram się o blat i wzdycham, zniesmaczona.

– Słowem, nie była zdruzgotana, że ją rzuciłeś. No kto by pomyślał?

– Słuchaj, ja wiem, że sobie zasłużyłem. Naprawdę. Ale może jednak mi odpuść. Zrobię, co trzeba. Daj mi tylko chwilę.

– Nie zamierzam zaszczycać go odpowiedzią.

– A kto jeszcze będzie?

– Stały skład plus jej rodzice i moja siostra. To chyba tyle.

– No dobra, Josh. Ale jeśli ona się w przyszły weekend nie dowie od ciebie... – Grożę mu palcem.

– On wtedy wstaje i kiwa głową.

– Wyraziłaś się dostatecznie jasno, Molly. Do zobaczenia niedługo.

W jego oczach dostrzegam jakiś taki błysk, od którego ciarki przechodzą mi po plecach. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w ciągu zaledwie tygodnia z bliskich przyjaciół staliśmy się wrogami.

ROZDZIAŁ 58

RITA

Podjeżdżam pod dom i widzę, że Collin siedzi na schodach z papierosem. Miał rzucić od Nowego Roku, ale z postanowienia najwyraźniej nic nie wyszło. Nie dziwi mnie to jakoś specjalnie, zważywszy że André pali i wcale nie zamierza rozstawać się z nałogiem. Na mój widok Collin gasi papierosa, jakby spodziewał się reprimendy. Oczywiście wołałabym, żeby nie palił, bo to szkodzi zdrowiu, ale jest przecież dorosłym mężczyzną. Młodym, ale jednak dorosłym. A przecież wszyscy mamy jakieś swoje słabości. I mimo to jakoś żyjemy.

Przed oczami stają mi moi rodzice z okresu tuż po śmierci Ricky'ego w Wietnamie. Bliższa i dalsza rodzina ściągnęła w nasze progi jak szarańcza. Dom wypełnił się zapachem parzonej kawy i dźwiękami prowadzonych rozmów. W butelce whisky, którą ojciec trzymał na najwyższej półce w kuchni, szybko pojawiło się dno, więc co chwila ktoś po cichu wymykał się z domu, żeby przynieść nową. Pierwszych kilka tygodni zlewa mi się w jeden niespójny obraz, na którym cała masa ludzi oplakuje Ricky'ego lub wspomina go ze śmiechem. Po pogrzebie wszystko zniknęło, jakby ktoś przykrył to ciemnym kocem. W domu zapadła martwa cisza, wszyscy krewni odjechali. My wróciliśmy do szkoły. Moje siostry ciągle wynajdywały sobie wymówki, żeby za wcześnie nie wracać do domu: a to odwiedzały koleżanki, a to znajdowały sobie dorywczą pracę. Danny, Jimmy i ja byliśmy na to za mali, przesiadywaliśmy więc w ich pokoju i graliśmy w statki – z jakiegoś powodu akurat w statki – aż dopadało nas zmęczenie i traciliśmy cierpliwość. Wtedy moi bracia zaczęli się bić albo opadali w zapaśniczym uścisku na podłogę, ale przynajmniej na chwilę pomagało nam to zapomnieć o Rickym.

Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że już za kilka tygodni na rodzinę McMahanów spadnie następny cios. Na horyzoncie czaiła się kolejna tragedia, niczym

wygłodniała bestia, której jeden brat miał nie wystarczyć. Wiosną Jimmy zaczął narzekać na samopoczucie. Wiecznie czuł się zmęczony. Mama zabrała go więc do starego doktora Doyle'a i odtąd nic już nie było takie samo.

– Hej, Rita. – Collin podrywa się ze schodów i otwiera mi drzwi. – Co tam w pracy?

– W porządku. Dużo roboty.

Wchodzi za mną do holu.

– A chcesz wpaść? – pytam.

– Mogę, dlaczego nie. Na chwilę.

– A co u ciebie nowego? – Rzucam torbę na kanapę i zsuwam z ramion kurtkę. – Parę dni się nie widzieliśmy.

– Prawda. Sporo się działo w kawiarni, a poza tym mieliśmy kilka dużych zleceń cateringowych na weekend, więc uwijaliśmy się jak mróweczki.

Odkłada na bok stos gazet i zajmuje ich miejsce na fotelu w salonie.

Ja tymczasem nachylam się, żeby rozwiązać buty.

– Chcesz drinka?

– Tylko jeśli sama pijesz.

Nasuwam kaptcie i drepczę do kuchni, żeby nalać nam po kieliszku czerwonego wina.

– A jak się rozwija twoja sprawa? – pyta, gdy podaję mu kieliszek.

– Powoli. – Wzdycham.

Liczyłam, że z pomocą Joego uda się tę zagadkę szybko rozwiązać. Tymczasem z powodu braku DNA i jakichkolwiek innych konkretnych tropów idzie nam jak po grudzie.

– Straszna szkoda. Żal mi pani Bradley. – Odstawia kieliszek na stolik i nachyla się do mnie. – Widziałem w wiadomościach materiał na jej temat. Wiedzieliście od początku, kim ona jest?

– Wiemy od niedawna. Trzymała to w tajemnicy.

Collina przeszywa dreszcz.

– Straszne to, co ją spotkało wtedy. A teraz jeszcze to.

– Ano... Widać niektórzy ludzie przyciągają kłopoty. – Głupio się czuję, rozmawiając z nim o pani Bradley. Ta historia z przeszłości tylko wzmacnia we mnie poczucie, że powinniśmy czym prędzej znaleźć zabójcę jej męża. Ona tyle już przeszła w życiu. – A co słyszałaś u ciebie tak poza pracą? – zmieniam temat.

On raz po raz spogląda to na mnie, to na drzwi.

– Pani Antonelli ściągnęła mnie do siebie na gnocchi.

– A właśnie. I jak było?

– Dziwnie.

– To znaczy?

– Zaprosiła swoją wnuczkę, pielęgniarkę, która dopiero co sprowadziła się z Nowego Jorku. I chyba dopiero co rzucił ją facet, z którym była przez długi czas.

– No proszę.

– Właśnie. Ale słodka dziewczyna. Skomplementowałem jej buty. Miała takie naprawdę śliczne czółenka od Christiana Louboutina. A ona mnie potem dopadła w korytarzu i szepnęła: „Przepraszam za moją babcię. Ona się w ogóle nie orientuje”.

Uśmiecham się. Collin to wrażliwy człowiek, który pragnie dla siebie czegoś dobrego. Tak bym powiedziała. Tylko że pewnie to samo można powiedzieć o każdym z nas. Martwię się czasem o niego i André. Collin ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat, za to André jest dobrze po trzydziestce i ma dość specyficzne doświadczenie życiowe. Urodził się w Paryżu, a jego matka jest Amerykanką (czasem można ją obejrzeć w jakimś starym filmie telewizyjnym). Sporo już podróżował po świecie, mówi w trzech językach i wiecznie go nosi. Gdy robi się ciepło, a ja otwieram okno, czasem wyczuwam w powietrzu zapach jego papierosów i słyszę, jak rozmawia z kimś na schodach przeciwpożarowych. Płynnie przechodzi z francuskiego na angielski, a potem na hiszpański. Wtedy nie mogę odpędzić od siebie myśli, że Collin kiedyś się przez niego nacierpi.

Teraz jednak wypijamy jeszcze po kieliszku wina i śmiejemy się z pani Antonelli i licznych członków jej dużej rodziny. Nie mówimy o nich nic paskudnego. Tak sobie tylko pokpiwamy, żeby przez chwilę rechotać głupkowato dla odprężenia.

ROZDZIAŁ 59

MOLLY

W sobotnie popołudnie witają mnie w drzwiach Willow i jej dwie kuzynki. Nie chcę tu być. Zważywszy na to, co wiem o mojej przyjaciółce, trudno mi spojrzeć jej w oczy. A pozostali... Za sprawą mediów wszyscy już wiedzą, kim jestem. Wszyscy znają Melinę Wright.

Dziewczynki rozplývają się w uśmiejach. Najstarsza, długowłosa brunetka, chodzi już do gimnazjum. Proponuje, że odbierze ode mnie prezent. Przekazuję go jej, choć niechętnie, bo teraz już nie będę się mogła schować za pudełkiem owiniętym w jaskrawy papier. Czuję się tym bardziej nieswojo, że ze względu na alergię Willow zostawiłam Sadie w domu. Dziewczynka podaje mi małą spoczną dłoń i wpatruje się we mnie wielkimi brązowymi oczami, które odziedziczyła po Kim. Patrzy tak, jakby rozumiała moje lęki, jakby łączyło nas pokrewieństwo dusz. Może zresztą łączy. Ona też w swoim krótkim życiu zmagala się już z wieloma trudnościami i też nie lubi tłumów, nawet tych znajomych. Nabieram powietrza do płuc. Skoro ona może być dzielna, to ja też.

Salon rozbrzmiewa śmiechem i tętni życiem. Rodzice Kim siedzą obok siebie na sofie. Nie widziałam ich od pogrzebu Jaya, a od tamtej pory tyle się wydarzyło. Ojciec Kim opowiada coś, intensywnie przy tym gestykulując. Zgromadzeni wokół ludzie przysłuchują mu się z fascynacją. Tworzą szczęśliwą rodzinę. Jako dziecko spędzałam bardzo dużo czasu w ich domu i zawsze im zazdrościłam. Tej ich niczym niezmaconej zwyczajności. Siły, wzajemnego wsparcia i żartów. Tego, że niczego przed światem nie ukrywają. Że w rodzinnym kalendarzu na lodówce nie ma terminów wizyt u terapeuty. I że podczas wspólnych posiłków nie muszą starannie dobierać tematów. To była taka rodzina, jaką ja zawsze chciałam mieć.

Josh co chwila znika w kuchni i rozdaje drinki. Na mój widok Kim podrywa się z krzesła. Wygląda pięknie. Jej długie ciemne włosy spływają falami na ramiona,

a oczy lśnią. Nie ma pojęcia o zdradzie swojego męża, mnie zżera poczucie winy, gdy ona mnie obejmuje i szepcze mi do ucha słowa powitania.

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Chwyta mnie za rękę. – Chodź, nalejemy ci kieliszek wina.

Wychodzimy z pokoju, a ja po drodze witam się gestem dłoni lub skinieniem głowy z kolejnymi osobami.

Cala i Hayesa zastaję przy kuchennym stole. Popijają razem piwo. Obaj uśmiechają się niepewnie, jakby nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Ja jednak nie zamierzam w ogóle rozmawiać o Melindzie Wright, a już na pewno nie tutaj i nie teraz.

Cierpki i głęboki smak wina mnie zachwyca. Upijam kolejny łyk.

– Zniknę na chwilę w łazience.

Z kieliszkiem w dłoni idę korytarzem do toalety. Po drodze spotykam Josha.

Wita mnie z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Molly.

Akurat. Jakoś nie widziałam w salonie ani Laken, ani chłopców.

– A gdzie Laken? – pytam, bo nie potrafię oprzeć się pokusie.

Josh marszczy czoło i zniża głos.

– Cal mówi, że zabrała chłopców na weekend do domu swoich rodziców na Cape Cod.

Unoszę brwi.

– Hm, no proszę. To pewnie ci trochę ulżyło.

Josh odchrząkuje.

– Powiem jej, obiecuję, ale na razie nie psujmy jej święta.

Przeciska się przez korytarz, szturchając mnie przy tym tak mocno, że wino niemal występuje z brzegów kieliszka. Upijam kolejny duży łyk.

Po wyjściu z toalety za drzwiami zastaję Hayesa.

– Cześć – witam się. – Gdzie Alice?

– Chyba na górze, bawi się z dziećmi. – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Tak mi przykro, Molly. Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Może mógłbym jakoś pomóc.

Ludzie to jednak są naiwni. Kręcę głową.

– Nie mógłbyś, Hayes. To moja sprawa i ja nie chciałam, żeby ktokolwiek o tym wiedział, rozumiesz?

Widzę po jego spojrzeniu, że czuje się niesprawiedliwie potraktowany. Może i nie zachowuję się całkiem w porządku, ale nic na to nie poradzę. Od Graybridge i moich przyjaciół z tego miejsca oczekiwałam tylko jednego: anonimowości. Nie chciałam, żeby ludzie widzieli we mnie ofiarę. A teraz nic z tego. Oni nie mieli mnie w ten sposób postrzegać, ale teraz nie zdołam już tego uniknąć. Konfrontacja z oprawcą w jakiś sposób mi pomogła, dała mi poczucie siły i kontroli nad własnym losem. W tej chwili jednak muszę zmierzyć się z drugą stroną tego równania. Muszę znaleźć sposób na to, żeby dalej żyć i budować relacje z innymi ludźmi. Jeszcze do końca nie wiem, jak to zrobię.

Hayes opuszcza rękę.

– Jesteś dla mnie ważna, Molly. Jestem dla ciebie. Zawsze.

Wzdycham i kiwam głową.

– Dziękuję, Hayes. Nie chciałam być niemiła. Może kiedyś zdołam ci o tym wszystkim opowiedzieć, ale nie teraz. Na razie próbuję sobie to jakoś poukładać.

Wracam korytarzem do salonu. Najwyższy czas zrobić dobrą minę do złej gry. Przysłuchuję się kolejnej anegdocie, którą opowiada ojciec Kim. Śmieję się razem z wszystkimi. Dopijam wino i idę do kuchni po dolewkę.

Cal stoi przed otwartą lodówką, wybiera piwo. Dostrzega mnie kątem oka.

– Hej, jeszcze wina?

Zamyka drzwi lodówki i sięga po stojącą na blacie butelkę.

– Chętnie. – Wyciągam kieliszek w jego stronę, a on napełnia go niemal po brzegi.

Do kuchni wchodzi Scott.

– Znajdzie się tu piwo i dla mnie? – pyta Cala, który w odpowiedzi podaje mu kolorową puszkę.

Zaraz za nim pojawia się Elise, ze złoto-srebrną torebką prezentową w dłoni. Widocznie dopiero przyszli. Postawiwszy podarunek na stole, zwraca się do mnie.

– Cieszę się, że jesteś, Molly. Corrine wspominała, że wyjechałaś na kilka dni.

– Tak, musiałam się od tego wszystkiego oderwać – mówię, a ona bacznie mi się przygląda, jakby próbowała ocenić mój stan. – Bardzo dobrze mi to zrobiło –

dodaję.

– Świetnie. Odpoczynek to ważna rzecz.

– A co słyhać w sprawie? – pyta Scott. – Policja ma jakieś nowe ustalenia?

Kręcę głową.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A wiesz, że nas wszystkich przesłuchiwali? – Cal opiera się o kuchenny blat i mruży oczy.

– W jakiej sprawie?

– Pytali o ubiegłe lato. O wieczór z czwartego na piąty lipca, bo to wtedy zginęła ta kobieta.

– Aha.

Scott upija łyk piwa.

– A to okno nadal trzeba wstawić?

– Tak, kiedyś to trzeba będzie zrobić. Dam ci znać.

Do kuchni wchodzi Kim, a za nią podąża Willow.

– Soku, mamó – domaga się.

– Słyszałam, kochanie. Już ci podaję.

Kim nalewa córce soku. W tym momencie dołącza do nas Josh.

– Czy to już czas na tort? – pyta, zerkając na zegarek.

Kim odpowiada mu skinieniem głowy i sięga po talerzyki i sztućce.

Tak mi to wszystko przypomina przyjęcie Jaya. Aż trudno mi uwierzyć, że ono odbyło się zaledwie kilka tygodni temu. Od tamtej pory tyle się zmieniło.

Josh wchodzi z tortem do salonu, więc wszyscy gromadzą się wokół niego i zaczynają śpiewać. Kim nachyla się i z radością w oczach zdmuchuje świece. Zastanawiam się, czy pomyślała przy tym życzenie. Ja bym pomyślała.

Popołudnie płynnie przechodzi w wieczór. Trochę za dużo wypiałam, ale to pewnie dlatego, że stale musiałam uciekać przed trudnymi tematami.

Ściskam Kim na pożegnanie.

– Czas już na mnie. Muszę wyprowadzić Sadie.

Ona szepcze mi do ucha:

– Gdybyś potrzebowała pogadać, daj znać.

– Dam.

Wychodzę spiesznym krokiem na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza. Mam nadzieję, że jego chłód przywróci mi trzeźwość umysłu. Cieszę się, że już stamtąd wyszłam i że wracam do domu i do mojego psa.

Idziemy z Sadie szybkim krokiem po chodniku. Jest ciemno, wolałabym za długo nie przebywać poza domem. Media się jeszcze nie zorientowały, że wróciłam, ale to się pewnie lada moment zmieni. Corrine twierdzi, że kręcili się pod jej budynkiem jeszcze przez dzień czy dwa po moim wyjeździe, ale potem się zorientowali, że mnie nie ma, a w każdym razie że nie wychodzę. Ruch jest niewielki. To pora kolacji, więc większość ludzi zapewne siedzi w domu lub w restauracjach. Zbliżamy się do stacji benzynowej. Przystaję na chwilę. Zastawiam się, czyby tam nie zajrzeć i nie kupić czegoś do jedzenia na wieczór. Zapasy z domowej spiżarni są na wyczerpaniu. Ze sklepu wychodzi akurat dwóch młodych mężczyzn, otulonych szczelnie płaszczami, z czapkami naciągniętymi nisko na czoło i dłońmi ukrytymi w rękawiczkach. Zerkają w moim kierunku. Pałają papierosy, a z nozdrzy bucha im dym. Szybko znikają w kabinie pick-upa.

Waham się jeszcze trochę, ale potem wchodzimy z Sadie do sklepu. W środku jest ciepło i dość gwarnie. Odnajduję regał ze słodyczami i zdejmuję z niego opakowanie oreo oraz dwa milky waye w rozmiarze XXL. Dlaczego mam sobie czegokolwiek odmawiać? Płacę za przekąski i wychodzimy.

Za moimi plecami rozlega się kobiecy wrzask. Zamieram w bezruchu, ale po chwili dociera do mnie, że ona się po prostu śmieje. Wyruszamy z Sadie w drogę powrotną, coraz bardziej oddalając się od stacji benzynowej. Muszę jeszcze minąć boczną uliczkę i przejść obok opuszczonego budynku handlowego. Dopiero za nim zaczynają się domy.

Jest zupełnie ciemno, a latarnie stoją na tyle daleko od siebie, że spora przestrzeń między nimi tonie w cieniu. Nagle słyszę, że ktoś za mną idzie. Przyspieszam kroku, ale ten ktoś robi to samo. Serce wali mi jak oszalałe, maszeruję coraz szybciej. On jest za blisko. Słyszę już jego ciężki oddech. A potem czuję, że chwyta mnie w pasie i ręką w rękawiczkę przesłania mi usta. Próbuje krzyknąć, ale nie mogę wydać z siebie dźwięku. Słyszę tylko własne tętno. Czy to ten człowiek, który do mnie dzwonił? A może ktoś inny? Puszczam smycz i próbuję

się oswobodzić. Wiergam nogami, ale on tylko zacieśnia chwyt i wciąga mnie w głąb alejki.

Nie, nie, nie! Nie dam się skrzywdzić. Nigdy więcej. Wrzeszczę jak wściekłe zwierzę i sięgam ręką do twarzy mężczyzny. Mam na sobie rękawiczki, więc nie udaje mi się go podrapać. On zrywa ze mnie kurtkę, a wtedy ja rzucam się naprzód. Ucieczkę uniemożliwia mi kłujący ból w ramieniu. Całym moim ciałem wstrząsa fala zimna. Teraz już wiem, że tonę. Robię jeszcze krok czy dwa do przodu, ale on z całą siłą mnie do siebie przyciąga. Wrywam się i przewracam. Padam twarzą na ziemię, nie mogę się podnieść, nie mogę się poruszyć. Czuję w ustach piach. Zupełnie jak wtedy.

ROZDZIAŁ 60

RITA

Wczoraj musiałam się stawić w sądzie, ale bardzo mi się spieszyło, żeby wrócić do komendy do pracy nad sprawą Bradleya. Cóż, ciągle coś mnie od niej odrywało. Czasem tak niestety bywa. W każdym razie w piątek nic mi się nie udało zrobić. Dziś przyszedłam więc do biura, licząc, że nadrobię zaległości.

Joe pojawił się po dwunastej. Spędził chwilę w salce konferencyjnej. Wszyscy mamy to samo poczucie, że powinniśmy się z tym śledztwem pospieszyć, a jednocześnie słabo nam idzie. Spoglądamy na siebie nawzajem z nadzieją, że ktoś w końcu wymyśli coś, co je pchnie do przodu. Przez cały dzień nic nam się nie udało wymyślić, zbieram się więc powoli do wyjścia.

W drzwiach mojego gabinetu pojawia się Joe.

– Może skoczmy na drinka, Rita? W końcu przed nami sobotni wieczór.

– Brzmi dobrze. Posprzątam tylko trochę na biurku.

Wszędzie leżą jakieś dokumenty, a wśród nich mój otwarty notatnik. Joe wchodzi i zerka na to wszystko z góry. Przez chwilę wodzi palcem po szkicu przedstawiającym panią Bradley.

– O co chodzi z tymi wszystkimi rysunkami?

– Lubię sobie gryzmolić. To mi pomaga myśleć.

Mam wrażenie, że poprzednim razem też mnie o to pytał.

Z przestrzeni roboczej dochodzą nas jakieś odgłosy, wychodzimy więc sprawdzić, co się dzieje. Widzę Chase'a, który prowadzi jakiegoś człowieka w kierunku pokoi przesłuchań. Idziemy z Joe w ich stronę.

Chase odstawia zatrzymanego do pomieszczenia i spotyka się z nami na korytarzu.

– Co to za jeden? – pytam.

– Czaił się pod domem pani Bradley.

– A ty co tam robiłeś?

Chase wzrusza ramionami.

– Byłem akurat w okolicy. Pomyślałem, że tamtędy przejadę. Zdarzało mi się tak robić już wcześniej – dodaje cicho.

– A kto to jest?

– Przesłuchasz go ze mną?

– Mogę – odpowiadam i zerkam na Joego.

– To wy się nim zajmijcie. Zapewne poradzicie sobie beze mnie.

– Owszem – potwierdzam.

W pokoju czeka na nas trzydziestoparolatek z głową ogoloną na łyso, w obcisłych spodniach i skórzanej kurtce. Z krzesła wydaje się spływać, jakby siedzenie na tyłku sprawiało mu ból.

Przedstawiam się i zajmujemy miejsca na po drugiej stronie stołu.

– Jak się pan nazywa?

– Brian Fleck.

– Zostałem pana Flecka na ulicy naprzeciwko domu państwa Bradleyów – mówi Chase. – A potem zobaczyłem go na ganku, jak przez okno zaglądał do środka.

– Mówiłem już, że chciałem się skontaktować z panią Bradley.

– A w jakiej sprawie? – pytam.

– Przecież nic nielegalnego nie zrobiłem. Zgodziłem się też przyjść na komendę, żeby wszystko wyjaśnić.

– No dobrze, niech będzie. Ale w takim razie proszę odpowiedzieć na pytanie.

Facet prostuje się i zaciska wargi.

– Chciałem zapytać panią Bradley, czy by nie zechciała podjąć ze mną współpracy na potrzeby książki.

– Czyli jest pan pisarzem?

Fleck stawia plecak na podłodze, wyjmuje z niego portfel i wręcza mi wizytówkę. Zdobia ją czerwone kleksy, które mają wyglądać jak plamy krwi. Z podpisu wynika, że facet pisuje dla e-magazynu kryminalnego.

– Tak. Opisuję zbrodnie bieżące i ciekawe przypadki z przeszłości. Ale moim zdaniem o pani Bradley śmiało można by napisać całą książkę, a ja chętnie bym się tego podjął.

– No dobrze. – Zerkam na Chase’a.

– Pan Fleck powiedział, że przebywa w okolicy od kilku tygodni.

– A dzwonił pan już do pani Bradley?

– Parę razy próbowałem, ale ona nie odbiera. Dlatego pomyślałem, że może spróbuję zastać ją w domu.

Chase ciężko wzdycha.

– Mam nadzieję, że jej pan nie nachodził?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ona mogłaby to tak zinterpretować – stwierdzam.

On nachyla się do nas, przyjmując pozę typową dla reportera na tropie.

– Ktoś o niej tę książkę napisze, a moim zdaniem nikt tego nie zrobi lepiej niż ja. Wydaje mi się, że dobrze ją rozumiem. Ona tyle przeszła...

– No właśnie – przerywa mu Chase.

– Mogłaby na tym dobrze zarobić. – Dziennikarz znów opada na oparcie krzesła. – Pieniądze mogą jej się przydać, skoro jej mąż nie żyje.

– Jasne.

– Proszę państwa, nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem. Gadam teraz z wami z czystej przyzwoitości. Wolalbym jednak, żebyście mi więcej nie przeszkadzali w pracy.

– Niech pan zatem nie przeszkadza pani Bradley – odpowiada mu Chase lekko podniesionym tonem.

Trącam do kolanem, żeby go przywołać do porządku.

– Proszę na nią nie naciskać, panie Fleck – ostrzegam go. – Niech pan nie przekracza granic prawa. Jeśli ona zechce z panem porozmawiać, to w porządku. Jeśli zaś nie, proszę jej nie niepokoić, a wtedy my nie będziemy niepokoić pana. Jeśli uznamy, że ją pan nachodzi, będziemy rozmawiać inaczej.

Dziennikarz wstaje i zakłada plecak.

– Jasna sprawa.

Chase wychodzi do domu, a ja zaglądam do sali konferencyjnej, gdzie Joe siedzi pochylony nad laptopem. Przerzucam świeżo pofarbowane włosy przez ramię i robię głęboki wdech. Odkąd Joe przyjechał i zaczęliśmy razem pracować, odżyły we mnie dawne uczucia. Ale przecież mam takie poukładane życie... Wzdycham ciężko. Może zwyczajnie jestem tchórzem. Tak czy owak chwilowo mam na głowie inne sprawy i życie osobiste musi poczekać. Zaczepiam Lauren, która właśnie przechodzi obok.

– Masz może ochotę wyskoczyć ze mną i Joem do Maca?

ROZDZIAŁ 61

MOLLY

Z otępienia wyrywa mnie smród zgnilizny. Mam kaca, robi mi się niedobrze. A potem przypominam sobie tę alejkę i tego mężczyznę. Przeszywa mnie dreszcz. Gdzie ja jestem? Niewiele tu widzę, cała się trzęsę z zimna. Z nosa kapie mi katar. Na prawym nadgarstku mam obręcz od kajdanek, którymi zostałam przykuta do łańcucha. Lewą ręką sprawdzam, dokąd on prowadzi. W ten sposób odkrywam, że został zamontowany do rury wiodącej wzdłuż ściany z betonu. Z trudem opieram stopy na ziemi i zrywam się jak dzikie zwierzę złapane w pułapkę, ale nie mogę uciec. Po policzkach spływają mi łzy. Odchrząkuję, żeby zacząć krzyczeć, ale mój głos odbija się echem od ścian. Robi mi się słabo. Nogi mam jak z waty, więc osuwam się z powrotem na podłogę i wciągam do płuc śmierzące powietrze.

Przez niewielkie okno gdzieś wysoko w ścianie wpada do środka słabe światło. Widocznie jest ranek. Ubrania nikt ze mnie nie zdjął, więc nie zostałam zgwałcona. Zamykam oczy i przełykam łzy, wdzięczna za to losowi. Tylko w takim razie co tutaj robię? W tym momencie przypominają mi się słowa, które usłyszałam przez telefon.

Nie spocznię, dopóki nie wrócisz do tej piwnicy na zawsze.

I tak oto jestem w piwnicy. Czuję pleśń i wilgoć, słyszę wodę kapiącą gdzieś w oddali. Cała drzę. Na podłodze obok dostrzegam dwa grube koce. Wygląda to trochę tak, jakby mój oprawca nie chciał, żebym tu zamarzła.

Żołądek podchodzi mi do gardła, z trudem przełykam żółć. Zastanawiam się, gdzie jest Sadie i czy wszystko z nią w porządku. Na samą myśl o tym, że mojemu psu mogło się przydarzyć coś złego, zbiera mi się na płacz.

Pociągam nosem, odchrząkuję i sprawdzam, co mam przy sobie. Nie mam nic. Ani kluczy, ani portfela, ani telefonu. W pobliżu tego miejsca, do którego zostałam przykuta, znajdują się toaleta i zlew. Podciągam się do umywalki i odkręcam kran.

Zawór trzeszczy, ale woda nie płynie. W bladym świetle dostrzegam na dnie ślady rdzy. Jest za to woda w muszli klozetowej, ale ma czarny kolor, jakby znajdowała się tam już ze dwadzieścia lat.

Idę w drugą stronę. Odchodzę od toalety na tyle, na ile pozwala mi na to łańcuch. Nic już więcej nie znajduję. Wypatruję w mroku schodów, ale nic nie widzę. Są tylko otwarte drzwi. Znajdują się w górze, jakby u szczytu nieistniejących schodów. Dostrzegam zakończenia drabiny leżącej na parterze nade mną. Jestem w potrzasku. Nawet gdybym zdołała się uwolnić z kajdanek, to i tak stąd nie wyjdę.

Ściska mnie w żołądku. Mdli mnie. Opadam z powrotem na ziemię. Kręci mi się w głowie. Znowu czuję się jak wtedy, gdy miałam sześć lat. W tym momencie przypominam sobie, że podczas ataku ten mężczyzna ukłuł mnie czymś w ramię. Zastanawiam się, co mógł mi wstrzyknąć. Mam nadzieję, że nic strasznego. Przecieram twarz sztywnymi, zimnymi palcami. Co ja teraz zrobię?

Pomieszczenie znajduje się w jakimś starym budynku, ale nie tak starym jak tamta farma. Tak mi się w każdym razie wydaje. Tam nie było łazienki ani posadzki, tylko klepisko. Siusiałyśmy z Indie w majtki. Zapamiętałam to, bo jego to denerwowało. Ale my przecież byłyśmy małe. Tutaj jest inaczej. Mam przynajmniej coś na kształt toalety, co niemal mnie bawi. Ten ktoś, kto do mnie dzwonił, powiedział, że chce mnie znowu zamknąć w piwnicy. No i dopiął swego. Piwnica jest inna, ale zamknięta jestem tak samo.

ROZDZIAŁ 62

RITA

Chase ma dziś wolne, ale zarówno Joe, jak i agentka Metz stawili się w komendzie. Przyniosłam muffiny z orzechami laskowymi, które upiekł André. Joe kupił kawę. Czasem mam poczucie, że pracujemy nad najgorszymi wybrykami ludzkości w bardzo cywilizowanych warunkach. Ta zabawna równowaga działa niektórym na nerwy i zniechęca ich do pracy w organach ścigania. Tak było choćby w przypadku mojego byłego męża, Eda. Przepracował cztery i pół roku i miał dość.

Wybraliśmy salkę konferencyjną, bo tutaj się możemy wygodnie rozłożyć. Czerwonym pisakiem skreśliłam nazwisko doktora Bradleya z listy podejrzanych o zabójstwo Annalise Robb. Nie wiem, czy wszyscy się ze mną zgodzą, ale postanowiłam w ten właśnie sposób wyrazić swoje zdanie. A moim zdaniem musimy się bardziej pochylić nad pozostałymi czterema podejrzany. Nadal liczymy na to, że pojawi się jakiś materiał DNA, który by nas naprowadził na właściwy trop. Dopóki się to jednak nie stanie, musimy polegać na tradycyjnych metodach pracy policyjnej.

Mój telefon zaczyna wibrować i tańczyć po stole, odciągając moją uwagę od notatek. Nie rozpoznaję numeru, ale odbieram.

– Detektyw Myers, słucham.

– Czy to detektyw Myers? – pyta słabiutki głos. *Przecież właśnie się przedstawiłam!*

– Przy telefonie. W czym mogę pomóc.

– Z tej strony Gladys Murray, pani detektyw.

– Tak, słucham. – To staruszka, która mieszka po sąsiedzku z panią Bradley.

– Wydaje mi się, że coś się wydarzyło.

Włączam telefon na głośno i zerkam na Joego, który świdruje mnie teraz tymi swoimi ciemnymi oczami.

– A co takiego?

– No więc chwilę temu Percy pobiegł do frontowych drzwi i zaczął je drapać, a on tak nigdy nie robi. Gdy otworzyłam, stała przed nimi Sadie.

– A kto to jest Sadie?

– Pies pani Bradley. Ciągnęła za sobą smycz, więc pomyślałam, że uciekła właścicielce. Pani Bradley kilka razy dziennie wyprowadza ją w okolicy domu, ale pora była naprawdę wczesna, nietypowa jak dla niej. W każdym razie odprowadziliśmy z Percym Sadie do domu. Samochód stał na podjeździe. Dzwoniłam kilka razy do drzwi, pukałam, ale nikt mi nie otworzył. Pani Bradley naprawdę dba o tego psa, pani detektyw. Nie wydaje mi się, żeby ją tak miała celowo puścić na ulicę. Czy nie sądzi pani, że coś może być nie tak?

– Już do pani ruszamy, pani Murray.

Joe i agentka Metz zaczynają się zbierać.

– Sadie jest u mnie.

– To świetnie. Lada moment będziemy.

Rozłączam się i wrzucam telefon do torby.

Joe wsiada za kierownicę, a ja dzwonię do Corrine Alworth.

– Czy pani wie, gdzie ona jest? – pytam.

– Powinna być w domu – pada odpowiedź. – Mówi pani, że sąsiadka znalazła jej psa, jak się szwendał?

– Tak powiedziała. I podobno nikt jej nie otworzył, gdy pukała do drzwi.

Pani Alworth ciężko wzdycha.

– Rozmawiałam z nią wczoraj. Wybierała się do przyjaciół na przyjęcie, ale na noc miała wrócić do domu. Gdzie ona się może podziewać?

W jej głosie pobrzmiewają gniew i frustracja.

– A kto wyprawiał przyjęcie?

– Kim Pearson.

– A kto tam jeszcze był?

– Pewnie standardowa ekipa.

– W porządku. Jesteśmy właśnie w drodze do niej do domu, żeby to sprawdzić. Proszę zadzwonić, gdyby się odezwała.

Zaczynam się martwić na dobre. Zastanawiam się, czy dostatecznie poważnie potraktowaliśmy te telefony z groźbami. W końcu działy się różne dziwne rzeczy. *Cholera jasna*. Wskazuję Joemu skręt na światłach i wjeżdżamy w ulicę, przy której stoi dom pani Bradley.

Raz jeszcze próbuję się do niej dodzwonić, zarówno na numer komórkowy, jak i stacjonarny, ale nikt nie odbiera.

Pani Murray stoi w asyście obu psów u siebie na ganku. Opierając się o balustradę, obserwuje nasze pukanie do drzwi jej sąsiadki. Joe i agentka Metz obchodzą dom dookoła, ale wkrótce pojawiają się z powrotem przy frontowych drzwiach.

– I co? – pytam.

– Wszystko pozamykane, żadnych śladów włamania – raportuje Joe.

– Chryste Panie.

Odwracamy się w kierunku ulicy, jakbyśmy spodziewali się lada moment zobaczyć zmierzającą w naszą stronę właścicielkę domu. Nie można oczywiście wykluczyć, że ona za chwilę wróci, instynkt mi jednak podpowiada, że tak się nie stanie. Wyczuwam w tym miejscu jakąś pustkę, jakby to miejsce zostało porzucone. Idziemy porozmawiać z panią Murray, a ona wtedy wyjaśnia, że jej sąsiadka zwykle wyprowadza psa nie wcześniej niż o dziewiątej. A przecież jest dopiero wpół do ósmej. Na pierwszy rzut oka widać, że Sadie to spokojny zwierzak, nad którym łatwo zapanować. Nie wydaje się, żeby mogła się wyrwać pani Bradley i po prostu uciec.

Joe kuca i głaszcze suczkę, a przy okazji ogląda jej łapy.

– Wygląda, jakby spędziła trochę czasu na dworze – stwierdza, podnosząc się do pozycji stojącej. – Zebrała sporo błota, a poza tym... – przeciąga jej ręką po plecach – futro ma przemoczone, jakby leżała w śniegu. Od jak dawna jest u pani?

Staruszka zerka na zegarek.

– Zadzwoiłam do was, jak tylko wróciliśmy od pani Bradley. Więc od niedawna. Myślicie, że coś jej się mogło stać?

Kręcę głową.

– Trudno powiedzieć. A dokąd ona chodzi, gdy mija pani dom? W którym kierunku?

– No cóż. – Pani Murray splata dłonie. Widać, że bardzo chciałyby nam pomóc. – Ona najczęściej dochodzi do rogu. Tyle w każdym razie zdołałam zaobserwować.

– Idzie w kierunku stacji benzynowej?

– Tak. – Pani Murray wyciąga kościstą i powykrecaną przez artretyzm dłoń. – W tamtą stronę, w stronę skrzyżowania.

– A w jakich porach zwykle wyprowadza psa?

– Gdy jestem w domu, zwykle widuję ją rano i wieczorem.

– A wieczorem o której?

– Tak chyba w porze kolacji.

– A wczoraj wieczorem ją pani widziała?

– Niestety nie, pani detektyw. Nie zawsze jestem w tym pokoju, z którego byłoby ją widać. – Pani Murray tłumaczy się trochę tak, jakby coś zaniedbała.

– Nic nie szkodzi. I tak bardzo pani dziękujemy za pomoc.

Wychodzimy.

– Sadie przechowam, jeśli mogę – woła za nami.

– Byłoby świetnie, dziękuję – odpowiadam.

Żwawym krokiem ruszamy tam, dokąd zwykle chodziła pani Bradley. Mamy nadzieję, że szła tędy również wczoraj.

– Alison, sprawdź, czy zastaniemy Fergusonów. – Wskazuję szary dom sąsiadujący z tym należącym do pani Murray. – Oni mają monitoring. Może kamera zarejestrowała przechodzącą panią Bradley.

– Jasna sprawa.

Agentka Metz odłącza się od nas i podchodzi do drzwi domu.

Joe i ja idziemy dalej chodnikiem. Ruch się wzmacnia, z oddali słychać klaksony, bliżej ryczą silniki. W powietrzu unoszą się chmury spalin. Sygnalizator przed nami przełącza się z zielonego światła na czerwone i z powrotem. Wilgotny i przenikliwy wiatr przypomina mi, że zapomniałam rękawiczek.

Na stacji benzynowej jest jak w ulu, drzwi się prawie nie zamykają. Przy krawężnikach parkingu leżą hałdy brudnego śniegu. Za ladą stoi młody mężczyzna w kamizelce odblaskowej narzuconej na luźną bluzę z kapturem. Na uszy ma naciągnięta dzierganą czapkę.

Pokazuję mu odznakę i nas przedstawiam.

– O której zaczął pan pracę? – pytam.

– O piątej. Coś nie tak?

Wargi ma spierzchnięte i kapie mu ze zmarzniętego nosa.

– Nie, ale szukamy pewnej kobiety, która wyprowadzała psa.

Wyjmuję zdjęcie pani Bradley, żeby mu pokazać. On uważnie mu się przygląda.

– Nie pamiętam, żeby ją widział.

– Towarzyszył jej czarny pies.

Chłopak kręci głową.

– A czy możemy zerknąć na nagrania z kamer?

– Szef jest w biurze. – Chłopak wskazuje nam drogę.

Przechodzimy krótkim korytarzem obok palet z napojami i pukamy w na wpół otwarte drzwi.

Pan Armini to niski człowiek o ciemnych włosach porastających jednak głowę tylko po bokach, a na czubku już nie. Czoło ma zryte poziomymi zmarszczkami. Słucha, co mamy mu do powiedzenia, a potem sięga po odpowiednią taśmę.

Na szczęście nie robi kłopotów. Pewnie dlatego, że raz czy dwa pomogliśmy mu się uporać z niesfornymi klientami. Przeglądamy nagranie. Na tym z poranka nic nie ma, cofamy się więc do wczorajszego wieczora. Wtedy rozpoznajemy panią Bradley w dziale ze słodyczami. Za zakupy zapłaciła przy ladzie o szóstej trzydzieści cztery. Wygląda zupełnie w porządku, nie zdradza żadnych oznak zaniepokojenia. Pies spokojnie siedzi przy jej nodze. Potem wychodzą i idą przez parking w kierunku domu.

Rozglądamy się w okolicach stacji. Na tyłach jest niewielka uliczka, ale nie znajdujemy tam nic poza gruzem, kilkoma styropianowymi kubkami i plastikowymi workami, które wiatr ciska w ścianę budynku.

Chodzę tam i z powrotem, drżąc z zimna, ale starając się zebrać myśli. Sięgam do torby, wyjmuję telefon i dzwonię znów do pani Bradley. Bingo!

Rozlega się dźwięk. Podchodzimy z Joem spokojnie do miejsca, z którego dobiega, i zaglądamy do kubła na śmieci.

Cholera jasna!

Dzwonię do komendy, żeby wezwać techników.

Dwie godziny poszukiwań. Znaleźliśmy telefon i portfel pani Bradley, ale jej samej ani śladu. Zostawiamy techników na miejscu, a sami wracamy do komendy, żeby na nowo zebrać siły.

Spotykamy się z Bobem w salce konferencyjnej. Zdajemy mu relację z ostatnich wydarzeń.

– Niech to szlag – komentuje, po czym drapie się po twarzy mięsistą dłonią.

Jego podsumowanie sprawy wydaje mi się całkiem trafne.

Agentka Metz przynosi wieści od Fergusonów. Pani Bradley nagrała się na ich kamerę wczoraj wieczorem, potem już nie. To potwierdza nasze podejrzenia, że zniknęła w drodze powrotnej ze spaceru.

Do komendy wpada Corrine Alworth. Wyprzedza eskortującego ją funkcjonariusza i bez asysty wkracza do salki konferencyjnej.

– Znaleźliście coś? – pyta, wyraźnie zatroskana.

Opowiadamy jej w szczegółach, czego dotychczas udało nam się dowiedzieć, ale wiele tego nie ma.

– A jak ją zamierzacie znaleźć?! – Teraz pani Alworth już krzyczy.

Bob kładzie jej rękę na ramieniu.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu i tam spokojnie porozmawiamy?

Ona spogląda najpierw na mnie, potem na Joego, ale w końcu przystaje na tę propozycję.

ROZDZIAŁ 63

RITA

Komendant wraca i wzywa wszystkich na zebranie. Kreśli strategię poszukiwań pani Bradley. Teraz ma się w nie włączyć już nie tylko Lauren, ale również detektyw Schmitt. To oni będą odpowiadać za organizację wysiłków poszukiwawczych. Mają podzielić teren wokół stacji benzynowej na sektory i przydzielić do nich poszczególne ekipy.

Joe i ja jedziemy przesłuchać znajomych pani Bradley. Niewykluczone, że to oni podczas przyjęcia widzieli ją jako ostatni – a przecież mamy w tym gronie czterech podejrzanych o morderstwo.

Drzwi otwiera nam pan Ferris. Jest rozkojarzony i rozczochrany.

– A czemu zawdzięczam tę przyjemność? – Uśmiecha się ponuro do mnie i do Joego.

– Jeśli ma pan chwilę, chcielibyśmy zadać kilka pytań – odpowiadam.

On ogląda się przez ramię, jakby chciał uzyskać przyzwolenie od kogoś, kto się znajduje w głębi domu. Nic nie mówi, po prostu otwiera szerzej drzwi i robi nam miejsce. Wchodzimy za nim do salonu, gdzie on ciężko opada na kanapę.

– Co mogę dla państwa zrobić, pani detektyw, panie agencie?

W jego tonie wyraźnie słychać obcesowość, a mimo to Joe zachowuje spokój.

– Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie pan był wczoraj.

Ferris się podnosi i przeciera oczy pod okularami.

– Wczoraj? A o co chodzi?

– Proszę nam po prostu powiedzieć – nalegam.

On ciężko wzdycha.

– No dobrze... No więc całe rano krzątałem się po domu, a po południu pojechaliśmy na urodziny Kim Pearson.

W domu jest jakoś dziwnie cicho.

– A gdzie jest pańska żona? – pytam.

– Nie ma jej. – Ferris pociera brodę, jakby do końca nie wiedział, co się z nią stało. A potem spogląda mi w oczy. – Pojechała do rodziców na Cape Cod. Chłopcy się stęsknili za dziadkami.

– Aha. A przed wyjazdem byli na przyjęciu u Pearsonów?

– Nie, pojechali w piątek wieczorem.

– Czyli poszedł pan na urodziny sam?

– Dokładnie tak.

Sprawia wrażenie zmęczonego, a z tonu jego głosu i mowy ciała wychwytuję, że między nimi a panią Ferris nie układa się ostatnio najlepiej.

– Sporo tych styczniowych jubilatów w waszej grupie – stwierdzam.

– Tylko dwoje.

– A czy pani Bradley była na tym przyjęciu?

– Tak.

– A o której wyszła?

Znów odpowiada nam głębokie westchnienie.

– Nie wiem, jakoś o piątej... Może trochę później. A dlaczego? O co w ogóle chodzi?

– A czy od Pearsonów wrócił pan prosto do domu? – ciągnie Joe, teraz już z lekkim napięciem w niskim głosie.

– Tak.

– I co pan potem robił?

Ferris wzrusza ramionami.

– Oglądałem telewizję. Sport konkretnie. Wypiłem piwo, coś przekąsiłem. Spać poszedłem około jedenastej. – Odkłada okulary na stolik kawowy. – Ale o co chodzi?

– Pani Bradley zaginęła – mówię, bacznie mu się w tym momencie przyglądając.

On opuszcza wzrok i wpatruje się w punkt między stopami.

– Poważnie? W takim sensie, że nikt nie wie, gdzie ona jest?

– Na to wychodzi. Bo pan też nie wie, prawda?

– Nie. A sprawdzaliście u jej siostry? Pewnie tam jest.

– Owszem, sprawdzaliśmy, panie Ferris. – Szkicuję w notatniku jego okulary. – A czy ktokolwiek może potwierdzić, że całą noc spędził pan w domu?

On rozkłada ręce, jakby chciał zademonstrować, że nic w nich nie ma albo nic nie ma wokół niego.

– Nie. Byłem w domu i oglądałem telewizję.

– Nikt do pana nie dzwonił?

Zaprzecza ruchem głowy.

– A pan nie dzwonił do żony, żeby jej życzyć dobrej nocy?

Ferris zaciska szczękę.

– Nie.

Następny przystanek na naszej liście to dom Pearsonów. Przez dziesięć minut jedziemy z Joe w całkowitej ciszy. Oboje jesteśmy w pełni skupieni na zadaniu.

Drzwi otwiera nam krótko ostrzyżona i uśmiechnięta pani domu.

– Tak? – Mina jej szybko rzednie, gdy odnotowuje, kto właśnie przed nią stoi. – Czy coś się stało?

– Można to tak ująć – odpowiadam. Joe zerka na mnie wymownie. – Możemy wejść?

Stoimy w kuchni pośród dziecięcych zabawek porzrzucanych na całej podłodze. Przy drzwiach leży sterta potarganych lalek. Pod stołem dostrzegam kolorowe plastikowe przedmioty, których zastosowania nie potrafię odgadnąć. Na blacie stoi na wpół zjedzony tort, a na białej szafce poniżej widać różowy ślad po lukrze. Po drugiej stronie drzwi balkonowych pan Pearson i mała dziewczynka lepią bałwana.

– Pani Pearson, kiedy ostatni raz widziała się pani lub rozmawiała z panią Bradley? – pyta Joe.

Jej delikatna dłoń odruchowo osłania szyję.

– A co się stało?

– Nie wiemy – odpowiada mój partner. – Od wczorajszego wieczoru nikt jej nie widział ani nikt z nią nie rozmawiał.

– Może znów wyjechała. Ja w każdym razie nic nie wiem. – W oczach pani Pearson stają łzy. – A Corrine nie wie, gdzie ona jest?

Kręcę głową.

– A czy sądzicie, że coś... jej się stało?

– Nie wiemy – powtarza Joe. – A kiedy się pani ostatni raz z nią kontaktowała?

Pani Pearson podchodzi do kuchennego blatu.

– Była tu wczoraj na moich urodzinach. Zachowywała się normalnie.

– A o której wyszła?

– Nie wiem dokładnie. Powiedziała, że musi wyprowadzić psa, i poszła.

– I potem już się nie odzywała?

– Nie. – Pani Pearson stoi zupełnie nieruchomo. – O, Boże. Nie sądzicie chyba, że ten, kto zabił Jaya...

– Nie mamy żadnych podstaw, aby tak sądzić – odpowiadam. – Jak pani słusznie zauważyła, mogła po prostu wyjechać. – Nie ma sensu straszyć biednej pani Pearson. To nikomu nie pomoże. – A czy wczoraj po przyjęciu opuszczała pani dom?

– Nie, byliśmy już potem tutaj. Sprzątaliśmy, kąpaliśmy Willow.

– A pani mąż? Czy on gdzieś wyjeżdżał? – pytam.

Kobieta wygląda do ogrodu, gdzie pan Pearson właśnie unosi dziewczynkę na tyle wysoko, żeby mogła założyć bałwanowi na głowę starą czapkę z daszkiem.

– Tylko odwiedzić moich rodziców. Mój ojciec lubi sobie wypić drinka czy dwa, wolimy więc, żeby nie prowadził samochodu.

– A o której to było godzinie?

Ona zerka na ozdobny zegar, który wisi na ścianie nad stołem.

– Nie wiem dokładnie. O wpół do szóstej?

– A gdzie mieszkają rodzice?

– Niedaleko, jakiś kwadrans drogi stąd.

– A czy mąż wrócił od razu?

Pani Pearson się waha, jedną ręką chwyta za oparcie krzesła.

– Nie. Wspominał coś, że przy okazji załatwi jakieś sprawunki.

– A o której wrócił?

– Właściwie to nie wiem. Dużo się działo. Panował lekki chaos. Dzieciaków było sporo. Państwo rozumieją.

– No tak.

Kobieta przykłada sobie dłonie do skroni, jakby próbowała uporządkować myśli.

– Wykąpałam Willow, a potem położyłam ją spać.

– A jego nadal nie było? – pyta Joe, unosząc brwi.

Przechadza się teraz po kuchni i zatrzymuje, żeby wyjrzeć do ogrodu.

– Nie było jakoś strasznie późno – odpowiada pani Pearson. – Po prostu Willow była zmęczona. Przyjęcia to dla niej duży wysiłek. – Nagle przesłania sobie dłońmi usta i mamrocze: – Ale wy chyba nie sądzicie, że mój mąż...

Joe odsuwa się na bok, bo do środka wpadają radośnie pan Pearson i jego córka. Policzki mają zaczerwienione, ale na nasz widok uśmiechy schodzą im z twarzy.

– Panie Pearson – zaczynam – pańska żona powiedziała, że wczoraj po przyjęciu odwiózł pan teściów do domu.

– Tak. – On stoi nieruchomo i patrzy, jak jego córka zdejmuje kurtkę i rękawiczki, po czym je rzuca na ziemię. – A o co chodzi?

– A wrócił pan prosto do domu?

Pearson zerka na żonę.

– Nie. Miałem parę spraw do załatwienia.

Raz po raz spogląda teraz na mnie i na Joego, ale żadnemu z nas nie patrzy w oczy.

– A dokąd pan pojechał? – pyta mój partner, zakładając ręce na piersiach i opierając się o kuchenny blat.

Pearson podchodzi do żony i staje obok niej.

– Ale o co chodzi?

– Molly zaginęła – odpowiada ona, ale głos więźnie jej w gardle.

– Co? Serio?

– Tak – potwierdzam. – A dokąd pan pojechał po przyjęciu urodzinowym żony?

On opada na krzesło, zdejmuje rękawiczki i kładzie je na stole.

– Nie widziałem się z Molly, jeśli o to pytacie – mówi obcesowym tonem, w którym pobrzmiewa determinacja.

– To dokąd pan pojechał?

– Do Walmarta – uśmiecha się. – Ale nie mieli tego, co chciałem kupić, więc dalej do Lowe's.

– A co pan chciał kupić?

Przygotowuję się do notowania. Ten facet kłamie jak z nut.

– Narzędzia. – Zerka na żonę.

– No dobrze, to o której pan wrócił?

Zaczyna się drapać po brodzie.

– Nie wiem, pani detektyw.

– A czy pan coś kupił? – dopytuje Joe.

– Nie mieli tego, czego potrzebowałem.

– Czyli żadnego paragonu pan nie ma?

– Nie.

– A które sklepy pan odwiedził, panie Pearson? – odzywam się teraz ja. – Pytam, żebyśmy mogli sprawdzić monitoring.

Pearson gwałtownie odsuwa krzesło i się podrywa.

– Mam gdzieś, czy mi wierzycie, czy nie. Nawet jeśli Molly zaginęła, ja nie mam z tym nic wspólnego. Pewnie znowu wyjechała, wielkie mi rzeczy.

Ostentacyjnie wychodzi. Ich mała córeczka wtula twarz w brzuch mamy.

Westmore'ów nie zastajemy w domu, z parkingu przed rezydencją dzwonię więc do gospodyni.

– Tak, słucham, pani detektyw. Jak mogę pani pomóc?

– Przyglądamy się nowemu aspektowi sprawy, więc chcę zapytać, gdzie byli państwo wczoraj?

– Wczoraj? Po południu byliśmy u Kim Pearson. Stamtąd wróciliśmy do domu. A o co chodzi?

– Po przyjęciu wrócili państwo prosto do domu? I byli państwo w domu całą noc?

– Tak, pani detektyw. A o co chodzi?

– Pani Bradley zaginęła.

Po drugiej stronie słyszę odgłos gwałtownie wciągane powietrza.

– Czy wie pani może coś, co mogłoby nam pomóc ją zlokalizować?

– Nie, niczego takiego nie wiem. A czy sądzą państwo, że spotkało ją coś złego?

Nie wiemy. A czy mogłaby pani z mężem przyjechać do komendy? Chcielibyśmy z państwem porozmawiać.

– Tak, oczywiście. Jestem o kilka godzin drogi od państwa, u siostry. A Scott właśnie dostał jakieś pilne wezwanie w sprawie zlecenia. Jakiś mur oporowy się zawalił czy coś takiego. Zadzwońię do niego i dam mu znać.

– To pilne, pani doktor.

– Wsiadam do samochodu i wracam.

Ja kończę rozmowę, a Joe wycofuje samochód z długiego podjazdu.

Z listy podejrzanych w sprawie Annalise Robb został nam już tylko Hayes Branch. Możliwe, że zaginięcie pani Bradley nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, aby jednak taki wniosek wyciągnąć, musimy mieć w tej kwestii pewność. Tymczasem coś mi mówi, że w całym tym bałaganie wszystko się ze wszystkim łączy.

Mijamy z Joem granicę Graybridge i wjeżdżamy na autostradę drugim wjazdem na zachód od miasta. Rodzina Branchów posiada liczne nieruchomości w rejonie Bostonu, ale Hayes i jego córka mieszkają w starej rodowej posiadłości.

Pan Branch wita nas w drzwiach. Jest blady, a jego fryzura przypomina ptasie gniazdo. Facet wygląda tak, jakby się całą noc wiercił w łóżku, a rano zapomniał się uczesać. Ma na sobie wyblakłą szarą bluzę z logo Harvardu i znoszone dżinsy. Wprowadza nas do eleganckiego salonu o wysokim sklepieniu, w którym na ścianach wiszą imponujących rozmiarów olejne obrazy. W ogromnym kominku po przeciwległej stronie pomieszczenia żarzą się polana.

Zadajemy Branchowi te same pytania, co wszystkim pozostałym, ale nie dowiadujemy się niczego szczególnie pomocnego poza tym, że nie ma alibi. Po przyjęciu miał odwiedzić Alice do koleżanki na nocowanie, a potem wrócić do domu. Resztę wieczoru spędził samotnie.

Teraz chowa twarz w dłoniach.

– A sądzą, że wszystko z nią w porządku? – pyta rzewnym głosem pełnym napięcia.

– Taką mamy nadzieję.

Przed komendą zastajemy całe zastępy wozów transmisyjnych. Stoją przy chodniku jak żołnierze gotowi do boju. Objeżdżamy budynek i wchodzimy do środka tylnymi drzwiami. Witają nas zgiełk, atmosfera ogólnego niepokoju i zapach taniej kawy. Bob stoi w drzwiach do swojego gabinetu z telefonem przyciśniętym brodą do ramienia. Gestem zaprasza nas do środka, zamyka drzwi i rzuca telefon na biurko.

– Coś znaleźliście? – pyta, rozsiadając się w fotelu.

– Nie możemy wyeliminować Pearsona, Ferrisa ani Brancha. Z Westmore'em ciągle jeszcze nie rozmawialiśmy – odpowiadam – ale jego żona twierdzi, że zeszły wieczór spędzili w domu. On teraz pojechał gdzieś do klienta. – Spoglądam na Joego. – Ona miała do niego zadzwonić. Mam nadzieję, że wkrótce się zjawią i będziemy go mogli przesłuchać.

Z miny Boba wnioskuję, że miał nadzieję, a może nawet modlił się, że przywieziemy jakieś wskazówki, które pomogą odnaleźć panią Bradley.

Kręcę głową.

– Żaden z nich nie ma alibi na czas po zakończeniu przyjęcia u Pearsonów.

Joe pochyla się naprzód.

– Wszyscy mieli sposobność – dodaje.

– Na litość boską – rzuca Bob. – A czy wy chociaż jesteście pewni, że to jeden z nich uprowadził panią Bradley?

Wzdycham ciężko.

– Niestety, szefie, niczego nie jesteśmy pewni.

On właśnie drapie się po brodzie, gdy na jego biurku odzywa się dzwonek telefonu.

– A wy coś macie? – pytam. – Cokolwiek nowego?

– Zupełnie nie. – Bob wstaje i wypuszcza powietrze w sposób charakterystyczny dla ludzi, których coś bardzo trapi. – No dobrze, to wracajcie do roboty.

My wychodzimy, a on podnosi słuchawkę.

ROZDZIAŁ 64

MOLLY

– Melinda?

Unoszę lekko powieki. Cały dzień siedziałam skulona pod kocem, wpatrując się w blade światło wpadające przed odległe okno, aż ono w końcu zgasło. Rozmyślałam, płakałam i usiłowałam znaleźć jakiś sposób na to, jak się stąd wydostać.

– Melinda?

Keith? Czuję ścisk w żołądku. Jak to możliwe? Przecież on siedzi w więzieniu. Nie mógł się wydostać. To musi być moja wyobraźnia. Choć próbowałam nad tym zapanować, myśli o Russellu nie opuściły mnie ani na chwilę. Zupełnie jak gdyby on mieszkał w tych pleśniach i zgniliznie jak jakiś duch.

– Odpowiedz mi, dziewczynko – rozbrzmiewa śpiewny głos.

Siedzę w ciemności oparta o ścianę i milczę. Serce wali mi tak mocno, że każde jego uderzenie wstrząsa moim ciałem.

– Melinda?

Słyszę szuranie drabiny po podłodze na górze.

– Chcę tylko porozmawiać – mówi głos. – Na razie tylko porozmawiać.

Brzmi jak Keith, ale to nie jest on. To ktoś inny. Znam ten głos. Słyszę trzeszczenie szczebli. Słyszę, jak idzie w moją stronę po betonowej podłodze. Ciemność piwnicy przeszywa promień latarki, który mnie oślepia, ale po chwili gaśnie. Pomimo chłodu pot spływa mi po plecach.

On jest teraz przy mnie. Oddycha ciężko. Siedzimy obok siebie, jakbyśmy byli parą. Chcę go szarpać, chcę się uwolnić, tylko co mi to da? Zamykam oczy, żeby powstrzymać łzy. Mam nadzieję, że nie dostanę ataku serca ze strachu.

– Porozmawiajmy – szepcze on. – Tylko nie krzycz. Naprawdę nie warto. Przecież już na pewno próbowałaś. Założę się, że próbowałaś, a i tak nikt nie przyszedł. Dokładnie tak samo jak wcześniej. To rząd starych domów. Cała okolica ma zostać wkrótce wyburzona. To dla nas idealne miejsce.

Ten głos. Ja go znam. Siedzi tak blisko, że dotyka mnie ramieniem. Tracę kontrolę nad oddechem i muszę nad tym zapanować. Dam radę. Przeżyję to. Tym razem też to przeżyję.

On łapie mnie za podbródek i przyciąga moją twarz do swojej. Nasze oczy spotykają się pomimo ciemności i nagle świat wokół mnie zamiera. Moim oprawcą jest mój przyjaciel.

ROZDZIAŁ 65

RITA

Doktor Westmore przyjeżdża na posterunek dopiero wczesnym wieczorem. Czeka w jednym z pokoi przesłuchań i właśnie tam do niej z Joem idziemy. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak nieschludnej. Włosy ma zupełnie nieuczesane, ubrania całkiem wymięte i mocno pachnie papierosami.

– Coś wiadomo? – pyta.

– Nie – odpowiadam. – Gdzie pani mąż?

Ona wyjmuje telefon i zerka na ekran. Stuka w klawiaturę, marszcząc brwi.

– Już kilka wiadomości mu wysłałam. – Spogląda na mnie zza czerwonych oprawek okularów. – Może akurat nie mieć zasięgu, ale odezwie się, jak tylko znajdzie sposobność.

Chowa telefon do kurtki. Jej palce poruszają się niespokojnie, jakby szukały papierosa.

Raz jeszcze pytam, gdzie byli wieczorem po przyjęciu, a ona powtarza, że w domu. I tak oto pani doktor staje się alibi dla męża.

Teraz odchrząkuję.

– Na pewno coś już udało wam się ustalić. – W jej głosie słychać zdenerwowanie. – Corrine odchodzi od zmysłów.

– Robimy, co w naszej mocy – odpowiada Joe, taksując ją wzrokiem.

– No cóż, ja nie mam pojęcia, gdzie może być Molly. – Doktor Westmore spleta palce drżących dłoni. – Muszę już iść – mówi, nagle podrywając się z miejsca. – Bo mogę iść, tak?

– Tak. Proszę tylko dać nam znać, zaraz gdy pani mąż się odezwie – odpowiadam.

Ona kiwa głową. Z jej miny i ogólnej mowy ciała czytam, że jest o krok od załamania nerwowego.

– Będę u Molly – informuje. – Powiedziałam Corrine, że tam do niej przyjadę.

– Pewnie przyda jej się życzliwe towarzystwo – stwierdza Joe.

Doktor Westmore ponownie kiwa głową i spieszonym krokiem wychodzi na korytarz.

ROZDZIAŁ 66

MOLLY

– Dlaczego ty mi to robisz? – pytam zdławionym szeptem. – No dlaczego, Cal?
On kręci głową.

– W końcu zrozumiesz, Melindo. Zrozumiesz.

Odchrząkuję i zbieram się na odwagę, żeby zapytać:

– A gdzie jest Sadie?

– Kto?

– Mój pies.

Czuję ścisk w żołądku. Nie mogę w to uwierzyć. Jak to możliwe, że przyjaciel mnie porwał i uwięził? To mi się nie mieści w głowie.

– Nie mam pojęcia.

– Zabiję cię, jeśli jej coś zrobiłeś. – Łkam.

On odsuwa mi włosy z twarzy i delikatnie muska mnie palcami po policzku.

– Nie tknąłem jej, Melindo. Nie skrzywdziłbym zwierzaka.

Wzdrygam się i robię wdech. Staram się wciągnąć powietrze jak najgłębiej do płuc, żeby zapanować jakoś nad absurdem całej tej sytuacji.

– To ty zabiłeś Jaya? – szepczę chrapliwie.

Cal się prostuje i ciężko wzdycha.

– Nie zostawił mi wyboru. Znalazł wisiołek. Zamierzał iść na policję.

Ach, Jay! Dlaczego od razu tego nie zrobiłeś? – zastanawiam się. Cal, jakby czytał w moich myślach, mówi dalej:

– Oczywiście nie miał pewności. Znalazł wisiołek, gdy pojechał naprawiać okno. W lipcu sprzątałem po ciemku i go przegapiłem. Po powrocie z Mountclair Jay mi

powiedział, że go znalazł. Uprzedził, że musi ze mną o czymś porozmawiać i wtedy już wiedziałem. Obiecałem zajrzeć do niego do pracowni po przyjęciu.

Zaciskam zgrabiące palce w pięść.

– Ale dlaczego go zabiłeś, Cal? – Przelykam łzy. – On był przecież twoim przyjacielem. No i co ta kobieta ci właściwie zrobiła?

– To jest wszystko znacznie bardziej skomplikowane, Melindo. To bardzo długa historia.

– Przestań tak do mnie mówić! – mówię piskliwym tonem, który brzmi jak dziecięce utyskiwanie.

On reaguje na to śmiechem.

Odchrząkuję więc i ocieram łzy chłodnymi, sztywnymi palcami.

– No to opowiadaj.

Chodzi mi o to, żeby gadał jak najwięcej. Wtedy ja będę miała czas, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Mam nadzieję, że policja już mnie szuka. W ten sposób zwiększam swoje szanse na to, że mnie znajdą.

– Właściwie czemu nie... Skoro dobrnęliśmy do końca. Bo to już jest koniec. – Siada wygodniej i przeciera oczy pod okularami. – Zbrodnią zacząłem się fascynować, gdy miałem trzynaście lat. Mieszkałem wtedy w Hartford z matką i ojcem. Moja matka to była straszna suka i wyładowywała na mnie wszystkie swoje frustracje. Początkowo wyżywała się na moim bracie, ale on się wyprowadził i wtedy ja się znalazłem na celowniku. Miała w zwyczaju mnie poniżać, odmawiać mi poczucia własnej wartości. Traktowała mnie jak przedmiot, jak psa. Powtarzała, że jestem nikim i nigdy niczego nie osiągnę. Chowałem się wtedy w piwnicy. Tata tam położył wykładzinę, zrobił boazerię, wstawił telewizor. Zacząłem oglądać filmy dokumentalne o różnych zbrodniach i doznałem olśnienia. To było coś dla mnie. To do mnie przemawiało. Te kobiety, związane, podporządkowane. A potem zabijane. To było... satysfakcjonujące. W każdym razie śledziłem też twoją historię i niesamowicie mnie wciągnęła. Zbierałem informacje na twój temat, wycinałem sobie artykuły z gazet. Wiedziałem, że się przeniosłaś do Bostonu. Gdy więc nadszedł czas, żeby iść na studia, podążyłem za tobą.

– To o mnie w tym chodziło? – Dreszcz mnie przeszywa. Otwieram szeroko usta.

– Właśnie tak – odpowiada Cal drżącym głosem. – Właśnie o ciebie, Melindo. Próbowałem o tobie zapomnieć. Na studiach poznałem Laken i się z nią związałem. Poza nią żadna inna kobieta nie była mnie w stanie pokonać na korcie tenisowym. – Uśmiecha się. – Postanowiłem wtedy, że pora dać sobie z tobą spokój. Pora się uwolnić od tej obsesji. Że to nie jest zdrowe. Skończyliśmy z Lake studia i się pobraliśmy. Jak dobrze wiesz, ona pochodzi z dość zamożnej rodziny. To było inne życie. Dobre życie, całkiem inne niż to w ciemnej piwnicy w Hartford. Jeździliśmy z Laken na rolki, na narty, na żagle. Ciągle coś robiliśmy, stale mieliśmy zajęcie. Byłem szczęśliwy. Gdy potem pojawili się chłopcy, pomyślałem: dam radę, uwolnię się od tych paskudnych myśli i fantazji z przeszłości. Tylko że – wzdycha – z czasem czar jakby prysł. W pracy zrobiło się gorąco, napięcie rosło. I pewnego dnia znów zacząłem cię szukać. – Teraz uśmiecha się do mnie szyderczo. – Nie było łatwo, bo nie ma cię w mediach społecznościowych. W sumie sprytnie, Melindo. Tylko niestety ludzie często nawet nie zdają sobie sprawy, że funkcjonują w sieci. W każdym razie dowiedziałem się, że mieszkasz w Graybridge, zaledwie kilka kilometrów ode mnie. To się nazywa zbieg okoliczności, co?

Robi pauzę, ale po chwili podejmuje monolog:

– A potem się okazało, że jest nawet lepiej, niż sądziłem. Miałem już wtedy w zwyczaju wpadać po pracy do tego czy tamtego baru i dostrzegłem cię w jednym z nich. Na dodatek w towarzystwie gościa, którego znałem. Graliśmy z Jayem w tej samej lidze hokejowej. Reprezentowaliśmy różne drużyny, ale spotkaliśmy się raz czy dwa. Potem już poszło gładko. Zadbalem o zacieśnienie tej znajomości. Po meczu zwykle się chodziło na drinka. Jay i ja się zaprzyjaźniliśmy. Trochę zwątpiłem, gdy się dowiedziałem, że on jest psychologiem. Nie chciałem, żeby się przyglądał mojej psychce. Uznałem jednak, że potraktuję to jak wyzwanie. Że zabawa będzie dzięki temu nawet lepsza. Jednego wieczoru wymusnęło mu się, że jego dziadek prowadził sprawę Dusiciela z Bostonu. Zafascynowało mnie to. On nie za bardzo lubił ten temat, ale po paru drinkach dawał się namówić na rozmowę i różne rzeczy opowiadał. Podkreślał przy tym, że nie będzie zdradzać żadnych informacji, które nie zostały podane do publicznej wiadomości. Honorny był. W każdym razie szybko zostaliśmy dobrymi kumplami. Nie byliście jeszcze wtedy małżeństwem, ale pamiętam, jak mną to wstrząsnęło, gdy cię z nim

zobaczyłem. Nie mogłem przestać myśleć: to jest Melinda Wright. Potem się okazało, że ty i Laken też się dobrze dogadujecie. No i dalej to już sama wiesz...

– Ale dlaczego zabiłeś tamtą kobietę?

On masuje sobie skronie.

– Na razie nie mam ochoty o tym opowiadać.

– A skąd Jay wiedział, że to ty?

– Może później ci to wyjaśnię.

– A to ty do mnie dzwoniłeś?

– Tak, ja.

– A dlaczego mnie tu przywiozłeś?

– Dość już tych pogaduszek. – Wstaje i sięga do torby. – Pij, bo się odwodnisz. – Odkręca zakrętkę butelki. – A właśnie, mam też ciasteczka. Oreo. Twoje ulubione.

Stawia butelkę na ziemi. Nagle czuję, że przepelnia mnie gniew. Uderzam go z całej siły lewą pięścią, ale muskam tylko jego nogę. On chwyta mnie za ramię i popycha. Uderzam głową w ścianę i aż mi mroczki latają przed oczami.

– Nie rób tak więcej, Melindo. – Kopie butelkę, ale po chwili podnosi ją, żeby się zawartość nie wylała. – Wrócę później.

ROZDZIAŁ 67

RITA

Właśnie zbieramy z Joem notatki, gdy w asyście policjanta wchodzi do pokoju Josh Pearson. Oczy ma szeroko otwarte, przygryza wargi.

– Chciałem wam powiedzieć, że skłamałem wcześniej – atakuje nas wyznaniem. – Nie zwracajcie sobie głowy sprawdzaniem Walmarta i Lowe’s. Nie było mnie tam.

Tak właśnie podejrzewałam.

– Dobrze, proszę usiąść.

Pearson opada na krzesło i przeczesuje dłonią równo przystrzyżone jasne włosy. Ustawiam telefon w tryb nagrywania.

– Proszę to powiedzieć jeszcze raz, panie Pearson.

On powtarza to, z czym przyszedł wcześniej.

– A czy w takim razie zdradzi nam pan, gdzie był wczoraj wieczorem? – pyta Joe, zaciskając pięści.

Z trudem panuje nad emocjami. Facet marnował nasz czas i mojemu partnerowi trudno się z tym pogodzić.

– Pojechałem na Cape Cod, żeby się z kimś spotkać. – Josh Pearson wzdycha.

– A z kim? – dopytuje Joe.

– Z Laken Ferris.

A to ciekawe.

– A po co się pan z nią spotykał? – włączam się.

On zwiesza głowę.

– Bo miałem z nią romans. – Unosi wzrok i spogląda mi prosto w oczy. – Ale go skończyłem.

– Po co w takim razie pan do niej jechał?

– Bo do mnie zadzwoniła. Była zdenerwowana. Spotkaliśmy się w kawiarni, żeby chwilę porozmawiać. To wszystko. Tylko że ja nie mogłem tego powiedzieć przy żonie.

Spogląda teraz to na mnie, to na Joego, jakby bardzo mu zależało, żebyśmy mu uwierzyli.

– A o której to było? – pytam.

On wydaje się nie wiedzieć.

– Wyjechałem prosto od teściów. O wpół do szóstej, może o szóstej.

Czyli na krótko przed zaginięciem pani Bradley.

– A o czym ona chciała z panem rozmawiać?

– O swoim mężu.

Pearson wzdycha ciężko i chowa twarz w dłoniach.

– A konkretnie?

– O tym, że mają trudności. To dlatego ona zabrała dzieci i wyjechała. – Spuszcza teraz wzrok na podłogę. – Calowi ostatnio odpieprzało.

– Ale pani Bradley pan nie widział ani pan z nią nie rozmawiał?

– Nie. – Otwiera szeroko oczy. – Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Przysięgam.

– A czy pani Ferris potwierdzi pana słowa? – pytam.

– Tak. Niech pani do niej zadzwoni, proszę bardzo. Winny jestem tylko tego, że jak ostatni drań zdradziłem żonę.

Brzmi teraz bardziej wiarygodnie niż kiedykolwiek wcześniej.

– No dobrze, niech zatem będzie drań, który zdradza żonę. Zechce pan tu poczekać, aż agentka Thorne wykona telefon do pani Ferris?

– Oczywiście, zaczekam.

Znów zwiesza głowę i wbija wzrok w blat stołu.

Pani Ferris, poruszona do łez, w szczegółach opowiada o spotkaniu w kawiarni. To oznacza, że w momencie zniknięcia pani Bradley Pearson był na Cape Cod, czyli w odległości godziny drogi. Zwalniamy go i zaszywamy się z Joem w moim gabinecie, żeby uciec od zgiełku i gwaru komendy.

– Czyli Pearsona możemy skreślić z naszej listy – mówię.

– Tak. Zostają nam zatem panowie Ferris, Branch i Westmore.

Wzdycham ciężko i przerzucam kartki notatnika.

– Może wyślijmy za nimi ogon?

– Dobry pomysł – podchwytuje Joe. – Zajmę się tym – mówi i wychodzi.

Ja tymczasem przenoszę się do salki konferencyjnej i przez chwilę wpatruję się w mapę, na którą Lauren i detektyw Schmitt skrupulatnie nanoszą kolejne X dla oznaczenia przeszukanych sektorów. Grupy mundurowych zataczają coraz szersze kręgi wokół stacji benzynowej. Pomagają im agenci FBI, których wezwał na miejsce Joe.

Tutaj wszystko najwyraźniej jest pod kontrolą, a ja tylko niepotrzebnie się w to mieszam. Przenoszę się więc do niewielkiego holu. Na zewnątrz jest ciemno, ale pod latarniami dostrzegam liczne wozy transmisyjne. Reporterzy będą oczekiwać jakichś nowych informacji. Mam nadzieję, że komendant zdoła ich poskromić, dopóki czegoś konkretnego nie znajdziemy. Na razie policyjne telefony się urywają, co tylko potęguje wrażenie chaosu.

Wracam do pomieszczenia, w którym pracuje zespół. Szukam wzrokiem Joego, ale nigdzie go nie widzę. Wszyscy są czymś pochłonięci, głowy mają nisko zwieszane nad biurkami. Zaczyna mi przeszkadzać, że tak stoję i nic nie robię, idę więc do gabinetu po raz nie wiadomo który przejrzeć notatki.

Siadam za biurkiem i zaczynam przerzucać kartki notesu. Stukam palcami w blat, dorysowuję coś tam i tu, próbuję myśleć i wychwycić coś, co mi wcześniej umknęło, a teraz mogłoby pomóc. Z tego transu wrywa mnie telefon. Numer nieznan. Serce mocniej mi bije, gdy podnoszę słuchawkę.

– Detektyw Myers – mówię.

– Mam Melinę – odzywa się zniekształcony głos. – Jest na powrót w piwnicy, gdzie jej miejsce.

Dzwoniący się rozłącza, a ja podrywam się zza biurka i ruszam biegiem przez korytarz.

ROZDZIAŁ 68

MOLLY

Wodę wypijam, ale ciastek nie ruszam. Zawartość butelki chlupocze teraz w moim żołądku, przez co robi mi się lekko niedobrze. Głowa nadal mnie boli, ale gniew pomaga mi zebrać myśli.

Nie chcę sikać w majtki jak w wieku sześciu lat, więc korzystam z pamiętającej lepsze czasy toalety. Ponieważ nie da się spuścić wody, unoszę wieko spłuczki i zaglądam do środka. Znajduje się tam płatanina metalowych elementów, ale mechanizm ewidentnie nie działa. Postanawiam nie przejmować się tym, że mój mocz pływa w muszli. Nieważne. Ważne, że ubrania mam suche.

Cały dzień obmacuję ścianę wzdłuż rury w poszukiwaniu jakiegoś słabszego punktu. Beton na szczęście jest stary i się kruszy. W jednym miejscu rura jest luźno zamontowana. Jeśli udałoby mi się odsunąć ją dostatecznie od ściany, to być może by się złamała i mogłabym zsunąć z niej kajdanki. Paznokcie już dawno połamałam, a czubki palców bardzo mnie bolą. Po prawej dłoni ścieka strużka krwi, którą raz po raz wycieram w dzinsy. Na szczęście odrętwienie łagodzi także ból.

Nagle słyszę, jak gdzieś na górze otwierają się drzwi i trzeszczą deski. Serce zaczyna mi walić jak oszalałe. Wrócił. Siadam i przesuwam się trochę w bok, żeby zasłonić plecami to wydrapane miejsce. Czekam.

Z góry zjeżdża drabina i on po niej schodzi.

– Melinda? – woła, ale jakby z mniejszym zapalem niż poprzednio.

Może jest zmęczony. Mam taką nadzieję. Muszę jakoś przejąć kontrolę nad sytuacją. Powtarzam sobie, że to przecież tylko Cal. Liczę, że to mi doda odwagi.

Podchodzi do mnie i pyta:

– I co u mojej małej dziewczynki?

Siada obok mnie pod ścianą, w trochę większej odległości niż poprzednio, jakby się obawiał, że znów go uderzę.

– Przyniosłem ci następne picie. – Słyszę, jak chichocze w ciemności. Butelka, którą potoczył po ziemi w moją stronę, zatrzymuje mi się na udzie. – No, łyknij sobie. Na pewno chce ci się pić.

Podnoszę z ziemi plastikowe opakowanie, odkręcam je i łapczywie wlewam sobie zawartość do ust. Zaraz potem jednak odwracam głowę i ją wypluwam. To oranżada! Mdli mnie. Czuję w ustach smak żółci. Cal rechoce.

– No daj spokój, Melinda. Przecież lubisz oranżadę.

– O co ci chodzi? – pytam, z trudem przełykając łyżę przez suche gardło.

– Oj, taki dowcip, co to go rozumieją tylko przyjaciele.

Przeciera twarz dłonią i nagle odzywa się zmienionym, jakby gniewnym głosem:

– Mogłabyś być wdzięczna, że w ogóle cokolwiek ci dałem. Pij i już. Nie dosypywałem niczego. Żadnych tabletek nasennych. Już cię przecież mam w piwnicy. Do żadnych tanich sztuczek nie muszę się uciekać. Jestem lepszy niż on.

– O co w tym chodzi, Cal? Że niby jesteś lepszy niż mój poprzedni oprawca?

– Zawsze byłem lepszy, a na pewno mądrzejszy.

– Jeśli tak, to jakim cudem Jay odgadł, że to ty zabiłeś Annalise Robb?

– Znalazł wisiołek, przecież ci już mówiłem. Zresztą ogólnie miałem wrażenie, że jakoś od roku Jay czuł się w moim towarzystwie niekomfortowo. Jakby mnie poddawał analizie czy coś. Odkąd zeszłej wiosny usłyszałem diagnozę, cały ten gniew, który gdzieś we mnie tkwił, wydostał się na powierzchnię. To wszystko wina tej suki.

– Ale że niby czyja?

– Mojej kochanej mamusi. Dręczyła mnie przez te wszystkie lata, bo była nieszczęśliwa. Bo pierwszy mąż ją zostawił. Bo mój brat zniknął z jej życia. Mój ojciec podobno ją zdradzał, ale to również była moja wina. Ale potem ja też uciekłem. Pojechałem na studia. Ożeniłem się. Założyłem rodzinę, w pracy mi się dobrze układało. I wszystko było świetnie, aż tu nagle bach!

Uderza dłonią w podłogę tak mocno, że aż podskakuję.

– Dopadły mnie jej pieprzone geny. – Opiera głowę o ścianę i zaczyna się śmiać. – Ona mnie jednak dopadła. Tak jak zapowiadała. Jay zauważył, że coś się we mnie zmieniło. Dopytywał, czy mnie do kogoś skierować. To znaczy po tym, jak mu powiedziałem o ślepocie. Uważał, że to by mi pomogło. – Znow się śmieje. – Zupełnie jakby jakiś psychoterapeuta mógł mnie uchronić przed utratą wzroku. – Milknie, opuszcza głowę i wbija wzrok w dłonie. – Tobie przecież nie pomogli, prawda, Melindo? Ciągłe rozgrzebywanie przeszłości w niczym ci przecież nie pomogło...

Przeszywa mnie dreszcz. Chcę się od niego odsunąć jak najdalej.

– Ale ja dokładnie wiem, co się wydarzyło w tej piwnicy.

– Nie, nie wiesz – szepczę. Nawet ja nie wiem, co się stało. Nie wiem wszystkiego. Jay twierdził, że to wyparłam. Byłam małą, a do tego zostałam odurzona lekami. Keith ukradł ciotce tabletki nasenne, rozgniół je i wsypał nam do oranżady.

– Zabiłaś małą Indie, prawda? – mówi spokojnie Cal. – Udusiłaś ją, bo nie chciała przestać płakać.

Nagle nie mogę oddychać, zupełnie jakby jakiś duch wyssał mi z piersi całe powietrze.

– Nie, to kłamstwo – mamroczę, ledwo znajdując odpowiednie słowa.

– Czyżby?

Skąd on wie, że Keith próbował przerzucić winę na mnie? Tylko policja i nasi prawnicy wiedzieli o tych oskarżeniach. Prawnik Keitha chciał w ten sposób zwolnić swojego klienta z odpowiedzialności za morderstwo. Na szczęście ten wybieg się nie udał. Prasa się nigdy o tym nie dowiedziała. Ja dowiedziałam się od Corrine, dopiero wiele lat później, gdy podsłuchałam rodziców podczas rozmowy w kuchni. Nie potrafiłam się tym jednak nie martwić. Bo może jednak to ja? Byłam przecież starsza od niej. Byłam przerażona. Ten lęk stale mi towarzyszył, przez te wszystkie lata, przez cały ten czas.

Przełykam łzy.

– Kto ci to powiedział?

– Mam swoje źródła.

– On ci to powiedział? Rozmawiałaś z nim?

– Tak się składa, że rozmawiałem.

Dostaję gęsiej skórki. Wolnym ramieniem chwytam się za brzuch.

– To ty napisałeś ten list. Ten do Jaya, rzekomo od niego.

– Owszem, ja.

Teraz łzy spływają mi po policzkach.

– Aż tak bardzo mnie nienawidzisz, Cal?

On parska.

– Tu nie chodzi o ciebie. Dlaczego ci się wydaje, że cały świat kręci się wokół małej Melindy? Wielka i wspaniała Molly. Wydawało jej się, że zdoła uciec przed przeszłości. Ale to jest niemożliwe! Nikt tego nie potrafi. Co się stało, to się nie odstanie. – Nachyla się nade mną tak mocno, że wyczuwam alkohol w jego oddechu. Gdy przykłada mi usta do ucha, przeszywa mnie dreszcz. – Wróć tu, słodka Melindo – szepcze i dźwiga się na równe nogi.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczyć się z moją wspaniałą żoną, która mnie tak dzielnie zdradza – rzuca nonszalanckim tonem, jakby się wybierał na kawę.

Potem wyciąga zza pleców coś, co połyskuje w jakichś zagubionych promieniach światła pochodzących z latarni ulicznych. Broń. Wymachuje nią w prawo i w lewo, jakby chciał mieć pewność, że ją dostrzegę.

– Obawiam się, że to mi może być potrzebne. Laken nie jest kruszynką jak moja matka i te inne. Może zechcieć próbować się bronić.

Rusza w kierunku drabiny, ale w ostatniej chwili jeszcze się do mnie obraca.

– Po spotkaniu z Laken wracam do piwnicy. Tutaj się wszystko zakończy. Bo to się powinno zakończyć tam, gdzie się zaczęło. – Stawia jedną stopę na szczeblu drabiny. – Szkoda, że Jay nie żyje. Miałbym szansę zostać gwiazdą jego książki, nie uważasz?

ROZDZIAŁ 69

RITA

Przekazuję wszystkim informacje na temat telefonu w sprawie piwnicy, po czym jedziemy z Joem do domu pani Bradley. To stamtąd jej siostra co chwilę wydzwania do nas, by zapytać o postępy w sprawie. Już dłużej nie możemy trzymać jej w niepewności.

Corrine Alworth wita nas na ganku.

– Wiecie już coś? – rzuca.

Jej jasne włosy powiewają na chłodnym wietrze. Wchodzimy za nią do środka.

– Nie, jeszcze nic. Ale robimy, co możemy.

Staram się, żeby to zabrzmiało możliwie optymistycznie. Jej rodzice, ubrani elegancko, ale poza tym zupełnie skołowani, stoją bez słowa w kuchni i patrzą na nas błagalnym wzrokiem dopraszającym się o odpowiedzi. Doktor Westmore, oparta o blat, trzyma w dłoni kubek z kawą, której jeszcze nawet nie zaczęła pić. Spoglądamy na siebie.

– Scott już jedzie – stwierdza, a potem odchrząkuje.

– No dobrze, proszę państwa – zaczyna Joe. – Prosiłbym, żebyście wszyscy usiedli – mówi, a potem przedstawia im wszystko, co wiemy.

– Ktoś ją porwał? – pyta pani Alworth przez łyżę.

– Tak zakładamy.

Wtedy uderza pięścią w stół.

– Jak mogło do tego dojść? Przecież wiedzieliście, że ktoś ją napastuje.

– Przykro mi. – Najchętniej gdzieś bym się w tym momencie schowała. – Robimy wszystko, co w naszej mocy.

– To samo mówiliście na temat zabójcy Jaya te... ile to już będzie... trzy tygodnie temu!

Po jej policzkach spływają łzy wściekłości i strachu.

Czuję potworny ścisk w żołądku. Ona ma przecież rację. To śledztwo od początku postępuje stanowczo zbyt wolno. Być może rzeczywiście należało zrobić coś więcej, żeby zapewnić pani Bradley bezpieczeństwo. Nie wiem tylko co... Nic przecież nie wskazywało na to, że zabójca obrał ją sobie na cel. Jeśli to rzeczywiście on ją uprowadził.

Joe odchrząkuje.

– Szuka jej cała policja Graybridge oraz FBI.

Marne to pocieszenie dla kogoś, komu zaginęła bliska osoba, ale nic lepszego nie mamy.

Rodzice pani Bradley przechodzą do tonącego w półmroku salonu, zupełnie jakby chcieli od nas uciec. Pani Alworth tymczasem nerwowo maszeruje po kuchni. Doktor Westmore próbuje ją jakoś pocieszać.

Rozbrzmiewa dzwonek do drzwi i po chwili siostra pani Bradley wprowadza do kuchni Hayesa i Alice Branchów.

– Zadzwoiłam do nich – jakby się tłumaczy. – Hayes chciał przyjść.

Pan Branch zdążył się już nieco doprowadzić do porządku. Włożył czyste ubrania i tylko nad włosami jeszcze nie zapanował. Alice tymczasem ma na głowie dwa warkocze, przez co wygląda na młodszą, niż jest. Na wieść o tym, że Sadie przebywa u sąsiadki, wychodzą, żeby ją przyprowadzić.

Po ich powrocie zadajemy z Joem Branchowi kolejnych kilka pytań. On, co prawda, nie ma alibi na ubiegły wieczór, ale wydaje się szczerze poruszony, chętnie odpowiada i rwie się do pomocy. Instynkt mi podpowiada, że można by go skreślić z listy podejrzanych.

Do kuchni wkracza też Scott Westmore. Ręce ma brudne od ziemi.

– Przepraszam – zaczyna od wyjaśnienia. – Byłem w terenie. Coś wiadomo?

Żona podchodzi do niego i streszcza mu przebieg wydarzeń.

– Musimy zadać panu kilka pytań – mówię. – Proponuję, żebyśmy przeszli do pokoju obok.

Włączam światło w jadalni, a pan Westmore przysiada na brzegu krzesła, jakby nie chciał niczego pobrudzić swoim roboczym ubraniem. Opiera się na łokciach, a jego oczy znikają za kurtyną z siwej grzywki.

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem? – pytam.

– W domu z żoną.

– A dziś po południu?

Wzdycha ciężko.

– Jak już wspomniałem, w terenie.

Joe nachyla się do niego.

– A czy ktoś może to potwierdzić?

Westmore wyjmując z kieszeni telefon i mi go podaje.

– Mój klient. Bill Harris. Oto jego numer.

Wyciągam rękę, żeby skorzystać z jego propozycji, gdy nieoczekiwanie Joe wyjmując z kieszeni swoją komórkę, bo właśnie ktoś do niego dzwoni. Zerka na ekran.

– Muszę odebrać – oznajmia. – Ale śmiało pytaj pana beze mnie. – Wskazuje brodą Westmore'a i wychodzi na korytarz.

Ja dzwonię do pana Harrisa, który pospiesznie potwierdza historię swojego architekta zieleni, a przy okazji opowiada ze szczegółami o kłopotach ze ścianą oporową.

Joe zagląda do nas i gestem wywołuje mnie z kuchni.

– Co tam? – pytam.

– Moi agenci pojechali po Ferrisa – szepcze – ale go nie mogą namierzyć. Są pod domem, ale tam go nie ma. Nie ma też samochodu.

– Zadzwońnię jeszcze raz do jego żony.

Wyjmuję telefon z kieszeni. W słuchawce odzywa się płaczliwy głos.

– Mówiłam już pani, pani detektyw, że nie wiem, gdzie jest Molly. I tak samo nie wiem, gdzie jest mój mąż.

– A może mi pani coś więcej o nim powiedzieć?

Ona robi głęboki wdech.

– Mamy ostatnio trudności.

– Co to znaczy ostatnio?

– Jakoś od roku.

– A dlaczego? Co takiego się wydarzyło?

– On się bardzo denerwuje z powodu swojego stanu zdrowia. Zmienił się.

– Przykro mi to słyszeć.

Ona pociąga nosem.

– Ale on nie umiera ani nic.

– To dobrze. A w jakim sensie się zmienił?

– Łatwo wpada w gniew, jest drażliwy. Za dużo pije. – Nagle milknie. – I przyduszał mnie – dodaje szeptem.

– Kiedy?

– W zeszłym roku w lecie. Ale tylko raz. Syn akurat wszedł, więc przestał. Powiedziałam mu, że jeśli choć raz jeszcze mnie tknie, to go zabiję. I nie tknął. Ale od tamtej pory wszystko się zmieniło. Nie wiem, co robić. Pewnie muszę od niego odejść. Tylko że chłopcy go uwielbiają.

– A czy pani mąż mógł mieć cokolwiek przeciwko pani Bradley?

– Nie, nie wydaje mi się. – W jej głosie wychwytyuję jednak wahanie. – Sama już nie wiem, co myśleć, pani detektyw. Naprawdę nie wiem.

– No dobrze. I na pewno pani nie wie, gdzie on jest? Chcemy z nim tylko porozmawiać.

Unoszę wzrok i wymownie spoglądam na Joego.

– Nie wiem. Powiedziałabym, gdybym wiedziała. O ile mi wiadomo, jest w domu.

– A pani nadal jest u rodziców?

– Tak, zamierzałam wracać jutro.

– A rodzice są?

– Nie, rano pojechali na Florydę. Jestem sama z chłopcami.

– W porządku. To proszę dać nam znać, gdyby pani mąż się odezwał.

Pani Ferris zapewnia, że tak właśnie zrobi.

Nachylam się do Joego, żeby mu zrelacjonować przebieg rozmowy, którą przed chwilą zakończyłam.

– To jego szukamy – stwierdza mój partner. – Założę się, że to on.

W kuchni zrobiło się tłoczno. Ludzie i pies ciągle wchodzą sobie w drogę. Wszyscy jednak milczą, jakby słowa mogły sprowadzić na nich jakąś tragedię.

Pociągają nosem, szurają butami, ale poza tym nie wydają żadnych dźwięków. Przerывam tę ciszę, zapewniając rodzinę i przyjaciół pani Bradley, że będziemy ich na bieżąco o wszystkim informować. Potem opuszczamy z Joem ten dom i jedziemy z powrotem do komendy. Wozów transmisyjnych stoi tu tyle, że prawie się nie da przejechać. W budynku palą się wszystkie światła. Nikt dziś nie pójdzie do domu.

Duży zegar wiszący na ścianie w przestrzeni roboczej wskazuje, że północ już minęła, a my nadal nie mamy żadnych wieści na temat Ferrisa i nic nowego nie znaleźliśmy. Napełniam kubek nędną kawą z pokoju socjalnego i idę z nią do swojego gabinetu.

O czwartej nad ranem siedzę za biurkiem i przysypiam. Budzi mnie telefon, który dzwoni i wibruje mi w ręce. Tak się spieszę, żeby odebrać połączenie, że prawie go upuszczam. – Jest tutaj – szepcze kobiecy głos. – Ma broń.

Rozpoznaję ten głos, więc się od razu prostuję. Zastrzyk adrenaliny błyskawicznie mnie rozbudza.

– Pani Ferris, a gdzie się znajduje ten dom?

Ona podaje mi adres, a zaraz potem się rozłącza.

Zrywam się z krzesła i powtarzam adres pod nosem. Serce wali mi jak oszalałe. Światło w przestrzeni roboczej mnie oślepia, więc intensywnie mrugam. Joe przejął czyjeś biurko i siedzi teraz przy nim nad laptopem. Na mój widok zrywa się z krzesła.

– Co jest?

– Jedziemy! Ferris jest u rodziców żony na Cape Cod.

Po drodze wpadam tylko na chwilę do gabinetu Boba, żeby dać mu znać, dokąd zmierzamy.

Już w samochodzie wprowadzam adres do nawigacji. Joe wyjeżdża na ulicę. Droga na miejsce zajmie nam godzinę i dwadzieścia minut. Kontaktuję się z lokalną policją z prośbą o wsparcie. Oni dotrą tam szybciej. Ruszamy drogą I-495 w kierunku południowym.

W świetle eleganckiej latarni pojawia się duży dom od zewnątrz kryty szarymi panelami z drewna. Znajduje się przy samej plaży. Musi być wart grube miliony.

Wzdłuż piaszczystej drogi stoją radiowozy i ich niebieskie światła mącą mrok poranka.

Wysiadamy z Joe z samochodu i wciągamy do płuc wilgotne i chłodne słone powietrze. Odgłos fal uderzających w brzeg w oddali wzmacnia tylko wrażenie osobliwości tej scenerii. Wbiegamy po schodach i wchodzimy przez niezamknięte frontowe drzwi. Zmierzamy do kuchni w pełni oświetlonym korytarzem. Tłoczy się tu kilku miejscowych zdeorientowanych policjantów. Przy stole, w towarzystwie policjantki, siedzą zaspani i przerażeni chłopcy Ferrisów. Mają przed sobą po misce z płatkami, ale żaden z nich nie je.

Sierżant toruje nam drogę i prowadzi nas do salonu, w którym stoi mnóstwo mebli w białych pokrowcach. Na podręcznych stolikach dostrzegam całą kolekcję zielonych i niebieskich bibelotów, a na stoliku do kawy leżą zgrabnie wyłożone kolorowe czasopisma.

– Nie znaleźliśmy ich – relacjonuje sierżant. – Gdy dotarliśmy na miejsce, dzieci były w łózkach, ale frontowe drzwi stały otworem.

– Nie było ani Ferrisa, ani jego żony?

– Nie. Przeszukujemy okolicę, ale na razie bez powodzenia. Znaleźliśmy tylko ślady na piasku.

– Jego czy jej?

– Sądzymy, że obojga. Tylko szybko znikają.

Zerkam na Joego.

– Nie mogli zejść daleko na piechotę. – Odwracam się do sierżanta. – A jego samochód?

– Nie ma. Jej samochód nadal stoi, ale jego zniknął.

Cholera!

– Myśli pan, że on mógł ją zabrać ze sobą?

– To możliwe.

– Przekazaliśmy wszystkim jednostkom informację, że szukamy zarówno jego samego, jak i jego samochodu. Mam nadzieję, że ktoś go wypatrzy i że pani Ferris nic się nie stało – mówię, rozglądając się przy okazji po pokoju w poszukiwaniu jakichś ukrytych wskazówek.

– Od dzieci się czegoś dowiedzieliście?

– Nie. Obaj chłopcy spali. Nic nie słyszeli. Ich pokój jest na tyłach domu na górze, więc nic w tym dziwnego. Twierdzą, że ojca nie widzieli ani z nim nie rozmawiali od piątku.

– A dzisiaj widzieli mamę? Dzwoniła tuż po czwartej rano.

– Nie. O dziesiątej przyszła im powiedzieć dobranoc i to wszystko.

Czyli Ferris ma nad nami godzinę przewagi. Mógł wrócić do Bostonu. Mógł pojechać dosłownie dokądkolwiek. Dzwonię z tym informacjami do komendanta, a on mi z kolei przekazuje, że nic nowego nie wiedzą ani na temat Ferrisa, ani o pani Bradley, ale że skontaktowali się z operatorem komórkowym, który ma namierzyć jego telefon.

Stojąc w tym pogrążonym w ciszy domu, wyraźnie wyczuwam, że przeszło tędy zło. Strach pani Ferris wydaje mi się niemal namacalny. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że musimy się spieszyć. Wskakujemy z Joem do samochodu i ruszamy z powrotem w kierunku Graybridge.

Łykamy kilometry w ciszy, oboje skupieni na poszukiwaniu rozwiązania tej zagadki. Dokąd mógł pojechać Ferris? Dokąd zabrał swoją żonę? Gdzie ukrył panią Bradley? W Bostonie i okolicach piwnic są tysiące, a przecież my nie mamy nawet pewności, że właśnie w podziemiach powinniśmy jej szukać. Oczywiście jest dla nas natomiast, że zafundował obu tym kobietom straszliwą podróż. Ścisza mnie w żołądku na myśl o tym, że możemy ich w porę nie znaleźć. Że obie mogą już nie żyć.

Odganiam od siebie tę myśl. *Zbierz się w sobie, Rita.*

Dojeżdżamy do Bostonu. Miasto wita nas światłami mrugającymi w szarym świetle poranka. Dzwoni Lauren. Odbieram.

– Mamy to! Wiemy, gdzie jest jego telefon.

– A gdzie?

– W centrum.

Podaje mi współrzędne.

– Zaraz tam będziemy.

Podpowiadam Joemu, że jeszcze jeden zjazd i pora skręcać.

– Bostońska policja wysłała na miejsce jednostkę specjalną – mówi Lauren.

– A wiemy coś konkretnie?

– Mamy tylko skrzyżowanie, ale to gdzieś w okolicy. Stoją tam stare szeregowce, puste i przeznaczone do rozbiórki. Na pewno sporo w nich piwnic.

– No dobrze, niedługo tam będziemy. Dobra robota, Lauren.

Okolica została opasana kordonem. Przy krawężnikach opuszczonych ulic stoją radiowozy i samochody komandosów. Ponuro tu i brzydko, zwłaszcza w bladym świetle świtu. Podbiegamy z Joem do stołu, który pełni funkcję centrum dowodzenia. Wysoki mężczyzna w kamizelce z logo służb specjalnych pochyla się nad mapą, którą dociskają do stolika trzeszczące policyjne krótkofalówki.

Przedstawia nam się szybko, po czym wskazuje obszar, na którym właśnie trwają poszukiwania. Spoglądam w dół ulicy. Te domy liczą sobie ze sto lat, ale kiedyś mieszkało tu wiele rodzin. Dzieci chodziły tędy do szkoły, a kobiety i mężczyźni do pracy. Nieliczne bezlistne drzewa mocno się już powykrzywiały, ale jeszcze jakoś trwają przed opuszczonymi budynkami.

Dołączamy z Joem do jednej z ekip i idziemy przed siebie popękanym chodnikiem. Nie moglibyśmy beczynnie stać i czekać, wolimy wziąć udział w akcji. Do przeszukania są rzędy pustych domów. Roboty dla nikogo nie zabraknie.

Sprawdzamy kilka opustoszałych piwnic, w których pośród gruzów, popsutych sprzętów i nielicznych pozostałości po dawnych mieszkańcach kręcą się już teraz tylko szczury. Pomimo chłodu i opadów śniegu zlewam się potem. Wraz z każdym kolejnym budynkiem, który skreślamy z listy, wzbiera we mnie coraz silniejsze poczucie bezradności. *Gdzie jesteś, Molly Bradley?*

ROZDZIAŁ 70

MOLLY

Jest ranek. Jedyne okno wpuszcza do piwnicy tylko trochę światła, otacza mnie więc ponura szarość. Czuję pulsowanie w palcach. Odrętwienie minęło i teraz dokucza mi silny ból. Zastanawiam się, kiedy wróci Cal i czy z Laken wszystko w porządku. Gdybym tylko mogła ją jakoś uprzedzić o niebezpieczeństwie, które jej grozi. Oczywiście nie mogę. Mogę tylko siedzieć i przygotowywać się na powrót Cala.

Myślę o Jayu. Ależ on by cierpiał, gdyby mnie zobaczył w tym stanie. Po policzkach spływają mi świeże łzy. To był dobry człowiek. Pewnie zastanawiał się, co się dzieje z Caliem. Pewnie się o niego martwił. Postanowił z nim porozmawiać, zanim zgłosi sprawę na policję. Chciał mieć pewność. Przypuszczalnie liczył na to, że Cal jednak nikogo nie skrzywdził. Annalise miała przecież wtedy zaledwie status zaginionej. Wzdycham ciężko.

Myślami wracam do rodziny. Wspominam rodziców i ich bezradność w obliczu całego tego kryzysu. Świat wokół mnie się walił, a oni starali się jak najszybciej wrócić do swojej codzienności i dotychczasowej pracy. Wspominam Corrine, która jako jedyna rzeczywiście mnie wspierała. Znowu zbiera mi się na płacz. Nie zawsze byłam dobrą siostrą.

Spoglądam w stronę okienka i widzę płatki śniegu. Delikatne drobinki białego puchu spływają na ziemię w promieniach szarego świtu zgodnie z układem prądów powietrza. Ten widok też przywołuje wspomnienie. Przypomina mi się dziadek Wright. Jeszcze zanim pojawił się w moim życiu Keith Russell, jeździliśmy do niego na farmę na niedzielny obiad, który on samodzielnie dla nas przyrządzał. Zmarł wiele lat temu. Moi rodzicom zawsze bardzo się spieszyło, żeby z tych wizyt wracać do domu. Nie lubili jego małego domku, w którym pachniało zwierzętami i tytoniem do fajki. Za to Corrine i ja lubiliśmy tam jeździć.

Nie pamiętam go za dobrze, ale przypominam sobie jego słowa. Gdy tata go pytał, czy zamierza w końcu doprowadzić dom do porządku albo czy jednak nie dałby się namówić na przeprowadzkę do miasta, on odpowiadał: „Jeśli przezimuję”. Pytałam tatę, co to znaczy, a on marszczył czoło i wyjaśniał, że dziadkowi chodzi o to, czy przeżyje do wiosny. Teraz to rozumiem. W życiu nie ma żadnych gwarancji. Nikt z nas nie wie, jak długo dane mu będzie przeżyć.

Robię głęboki wdech i myślę o wyprawie do Sing Sing na widzenie z Keithem Russellem. To był jeden z elementów łamigłówki, z którą musiałam się samodzielnie uporać. Stałam się dzięki temu silniejsza i teraz z tej siły korzystam. Zamierzam zrobić to, czego Cal spodziewał się po Laken. Zamierzam walczyć. Nie odejdę bez słowa.

Na górze otwierają się drzwi. Słyszę skrzypienie desek nad głową. Przygryzam dolną wargę i szybko zmawiam modlitwę.

No to dajesz, Molly.

– Melinda! – woła ochryple Cal.

Czuję, jak przeszywa mnie dreszcz. Drabina drapie o podłogę na górce i z łoskotem opada na betonową posadzkę. On po niej schodzi. W świetle dnia mogę mu się lepiej przyjrzeć. Ubranie ma w kompletnym nieładzie.

– Melinda.

Staje przede mną i spogląda spod okularów, które siedzą mu na nosie pod dość przypadkowym kątem. Usta ma spuchnięte, na jego skórze dostrzegam zaschniętą krew.

Serce wali mi jak oszałałe.

– Zrobiłeś jej krzywdę?

– Już ty się nie martw o moją uroczą żonę. Dziś jest wielki dzień, Melindo. Ten ostatni.

Siada obok mnie. To rosły mężczyzna, wysportowany. Czuję się przy nim jeszcze drobniejsza niż na co dzień. Pachnie od niego potem i solą, jakby pływał.

Przełykam ślinę, bo drapie mnie w gardle. Postanowiłam nakłaniać go, żeby jak najwięcej gadał. Chcę dać możliwie dużo czasu policji.

– Ale tak naprawdę, to jak się o mnie dowiedziałeś, Cal?

On wzdycha ciężko, krzywi się i chwyta się za bok. Zaraz potem przenosi jednak rękę na czoło i dotyka strużki krwi zaschniętej na skroni.

– Mówiłem ci przecież, że rozmawiałem z Keithem. On mi o wszystkim opowiedział.

– A niby dlaczego?

Zza wykrzywionych okularów spoglądają teraz na mnie zaczerwienione szkliste oczy. Twarz powoli rozszerza mu się w uśmiechu.

– A dlatego, droga Melindo, że krew nie woda, jak mówi stare porzekadło. Keith to mój starszy brat.

Aż mi zapiera dech w piersiach. Serce wali mi jak młot. *O Boże!* Zaciskam zeszywniałe palce w pięść. Dlaczego się nie zorientowałam? Dlaczego nie zdołałam tego wyczuć albo wyczytać z jego twarzy?

– Nie jesteśmy do siebie jakoś szczególnie podobni, co? Jesteśmy braćmi przyrodnimi. Mieliśmy różnych ojców. Oczywiście jestem przystojniejszy, prawda? I mądrzejszy. Znacznie mądrzejszy.

– Jesteś bratem Keitha? – Mój umysł próbuje jakoś nad tym wszystkim zapanować. – Nie wiedziałam, że on miał brata.

No ale co sześciolatka mogła wiedzieć o rodzinie Keitha?

Cał poczuł się chyba dotknięty.

– Wiadomo, Keith zdołał ściągnąć całą uwagę na siebie. Stał się niemal gwiazdą. A ja go szczerze nienawidziłem. W dzieciństwie mnie dręczył, więc niesamowicie się ucieszyłem, gdy mama tamtego lata wysłała go do Albany. – Prycha. – Tylko że potem zaczęła się wyżywać na mnie. Powiedziała, że do pięć nawet Keithowi nie dorastam. – Kręci głową. – Pomyślałem wtedy: „Temu idiocie?”. On był od najmłodszych lat głupi jak but. A ona ciągle się rozwodziła, jaki to on najśłodszy. Ten jej pierwszy mąż to był chyba ten, którego naprawdę kochała, i dlatego tak się rozplywała w zachwytach nad jego pomiotem.

Cał powoli wstaje i zaczyna chodzić po piwnicy.

– Napiszą o mnie książkę, Melindo. I wtedy Keith będzie miał za swoje. To ja zostanę słynniejszym z braci. – Zatrzymuje się i spogląda na mnie. – Z początku chciałem znaleźć się w książce Jaya, ale to się oczywiście nie wydarzyło. Jay za szybko się zorientował, że coś się ze mną dzieje. – Krzywi się i przeciąga ręką po ciemnych włosach. – Nawet nie wiedziałem, że taki z niego dobry psycholog.

Oczywiście nie zdążył ustalić, że ja faktycznie kogoś zabiłem, ale stanowczo zbyt dobrze mu to węszenie szło. Zdecydowanie za dużo pytał o moje uczucia.

Cal parska z niesmakiem.

– A poza Jayem i Annalise nikogo więcej nie zabiłeś? – pytam drżącym głosem.

On wzdycha głęboko i wzrusza ramionami.

– Może nie mam na koncie tyle co poniektórzy, ale mam to. – Rozkłada ramiona, jakby chciał zaprezentować światu swoją podziemną scenę. – Nawiązanie do motywu dziewczynki z piwnicy. Tym to sobie raczej zasłużę na własną książkę, a może nawet na dwie, a nie zaledwie rozdział u Jaya. Zyskam większy rozgłos niż mój głupi brat. Szkoda tylko, że moja matka tego nie dożyła.

– A to dla ciebie takie ważne?

Spogląda na mnie z rozgorączkowaniem w oczach.

– Nic innego się dla mnie nie liczy. Tylko uznanie. O to właśnie chodzi, Molly. Tylko o to. To dlatego nie potrafiłem cię zrozumieć. Po co ty się tak chowałeś przed światem? Przecież byłaś kimś, przynajmniej przez chwilę. Ja na twoim miejscu napisałbym książkę, która by się ukazała w twardej i lśniącej oprawie. Udzielałbym wywiadów dla telewizji. Zarabiał kupę kasy.

– Przecież ty nic nie zarobisz, Cal. Prawo ci tego będzie zabraniać.

Na jego twarzy widać wzmagające się wzburzenie.

– No wiem – ucina temat. – Dla mnie nie chodzi w tym o pieniądze.

Melodyjny dźwięk telefonu, który zupełnie nie pasuje do tej sypiącej się piwnicy, zupełnie zbija go z tropu. Cal sięga do kieszeni i ukradkiem zerka na ekran, jak dzieciak, który chowa się przed nauczycielem. Na wyświetlaczu musiało pokazać się coś, co go zmartwiło, bo nagle pochmurnieje i robi niemal taką minę, jakby odczuwał wyrzuty sumienia.

– Muszę odebrać – mówi, jakbyśmy odbywali właśnie spotkanie biznesowe, po czym podchodzi do drabiny i tylko na moment zatrzymuje się na pierwszym szczeblu. – To nie potrwa długo, Melindo. – Unosi wzrok w kierunku okna, za którym nadal wirują płatki śniegu. – Zaraz będzie po wszystkim.

Wyjmuje zza pasa pistolet, chwilę się w niego wpatruje, a potem wciska go do kieszeni kurtki.

Słyszę skrzypienie desek i wyobrażam sobie, jak on chodzi tam i z powrotem. Tak to w każdym razie brzmi, jakby zataczał kręgi dokładnie nad moją głową. Rozmawia głośno, ale nie potrafię rozróżnić słów. Potem zaczyna się śmiać, tak donośnie i chrypliwie. Aż mnie ciarki przechodzą po plecach. Z kim on może rozmawiać? Zdumiewa mnie, z jaką łatwością zdołał przeskoczyć z roli wielokrotnego zabójcy do postaci miłego gościa. No ale ostatecznie zwodził nas przez lata i dopiero Jay go rozgryzł.

Robię głęboki wdech i cofam rękę za plecy, w kierunku betonowej ściany. Muszę być gotowa. Po zakończeniu tej rozmowy Cal przyjdzie mnie zabić. Przesuwam zmrożone palce po łańcuchu i luźnym mocowaniu rury. Zamierzam poruszać palcami, aż przywrócę im krążenie na tyle, żeby poczuć ciepło. Tylko wtedy będę w stanie zrobić to, co w kluczowym momencie będę musiała zrobić. Inaczej nie zdołam podjąć walki. Już nie jestem bezradnym dzieckiem. Nie jestem sześciolatnią Melindą, która siedzi w kałuży własnego moczu w ciemnej piwnicy i zalewa się łzami.

Wzdycham, odchrząkuję i myślę o Jayu. Próbuję przywołać wspomnienie jakiejś naszej wspólnej chwili, żeby zostało ze mną na zawsze. On był częścią mojego życia przez pięć lat. Wtedy czułam się w pełni kochana i bezpieczna. Jak się potoczy moje życie, jeśli to przetrwam? Jay chciałby, żebym była szczęśliwa, żebym zabiegała o szczęście. Ocieram łzy, gdy przed oczami stają mi chwile spędzone z Jayem. Słyszę jego śmiech i przypominam sobie, jak mnie obejmował i jak trzymaliśmy się za ręce podczas spaceru ulicami Paryża.

Skrzypienie ustaje. Wszystko milknie. Może Cal odszedł? Może po tej rozmowie przez telefon zmienił zdanie? Potem jednak znów słyszę deski podłogowe i dźwięk stopniowo przesuwa się w kierunku drzwi z drabiną. On wraca.

Szczękam zębami z zimna i ze strachu z taką siłą, że aż mi się głowa trzęsie. Cal stoi w otwartych drzwiach i na mnie patrzy.

– Moi synowie – mówi. – Jak miło, że zadzwonili. – Wzdycha. – Ale lepiej im będzie beze mnie, wiesz? Tak po prostu będzie lepiej.

Na chwilę zamyka oczy, jakby wspominał jakieś niedawne miłe chwile z rodzinnego życia.

Potem odwraca się do mnie plecami i zaczyna schodzić po drabinie. Pokonuje kolejne szczeble szybko, jak człowiek, który ma misję. Już po chwili stoi w miejscu,

w którym ja kulę się pod wilgotną i zimną ścianą.

– Małej Melindzie się wydawało, że wtedy przed laty zdołała uciec z tamtej piwnicy. – Chichocze złowrogo. – Mój starszy brat nic nie potrafił zrobić, jak należy. Nie potrafił dokończyć tego, co zaczął. Ja jestem inny.

Kręci głową.

Z charkotem wciągam powietrze do płuc.

– Naprawdę nie zależy ci na tym, żeby żyć dalej dla swoich synów, Cal?

On na moment się oddala ode mnie, ale zaraz potem wraca. Pomimo zimna nad jego górną wargą dostrzegam kropelki potu. Rana na skroni najwyraźniej znów się otworzyła, bo krew cieknie mu po policzku.

Chowam palce za plecy i robię, co mogę, żeby nie stracić w nich czucia.

– Ależ ja zamierzam dalej żyć, Melindo. Inaczej nie mógłbym się cieszyć własnym dziełem.

– A chłopcy?

Znów się trochę odsuwa.

– Dzięki mnie będą sławni, no i będą mnie mogli odwiedzać, jeśli zechcą. Napiszą książkę o swoim ojcu i o tym, jak to było dorastać w idealnej rodzinie. O tym, jak nie mieli pojęcia, co za pokręcone myśli chodzą po głowie ich przystojnemu i wysportowanemu ojcu, który odnosi w życiu same sukcesy. – Odwraca się do mnie i spogląda mi prosto w oczy. – Najlepsi seryjni mordercy tak już mają, że wiedzą normalne, żeby nie powiedzieć przykładowe, życie. W tym właśnie tkwi cały urok, Melindo. Chodzi o to, żeby wszystkich przechytrzyć.

Wyciąga broń z kieszeni i kładzie ją na podłodze, ale na tyle daleko ode mnie, żebym nie mogła jej dosięgnąć.

Potem z innego miejsca wyjmuję nóż. Naciska guzik, aby go otworzyć, a wtedy mnie zapiera dech w piersiach. Cal kuca tuż przy mnie i przyciska mi czubek ostrza do gardła. Siedzę całkowicie nieruchomo, przełykam tylko ślinę. Po twarzy spływają mi krople potu. On przeciąga nożem po rękawie mojego lewego ramienia. Czuję, jak szorstkimi palcami próbuje namacać moją bliznę.

– Dzieło mojego brata. Jego znak – mówi i parska. – Paskudnie mu wyszło, jak zwykle zresztą. – Spogląda mi prosto w oczy. – No ale pewnie coś z tym robiłaś. Próbowiałaś to usunąć jakimś laserem, co?

Trwam w zupełnym bezruchu. Nie mogę oddychać.

Cal puszcza moją rękę i wstaje.

– Miałem okazję uważnie się temu przyjrzeć, jak cię tu przywiozłem nieprzytomną. Wcześniej zawsze nosiłaś długie rękawy i nigdy nie miałem sposobności, by na to zerknąć. A Keith mi mówił, że cię podpisał. Żeby było wiadomo, że należysz do niego. – Wymachuje mi nożem przed twarzą. Ale ja będę lepszy. – Nachyla się i wbija mi końcówkę noża w pierś. – Tutaj się podpiszę, zaraz nad sercem. W końcu będziesz moja.

Z sercem wyrywającym mi się z piersi obserwuję, jak Cal odkłada nóż obok pistoletu i chwyta brudne koce, które leżały dotychczas obok mnie. Rozkłada je i staje nade mną w rozkroku tak blisko, że wyczuwam jego zapach. Klepie się po rozporku.

– No to do dzieła.

Z trudem przełykam ślinę i zaciskam drżącą szczękę. Katar spływa mi z nosa na dolną wargę.

– Cal, proszę cię, nie.

– Przykro mi, Melindo, ale to nieodzowny element. Muszę cię osiąść. Mała Melinda, dziewczynka z piwnicy, musi być moja. Potraktuj to jak drobną rozrywkę przed końcem.

Zerkam w kierunku okna i dostrzegam w nim nogawki przechodzących ludzi. Czyżby policja? Tętno mi jeszcze bardziej przyspiesza. Oby mnie tylko znaleźli! *Pospieszcie się, pospieszcie!* Otwieram usta, żeby zacząć krzyczeć, ale Cal stoi nachylony nade mną i mógłby mi skrócić kark, zanim policja zdąży tu zejść. Milczę więc i liczę tylko na to, że zdołam go powstrzymać do czasu, aż ktoś się pojawi.

On wyjmuje z kieszeni mały kluczyk i sięga do kajdanek. Wciągam mocno powietrze do płuc, jak gdybym przygotowywała się do głębokiego nurkowania. Oto nadszedł ten moment. Zbieram się w sobie, myślę o Jayu i zrywam się na nogi.

ROZDZIAŁ 71

RITA

Właśnie sprawdziliśmy kolejną piwnicę. Znowu nic. Do każdego domu wchodzimy sprężeni i gotowi do działania, ale raz po raz nic z tego nie wynika. Kostka mnie boli. Stałam jakoś niefortunnie na rumowisku i zaplątałam się w pordzewiały dziecięcy rowerek. Nie zamierzam się jednak tym przejmować. Jakoś sobie poradzę. Muszę znaleźć panią Bradley, choćby i ze złamaną nogą.

Powietrze na zewnątrz jest lodowate, ale niesie zapach porannej miejskiej krzątaniny. Opieramy się z Joem o ścianę, czekając, aż lider zespołu zda raport przez radio. Na tej ulicy został nam już tylko jeden dom. Odpycham od siebie wątpliwości, które próbują zawładnąć moim umysłem.

– Co myślisz? A co, jeśli jej tu nie ma? – szepczę mimo wszystko do Joego, jakbym liczyła, że on ma jakiś lepszy plan.

On jednak kręci głową.

– Szukamy dalej, Rita. – Drapie się po brodzie, przesłaniając przy okazji bliznę palcami. – Będziemy szukać, aż ją znajdziemy. Gdziekolwiek jest.

Zerkam na drugą stronę ulicy, na budynki, które już przeszukaliśmy. Mam nadzieję, że się nie pomyliliśmy. Bo co, jeśli Ferris po prostu porzucił tu telefon i pojechał gdzie indziej? Może całkiem bez sensu zmarnowaliśmy ostatnią godzinę na chodzenie po przegniłych podłogach i zaśmieconych piwnicach opuszczonych domów? Funkcjonariusz kierujący naszą ekipą unosi wzrok i gestem daje znać, że idziemy dalej. Ustawiam się za Joem i przemieszczamy się chodnikiem na kolejne schody. Wchodzimy do następnego opustoszałego korytarza. Rozdzielamy się i szybko sprawdzamy pokoje na parterze. Potem znów zbieramy się przy wejściu i nasłuchujemy, bo coś się tu dzieje. Pod nami ktoś lub coś się porusza. Czuję, jak mi przyspiesza oddech. Lider zespołu unosi dłoń i tym gestem zarządza ciszę.

Rozlega się męski głos. On tam jest. Z wyciągniętą bronią ruszamy w kierunku wejścia do piwnicy.

ROZDZIAŁ 72

MOLLY

Cal otwiera szeroko oczy w wyrazie zaskoczenia i zdumienia. To dlatego, że owinęłam mu wokół szyi łańcuch wyciągnięty z za pleców i pchnęłam go w tył. Okulary spadają mu z nosa, a on sam potyka się i przewraca. Ja upadam na niego.

– Co jest, kurwa? – mamrocze i chwyta mnie za ręce, żeby się uwolnić. Udało mi się zranić go lekko w szyję, ale nic więcej. Teraz on się obraca i przygniata mnie do ziemi. – Cholerna suka. – Niemal wybucha śmiechem. – Wydawało ci się, że taka jesteś mądra, co? Długo nad tym myślałaś?

Chwyta mnie za rękę i przygląda się moim zakrwawionym palcom.. Ciężko dyszy, dmuchając mi w twarz kwaśnym powietrzem. Z jego ust kapie na mój policzek ślina.

– Chcesz na ostro, nie ma sprawy. Wchodzę w to.

Jest tak ciężki, że nie mogę oddychać. Próbuję zwinąć się w kłębek i go kopnąć, ale on ma nade mną zbyt dużą przewagę fizyczną. Wyciągam prawą rękę, licząc na to, że dosięgnę pistoletu lub noża, ale one leżą za daleko. W tym momencie czuję jego dłonie na karku. Zaciskają się na moim gardle. Robi mi się słabo. Czuję się, jakbym tonęła w bagnie. Jakbym się zanurzała w mrocznej krainie snu. Już prawie znikam pod powierzchnią, gdy on nagle rozluźnia ucisk. Wciągam do płuc rwany oddech. On zrywa ze mnie dżinsy. *Nie, nie, nie!*

Zamierzam się bronić do kresu sił. Keith i Cal nagle zlewają się dla mnie w jedną postać. Całym moim ciałem wstrząsa gniew, od którego czuję się silna. Chowam rękę za plecami. Palcami staram się wymacać pasek. Wydobywam z za niego kawałek metalu, który wyciągnęłam ze spluczki, a potem z całą mocą wbijam mu go w kark.

On wyje jak ranne zwierzę i zsuwa się ze mnie, a wtedy ja podciągam się do pionu. Nad naszymi głowami trzeszczy podłoga. Słyszę krzyki.

– Policja!!!

Stoją w otwartych drzwiach i spoglądają w dół, mierząc w naszą stronę z pistoletów.

Cal chwytą mnie za nogę i ściąga na ziemię twarzą w dół. Udaje mi się na niego spojrzeć. Z rany na karku tryska krew. On próbuje jedną ręką zatamować krwotok, drugą zaś mnie przytrzymuje. Zaczynam rzucać się i kopać, aż w końcu udaje mi się wyrwać z uścisku.

Biegnę w stronę policjantów, którzy właśnie schodzą po drabinie. Jeden starszy facet opuszcza broń i przyciąga mnie do siebie.

Detektyw Myers rusza w kierunku Cala z lufą wycelowaną prosto w niego. Na bladej twarzy mojego oprawcy maluje się szyderczy uśmiech.

– No widzisz, Melindo. Już są. Media zapewne też zaraz będą.

ROZDZIAŁ 73

RITA

Tyle się dzisiaj działo, że nikt nie miał czasu jeść. Gdy więc o dziewiętnastej dwadzieścia dwie wracamy z Joem na posterunek, jesteśmy głodni jak wilki.

Cal Ferris trafił do szpitala, gdzie pilnują go mundurowi. Ranną i nieprzytomną panią Ferris znaleźliśmy na plaży. Oddaliśmy ją pod opiekę miejscowym medykom. Zanim mąż dwukrotnie ją postrzelił, zdołała złamać mu dwa żebra i zadać dość mocny cios w głowę. On na szczęście słabo celował, więc jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Bob zakończył właśnie konferencję prasową. Joe i ja też braliśmy w niej udział. Dziennikarze tak bardzo pragnęli dowiedzieć się jak najwięcej, że przepychali się na chodniku przed komendą. Teraz rozbiegli się, żeby przygotować się do relacji i przekazać nowo zdobyte informacje światu.

Pani Bradley została już zwolniona ze szpitala, gdzie odebraliśmy od niej zeznanie. Przebywa teraz z rodziną. Zapewne jeszcze się do niej zgłosimy, żeby dopytać o różne szczegóły, ale na razie musimy się zająć innymi rzeczami.

Agentka Metz umówiła się na kolację z rodzicami, a Chase pojechał do domu do żony i syna. Lauren ślęczy nad czymś przy komputerze w głównej przestrzeni roboczej. Przy klawiaturze ma na wpół zjedzoną kanapkę z szynką i serem.

Joe i ja wychodzimy do Maca. Kostka mnie boli, więc lekko utykam, ale mam nadzieję, że po paru kieliszkach wina ból ustąpi. Przy barze siedzi już kilku chłopaków z komendy. Śmieją się, muszą odreagować. Wszystkim nam ulżyło, że pani Bradley znalazła się cała i względnie zdrowa i że udało nam się złapać sprawcę. Nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, znikamy z Joem w ostatnim boksie w rogu.

Zamawiamy paluszki serowe i dużą pizzę z pepperoni i oliwkami, a do tego sałatki i butelkę wina. Piję na pusty żołądek, więc już po pierwszym łyku lekko

szumi mi w głowie. Sięgam po kawałek pizzy i odgryzam spory kęs. Umieram z głodu.

Joe opada na oparcie i zaczyna się śmiać.

– Co jest?

– Nic takiego. Po prostu zapomniałem, jak fajnie się z tobą pracuje.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

Przełykam jedzenie. Włosy pierwotnie uczesane w kok teraz spływają mi w nieładzie po ramionach. No ale przynajmniej siwizny nie widać. Tusz do rzęs też się na pewno rozmazał, a biała bluzka nosi krwiste ślady po poranionych palcach pani Bradley. Prostuję się i odgarniam włosy do tyłu.

– Ano. Fajnie, że przyjechałeś. – Unoszę kieliszek do ust. – Teraz pewnie będziesz się zbierać, bo czeka na ciebie jakaś kolejna sprawa...

– Pewnie tak.

Czy on teraz myśli o tym, co się poprzednio wydarzyło na zakończenie naszej współpracy? Zaczynam się rumienić. Bynajmniej tego nie żałuję, ale już mnie chyba takie szaleństwa nie interesują. Teraz już tego nie chcę. No i nie chcę, żeby znów zniknął na sześć lat. Wzdycham ciężko. Jestem w takim wieku, że nie pogardziłabym poukładanym życiem.

– A o co chodzi? – pyta.

Kręcę głową.

– Tak tylko sobie myślę, że to nie była byle jaka sprawa, co?

On się uśmiecha.

– Jazda bez trzymanki. Ale na szczęście udało nam się z tego wybrnąć.

Wkłada sobie do ust paluszek serowy i odgryza kawałek. Z ust zwisa mu teraz nitka mozzarelli. Mam ochotę sięgnąć i go zdjąć, ale tego nie robię.

– A pamiętasz, jak przesłuchiwaaliśmy Arthura Knolla? – pyta. Ma na myśli sprawcę poprzedniej zbrodni, przy której razem pracowaliśmy. – Powiedział, że nie zabił swojej żony, że ona się sama zabiła.

– Pamiętam. Idiota. Był cały w jej krwi, a ona przyjęła trzy strzały w plecy.

– A potem stwierdził, że pies ją zabił, i jeszcze przedstawił jakąś skomplikowaną teorię, która to miała wyjaśniać.

– Tak, ten pies to jej musiał naprawdę nie znosić.

Oboje się śmiejemy. Poziom stresu spada, wino też robi swoje. Ocieramy z policzków łzy, ale nadal nie możemy zapanować nad wesołością. Aż w końcu ściągamy na siebie wzrok policjantów siedzących przy barze.

ROZDZIAŁ 74

MOLLY

Tydzień później

Po raz pierwszy od wielu dni na niebie pojawiło się dziś słońce. Siedzimy z Corrine u mnie w kuchni przy stole nad herbatą i brownie, które Alice upiekła na naszych oczach. Fizycznie nic mi nie dolega, ale pewnie trochę to potrwa, zanim wrócę do siebie. Cal został zwolniony ze szpitala już parę dni temu. Trafił do aresztu i nie wyjdzie za kaucją, więc mogę odetchnąć.

– A co u Laken? – pyta Corrine.

– Lepiej. Dzwoniła do mnie wczoraj. Pojechała z chłopcami do rodziców. Przepraszała mnie znowu i zapewniła, że już nie wróci do Graybridge.

– Tak pewnie będzie lepiej – mówi Corrine. – Ma dziewczyna szczęście, że żyje. A co z Kim i Joshem?

Wzdycham ciężko. W tym ostatnim tygodniu w gronie moich przyjaciół dużo się działo.

– Kim uparła się, żeby Josh się wyprowadził. Na razie nie wie, co z tym zrobi. Josh dzwonił do niej wczoraj, żeby zaproponować wizytę u terapeuty. Błagał, żeby się zgodziła.

– I co ona na to?

– Kazała mu spadać. Powiedziała, że zadzwoni do niego, jak będzie chciała wrócić do tematu, a na razie ma jej dać spokój.

Corrine się uśmiecha.

– Zawsze ją lubiłam. Jak na drobniutką cheerleaderkę ma dziewczyna charyzmę!

– Owszem, ma – zgadzam się.

Corrine dopija herbatę i kilka razy przeciąga dłonią po grzbiecie Sadie.

– A jak ty się miewasz?

Wzruszam ramionami.

– Chyba ciągle jeszcze jestem odrętwiała.

Po tym, jak policja wydosłała mnie z piwnicy, to Corrine jako pierwsza zjawiała się w szpitalu. To również ona pierwsza mnie przytuliła, gdy Margaret Castleberry przywiozła mnie na posterunek. Dobrze pamiętam łaskotanie jej długich, sztucznie kręconych włosów na policzku, zapach jej wody Electric Youth i widok celowo spranych dżinsów, w których przy mnie ukłękła. Rodzice też tam oczywiście byli, ale nie pamiętam, żeby się odzywali. Teraz też ich nie zabrakło. Dreptali w ślad za Corrine, nerwowo splatając dłonie.

Podnoszę ze stołu wizytówkę, którą mi dała Elise. Widnieje na niej nazwisko niejakiej Morgan Blanton.

– Zamierzasz do niej zadzwonić? – pyta Corrine.

Stukam brzegiem kartonika w blat i kiwam głową.

– Tak. Jay na pewno uważałby, że to dobry pomysł.

– A ty tego chcesz?

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Na pewno chcę z nią porozmawiać i sprawdzić, czy to mi jakoś pomoże.

– Dużo się zmieniło, Molly.

– Owszem, zmieniło się. – Moją uwagę przyciąga hałas dobiegający z za okna. – To pewnie ludzie od Scotta – mówię i przez chwilę przyglądamy się z Corrine dwóm mężczyznom w roboczych strojach, którzy właśnie przystępują do burzenia starego garażu.

Spoglądam na nią.

– O co chodzi?

– Tamtego dnia... Tamtego dnia, kiedy zostałam uprowadzona... po raz pierwszy... – Corrine wstaje i zaczyna nerwowo chodzić po kuchni. Zatrzymuje się przy zlewie i opiera o kant blatu. – To ja cię miałam pilnować. – Zasłania usta dłonią i wzdycha. – Ale nie chciałam. Powiedziałam, że mama Julii Wentworth zawiezie nas do centrum handlowego do Albany.

– Przecież ja wiem, że ty byłaś na zakupach, Corrine.

– No tak – moja siostra przetyka łyzy – ale gdybym tam wtedy nie pojechała i gdybym zrobiła to, o co mnie prosiła mama, to tobie nic by się nie stało.

– Nie wiesz tego. On mógłby wtedy szukać innej okazji. – Wstaję i do niej podchodzę. – A poza tym może mama i tata nie powinni mnie byli zostawiać pod opieką sąsiadki alkoholiczki? Może powinni byli znaleźć kogoś innego, kto by mnie pilnował? Może mogli, co aż trudno sobie wyobrazić, zostać tamtego dnia w domu? W każdym razie to nie twoja wina. Ty też byłaś wtedy dzieckiem. To nie jest w ogóle niczyja wina, tylko jego. – Przytulam siostrę i chwilę stoimy obok siebie w objęciach. – Zawsze byłaś przy mnie, gdy cię potrzebowałam.

– I zawsze będę, Molly. – Odsuwamy się od siebie, a Corrine ociera łyzy. – Przepraszam cię, jeśli ci się czasem za mocno daję we znaki.

Uśmiecham się do niej.

– To właśnie najbardziej w tobie lubię.

ROZDZIAŁ 75

RITA

Lauren wprowadza do mojego gabinetu Hayesa Brancha.

– Chciał z tobą pomówić – informuje.

Odkładam ołówek na biurko.

– Oczywiście. Proszę usiąść, panie Branch.

On obraca się i czeka, aż Lauren wyjdzie i zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy siada.

– Co mogę dla pana zrobić?

Przeciąga dłonią po włosach. Przystrzygł je na krótko, więc po lokach nie ma już śladu.

– Chciałbym coś wyznać.

Unoszę brwi.

– Rozumiem. – Sięgam po telefon. Nie mam pojęcia, co on zamierza powiedzieć, ale tyle rzeczy się ostatnio wydarzyło, że nie zamierzam ryzykować. – Jak rozumiem, mogę nagrywać?

– Proszę bardzo – zgadza się. – Nie mam nic przeciwko temu.

– A o co chodzi?

Branch robi głęboki wdech.

– Skłamałem wcześniej.

– W jakiej sprawie?

– Śmierci mojej żony.

Nachylam się w jego kierunku i sięgam po notes.

On otwiera szeroko oczy.

– Nie zabiłem jej, to nie o to chodzi. Nie ma dnia, żebym za nią nie tęsknił.

Rozluźniam się trochę.

– W takim razie o co chodzi?

– Ona nie zmarła na serce. To znaczy chorowała na serce i mogła przez to umrzeć w każdej chwili, ale nie umarła.

– A co się w takim razie stało?

On pociera oczy pod okularami i ciężko wzdycha.

– Zabiła się. To było samobójstwo. Całe życie zmagala się z depresją. Była pod opieką lekarzy, przyjmowała leki, ale przedawkowała. Celowo. Zostawiła mi list pożegnalny na stole w kuchni. Nadal trzymam go pod kluczem w szufladzie biurka.

– A dlaczego pan wtedy nie powiedział prawdy?

Branch odkłada okulary na biurko i mruga powiekami.

– Ze względu na córkę. Alice miała wtedy tylko pięć lat. – Uśmiecha się lekko. – Choć poważna była jak piętnastolatka. Nie chciałem, żeby wiedziała, że matka świadomie zostawiła ją samą. Nie chciałem, żeby musiała z tym ciężarem żyć.

– Rozumiem.

Naprawdę go rozumiem. Samobójstwo kogoś bliskiego to trudne przeżycie nawet dla dorosłego, a co dopiero dla dziecka.

Branch mówi dalej:

– Gdyby to się wydało, nie zdołałbym zapanować nad medialną burzą, a Alice potrafiła już wtedy naprawdę dobrze czytać. Nie ochroniłbym jej przed konsekwencjami tego wszystkiego. Wie pani, pani detektyw, Amelia była znaną pisarką i...

– I należała do rodziny Branchów.

– No właśnie.

– A dlaczego teraz mi pan o tym mówi?

On nabiera powietrza w płuca.

– Wydawało mi się, że mi nie uwierzycie, a nie chciałem ciągle się zastanawiać, czy aby pewnego dnia nie zapukacie do moich drzwi.

– A co z pańską córką?

Wzdycha.

– Chyba osiągnęła już ten wiek, w którym może poznać prawdę – mówi, choć nie wydaje się tego pewien.

– A jak wam się udało sfalszować dokumentację?

– Pieniądze Branchów. – Patrzy na mnie wymownie. – Nie jestem z tego dumny.

Stukam ołówkiem w notes. On sięga do mojego przybornika po długopis i zapisuje coś na wizytówce, którą przed chwilą wyjął z portfela.

– A co to? – pytam.

– To numer telefonu do siostry mojej żony. To Anna ją tamtego dnia znalazła. Zadzwoiła do mnie do księgarni, cała roztrzęsiona. Rano rozmawiała z Amelią i się o nią martwiła, więc przyjechała. – Branch chrząka i prostuje plecy. – Gdyby potrzebowała pani tę informację potwierdzić, może pani do niej zadzwonić.

Kiwam głową i zerkam do notatnika na swoje szkice, a konkretnie na ten przedstawiający Alice z warkoczami.

– A gdzie umarła pańska żona? Jak to się stało?

On w szczegółach mi wszystko opowiada, a ja opadam na oparcie i sięgam po telefon. Czasem prawo i słuszność stoją ze sobą w sprzeczności, więc będę musiała podjąć decyzję.

– Hm... To w takim razie nie nasza jurysdykcja, panie Branch. Ten wydział nie będzie się tą sprawą zajmował – mówię i kasuję nagranie z telefonu.

On spogląda mi prosto w oczy.

– Dziękuję, pani detektyw. Tych ostatnich kilka tygodni to było... nawet słów nie znajduję.

– Czasem nie ma dobrych słów.

Branch wstaje, ściska mi dłoń i wychodzi. Podchodzę do okna i wpatruję się w płatki śniegu.

Lunch jem przy biurku, mam kanapkę z indykiem i jabłko. Powinnam wrócić do zdrowej diety i tylko ta puszka w rogu mojego biurka strasznie mnie kusi. W środku kryją się ciasteczka owsiane z rodzynkami, które upiekł André. Jedno mi nie powinno zaszkodzić. W końcu owsianka jest zdrowa. Już mam uchylić wieczko, gdy w moich drzwiach staje Chase. Trzyma w dłoni teczkę.

– Przyszła pani Bradley. Mam też ten raport, o który prosiła.

Spogląda na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami, a potem wbija wzrok w podłogę.

– A ty nie miałeś wziąć dziś wolnego?

– Tak, zaraz jadę.

Wstaję, podchodzę do okna i wyglądam między roletami.

– Świeży śnieg. To może ja porozmawiam z panią Bradley, a ty już znikaj? To chyba dobry dzień na sanki. Czy aby nie wspominałeś, że Charlie dostał nowe sanki od Świętego Mikołaja? Może go z Sarah zabierzecie na dwór? – Odwracam się do mojego partnera. – Stanowczo za dużo czasu spędzasz ostatnio w pracy, Chase. Wypalisz się. Ja się zajmę panią Bradley.

Chase waha się, ale tylko przez chwilę. Potem podaje mi teczkę.

– Ech, no tak. W sumie dobry pomysł. – Zatrzymuje się w drzwiach. – Do jutra, Rita.

On wychodzi, a ja otwieram teczkę. To wyniki sekcji zwłok córki państwa Arndtów. Jak to mam w zwyczaju robić w przypadku wszystkich ofiar, z którymi mam styczność, odczytuję jej nazwisko na głos.

– India Marie Arndt.

Już na zawsze będzie miała cztery lata i dziesięć miesięcy. Ale istniała. Była wśród nas.

Wzdycham ciężko i wychodzę na korytarz.

ROZDZIAŁ 76

MOLLY

Wiercę się na krześle i powtarzam sobie, że jestem gotowa. Mój ostatni ukryty lęk, zagrzebany głęboko w moim mózgu. Nigdy o nim nikomu nie powiedziałam, żadnemu z moich terapeutów ani nawet Jayowi. Teraz jednak czuję się dość silna.

Jeśli Keith mówił prawdę i Indie została uduszona, to ja muszę o tym wiedzieć. Przecież i tak nie można by wykluczyć, że to on to zrobił. Na pewno nikt wtedy nie próbował mnie obarczać żadną winą. Mimo wszystko modłę się, żeby prawda wyglądała inaczej. Jestem to winna Indie, żeby wreszcie poznać prawdę o tym, co się faktycznie stało, jaki ją spotkał los. Sama nic nie pamiętam i to również mnie dręczy. Nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądały ostatnie chwile mojej małej koleżanki.

Mam nadzieję, że detektyw Fuller zjawi się, zanim nerwy mi puszczą. Właśnie otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi detektyw Myers.

– Dzień dobry, pani Bradley. Przepraszam, że musiała pani czekać. Detektyw Fuller musiał wyjść, ale mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza.

– Nie, nie przeszkadza – mówię, chociaż wolałabym, żeby to on tu był. Ona mnie onieśmiela.

Teraz kładzie teczkę na stole przede mną, a ja sięgam po nią drżącą dłonią.

– Pani Bradley – odzywa się detektyw Myers. – Wszystko jest w porządku.

Czerpię siłę ze spojrzenia jej lodowato niebieskich oczu. Kiwam głową i zaglądam do dokumentów.

Litery na stronach rozmywają mi się na kartce, gdy próbuję je przeczytać. Mrugam, żeby pozbyć się łez. Przeglądam notatki i szukam pośród nich informacji, która mnie interesuje. Gdy docieram do ramki z wnioskami, czuję w klatce piersiowej narastający ból, jakby miała dostać ataku serca. Keith kłamał.

Indie zmarła na skutek przedawkowania tabletek nasennych, które nam dorzucił do oranżady.

Tłumię łkanie i chowam głowę w dłoniach. W pokoju panuje cisza, więc odchrząkuję cicho i spoglądam na detektyw Myers. Ona też ma w oczach łzy.

ROZDZIAŁ 77

RITA

Zapada ciemny wieczór, świat staje się cichy jak drzewa ukryte pod śnieżną pierzyną. W sprawie Bradleyów zostało mi jeszcze trochę papierkowej roboty, ale zasadnicza część zadań już za mną. W wydziale zapanował spokój, ludzie siedzą pochyleni nad komputerami, klawiatury stukają cicho.

Z ciężkim westchnieniem zerkam na telefon. Nagrał mi się mój brat Danny. Zwykle rozmawiamy co najmniej raz w tygodniu, ale odkąd wir tej sprawy mnie pochłonął, jakoś nie miałam dla niego czasu. Z całej mojej rodziny to on jest mi najbliższy. Obiecuję sobie, że do niego zadzwonię. Albo może nawet zajrzę w drodze do domu.

Do moich drzwi puka Joe.

– Będę znikać – mówi.

– Dzięki za pomoc. Fajnie było mieć cię tu na co dzień.

On kiwa głową i podchodzi do mnie do okna.

– Wiesz, Rita, Newburyport nie jest tak daleko stąd. – Odgarnia mi włosy z ramienia. – Może byś kiedyś wpadła w weekend?

Robię głęboki wdech. Chciałabym, naprawdę, tylko co niby miałyby z tego wynikać?

– Zimą temperatury tam nie najwyższe.

– Morskie powietrze dobrze ci zrobi. A mamy naprawdę fajny pub w miasteczku. Takie miejsce z historią. Ma świetny wybór win.

Po naszej pierwszej wspólnej sprawie też się tak umawialiśmy, ale potem ciągle coś wynikało. Plany się rozmyły i każde z nas wróciło do swojego życia.

Uśmiecham się.

– Byłam kiedyś w Newburyport. Dawno temu. Zatrzymaliśmy się tam z przyjacielem w drodze do Maine.

– Ze mną tam nie byłaś.

– W porządku, nie mówię „nie”.

– Dobrze i to. – Przyciąga mnie do siebie, a ja odruchowo się odprężam. Nawet sama przed sobą nie chcę przyznać, ile mnie ta sprawa kosztowała. – Ale nie czekajmy sześć lat, Rita. Jak to się mówi, życie jest krótkie.

– To prawda.

Joe rozluźnia uścisk i wychodzi.

Włączam małe radio, które stoi u mnie w biurze na parapecie. Młodzi gliniarze uważają, że to śmieszne – zabawne i komiczne – że ktokolwiek w ogóle jeszcze słucha radia, a co dopiero za pomocą odbiornika. Niewiele się ich ostało w komendzie, ale ja mam swoją ulubioną stację, która gra rocka. Podśpiewuję cicho pod nosem piosenkę Doorsów *L.A. Woman*, która zawsze wprawiała mnie w melancholijny nastrój. Stoję przy oknie i przypatruję się, jak Joe wrzuca plecak na fotel pasażera swojego samochodu. Odprowadzam go wzrokiem, dopóki nie znika w czerni nocy.

ROZDZIAŁ 78

MOLLY

Wrzesień

W powietrzu czuć już jesień. Nadchodzą chłodne dni. Siedzimy z Sadie na ganku. Ona dyszy u mojego boku, a ja okrywam się kocem i popijam herbatę z jednego ze starych kubków dziadka Wrighta. To jedna z niewielu jego rzeczy, których moi rodzice nie wyrzucili.

W lutym zaczęłam chodzić do doktor Blanton. Nie wiązałam z tymi spotkaniami większych nadziei i też początkowo wrażenia miałam nie najlepsze. To była młoda i szczupła blondynka z włosami spiętymi w kucyk, z perfekcyjnym makijażem, w eleganckiej sukience i idealnie dobranych szpilkach, a do tego z dwukaratowym diamentem na palcu. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie ma szans, żeby ta wyfiokowana księżniczka mogła mi pomóc. Sama jednak najlepiej powinnam wiedzieć, że pozory często mylą.

Żaden z moich wcześniejszych terapeutów nie chciał mówić o sobie. Wszyscy twierdzili, że osobiste doświadczenie nie ma żadnego znaczenia. To zawsze budziło we mnie podejrzliwość. Trudno mi było uwierzyć, że zdołają okazać mi dość empatii. Tymczasem doktor Blanton okazała się bardzo otwartą osobą. Opowiedziała mi o swoim dzieciństwie w podupadającej dzielnicy w Filadelfii. Jej matka była ćpunką, ojca w ogóle nie znała. W wieku jedenastu lat, gdy wracała ze szkoły do domu, jacyś miejscowi bandyci napadli ją i zgwałcili. Potem matka zrzekła się praw rodzicielskich. Po prostu ją oddała. Dziewczynka trafiła do opieki zastępczej i do osiągnięcia dorosłości nikt jej już nie adoptował. Jej matka zmarła, a ona zdobyła stypendium i we własnym zakresie sfinansowała studia. Obiecała sobie życie lepsze od tego, które prowadziła jej matka. Twierdziła, że człowiek jest się w stanie uporać nawet z najgorszą przeszłością. Jej mantra brzmiała:

przetrwać i kwitnąć. Brzmi to dla mnie wiarygodnie, dobrze nam się rozmawia podczas sesji.

Dalej pracuję w księgarni. Hayes i Alice okazali mi mnóstwo wsparcia, Kim też. Udało jej się donosić ciążę i jej synek przyszedł na świat pod koniec czerwca. Pracuję z Joshem nad swoim małżeństwem, on nawet uczestniczył w porodzie. Elise i Scott co chwila znajdują jakiś pretekst, żeby sprawdzić, co u mnie słychać.

No i mam Corrine.

Dom w górach sprzedałam. Spodziewałam się, że mogą z tym być trudności – z uwagi na to, co się tam wydarzyło – ale oferta pojawiła się od razu. Te pieniądze, a także te z polisy Jaya, pozwolą mi zachować dom i nie martwić się rachunkami.

Stoję teraz na ganku i opieram się o balustradę. Wciągam do płuc jesienne powietrze. Wiosną w miejsce garażu powstanie nowy ogród kwiatowy, w którym będą rosły moje ukochane różowe piwonie. Mam zatem na co czekać. O Jayu myślę codziennie, co też daje mi siłę. Kładę dłoń na sporym już brzuchu i się uśmiecham. Jego córka urodzi się w styczniu. Dzięki temu łatwiej przeżyję rocznicę jego śmierci. W marcu odebrałam telefon z kliniki in vitro. Zostały nam jeszcze dwa zarodki, mogłam się więc umówić na kolejną próbę implantacji. Nie wahałam się ani chwili. W życiu nie ma żadnych gwarancji, ale dlaczego nie próbować? Gdy test dał wynik pozytywny, Corrine poszła ze mną na USG i trzymała mnie za rękę. Jeden z zarodków się nie zagnieżdżył, ale drugi tak. Jedna mała dziewczynka postanowiła nie dawać za wygraną. Czasami nic więcej nie potrzeba.